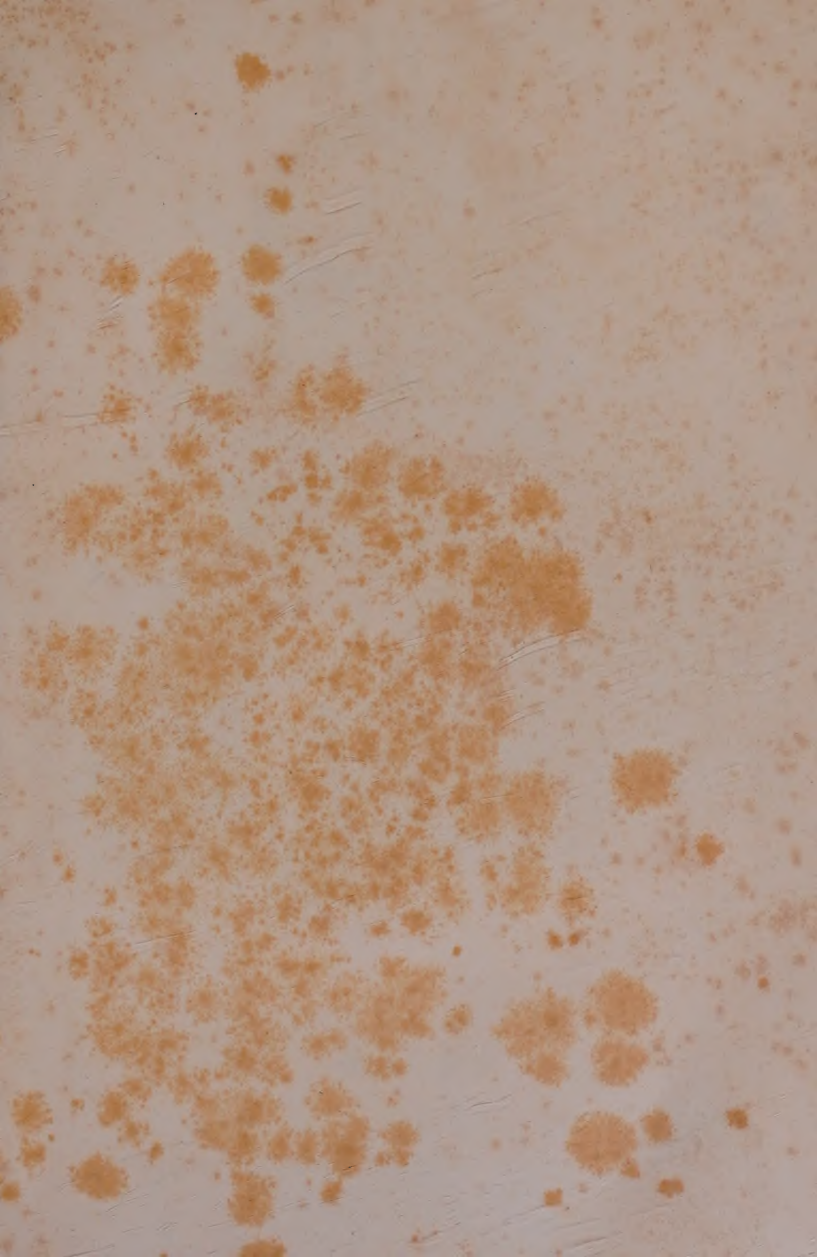


13 14, -

Wydanie Adama Zawadzkiego.





M. Fajans
w Warszawie.

Odbyło w Lit. M. Fajansa III Długa 130

JÓZEF KREMER.

LISTY Z KRAKOWA.

NAPISAŁ

JÓZEF KREMER,

Tom Piérwszy.

(WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI.)

Wydanie drugie poprawne i pomnożone.

Z portretem Autora.

W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1 8 5 5.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury
prawem oznaczonej liczby exemplarzy. — Wilno, 22 Kwietnia 1855 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

LISTA PRENUMERATORÓW, *)

*którzy najpierwsi raczyli zapisać swe imiona na to
dzieło.*

Bagieński Józ. Dr Med.
Berezowski, Ob. g. Kijow.
Blum Xawery, Ob. g. Mińs.
Bortkiewicz Karol.
Bośniacki, Ob. g. Wołyńs.
Ks. Brudzyński, Dziekan Braclawski.
Ks. Chlewiński, Dz. Lidzki.
Chodakowski Aleks., Ob. gub. Kow.
Czeraniawski Bolesł., Ob. gub. Kow.
Gieysztor Jakób, Ob. gub. Kow.
Godlewski Wład., Dr. Med. w Kamieńcu Pod.
Gombrowicz Onufry, Ob. gub. Kow.
Grużewski Emiljusz, Ob. gub. Kow.
Jałowicki Floryan, Ob. gub. Kow.
Jankowski Wład.
Jełowicka Emilja, Ob. gub. Kijows.
Jeleński Jan, Ob. gub. Mińs.
Jelski Józef, Ob. gub. Grodz.
Jaroszyński, Ob. gub. Wołyńs.
Kędrzycki Julian.
Kordzikowski Józ, Obyw. gub. Kow.
Kordzikowski Luc.
Kościelski, Ob. gub. Podols.
Markiewicz.

*) Lista późniejszych prenumeratorów zostanie zamieszczoną przy
tomie 2gim i 3cim.

Mickiewicz Nap.

Mierzejewski, Ob. gub. Mińs.

Nargielewicz, Ob. gub. Mińsk.

Olechnowicz Konst., Ob. gub. Kow.

Osuchowski Bogusł., Ob. gub. Gr.

Osuchowski Michał, Ob. gub. Grod.

Piasecki Kazimierz, Ob. g. Wileńs.

Pietraszkiewicz Onufry, Urzęd. Tobols. Opieki Pow. Op.

Piłsudski, Ob. gub. Kow.

Pomernacki Jul., Ob. gub. Wileńs.

Potocki (Hr.), Ob. gub. Wołyńs.

Prozor Władysław, Ob. gub. Mińs.

Raczkowski Apol., Podkom. Ptu. Upitsk.

Romanowski Felic., Ob. gub. Kow.

Rusiecki Kanuty, Prof. Inst. Dw. Wil.

Staniewiczowna Justyna.

Skulski, Dr. Medyc.

Stypułkowski Teofil.

Swiacki Józ., Obyw. gub. Mohil.

Szaniawski, w Wiatce.

Ks. Tolłoczko Franciszek.

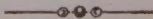
Trzebiński Adolf, Ob. gub. Wołyńs.

Wereszczyński Piotr, Radca Dworu.

Ks. Wiśniowski, w Mińsku.

Wnukowski, Prałat Kanclerz Katedr. Żytomir.

Załęski Karol, b. Marsz. gub. Grod.



* Portret autora, stosownie do tego jak wykończonym zostanie, otrzymają prenumeratorowie przy 2gim lub 3cim tomie.

LIST I.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów.— Stanowisko całej osnowy.— Usprawiedliwienie formy.

Krakow — w Jesieni 1841 r.

W ostatnim liście twoim, piszesz mi drogi przyjacielu mój, że sprawy powołania twojego i codzienne zatrudnienia tak ci czas zajęły, że, mimo nawet szczerzej chęci twojej, brakło swobody, byś się mógł rozczytać w tém wszystkim, czego się dorabia świat nam społeczny w dziedzinie wiedzy i umiejętności; a gdy przecież nie jesteś obojętny na to wszystko, co się w świecie duchowym dzieje, więc wzywasz mnie, bym w listach moich do ciebie rozpisywał się nad jaką treścią naukową, przedstawiając ci jój obraz wedle dzisiejszego stanu umiejętności, a zarazem nie szczędził moich własnych uwag nad przedmiotem przezemnie obranym. Zapewniasz mnie, że radbyś czytał listy takowe, bo w nich znalazłbyś jakiś odpoczynek i rozerwanie umysłu znużonego sprawami powszedniemi życia, a zarazem nabrałbyś choć ogólnego wyobrażenia o

stanowisku dzisiejszém jednój z nauk, które tak zacnie dziś się rozwijają. Zostawujesz mi nawet wszelką wolność, i co do wyboru samój treści i co do rozciągłości jój, ale nawzajem żądasz jedynie, abym pisując do ciebie miał nieustannie na pamięci, że choć lubisz nauki, weale atoli nie liczysz się z powołania do ludzi uczonych, że naukowość bynajmniej nie jest zadaniem życia twojego; a tém samém wymagasz po mnie, abym zastósował pisanie moje do usposobienia twojego. Słowem pragniesz, żeby sposób mojego wykładu mniej miał na celu ścisłość umiejętną, jak raczej aby był roztoczeniem choć w lżejszój formie ogólnych prawd, przyjętych już dziś przez celnych pracowników w pewnój gałęzi wiedzy ludzkiej.

Chętnie odpowiem tym życzeniom twoim, ale wyznaję ci otwarcie, że swoboda, którą mi nadajesz co do wyboru przedmiotu samego, niepospolitą właśnie stanowi dla mnie trudność. Jakoż uważ, iż co do samój osnowy wybór nie jest tak łatwym; bo jakże bogate jest koło wiedzy ludzkiej! pełno jest tam przedmiotów, o których z pewnością przewidzieć możesz, iż za zbliżeniem się naszym okażą nam cały urok skarbów swoich i sowito wynagrodzą łożoną dla nich pracę. Wiész dobrze, iż z umiejętnościami tak się dzieje, jak z zacnymi ludźmi, im dłużej z nimi pożyjemy i głębiej ich poznamy, tém téż serdeczniej ich kochać i cenić umiemy.— Nie dziw tedy, iż długo się z sobą ważyłem rozbiierając pilnie naturę każdój treści, a przytém i własną nieudolność moją.

W téj wątpliwości jednak pomogło mi nakoniec i rozpatrzenie się we własnej osobie twojój; a lubo jak

mi powiadasz, nie jesteś z powołania naukowym człowiekiem, widzę przecież w tobie obszerny i wszechstronnie ukształcony rozum i uczucie głębokie i trafne, będące owocem wrodzonej szlachetności duszy, a długiego nad sobą i światem myślenia; pragnę przeto przedstawić ci tego rodzaju osnowę, coby sobą dotknęła całą treściwość rozłożystego twego umysłu i zająć zdołała wszystkie strony ducha twojego.

A lubo wypadało mi przedewszystkiém policzyć się z własnymi siłami i zapytać się, czyli wystarczę przedsięwzięciu takowemu — wszakoż przeważyła wszystkie wątpliwości nieskończonych dla mnie powabów myśl, iż właśnie przedmiot takowy zawiąże tysiące nitek i stosunków między twoim umysłem i moim, i że za pośrednictwem treści takowej zetknąć się zdołamy we wszystkich punktach ducha naszego. Nadzieja ta tém głębszego dla mnie nabierała znaczenia, gdym zawsze był zdania, iż jest wielkiej wagi korzyścią dla piszącego, aby czytelnik nie sądził o nim z ułamków jego istoty, ale poznał go we wszystkich gałęziach umysłowości jego.

Wypadało mi tedy taką znaleźć treść dla pracy mojej, któraby w jednym spólnym środku zebrała całą czynność ludzką i była niby ostatecznym wypadkiem i summą życia naszego tak duchowego jak materialnego; a takowym przedmiotem są, wedle mojego zdania, *sztuki piękne*. W nich zjawiają się jakby kwiatem wszystkie pierwiastki żyjące i pracujące od wieków w duszy człowieka, w nich obaczysz na oczy wszystką treść człowieka, ale oblaną wdziękiem nadświatnym. Jakoż w sztukach pięknych człowiek składa całego sie-

bie, im powierza najdroższe serca swojego uczucia, i wiarę swoją i nadzieję, i tęsknotę swoją; a co jest dla duszy dopióro jakimś jasnowidzeniem, toć mistrz przeistacza na dzieło piękności; w tych to dziełach jego znajdziesz i cały dobytek prac naukowych, i prawdy z wiary płynące, i zasady z filozofji i doświadczenia czerpane; te dzieła równie wyraźnie wyjawiają nam i jasne i ciemne ludzkiego rodu chwile, i wszystkie koleje ciągle zmieniającej się historyi jego, jak i dzieje Natury, toczące się od początku stworzenia przekazaniem im kołem; wszystko co jeno człowieka obchodzić może i co porusza głębiny duszy jego, wszystko to wyraża się w dziełach sztuki pięknej. Dla tego téż one są tém wielkiem ogniskiem, jakie Bóg światu rozpałił, i do którego chodzą grzać się wszystkie wieki i narody i wszyscy ludzie bez względu na różnice powołania, wieku, płci i położenia towarzyskiego.

Czy się zaś piękność okaże w dziełach architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki lub poezyi, zawsze one będą najpowabniejszym wieńcem żywota umysłowego, a poświęcenie im pracy swojej, tyle zaiste ma uroku, ile téż i zasług.

Zamierzając sobie atoli zabrać się piórem około sztuk pięknych, daleki jestem od myśli, abym był godnym robotnikiem a sługą w téj winnicy pańskiej; rozumiem jednak, iż świetność przedmiotu samego udzieli mi trochę poświaty swojej, i że ta drobna praca moja pożyczycy sobie od osnowy samej cząstkę jćj wartości.

Wiem również, iż lubo mała liczba prac naukowych przetrwać zdoła czas swój i spłynąć puszczyną na późniejsze pokolenia, inne zaś choć toną w zapomnie-

niu i do imienia nawet giną w ogromnej powodzi prac ludzkich, przecież każda w swoim szczupłym zakątku i w skromnym obrębie, choćby tylko przez chwilę czasu swojego działała, nie jest zupełnie straconą i nie żyła zupełnie daremnie na świecie, i choć atomem przyczyniła się do ogólnej budowy czasów, zwłaszcza gdy była w poczeiwości podjęta i w dobrej wierze odprawiona. Mogę tedy rościć sobie nadzieję, że i ta drobna robota moja stanie za grosz wdowi w wielkiej sprawie oświecenia. Bo gdy się sekundy złożą, zrodzą wieki, a ziarnka granitowego piasku wydzwigły turnie tatrzańskie.

Spodziewam się tedy, iż przed sądem twoim poślazanie znajdę, a to tém więcej, gdy, jak wiesz dobrze, tak mało mam poprzedników w literaturze naszej (*). Jakoż ze wszystkich sztuk pięknych jedna prawie Poezya, sama jaśniejac u nas tak pełnym, tak świetnym kwiatem, znalazła przeważne komentarze i zasłużonych prawodawców swoich. W tej więc stronie piśmiennictwa naszego nie jedno piękne imię święci; przewiduję, iż tu lub ówdzie zejść mi się z niemi wypadnie, a w takim razie jak jawnie i rzetelnie wypowiem, gdy sam innego będę zdania, tak nawzajem z wielkiem serca zadowoleniem będę korzystał z prawd, które inni na pewnych utwierdzili podwalinach, i choć wątłemi siłami przyczynię się do wzmocnienia prawdziwych wyobrażeń o piękności, które już w powszechniej literaturze stanęły. Myślę bowiem, że jak samo przeczenie

(*) Przypominam czytelnikom, że te wyrazy były pisane 12 lat temu; od tego czasu pojawiły się wielce znakomite, a nawet systematyczne dzieła o Estetyce, które zaprawdę są zbogaceniem niepospolitem literatury polskiej.

obcych zdań może być sprawą łada czyją, tak ten duch przeczenia i ciągłego niweczenia jest iście *złym duchem*.

Z tych tedy powodów rozumiem, iż każda praca literacka winna przypierać do całej budowy społecznej jej naukowości, boć każda jest niby listkiem wyrosłym na drzewie ogólnej wiedzy swojego stulecia. Każdy zaiste człowiek jest synem wieku swojego; wiek, w którym on żyje, jest dla niego jakby planeta przekazany mu od Opatrzności na mieszkanie; z nim razem odprawia biegi koło słońca i świata wszechnicy, na nim się rodzi, żyje i kości swoje składa. Pragnąc więc, aby i ta praca moja nie była czémś zupełnie odrębném a li o sobie stojącym, wręcz i wyraźnie pisać ei będę choć nie tak ze stanowiska, toć przecież na stanowisku społecznej nam filozofii, używając myśli jej zasadniczych za kanwę, na której roztoczę obrazy tego, czego sam doszedłem myśleniem, rozmową ze znawcami sztuki, wpatrywaniem się własném w arcydzieła piękności, i co mi nastręczyła literatura estetyczna ostatnich lat tak bogata w znakomite badania, a nawet korzystać będę z prac mistrzów nauki w innych dziedzinach wiedzy ludzkiej, a mianowicie o ile takowe zostają w jakimś pokrewieństwie z treścią tej przedsięwziętej pracy mojej.

Nie tracąc zatem osobistej niezawisłości, będę korzystał z dzisiejszego stanu literatury, a tak stając na pracach poprzedników zachowam też własne piętno moje. Albowiem jak pomijanie dobytków umiejętnego świata i chęć rozpoczynania nauki od siebie jest bez wątpienia zarozumiałością i śmieszném zuchwalstwem, tak

i wyrzeczenie się własnego ugruntowanego przekonania jest rzeczą nie godną myślącego człowieka.

Tak już będącemu z samym sobą w zgodzie względem treści mojej, chodziłoby mi jeszcze o formę dla téj treści; lecz ty sam szczęśliwym instynktem wiedziony nastręczyłeś mi formę listów. Jestem wprawdzie przekonany, iż praca systematyczna, a będąca niby całością organiczną i plastyczną w sobie, byłaby iście najgodniejszym kształtem dla zamierzonej osnowy mojej, ale widzę równie, iż forma takowa ani mnie ani tobie nie byłaby na rękę. Pismo bowiem tego rodzaju z góry zaraz wymaga osobnego zakroju swojego, aby samo poczęcie, pochod dalszy i ukończenie, stworzone niby jednym odlewem, składało się jakby w posąg pełny w sobie harmonii i co do treści i co do umiejętnego wykładu. Aby zaś pokusić się o doskonałość takową, trzeba być bardzo pewnym sił swoich, i naprzód wiedzieć, iż się ją ukończyć zdoła; gdy tymczasem przewidzieć się nie da, czy ty zajęty sprawami codziennego życia będziesz zawsze miał sposobność potemu, byś ściśle poszedł za wątkiem osnowy takowej, i jak długo ona będzie godną uwagi twojej; również i ja, mogąc jedynie na dorywku pisać, nie wiem czyli będę miał zawsze dość swobody i siły potemu. Jak ty bowiem spodziewasz się znaleźć w téj pracy mojej rozerwanie umysłu, tak i ja w niej szukam ochłody i orzeźwienia myśli z powszedniego zatrudnienia; książka zaś systematyczna byłaby i dla ciebie i dla mnie pełną grozy pracą. Zresztą sam wiész, jak trudno utrzymać jedność harmonijną w samej zewnętrznej formie, i jak wielce wykład zawisł od chwilowego natchnienia i rozmaitej życia pogody.

Z tych wszystkich powodów przeto zgadzam się zupełnie na formę listów; z czego obiecuję sobie jeszcze inne mnogie a dla mnie bardzo ważne dogodności, bo nie tylko otworzy się miła dla mnie sposobność częstych z tobą stosunków, ale też będę mógł pisywać do ciebie w każdej chwili i pod różnym nastrojeniem umysłu; nie zawadzi bowiem choćby i każdy list miał inną barwę swoją. Nadto forma listów nadaje mi prawo skręślenia ci wprost, co mi przy sposobności myśl i serce pod pióro przyniesie, a nie spuszczać z oka głównego celu mojego, będę mógł czynić wycieczki w przedmioty będące w związku ze sztukami pięknymi; tym sposobem zdołam wedle upodobania tak długo rozwijać rzecz całą, póki tobie do czytania ochoty a mnie do pisanja swobody nie zabraknie.

Nie oznaczam ci téż dla tego liczby listów moich, może ich będzie bardzo długi szereg, może ich liczba będzie bardzo szczupła; ilekolwiek zaś nakręślę, zawsze złożą jakąś całość ukończoną w sobie, a zaczynając od najogólniejszych zasad teoryi, zapuszcze się w coraz bliższe szczegóły sztuki całej. Unikając rozrywania materyi, postaram się aby każda ważniejsza osnowa całkowicie, ile możności, w jednym liście objęta była; będą tedy listy nierówniej obszerności, a obojętną jest rzeczą, choćbym niekiedy i przestąpił miarę właściwą listom zwyczajnym.

Otoż widzisz cały zamysł mój; upraszam tylko, abyś sobie nie robił zbyt pochlebnych dla mnie nadziei. Jeżeli zaś te listy upodobanie twoje zjednać sobie zdołają, toż zechciej z twój strony wyjawić zdanie swoje

o mój pracy. Wiem, iż w końcu zawsze się zgodzimy; boć tak najczęściój bywa, jeżeli różność zdania pochodzi ze szczerzego zamiłowania prawdy, nie zaś z chęci pustej utrzymania się przy swoim, a spór, pocziwie i w dobrej wierze wiedziony, kończy się zawsze z korzyścią dla rzeczy samej i z podwyższoném poważaniem wzajemném.



LIST II.

Ogólny widok na sztukę.

Stan dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury.— Zjawiska nam społeczne dowodzące budzącej się miłości do sztuki.— Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchowienia się czasu.— Sztuka ma cel swój sama w sobie.— Sztuka jest ogniwem łączącym świat duchowy z cielesnym.— Historia sztuki jest obrazem rozwijania się duchowej potęgi ludzkiego rodu.— W świecie chrześcijańskim sztuka straciła wagę swoją.

Wśród zgiełku codziennego życia, wśród kłopotów i kłopotków powszednich, i zabiegów, i wrzawy świata, bieży nam czas cały i wiek nasz. Niby falą płynie trud za trudem, praca śiega pracę, a wśród tego zamętu i hałasu nie dosłyszysz i wołania wyższej natury człowieczej i szlachetniejszej istoty swojej. Niekiedy atoli odezwie się w głębiach piersi znienacka ten głos, tak silnie, tak potężnie i cudownie zarazem, że już umilkną w duszy wszystkie niskie chęci i pragnienia, i pierzchną niby mgły nocne przed wschodzącą jutrzeńką.— Wtedy nieśmiertelna istota ducha naszego, dawno zapomniana, znów zadzwoni niby pieśnią anielską i obudzi chęci, uczucia i myśli do innej należącej dziedziny.— Rzekłbyś, że matka, dawno zmarła, nawiedziła w szarą godzinę tęsknącą sierotę; bo chwile takowe uświęcają

nas do wyższego powołania i wzywają, byśmy wstąpili w głąb' siebie i zbadali do dna wiekuistą istotę naszą.

Zaprawdę, i narody całe, i stulecia, i części świata takie mają chwile, taką stronę żywota swojego. Patrz na naszą mądrą i doświadczoną Europę, zdawałoby się zrazu, iż rękodziela, papiery, handel, przemysł, weksle, kredyt, koleje żelazne, para, banki i roje corocznych a coraz świetniejszych wynalazków, przysłuszyły wszelkie życie duchowe; że wśród hałasu tego, wśród gonitw niezmordowanych za zarobkiem, zapomniano o wyższych celach człowieczej istoty. Jeżeli zaś głębiej zapuścisz oczy w ten żywot społecznego nam towarzystwa, wyświeci się jasno, iż właśnie podniesienie materyalnego bytu jest potężną pobudką umysłowego przebudzenia; a jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną i starą jak świat, iż jedynie w zdrowém i silném ciele silna téż i potężna dusza przemieszkować może, tak nie podlega wątpieniu, iż ułatwienie w zaspakajaniu potrzeb cielesnych, jest warunkiem koniecznym zwrócenia myśli do nadzmysłowych rzeczy.

Przemysł materyalny jest ciałem społeczności umysłowej. Dowodem tego jest przeszłość cała. Marzenia tysiącoletnie staréj Azji, dzieje poranne człowieka w Grecyi, i prace harde i pełne majestatu dawnego Rzymu, i wysilenia następnych dziesięciu wieków płowieją w obliczu dziwów obecnego nam świata. Bo jeżeli niegdyś człowiek pasując się z sobą i żywiołami, pełnym boleści mazołem pracując ciężko na to życie swoje, nie miał ani siły po temu, ani swobody, by się wzniósł ku wiekuistemu pochodzeniu ducha i wypiasto-

wał niebiański pierwiastek jego; dziś już we wieńcu swych cierpień i chwały ociera czoło krwawym znojem złane, widzi, że nowe zaranie dnieje nad przyszłością jego; żywioły poddały mu się w panowanie, zaprzęły się na jego miejsce, pracują na niego. A nabrał tém potężniejszego hartu, gdy dawna walka z potęgami natury wyćwiczyła siły jego, wzmoeniła ducha i wyrobiła go w sobie. Gdy zaś najgłówniejszym warunkiem fizycznego świata jest przestrzeń, bo każda rzecz materyalna miejsce jakieś sobą zajmować musi, więc téż przestrzeń była najpotężniejszym oporem, który ten świat materyalny stawiał dotychczas zwycięstwom umysłowemu człowieka. Ale dziś ta trudność przemożona. Para uskrzydla podróże, morzem i lądem zniesione oddalenie, wielka społeczność ludzi, rozstrzelona w kraje osobne i dzielnice świata, rozdrobiona w ludy daleko od siebie mieszkające, czuje się być znienacka zbliżona do siebie; miasta, rozsypane na setki mil, już sąsiadować z sobą będą, a za handlem rzeczy materyalnych trop w trop pójdzie zamiana najkosztowniejszego towaru, bo udzielanie i nabywanie wzajemne pojęć i cywilizacyi umysłowej. Niebawem tedy ród ludzki będzie miał za wspólny dom swój Ziemię całą, a za ojca jedyne Boga na niebie, a tak zaiste spełnią się obietnice najpiękniejsze i zwiastowania Chrześcijaństwa na świecie.

Nie dziw tedy, iż przy wzmożeniu się potęgi materyalnej ludzi, wśród wartkich łoskotów przemysłu, będzie korzystać koniecznie i część umysłowa człowieka, i rychlej lub później zajmie godne siebie stanowisko. Bo nawet, im głośniejsza zewnętrzna wrzawa

i ruchawsze zabiegi świata, tém téż silniejsza potrzeba schowania się w sobie i otulenia się sobą samym. Téj prawdy dowodzą zjawiska, które się wszędzie czuć dają. Pomijając już owe ciche ale liczne prace rodzące się w samotnej izbie uczonych, i umiejętności po Akademiach, co z katedr dla szczupłej liczby wybrańców płyną; nie wspominając już o mnóstwie dzieł, co choć może nie zawsze głębokiém ale zaiste coraz przystępniejszém dla wszystkich korytem wylewa się na świat, wspomnę o jednej tylko oznace silnie ocknionéj dążności umysłowój: jest to owo wszędzie dostrzedz się dające zasmakowanie publiczności europejskiej w rozkoszach sztuk pięknych. Były wprawdzie wieki słynące wielkimi mistrzami w pewnej gałęzi sztuk, na których stulecie nasze zdobyć się nie może, a przecież od czasów staréj Grecyi nigdy wielka publiczność nie zajmowała się więcej estetyczném wykształceniem jak dziś. Nasz wiek nie dałby umrzeć Cerwantesowi z głodu, ani Tasso nie byłby zmuszony, jak niegdyś, pożyzyć sobie w Paryżu talara jednego, ani Coreggio umarłby pod ciężarem miedzi zapłaconéj mu za arcydzieło jego; a dawnież to czasy, gdy Schiller, chirurg batalionowy, mdlał w lesie z nędzy i czezości?

Dziś prawdziwy geniusz dorobi się zawsze wieńców i nagrody należnéj, bo podstawa jego szczęścia i chwały jest szeroka, bo nią jest ukształcenie i sąd publiczności całej; już dziś dla artystów niéma owego dawnego znaczenia łaska lub protekcyja osób przeważnych, zawsze niepewna i chwiejąca się. W naszych czasach nie mają się o co troszczyć Vernety, Lipińscy, Suchodolscy, Thorwaldseny; żadna więcéj niełaska lub intryga nie podkopie

ieh sławy, ani przyszłości nie roztrąci. Wszystkie prawdziwe talenta do uznania swojego przychodzą.

Powiesz może, iż zajmowanie się publiczności sztuką piękną dowodzi raczej powierzchownego lubownictwa niż znawstwa, że wśród tłumu powołanych mała liczba odbiera święcenie na kapłaństwo do świątyni sztuki, że u większej części sztuka piękna zastępuje jedynie miejsce zabawy, lub służy próżnej chęci wystawności. Nie chcę temu przeczyć; niechaj się atoli święci czas taki, kiedy już szlachetniejsze rokosze choćby dla zabawy poszukiwane będą; niechaj się, powiadam, święci czas taki, w którym wystawność i zamożność domu okazuje się raczej kosztownym posągim, cudnej piękności obrazem, lub smacznie budowanym domem, niżeli, jak to dawniej bywało, tłuszcza służby próżnującej lub szarańcza pasibrzuchów. Zbytek okazujący się w dziełach piękności jest zbytkiem ze wszystkich najszlachetniejszym.

Już to nawet i Schiller powiedział, iż łatwiej poznasz, czém kto jest i co wart, z tego, jak się bawi, jak z tego, nad czém pracuje. I bardzo słuszne wedle mnie jest to orzeczenie, gdyż najeczęściej każdy pracuje, bo musi, a zawsze bawi się, jak chce. Świętem uroczystém dla Grecyi były igrzyska; tam obok siły i zwinności cielesnej okazywano potęgę i zwinność umysłową. W obliczu całego zgromadzonego ludu, wieszcz uderzywszy w lutnie śpiewali pieśni swoje bogom i wielkim ludziom na cześć; historycy czytali dzieje, pełne chwały ludu, który ich słuchał, a lud ten dawał im oklaski i wieńce. Przeciwnie w onym Rzymie trzeba było mordów i rzezi na krwawej Arenie, by zabawić naród, co się panem świata uczynił. Hiszpanów, owych

katów całych ludów Ameryki, rokoszą jest walka z rozjuszonym bykiem. W średnich wiekach nie zawsze skręcano sobie karki na turniejach dla rozrywki, ale znano i inne rokosze; dość ci będzie przypomnieć Truwerów, Minstrelów, Minnesengerów, i owe *Jeux floraux* i *Corte d'amore*, których ślady w Tuluzie do dni naszych się przechowały. Otoż każdy wiek i naród ma swoje smaki będące piętnem jego. Nigdzie tak dobitnie, jak przy zabawie, nie odróżnisz barbarzyńca od ukształconego człowieka.

Mógłbym ci zaiste przytoczyć wiele zjawisk, będących dowodem, że w czasie nam społecznym, kłuje się zewsząd miłość do sztuki pięknej. Nie rozwodzę się nad tak świetnym, a może nawet i przesadnym powodzeniem po świecie mistrzów muzykalnych, ani nawet nad wychowaniem dzisiejszym, w którym zwykle za ważny pierwiastek uchodzi nauka muzyki i rysunku; nie będę ci też prawił o wystawach publicznych rzeźb i obrazów, ani o licznych już stowarzyszeniach w celu opiekowania się sztuką piękną, a szerzących tak szczęśliwie wśród samą publiczność zajęcie się dziełami sztuki; pomijam już te wszystkie tak ważne oznaki, bo lubo one, jak i inne podobne im sprawy, mają wielkie znaczenie swoje, uważam atoli, że daleko silniejszą wróżbą ocknienia się powszechnego zmysłu dla sztuki, jest kilka innych pojawów, będących tak charakterystyczną cechą naszych czasów. Pod tym względem zwracam baczność twoją na chęć tak wyrazistą upiększenia natury, która, w około otaczając człowieka, jest jakby ciałem każdego narodu. Teraz po wielu stronach Europy, mianowicie w Niemczech zawiązały się

stowarzyszenia i komitety, mające, jak same orzekły, na celu «upiększenie ojczyzny» swojej. Więc pomagają naturze własnego kraju. Komitety, wybrane z ludzi kochających ziemię ojczystą a z estetycznym wykształceniem, zajmują się stworzeniem pięknych, naturalnych pejzażów; więc stroją w kwiaty, w krzewy miejsca jałowe, ułatwiają przystęp do widoków pięknych, sprowadzają stare drzewa, by ubrać brzegi jakiegoś jeziora lub rzeki, opiekują się biegiem potoków, budowaniem zgrabnych mostków, torują ścieżki wdzięcznym zakrętem, zakładają chodniki, przeistaczają pustkowia, cierniem i chwastem zarosłe, na łąki lub gaje i t. d. Ale trudno wyliczyć tutaj te wszystkie prace, które niby tak drobne a przecież zmieniają fizyognomią całej okolicy, przeistaczając ją na pejzaż jakby idealny, który tém jest wdzięczniejszy, że rzeczywiste parki, założone koło miast, dworów i pałaców wiejskich, nie kończą się nagle, znienacka, ale zwolna i niepostrzeżenie przechodzą w pejzaż przyrodzony kraju. Wyznasz, że to staranie około piękności ziemi ojczystej nagradza się już samo przez się użytkiem rzetelnym, który na mieszkańców spływa; ale nadto te wdzięki, nadane ziemi ojczystej, uszlachetniają i człowieka, mieszkającego wśród uszlachetnionej natury. Zwracam jeszcze teraz uwagę twoją na zjawisko, równie ważne, bo na owe wystawy po krajach europejskich, w których, obok wyrobów przemysłowych, umieszczone są dzieła sztuki właściwej. Rzemieślnik, rękodzielnik, fabrykant przypatrując się pracom własnego powołania, widzi zarazem dzieła artystyczne, a tak uczucie piękności form, choćby nawet bez wiedzy jego, przenika w duszę jego, i w niej roz-

poczyna magiczne pracowanie swoje. Tym trybem, choć zwolna i niepostrzeżenie, roboty ślusarskie, garncarskie, złotnicze, kotlarskie, stolarszczyzna i kamieniarka nabierają form wdzięcznych, artystycznych. Coraz przeto silniej a silniej rodzi się chęć do ornamentyki, czyli do sztuki umiejaczej stroić i zdobić narzędzia, sprzęty, wprost do powszedniego użytku, do potrzeb codziennych przeznaczone. Ta sztuka zdobiąca, lubo tutaj jest tylko przydatkiem, lubo tedy nie istnieje jeszcze dla siebie i o sobie, lubo nie jest usamowolnioną i *wyzwoloną*, lubo dopiero jest sztuką nadobną, toć przecież jest jakby ogniwem pośredniem między prostym rzemiosłem a sztuką właściwą. Obejdzie się podobno bez długich rozpraw nad głębokim znaczeniem tego kierunku przemysłu i rękodzieł; nie potrzeba zaiste szerokich wywodów, by wyświecić wpływ, jaki ten kierunek wywiera i na wyrabiających te przedmioty, i na tych, którzy je kupują dla użytku swojego. Jakoż praca tego rodzaju około rzemiosła uszlachetnia się i uzacnia, a tém samém, nabierając coraz wyższego, duchowego znaczenia, uzacnia i tych, którzy się nią trudnią — a tak co piękne i urocze wnika w wielką część pracującego ludu. Bo jak piękność form wykształca i podnosi uczucia, tak praca rąk nabiera wyższego znaczenia, a na krwawy trud rzemieślnika spływa uświęcenie z góry. Granice, do tych czas wydatne, a niby nieprzebyte między rzemiosłem a sztuką właściwą, łagodnieją; a zatem i przejście z warsztatu do pracowni artystycznej łatwiejsze, — majster przeistoczyć się może na mistrza! Przypominam ci Wieki Średnie, gdy i artyści składali cechy swoje, podobnie jak rzemiosła — w tych czasach też

niejeden rękodzielnik przeszedł na artystę (np. Benvenuto Cellini, Piotr Vicher). Przywiedź sobie na pamięć wyroby z owych czasów: te klucze zdobne, okucia, zamki misterne, artystyczne, te stare prasy, szafy, w snycerstwo ubrane, lichtarze, dzwonki, dzbany, pułhary, zbroje bogato wyrabiane, te kamienne odrzwia w gałęzie i kwiaty, hafty na szatach i t. d. Wszak dziś, mimo wyraźnej dążności do form estetycznych, wiele nam jeszcze brakuje, zanim wyrównamy średnim, wiekom pod względem użycia form i kolorów. Przypatrz się sukniom naszym, czyliż może być coś szpetniejszego jak te ubiory nasze! do czego podobne te ich barwy! im sukno mniej podobnym do jakiegoś koloru, więc im brudniejsza jego farba, tém modniejsza. Trzeba wyznać, iż i pod tym względem kobiety wyższe są od nas szczęśliwym instynktem swoim i co do formy, i co do barwy stroju swojego.

Z drugiej strony i ci, dla których się wyrabiają tak artystyczne sprzęty, zyskują niezmiernie wiele. Zważ bowiem że sama kosztowność materiału (np. złota, srebra, palisandru, hebanu) bez artystycznych form, jak jest dowodem zamożności domu, tak zarazem jest smutnym świadectwem barbarzyństwa właściciela. Wyznaj że to życie nasze powszednie tak zwykle bywa biedne i prozaiczne, że się trzeba bronić całemi siłami od suchót duchowych, od zjałowienia serca i fantanzyi; prawda, że do tego celu niepomalu pomagają i muzyka w domu, kilka dobrych obrazków na ścianie, kilka książek i może ogródek, a choćby nawet dojniezki z kwiatami na oknie — ale przecież forma estetyczna sprzętów, które nas w około otaczają, których codziennie używamy,

wpływa daleko jeszcze silniej choć nieznacznie na całe usposobienie psychologiczne nasze. Patrzymy, jakże wiele potrzeb cielesnych jest nam spólnych ze zwierzętami! Wypada nam tedy koniecznie jakoś się uwolnić od téj spólności z jestestwami bezrozumnymi, wypada nam zaspokojenie tych potrzeb jakoś uduchownić, zidealizować; a to się dzieje w części przez nadanie formy estetycznej sprzętom, narzędziom, których używamy właśnie przy zaspokojeniu tych potrzeb zmysłowych. Możemy się pochwalić, żeśmy się nauczyli już wiele w tym względzie od starożytnego świata; wyraźnie już widać, że nie darmo patrzymy się na owe prześliczne formy lamp, wazonów, puharów, samowarów wykopanych w Herkulanum i Pompei (*).

A prawiąc o oznakach wróżących rozbudzenie się miłości do sztuk pięknych, czyliż można pominąć ze-wsząd już kłujące się prace literackie, mające sztuki piękne za przedmiot swój; a mówiąc o takich pisarzach, czyliż można przemilczyć o ogromnych zasługach M. GRABOWSKIEGO i KRASZEWSKIEGO? Obaj ci zacni ludzie nie tylko słowem ale czynem, nie tylko teorią ale praktycznym jéj zastosowaniem tyle już dokazali dobrego, że patrząc na ich usiłowania każdy człek poczciwy całym sercem zawoła: szczęść wam Boże na téj drodze! A gdy (o czém nie wątpię) czynność ich i staranie wywarły najszcześniejsze skutki na koło, do którego stanęli w osobistych stosunkach, tak znów ich pisma rozchodzą się w najdalszą dal przenikając wszystkie war-

(*) W muzeum burbońskim w Neapolu pokazują nam samowar znaleziony w gruzach pompejańskich, podobny z kształtu do samowarów naszych (z kominkiem), ale forma jego nierównie estetyczniejsza, strojna i zdobna.

stwy czytelników. Ta siejba ucziwa pewnie nie przeminie bez bogatego plonu. Uprzedzam cię, że być może, iż przeczytawszy np. Grabowskiego pisma, znajdziesz niekiedy zdania, co niezupełnie okażą się w zgodzie ze zdaniem, które tu i ówdzie znajdziesz w tych listach moich. Aleć to nie wiele zawadzi, bo też nie mogę mieć pretensyi, abyśmy już wszyscy jednemi i temi samemi oczyma zapatrywali się na rzeczy; niéma też nic nudniejszego jak jednostajność zdań; onaby dowodziła raczej strupienia umysłów, a nie życia rozwijającego się w całej pełni swojej. Różność stanowiska pokazując rzecz z różnych stron niezaszkodzi nigdy, a byle każdy sumiennie imał się pracy i wedle sił swoich, ile tylko może najlepiej uiszczał się z roboty wziętej na siebie, toć pewnie błogosławieństwa mu nie zabraknie, a praca jego nie pójdzie na niwecz. A obok Kraszewskiego i Grabowskiego godzi się też uczeiwie i z poważaniem wspomnieć o pp. Rastawieckim i Przeździeckim, tudzież o innych szanownych pracownikach, którzy w ostatnich latach tak szczęśliwie zajęli się w różnych kierunkach robotą około sztuki pięknej!

Witajmy tedy z całym sercem czas podający na miejsce grubych wesołości sztuki piękne. Przy wyraźnej dążności świata do ukształcenia i uduchownienia istoty swojej, spodziewać się też należy, iż i u nas znikać zaczną owe zabawy barbarzyńskie, wpływające niby z potrzeby nastrojenia nerwów i napięcia umysłu, a szafujące minutami i godzinami jakby zdawkową monetą życia. Co aby się jak najrychlej stało, daj Boże!

Zasmakowanie w sztukach pięknych jest zawsze wróżbą uduchownienia się czasu i pierwszym szczeblem po-

znania najwyższych prawd, bo sztuki piękne dopiero przez zmysły na nas działają. Porusza cię rzeźba, obraz, budowanie; toć przecież to są rzeczy, co twój wzrok, co zmysły uderzają, a przez tę zmysłową formę świeci istota duchowa. Oczyma posągu lub obrazu spogląda na nas świat nadzmysłowy; architektura, ciosami i cegłą euda sprawiając, jakby pieśnią przejmując duszę; wszak i tony muzyki są brzmieniem zmysłowym, bo do słuchu zmierzonym; ale harmonia, ale melodia, którą się tony te wiążą, zrodziły się w głębiach duchownych i do ducha płyną; a cóż dopiero rzecz o Poezyi, co potęgą wyobraźni i czarem języka łączy w sobie urok wszystkich sztuk zarazem. Sztuki odziewają prawdy żywotne piękności szatą. A co nam Filozofia podaje w trudnych i jedynie abstrakcją dościsłych rozumowaniach, sztuki piękne tchem swęj potęgi przetwarzają na ciepłe i pełne życia istoty. Ztąd Göthe gdzieś powiada, że prawdy zstąpiły nagie z nieba na ziemię, a sztuki sprawiły im sukienki. Lecz z tego wszystkiego już poznać możesz, że w każdym dziele sztuki dwa zaiste różne schodzą się pierwiastki: jeden zmysłowy, materyalny,—drugi duchowy, będący prawdą nieskończoną. Pierwszy dla zmysłów przystępny, drugi tylko dla samego ducha widza lub słuchacza istnieje. Pojmowanie takowe istoty sztuki jest główną piastą całego przyszedłego rozumowania naszego, a dostatecznie późniój udowodnionem zostanie.

Jeżeli więc w życiu całego naszego rodu piękność jest tak wielkiej wagi pierwiastkiem, warto, byśmy też całą myślą naszą zanurzyli się w ten świat i poznali najskrytsze tajemnice jego. Zanim atoli zapuścimy się w ten bliższy rozbiór przedmiotu naszego, przedewszyst-

kiem radbym jedynie w tej chwili uprzątnąć niektóre wątpliwości, jakieby ci się zrazu nasunąć mogły. Potrzeba, żebyśmy je na wstępie samym z siebie zrzucili, niby juki dalszy pochód nasz opóźniające.

Powyżej rzekłem, że dwa są pierwiastki w dziele sztuki, że w sztuce duch, prawda nieskończona, wciela się w postać zmysłową, i że dla tego właśnie piękność artystyczna jest pierwszą nauczycielką człowieka, rozwierając mu państwo duchowe i objawiając mu prawdziwe najwyższe. Być atoli może, że się łatwo nie zgodzisz na samo wyobrażenie takowe o piękności i powiesz, że przecież daleko prostszą drogą do nauczania prawdy jest gołe rozumowanie, nieodziane w żaden przystroj, że ono rychlój do celu prowadzi i wyraźniej nam wskazuje, o co w życiu istotnie chodzi, niż wszelkie piękności dzieła, w których niekiedy i bardzo trudno dopatrzeć się prawdy; że sama prawda nie z ułudy lecz z prawdy się rodzi, bo człowiek nie pieszczotami piękności, ale cierpką pracą dokupuje się przekonania swojego; słowem, że sztuki nie są weale właściwym środkiem do celu. Otóż ten zarzut nie tylko tobie ale każdemu z razu mimowolnie do myśli przyjdzie, skoro się wspomni o wielkiem znaczeniu piękności.

Lecz ten zarzut byłby wtedy zupełnie słusznym, gdybym twierdził, jakoby nauczanie prawd najwyższych było celem sztuk pięknych, bo w takim razie nauka ścisła, umiejętność gruntowna mogłaby zaiste zastąpić sztuki i byłaby daleko właściwszym środkiem do celu. Obaczmy już w inném miejscu dokładniej, że oswojenie człowieka z prawdą nieskończoną, wiekuistą, jest

zaprawdę skutkiem sztuk pięknych, spływającym na umysł nasz, lecz nie jest ich celem.

Odrzuć przedewszystkiém myśl, jakoby sztuka piękna miała jakieś cele krom siebie, i jakoby była jedynie środkiem do osiągnięcia jakiegoś dobra, będącego czémś inném jak pięknoscia. Sztuka ma cel swój sama w sobie, sobie samój jest celem i końcem, do którego zmierza. Tak jak i wszystkie prawdy nieczyją nie są służebnicą, ani środkiem do osiągnięcia obcych im celów, lecz same z siebie mają wagę i znaczenie swoje. Czyliż cnota, dla tego jedynie ma wartość wysoką, iż zdradza wewnętrzny duszy pokój, że jest podwaliną towarzyskiej budowy i źródłem szczęśliwości człowieczego rodu? Czyliż najwyższym celem wychowania młodzieńca jest to, aby się, jak mówią, dobrze wydał w towarzystwie, zaradzał sobie w przyszłości w każdej potrzebie i znalazł w naukach sposób dalszego utrzymania swojego?

Czyliż prawdy matematyczne dla tego istnieją, aby służyły za ćwiczenie gimnastyczne rozumowi i miały zastosowanie w miernictwie, astronomii i przemyśle? Ktoby tego był zdania, mógłby równem prawem powiedzieć, iż miliony gorejących światów na niebie jedynie dla tego są stworzone, by nam ustroić i rozświecić ciemność nocy, by namiot niebieski rozbitý nad ziemią wyszyć gromadami gwiazd błyszczących, na ozdobę mieszkania naszego. My mieszkańcy na téj drobnej ziemi mieliśmy istotnie takie zarożumienie o sobie, bo, podobni do źle wychowanego dziecięcia, mniemaliśmy, iż wszystko dla naszej zabawy i pożytku jest stworzonym; a nawet aż do Kopernika świat mniemał, iż te

tłumy ciał niebieskich, wraz z naszym słońcem, pędzą kołowrotem koło ziemi naszej, jakoby około środka i pani swojej; a było to nawet bardzo szczęśliwie, że gwiazdy tak są wysoko zawieszone, bylibyśmy może ich się naparli, by się z nimi pobawić i popsuć je w końcu. Zaledwie już mędrkowie się nie pytali, dla czego zamiast owych gwiazd nie mamy kilku księżyców ziemi dodanych, bochy przecież piękniej nam noc oświeciły i bogacić nam ustroiły niebo, niż owe słońce miryady, których małą tylko część gołym okiem dojrzeć można, a których nieskończonej chmary choćby najlepszym teleskopem człowiek na wieki nie dostrzeże.

Do podobnie krzywych rezultatów prowadzi fałszywe stanowisko i krótkowzrokie zapatrywanie się na rzeczy. Bo jako kwiat na iglicy niedostępnych Alpów dyszy zapachem i świeci barwą, choć niewidziany nigdy od oka ludzkiego, kwitnąć jedynie Bogu samemu na chwałę, tak i gwiazdy mają cel swój w sobie, i dla siebie są stworzone, a nie służą naszej drobnej ziemi. Co innego zapewne jest twierdzić, iż gwiazdy stroją niebo nasze, a co innego, iż one dla samej ozdoby tylko istnieją. Podobnie i zasady matematyczne są i były prawdą, choćby i nie było rodu ludzkiego, któryby je poznał; mimo to nie przeczę, że matematyka jest bez wątpienia ważnym wielce środkiem pedagogicznym do wychowania młodzieży, i że jako środek ma cel niby poza granicą własną, bo tym celem jest głównie wyćwiczenie abstrakcyjne myśli młodzieńca. Zresztą któżby zaprzeczył ważne wielce przysługi, które przyniosła Matematyka innym umiejętnościom a mianowicie życiu społecznemu w zastosowaniu technicznem swoim!

Gdy zaś już same przedmioty natury (np. kwiaty, gwiazdy) lub nauki mające właściwy sobie, więc ograniczony zakres (np. matematyka) nie mogą być wyłącznie uważane za środek do jakiegoś celu, cóż dopiero rzec o prawdach wiekuistych, nieskończonych! one właśnie dla tego są, bo są. Wszak cnota jest prawdą wiekuistą, o sobie stojącą, bez względu na skutki zbawienne z niej płynące; człowiek powinien być zacnym i pociągłym, dla tego że jest człowiekiem. Tak i sztuka piękna, dla tego stoi sama o sobie, dla tego ma cel sama w sobie, że w niej tkwi pierwiastek wiekuistości, a człowiek tworzy dzieła sztuki, bo duch jego jest wiekuistym. Gdyby potrzeba jeszcze dowodów o nieśmiertelności ducha ludzkiego, możnaby rozpocząć również wywody takowe od jego potęgi stwarzającej piękności, i od upodobania, którego doznajemy patrząc się na dzieła takowe przez mistrzów stworzone. Ta bowiem twórczość i to upodobanie rodzi się z potrzeby oglądania wiekuistości, choć odzianej jeszcze materją; a ta potrzeba, ta tęsknota właśnie dla tego w nas przebywa, iż wiekuistość żyje w duchu naszym, że on sam jest nieśmiertelnym.

Jeżeli zaś sztuki piękne są jedynie środkiem do czegoś innego, słowem jeżeli wchodzą w obcy sobie zakres, jak to widzimy, iż malarstwo, rzeźba, architektura, zdobę sprzęty domowe, stroi ogrody, szaty, łącząc się ze stolarszczyzną, haftami, strojem mieszkań i t. d. toć wtedy przestaje być sztuką istotną, o której mówię, ale jest jedynie sztuką zdobiącą, nadobną, jest przystrojem. Przecież my tu jedynie o sztuce wyzwolonej, to jest usamowolnionej od wszelkich pobocznych celów rozprawiać mamy.

Jeżeli tedy, jakeśmy wyżej powiedzieli, sztuka piękna wyraża prawdę we formie zmysłowej, przystępnej dla wzroku i słuchu, toć już widzisz, iż ona służąc do uzmysłowienia prawdy, sama sobie służy i siebie samą ma za cel, bo ona sama jest prawdą, ale wyjaśnioną w sposób materyalny; jest ona jednym z kształtów, który prawda na siebie przybiera, tak np. znów filozofia jest również prawdą, ale już we formie bezbarwnego rozumowania. W niej duch świeci bez pośrednictwa materii i zmysłów, świeci czystym wieczności promieniem i przemawia wprost o sobie i o wielkiem przeznaczeniu człowieka. Sztuka piękna zaś, łącząc świat cielesny z wiekuistym, jest pośrednicą między niebem i ziemią; opuściła dla nas rajską dziedzinę, a przywdziewszy na się cielesność śmiertelną, dzieli z nami i znikomością i biędy nasze, by nas w czarnych pocieszyć chwilach, zabawić swojemi kwiatami, i przytulić do siebie, niby dziecię płaczące. Gdy atoli świat zmysłowy łatwiejszy jest do pojęcia niż czysto rozumowy, więc też sztuka piękna weześniej była nauczycielką ludzi niż Filozofia.

Nim się ród ludzki mocą samego rozumu dobił prawd o niebie i ziemi, o życiu i śmierci, o wieczności i naturze, weześniej o nich zamarzył, ucząc się czytać z dzieł piękności jakby z książki obrazkowej, w nich przeczuwając wielkie przeznaczenie swoje. Dla tego też poeci, wieszczowie, bardowie byli pierwszymi nauczycielami narodów, tudzież pierwszymi ich kapłanami i filozofami.

Od wieków sztuka, religia i filozofia w ścisłym z sobą były związku, rosnąc na wspólnym sobie gruncie prawdy. A że pojmowanie różne prawdy i różny spo-

sób jęj uzmysłowienia wynika z najgłębszej duszy świątnicy i z całej treści człowieka, więc téż historia sztuki jest wiernym obrazem owęj wewnętrznej historii rodu ludzkiego.

Jeżeli cały ród człowieczy, co od wieków niepowrotnie płynie niby rzeką do wieczności morza, uważać będziesz za jedną osobę, znajdziesz to samo pracowanie się jego nad sobą, te wolne ale pewne postępy rozwijania się duchowego, co w pojedynczym człowieku. Tu jedna tylko zachodzi różnica, iż ród ludzki nie umiera nigdy; a choć i on ma mroźne i głuche zimy i długie nocy swoje, co szeregiem wieków jakby grobem przywalają świat, aleć gdy otrętwienie śmiertelne przeminie, doczekuje się znów wiosny swojej, a każda wiosna silniejsza i piękniejsza cudniejszym buja liściem, i nową świetniejszą epokę w historii rozpoczyna. Każda epoka odradza się nowym pierwiastkiem, którym żyje i oddycha, a ten pierwiastek jest różny wedle różnego stopnia ukształcenia, który ród ludzki w pewnym właśnie czasie zajmuje.

Tak więc i sztuka koniecznie różne a różne kształty na się przyjmuje. Patrz na dzieje staręj Azji, co to jest zarazem wschodem i słońca i ducha człowieczego, spostrzeżesz wszędzie, iż tu historia przeżyła dziecięce lata swoje. Nie wdając się jeszcze teraz w głębsze dowodzenie i nie zapuszczając się w te dzieje, przypomnę ci pokrótce, co nam stary Herodot o téj Azji, o tym Egipcie prawi, owe koleje fantastyczne losu Psametyka, sny starego Astyagesa, owego króla Rampsenita żeniącego dowcipnego złodzieja z córką swoją, pierścień Polykratesa, Zopyra i płaszczy jego purpurowy,

Babilon, Niniwę, Semiramidę. Rzekłbyś, że te gawędy Herodot gdzieś na wieczernicach ruskich posłyszał; są to gadki, jak je to nianki lubią dzieciom bajać; jakoż zawsze téż uważałem, iż ta pierwiastkowa historia bardzo do smaku małym pacholętom przypada i z wielką jęj cheiwością słuchają. A lubo Azya i historia jęj dziś jeszcze podobna jest do jakiejś długiej a świetnej bajki, lubo przypomina powieści, opowiadane przez Arabów przy samotném ognisku w głuchocie pustyni, wszakoż jest to już nowe życie Azyi, nowe jej wydanie. Azya Mahometañska wiecee się różni od owęj Herodotowęj, bo w téj tylko istotnie widać ducha człowieczego niby w powiciu; tu fantazya samopas bujając, na poły we śnie i na poły na jawie o sobie przemawia; ztąd tutaj sztuki są jakby wymarzone nocą widziadła; poezya, choć pełna treści, jest potrzebą natury samęj, i bezprzytomnie brzmi z pełnych piersi, jakby pieśń słowika z wonnych krzewów róży.

Jeżeli spojrzysz na mapę, widzisz, jak z ogromnego pnia Azyi wyrasta niby konarem Europa; tak i duch europejski jest uszlachetnionym szczepem na starém drzewie azyatyckiej historyi. Dla tego jeżeli odwróciwszy się od dawnych Indyów, Assyryi i Persyi spojrzysz na Greeyą, uderza cię przeobrażona już do dna postać rzeczy. Jest to pierwsza historia europejska, a wita ją téż powiew ducha Europy zwiastującej tehem swoim wielką świata przyszłość. Lubo i historia Greeyi ma swoje powieści i cudotworne podania, wszakże one łączą się z mitologią, i należą jedynie do pierwotnej historyi.— Bobatérowie Homerowi: Herkules, Egeus, Tezeus, Dioskury, są równie jakby Lech, Czech, Krakus

i Wanda przypomnieniem z lat dziecięcych, ale nie wchodzą w dojrzały żywot Grecyi.

W Grecyi umysł człowieka stał się młodzieńcem, podrośł, serce się wzdęło w piersiach, świat w koło zagrał poezją i całym cudem ułudy. Był to naród-poeta, lud-artysta; umysł tu bowiem już przeczuwał prawdę wiekiustą, ale nie zdołał jęj jeszcze pojąć, jaką jest sama przez się. Lud grecki za nadto był jeszcze zmysłowy, by prawdy te w całej ich grozie i powadze przyjął; uzmysłowił je więc i sprowadził do dziedziny materyjalnego świata, słowem pojął ją jako sztukę piękną, i dla tego właśnie całe życie Greków, ich tętno, ich istota wskrósł jest estetyczną. Tak, kogo anioł muzyki z milionów wybierze, i przystępując do kolebki śpiącego niemowlęcia, ucałowaniem na kochanka swojego poświęci, już wtedy szczęśliwego wybrańca przyszłe życie z dźwięku i harmonii splecione, a nim on dorośnie, już wszystkie uczucia, myśli, pragnienia swoje, cierpienia i roskosze na tony tłómaczy, wszystko mu jest pieśnią i w melodyą się składa, a co słowami objawić nie zdoła, wylewa muzyką. Tak i Greków kochaniem, ich duszą, ich żywiołem była piękność; ku niej to wszystko kierowali, ona była najwyższem ich powołaniem. Ani przed nimi, ani też po nich żaden naród nie był im w tym względzie podobny. Mądrość ich filozofów, najgłębsze tajemnice natury i serca człowieka, skrytości ziemskiego i tamiecznego życia uwi-te są w obrazy ich mitologii pełne cudownego uroku i rzewności, a tak i do rozumu i do serca i do zmysłów przemawiały. Marmurowe ich bogi, tak ciepłe i czarowne, tak pełne spokojnego majestatu i wspinałój

wesołości, tak dumne i tkliwe zarazem. W nich uczucia całej Grecyi, jój duch skamieniał. Greków olimpijskie igry, ich uczty, ofiary, były poetyczne; u nich nawet morza i skały, gaje i krynice, drzewa i potoki, bóstwami były ożywione, co poufaląc się z ludźmi cieszyli się i smucili z nimi. Ów Jowisz potężny, skinieniem brwi niebem wstrząsający, zstępował z wysokości stolicy swój, kochał się w córach Ziemi i napełniał olimpijskimi komerazami o sobie. A że z góry idzie przykład, więc téż mieszkańcy ziemscy, na wzór niebian, z wadami swemi i swawolą byli poetyczni, pełni dobrego smaku. Czyliż może być, powiedz, genialniejszy hultaj i poetyczniejszy *roué* niż ów Alcibiades? Jakaż to są lichota ci nasi dzisiejsi panowie *mauvais sujets*, owe źle udawane Lowellassy i biedne kopije Donzuanów; są to jedynie bezmозgłe karykatury plastycznych hulaczów greckich. Ich nawet nie stać, by hultajami byli.

Wodzowie Greków, ich prawodawcy, ich wojny i bitwy, ich życie i skonanie były żywymi epepejami. Widzisz owe popiersie przesłane nam ze starych lat, ową cudną piękności głowę?—Patrz, jak utrefione starannie włosy, jak broda spada bogaetwem kędziorów, jak ta przepaska strojnie wieńczy czoło; zrazu rzekłbyś, iż to jakieś dandy Ateńskie, ale wnet gdy zważysz pełne szlachetności zarysy i ów profil Grecki, a potężne Jowiszowe czoło i mądry zakrój oczu, zgadniesz, iż w głowie téj zrodziły się błyskawiczne myśli, co oświeciły świat. Jest to Plato, ów boski Plato, który pierwszy rozum i myśl na tronie osadził i wyrzekł, iż jest pokrewieństwo między duchem człowieczym a nieskończonością wiekuistą, która nie ma końca ani początku. On to jest

najprzezroczytszym wyrazem Greka. W dziełach jego mądrość odziana w obrazy uroku pełne. Filozofia jego jest jakby pieśnią o wieczności i zacności człowieka, jestto Filozof-Poeta. A ów Alexander, co to niby Macedończyk ale przejęty i party duchem greckim, na czele garstki awanturników przeszkakuje hożo Hellespont, z Iliadą w kieszeni rzuca się na Azyą i chce sobie zawojować świat, i zawojował go; bo macedońskiego bohatera nosił przez świat duch Hellady i pragnienie podobania się Grekom, których przecież się był panem uczynił; oparł się o Indus, obudził drzymiącego Brahme, a wróciwszy do Babilonu umiera tam młodzieńcem przebulawszy noc. Życie jego rozlegało się jak pieśń po całym obrębie ziemskim i przeminęło jak pieśń. Zaledwie zgasł, a już z całego jego państwa, wielkiego jak świat ówczesny, nic, nic weale potomności nie pozostało, prócz wieńca chwały i sławy imienia: prawdziwa nagroda żywota Poety!

Ale widzę, że się zbyt rozbijał i zawezesnie o Grekach wspomniał; wiesz atoli dobrze, iż trudno o nich na zimno rozprawiać; skoro w ich dzieje, w ich życie zajrzysz, toć się zdaje, jakbyś do dawnych i drogich przyjaciół zajechał; tak tu miło, tak każdemu dobrze, iż się o rozstaniu ani myśli. A pisząc o sztukach pięknych, jakże nie mieć ciągle téj Grecyi przed oczyma? Bądź tedy przygotowany, że ci ją bardzo często wprowadzę jeszcze w listy moje.

Lecz też Greków epoka, ich powołanie koniecznie się skończyć musiało z wyższém dojrzaniem umysłu; z upływem stóleciów zmięniła się postać rzeczy, umysł się zbogacił nowym a coraz wyższym dorobkiem prawd.

Wyjawiał się inny czas. Bo skoro myśl człowieka się wzmogła i nabrała potęgi, wyrosła też z form piękności, jakby ze szat swych młodzieńczych. Szczupłe koło prawd rozumowych starego świata mogło się jeszcze wyrazić sposobem zmysłowym. A póki duch człowieczy był latoroślą, wystarczała mu forma sztuk pięknych, jak kwiadowi wystarcza słabe choćby strojne naczynie garncarskie; ale gdy latorośl owa urosła w potężną sosnę północy, rozsadziła naczynie wbijając korzenie w głąb serca ziemi i rozpinając konary namiotem nad połową świata. Tém drzewem olbrzymiém była *Wiarą Chrześcijańską*. Sztuka piękna przestała być wszystkim dla człowieka, zmalala, jak maleje światło kaganka przed jasnym wschodem słońca. Już nie pod zmyśleniem pełném uludy, ale wprost słowami Syna Bożego płynęła prawda, dreszez wieczności przejął ziemię całą,—nowy się rodził świat, a zrodziła go wśród boleści własnego skonania światowładna *Roma*. Dech żywota, którym Bóg natchnął człowieka stworzonego z prochu ziemi, był zarazem tehem prawdy wiekuistej, co była w nim *od początku*, ale teraz dopiero dostąpiła prawa swojego. U Greków była jedynie jeszcze przeczuć, teraz stała się pewnością serca. Wiekuistość cofnęła się z zewnętrznego świata, opuściła materią, a wstąpiła, jakby do świątyni swojej, do wewnętrznych serca tajników i zagrała tam wiarą, miłością, nadzieją. Pod światłem i ciepłem Religii urosła też silnie i Filozofia, której dziś najwyższą jest chwałą, że jest chrześcijańską. Bo nie mieszając rzeczy niebiańskich i ziemskich, wyznać powinienes, że nigdy filozofia nam społeczna nie byłaby dostąpiła tego doskonałości stopnia,

gdyby jój nie był ogrzał i oświecił promień prawd Religii; choć nabytek, co nam przyszedł łaską i objawieniem, wcale różny jest od zasad zdobytych mocą samego rozumowania człowieka, jak to obaczymy w innym liście, w którym nam przydzie rozprawiać o różnicy wiary i filozofji (*). Tak jak kwiat rozrosły swoją pięknoscią choć jest czémś inném, niż to niebo, co mu śle rosę swoją i promień słońca swojego, wszelako kwiatu piękność bez tego Nieba się nie obejdzie. Gdy tedy u Greków jedyną i najwyższą formą wyrażania się prawdy, jedyném ogniskiem całej ich istoty były sztuki, my zaś, obok sztuki pięknej, mamy jeszcze wyższe nierównie formy, bo wiarę objawioną i Filozofią; nie dziw tedy, że i dla nas piękność sztuki nie jest już tém, czém była dla Greków. Dla nich ona była kochanką, dla nas jest przyjaciółką. Grek, porwany pięknoscią pełną majestatu Jowisza Fidiasowego, padał przed nim na kolana; u nas nie sama piękność obrazu lub rzeźby nas przejmuje, ale znaczenie wielkie i święte, jakie on mieć może dla nas. Stajesz przed dziełem sztuki, przed budowlą, rzeźbą, malowidłem, uderzy cię potok muzyki; poezyi; wtedy wśród rokoszy, wśród rozgrzania ucieć króluje rozum i rozsądek; nie stracisz przytomności swojej, ale o obrazie, o tej kompozycyi, lub poezyi sądzić będziesz. Sąd ten o dziełach sztuki jest główném piętnem czasu naszego i jego prawem.

Artyści tedy już nie powinni więcej poniewierać zdaniem publiczności, wszak oni dzieła swoje nie dla siebie, ani dla małego kółka artystów tworzą; sztuka

(*) Porów. List VIII.

przestała być hieroglifem tajemniczym. Dla tego też godzi się, by artyści obzierali się na istotę wewnętrzną i na bicie serca publiczności, dla której pracują. A lubo Madonny Rafaela, Laokoon, i Rekwiem Mozarta i Hamlet tehną duchem nieprzeżytej nieśmiertelności, lubo będą celem czci wszystkich wieków i uwielbieniem wszystkich narodów bez względu na ich pochodzenie; przecież znów cała tajemnica geniuszu, np. Vernet'a jest ta, iż trafił w samo tętno Francyi. Z tego też powodu mogłeś przypatrzeć się galeryom Włoch, Niemiec i Francyi, a przecież bawić z upodobaniem przed jakim weselem wiejskiem Stachowicza i cieszyć się chwackimi figurami krakowskiego ludu, mimo mnóstwo niedostatków, jakie zaiste słusznie temu mistrzowi zarzucają.

Patrząc się na to wszystko, com ci tu popisał, spostrzegam, że się dotknął choć z wierzchu wszystkich prawie główniejszych przedmiotów mających być treścią listów moich; wyznaję, iż większa część tych twierdzeń nie obejdzie się bez dowodów następnych, niechaj jednak tymczasem zostaje, com skreślił; nie zawadzi, byśmy z początku zaraz porozumieli się względem istoty przedmiotu naszego.



LIST III.

O prawidlach i ustawach w sztuce.

Rozmałość pierwiastków duchowych i ich walka, stwarza doskonałość. Różne zdania co do samej drogi prowadzącej do piękności. — Czas głuchy w sobie i bez treści wlerzy w same jedynie prawidła. — Prawidła stojące li na wzorach przeszłości. — Tow. Przyjaciół Nauk War. w r. 1812. — Prawidła opierające się na abstrakcyjnem rozumowaniu z pomijaniem wzorów. — Natchnienie.

Jest to stara a tylekroć powtarzana pieśń, iż człowiek zawisł między dwoma wręcz przeciwnymi światy, a życie jego ciągłą jest walką dwóch pracujących się z sobą pierwiastków. Bo w głębinach duszy dwojaka mieszka potęga, co, jakby igła magnesowa, dwie odwrótne wskazuje strony. Niekiedy, gdy zamieci życia i burze zatrzęsą duchem i do dna poruszą istotę naszą, owa igielka zadrza w sobie, oscyluje, miesza położenie swoje; ale zaledwie wichry przemina, a jużci znów ona nieruchoma staje, jednym biegunem pokazując jakby zimną północ powinności i prawd rozumowych, a drugi zwracając tęsknie do południa ciepłych serca uczuć. Człowiek wiecznie na rozstajnych drogach, a dwa różne od siebie anioły, już od kolebki jego, dwie różne mu otwierają życia ścieżki. Szczęśliwy, kto obie dą-

żności w jedną zlać zdoła całość i w jedną je stopi harmonią.

Wszakże to rozdwojenie istoty naszój, nie tylko uczuć się daje, gdy idzie o znacność żywota i wartość naszą moralną, lecz, przechodząc w głąb całej treści naszój wewnętrznej, dotyka wszystkich dążeń, pragnień i czynności naszych. Nie ma rzeczy, nie ma celu życzeń i myśli, co by się nie zmieniały wedle pierwiastku, który w nas przeważa. Świat się w oczach mieni wedle wewnętrznego nastrojenia duszy, a najczęściej widujemy go nie we własnych barwach jego, ale powlekamy go kolorami naszego natchnienia. Meta, do której tak każdy człowiek w szczególności, jak i cały ród ludzki biegnie, jest prawda; tu zawieszone wieńce jego chwały, a prawda właśnie jest wyrobieniem się wzajemném przeciwległości takowych.

Żywot téż historyi jest ciągłym przerzucaniem się z jednéj ostateczności w drugą; bo ta walka przeciwległych sobie żywiołów stanowi duszę dziejów świata, są to główne sprężyny ruchu pracy człowieczego rodu i warunkiem koniecznym udoskonalenia jego. Spójrzij na historią każdego narodu, co nie utonął w motłochu mniej znaczących państw i wypłynął na wierzeh historyi, a wszędzie obaczysz, iż podwaliną jego wielkości jest poprzednia walka wrogich sobie żywiołów. Każda umiejętność, każda nauka, każda prawda, tém więcéj ma wagi, im silniejsze i cięższe było pasowanie, którym okupioną została. Najwyższe szczyty wiadomości ludzkich i najniższe jéj doliny doznały rozdwojenia tego.

Nie dziw tedy, że i sztuki piękne różnie osądzane były, wedle różnego stanowiska zapatrywania się na nie.

Ta dwoistość, wależąca w sereu człowieka, dała często znać o sobie w sporach estetycznych, a wyjawia się ona już przedewszystkiém odwrótnością dwóch potęg przeciwległych: bo z jednej strony posłyszysz tłumne głosy, iż prawidła pewne i niezachwiane są głównym warunkiem rozkwitania sztuki i nieomylném jój zbawieniem; z drugiej strony wznoszą się zdania poniewierające wszelkiemi ustawami, twierdzące, iż piękności cyrklem mierzyć nie można, iż rozum nie ma prawa wdzierania się w dziedzinę smaku, iż pod zimnym tchem rozsądku najpiękniejsze kwiaty uczuć naszych omdlewają i marzną. Otóż te dwie ostateczności podzieliły estetyków na dwa wrogie sobie obozy.

Wyznajemy że sztuki piękne, wypływając z ducha ludzkiego, są dziełem jego, do niego należą, podlegają tedy sądowi jego; duch, tworząc dzieła piękności, ma przecież prawo stanowić ustawy tym dziełom swoim. Ani te szranki nie mogą mu być szkodliwe ani ubliżające, bo on je sam sobie naznacza. Nawzajem znów przyznasz, iż gdy na świecie pusto i glucho, gdy umysł wyludniony z myśli i uczuć, gdy czezość ciemna spada na serca, wtedy najczęściej rodzą się reguły, ustawy i prawidła pisane; nauka rzuca się na dzieła lepszej przeszłości i pragnie w nich dociec tajemnic rodzenia się tych wszystkich uroków, które podziwiać jeszcze może, ale których już stworzyć nie zdoła. Co zeszłe wieki w spadku zostawiły, to teraz rozbiera, wyprawdzając z nich ustawy postępowania w sztukach pięknych. Sekcyja ciała następuje po śmierci. Tak się rzecz ma w piękności dziełach, tak we wszystkiój czynności umysłowej. Póki Rzym żył życiem świeżem, we-

wnętrzném i rodzimém, póty téż kodeksów nie potrzebował; prawa zwyczajowe, ustawy, rosnać niby w obliczu jego, tętniały jak krew własna w życiu narodu; ale gdy się wyrodził, odbiegł od siebie i samego siebie zapomniał,—uronił i wiadomość ustaw swoich. Wtedy w 1000 lat po onych ustawach 12 tablic, trzeba było Justynianowi z ułomków, ze szmat przeszłości, ułożyć ów ogromny kodex, ono *Corpus Juris*: robota łatana, preparat anatomiczny, tutaj Rzym dawny w spirytusie przechowany; ale w nim jeszcze widać geniusz onego ludu prawnika-żołnierza. Z tych biędnych okrucichów, ze sztuk potrzebanych świeci duch starego Rzymu, a księga dawnych prawników była testamentem jego, poczem dokonał — i umarł. A do dzisiejszego dnia jedzą ją prawnicy, krzepiąc nią od półtora tysiąca lat dowcip swój.

Podobnie téż w czasie ubogim dla literatury, pracownicy skrzętne, bibliografy spisują jak po umarłym inwentarz całego majątku naukowego, nie przepuszczając żadnemu szpargałowi i wydzierając dziedzictwo toczącym molom. Po śmierci wielkich wodzów światoburzeów zjawia się najwięcej dzieł, map i planów strategicznych. Tak najeczęściej po praktyce następuje teoria. Jakoż zawsze téż uważać możesz, iż starec hulaszczę, przegoniwszy resztki i osiadłszy na mieliznie, najchętniej smakuje w rozmówkach w stylu Pawła Kocka. Słabsze i bez ładu głowy lubią téż dla porządku poliniować sobie godziny dnia każdego, i wziąć w rubryki żywot swój i wszystkie swoje sprawy, by nie zginęły w powszednim natłoku czynności swoich. Kto ma istotną przytomność w duszy i porządek w głowie, obej-

dzie się bez tych rubryk i szufladek, i bez nich z ładem dopełni spraw swoich, rzetelnie spłaci się z powołania swojego i skwituje się z długu życia.

Gdy Pindar, Eschylus, Sofokles i Aristophanes, i wszystkie one gwiazdy greckiej poezyi, schodzili z nieba Hellady, a noc zapaść miała nad Grecyą, Arystoteles potężną myślą spuścił się do głębin tych skarbów, dobywając z nich, jakby lite złoto, ustawy dla potomnych wieszczów. Gdy znów Rzym zabił Grecyą, gdy ciężką i niezgrabną ręką złupił ją z kosztownych dzieł sztuki, a nauczywszy się frazesów greckich myślał, że już sam Grekiem się stał, wtedy i on chciał mieć filozofią i poezyą swoją. Wtedy biedny Cycero, choć drżącym piórem i choć z poprzedniem przeproszeniem, zaczął im prawić pochwały nauk, filozofii, wyklądać zasady prawa i wymowy, zbierając myśli z greckich ksiąg. Zasady cnoty obywatelskiej były spisane w jego dziełach, ale dawno już umarły w życiu, a Rzymianie, ten lud najpraktyczniejszy, nie mając własnej poezyi, puścili się tropem Greków. Wówczas Horacyusz, chcąc rodaków barbarzyńskich oswoić z pięknościami sztuki, skleił im naukę o sztuce poetycznej; a było to właśnie wtedy, gdy Vitruvius, jakby przewidując zwalenie się przybytków i świątynie Grecyi, napisał księgi swoje o architekturze i porządkach.

Patrz, co się dzieje kilkunastu wiekami później we Francyi. Tu w 16m stuleciu już oddawna były zgasły czasy średnich wieków. Bayard, ten ostatni rycerz, skończył we krwi swojej, modląc się do rękojeści pałasza swego w kształcie krzyża złożonej; a Franciszek Iszy pod Pawią poznał, że rycerskość więcej nie popłaca, i

odpokutował tę pomyłkę swoją w niewoli madryckiej. Nastał na miejsce dawniej budowy tumów gotyckich styl *renaissance*, a zuchwałe pomysły Michała Anioła miały się już dostać w niezgrabne ręce następców, i przerażać się zwolna w smak *rokoko*. Nie dziw też że i pieśń romantyczna oniemiała.

Jużto ów Clement Marot, przybrawszy na się szaty dworu Franciszka I., czczył gładkie a mądre panie, wielbił ze szczęściem Dianę de Poitiers i królową Małgorzatę Nawarry, obsypywał je wónnemi różami swych pieśni; choć atoli był tak romansowym poetą, nie był wszakże już romantykiem: bo lubo świetnym i lekkim motylem oblatywał poezyi kwiaty i damy dworu króla swojego, jednak skrzydełka jego lśniły klejnotami i złotem wieszczów greckich i rzymskich; był to klasyk w całym rynsztunku swoim. Chociaż, na wzór dawnych lat, lutnia jeszcze niekiedy większą dawała cześć niż liczne grody i zamki, a kto jeno mógł, przebieierał na lirze; i nawet ów posępny i żelaznej woli kardynał Richelieu składał także jak mówią wiersze i chętnieby się był do Atalii Rasyna przyznał; literatura atoli traciła zwolna rodzinne życie swoje, chwytając obce od kilkunastu wieków zamarłe wzory, i uroniła resztki własnego ducha, co w niej tętniał i żył. W braku treści swojej wszystko przetworzyło się na formę, a dla tego ustawy i prawidła tém potrzebniejsze się stały. Sztuka, poezya, winna rodzić się z potrzeby wewnętrznej, z tęsknoty nieskończonej ulżenia sercu, w której wiekuista prawda o sobie znać daje we formie uczucia i pocucia; dzieło sztuki jest żywym kwiatem wyrastającym z głębin piersi ludzkich; kwiat obcy na zewnątrz

do serca przypięty zwiędnieje, bo mu braknie uczuć swojskich i soków rodzimych — jedynie kwiat robiony, sztuczny, obejdzie się bez właściwej sobie ziemi. W takich czasach obcych i zwiędłych kwiatów, lub kwiatów robionych, sztucznych, na miejsce sztuki staje sztuczność: i takim to czasem była właśnie epoka, gdy wystąpił Boileau z przepisami i regułami. W nim jeszcze treść i wielka poprawność języka; lecz wzorem przytém jest wymuskanego stylu i kałkułu; znać, jak drży, by jakaś śmielszą myślą nie zgrzeszył przeciw konwencji. Myśli jego, od stóp do głów utrefione, chodzą jakby w sznurówkach. Sztuka się wynarodowiła i zwiędła, bo, odcięta od soków własnej ziemi, obojętniała coraz więcej na treść, stała się formą, łupiną. Poezya dramatyczna przemienić się musiała w sztukę retoryczną. Literatura bez iskry wewnętrznego życia szklanemi oczyma patrzała się na naród, co już był bez głębi duchowej, nie zradzała się w świętych tajnikach natchnienia, ale leżała się w głowie; w téj tedy literaturze wszystko było wyrachowaném. Patrząc jak autor tragedyi ówczesnej obliczył każdy akt, każdą scenę, każdy efekt, jak roztropnie rozwiązuje sobie trudności, jak kombinuje, jak sobie zagrywa i odgrywa nawzajem, zdałoby się, że widzisz wyćwiczzonego mistrza grającego wista z dziadkiem. Dużo w téj literaturze jest isticie rozumu i prawideł, a nie wcale natchnienia.

Tak bez końca mógłbym ci wynajdywać przykłady dowodzące jawnie, iż zawsze, albo przynajmniej często, czas prawideł jest czasem biędnym dla nauk i sztuk, i że wszystkie reguły nie zdołają ożywić umarłego już ducha. Pocóż atoli mamy tego szukać przykładów po

obcych, gdy mamy tu pod ręką najtrafniejszy, bo swojski. W epoce tak jałowej dla literatury, jak epoka księstwa Warszawskiego, zdarzyło się, iż w roku 1812 na wniosek księdza Staszycza Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk uchwaliło: iżby dobrze było, aby raz na zawsze spisać sobie prawidła wszystkich rodzajów poezyi, «aby (odpisuję dosłownie) smak dobry ustalić i zdrową ugruntować krytykę.» Książka ta nie miała nie mieć nowego, ale jedynie uznane już zasady w jasnym porządku wystawić, «podać niewzruszone sztuki przepis». Myśl ta prawie powszechnie trafiła w rym, bo cóż wygodniejszego, jak mieć taki receptarz pod ręką, gdzieby jak na leguminy, blamanże i konfitury, można znaleźć przepisy i sposoby robienia dobrych hymnów, słodkich sielanek, i smacznych tragedyi. Wzięto się tedy co żywo do roboty. Członkowie lubujący w poezyi rozebrali różne jej gałęzie między siebie, prace ich miały być niby przygotowawcze i materiałem do owęj książki. Na Franciszka Wężyka padła kréska, by prawidła tragedyi napisać. Ciekawy też jest bardzo sąd Towarz. Przyjaciół Nauk o pracy Wężyka, a napisany — nie wiem z pewnością przez kogo. Mam ten akt przed oczyma udzielony mi uprzejmością Wężyka, datowany 2 Maja 1814. A iście jest to ważne źródło historyczne do ocenienia wyobrażeń ówczesnych, bo one tu nam płyną niby z pierwszej ręki. Dzieło całe, jak widzisz, miało być posągkiem doskonałym i wiecznotrwałym, którego osobne części mieli wyrabiać artyści różni, każdy osobnym swym dworem, wedle własnego pojmowania rzeczy i smaku swojego, a potém dopiero te części miały być złożone w jeden posąg-potwór. Ani

ci się będę rozwodził nad całą treścią téj odpowiedzi towarzystwa, dość na tém, że praca Franciszka Wężyka odrzuconą została, a to z pięciu powodów, z których ci tylko trzy wymienię; wystarczą, jak myślę. Naprzód *powód piérwszy*: «iż autor, mówiąc o dramatycznój poezyi, wspomniał jedynie o tragedyi i kome-
 »dyi, pomijając inne rodzaje *a mianowicie operę. Po-
 »wód drugi*: że wzorami autora więcej byli, jak się
 »zdaje, pisarze angielscy a mianowicie Shakspeare, o
 »którym nie można do młodzieży powiedzieć: *haec ros
 »exemplaria nocturna versate manu, versate diurna.*
»Powód trzeci: że autor nadto pozwala powstawać prze-
 »ciw uznanym już powszechnie prawidłom, do czego
 »z uszczerbkiem dobrego smaku pisarze niemieccy ob-
 »szerne już i pochopne otworzyli pole». Wyznaj, iż
 gdyby dziś ktoś znający się na rzeczy z takim zda-
 niem się odezwał, jużby nikt nie wątpił, iż sobie żar-
 tuje z ludzi. I rzeczywiście ta nagana jest najpiękniej-
 szą pochwałą, jaką Towarzystwo P. N. dla rozprawy
 Wężyka wymyślić mogło.

Któżby w téj odpowiedzi poznał to samo towarzy-
 stwo, co w kilka lat później, tak głęboko przejawszы się
 powołaniem swoim, tak wielkie zasługi położyło w li-
 teraturze naszéj, zajaśniało wieńcem tak świetnych
 imion i stało się zaszczytem czasu swojego!

Widzę jednak, żem się już nadto rozpisał, mówiąc
 o prawidłach wydobytych ze wzorów, z sztuki prze-
 szłéj, i niby z tego, co już jest na placu, bo znajdziesz
 inny jeszcze rodzaj prawodawców powyższym tak zu-
 pełnie przeciwny, jak ogień wodzie. Ci bowiem wpa-

dają w odwrótną zupełnie zasadę, zarzucając wszelkie wzory poprzednie i prawidła z nich płynące. Co przed nimi stworzyły wieki, nie ma żadnej u nich powagi, nie chcą widzieć wielkich dzieł sztuki, któremi geniusze całej przeszłości uposażyły świat; chcą z gołego rozumowania, z pojęć abstrakcyjnych wysnuć ustawy stałe i niezmiennie dla sztuk pięknych. Rzecz jasna, iż trzymając się w sferze czystego i abstrakcyjnego rozumu, stanowić mogą jedynie zasady ogólne, nie wdając się weale w szczegóły. Bo proszę cię, jakim tu sposobem z ogólnego rozumowania wywieść, ile aktów ma mieć tragedia ?.... dla czego nie jeden tylko, dla czego nie sześć lub więcej ? albo jak ze samych pojęć rozumowych wskazać warunki doskonałego obrazu lub rzeźby ? A mówiąc takim ogólnym trybem o kolumnach w architekturze, uczyć oni cię będą, aby one ani zbyt cienkie, ani zbyt grube nie były; powiedzą nawet, jakie wrażenieby uczyniły popołnione w tym rodzaju błędy, ale ei nie oznaczają w liczbach stosunku grubości kolumn do ich wysokości, bo jakżeby z rozumowania samego taka dokładność wypływać mogła ? W takowe szczegółowe objaśnienia nasi teoretycy nie wdają się weale; dla tego ich zdania o dziełach sztuki są zupełnie ogólne, są to formuły i pewniki. Im nie chodzi bynajmniej o to, aby wykazać prawdę zamkniętą w jakim dziele sztuki pięknej, ani nawet określić, czém ta prawda jest w sztuce, bo uważają jedynie, czém jest prawda sama w sobie wzięta. I nie przeczę, że rozumowanie takowe może być bardzo prawdziwe, ale do celu nie prowadzi, bo zastosowania nie ma. Podobnie można być wielkim teoretykiem prawa, znać doskonale historią prawodawstwa

wszystkich narodów cywilizowanych, i przesiąknąć prawem rzymskiem, jak genialny Savigny w Berlinie, rozumować nad ustawami jak Montesquieu, a przecież nie umieć jeszcze napisać pozwu, lub poradzić sobie w najzwyczajniejszym wypadku. Nie przyjąłbyś zapewne obiadu zgotowanego na najpewniejszych zasadach chemii, a nawet wedle najdoskonalszej książki kucharskiej przez człowieka, który nigdy w kuchni nie postał. Można być wielkim teoretykiem lekarzem, a nie wiedzieć jak sobie począć przy łóżku chorego. Niechajże ktoś pływa, jeździ na koniu lub rąbie się wedle książki, nie mając żadnej w tym względzie wprawy!

Takowe teorye estetyczne mogą dać ogólne i trafne nawet wyobrażenie, ale odstępują nas, skoro istotnie przyjdzie wykonać dzieło sztuki, wymagającej koniecznie wprawy i nałożenia się, a przedewszystkiem wrodzonej twórczej potęgi. Że teoretycy tego rodzaju tu i ówdzie u nas się płaczą, poznasz ze zdań ogólnych, z ekliwych frazesów ustnych i pisanych, jeżeli chodzi o ocenienie czyli to poematu, czy posagu, muzyki, obrazu, gry scenicznej i t. d. choć te pięknie brzmiące formuły są nawet najczęściej bez rozumowania i oznaką czczego umysłu.

Przeczytawszy to wszystko, com ci dziś napisał, powiesz, że to są dawne rzeczy, bo od wieków ludzie już wiedzą, że do sztuk pięknych potrzeba i natchnienia i prawideł, że się jedno bez drugiego nie obejdzie; i że znów prawidła, jak nie powinny opierać się na samych tylko wzorach i obcej powadze, bez własnej samoistności rozumu, tak i nawzajem nie powinny być rozumowaniem gołym bez wdania się w szczegóły, nastręczo-

ne nam pracą wielkich mistrzów. Przyznaję, że to są dawne zasady wypływające już nawet z gołego rozsądku, ale cóż, kiedy w rzeczywistości widzimy, iż mało kto tego zbawiennego środka się trzyma; wszędzie i zawsze znajdziesz postępowanie wręcz mu przeciwne. Jestem przekonany, iżbyśmy mniej mieli maroderów, pozostałych z owéj wojny mniemanych klasyków i tak zwanych romantyków, gdyby sobie jakoś do serca wzięto te pojęcia z samego wynikające rozsądku. Małoż to jest ludzi rozumiejących, iż byle przypatrzeć się jak inni robią, nabyć wprawy, potem już można samemu się do pracy; byleby schwycić na uczynku Corneliusa, gdy maluje, albo Thalberga, gdy palcami przebiera, a już można zostać wielkim malarzem, wielkim pianistą: jedno ci panowie zapomnieli, iż sztuki piękne nie są rzemiosłem, i że czego innego jeszcze wymagają jak wprawy i mechanicznego wykonania, że potrzeba uświęcenia z góry, promienia z nieba, — natchnienia.

Ale nierównie liczniejszy do dziś dnia jest naród tych, co rozumieją, iż natchnienie samo, zwłaszcza w poezyi, zupełnie wystarcza, iż się obejdzie bez wzorów, że wszelkie naukowe przygotowania są zbyteczne, że byleby wydać, co w sereu żyje i pracuje, toć już się zostaje wielkim wieszczem. Dziwnie téż to zdanie przypada do smaku tym, co sądzą, iż bez słęczenia, jak powiadają, nad książkami, bez wielkich nauk, można być człowiekiem rozumnym, dowcipnym i bardzo przyzwoitym w świecie. Ci panowie niezmiernie się boją, by się nie stali przypadkiem, jak mówią «erudydami», coby nie było zgodném z ich powołaniem; ale niechaj się uspokoją, uczoność nikogo nie łąwi, ani erudycya na

nikogo nie poluje. Nie ma tedy żadnego dla nich niebezpieczeństwa, bo muzy są to harde panie, bardzo zadzierające noska; bardzo i bardzo trzeba się o nie starać, bardzo się im zalecać, by były na kogoś łaskawe; co nie lada tam komu się zdarza. Przecież takowe zdanie ma legiony zwolenników swoich, bo cóż milszego, jak nie pracować, i młodość, jakby lazaroni jaki, spoczywając na gruzach wielkiej przeszłości w *dolce farniente* przepędzić, wiosnę życia swojego przehuczyć szumnie bakiem, lub przeziéwać ją na przypiecku tatusinym; a przedewszystkiém być wolnym od téj «nudnej i niepotrzebnej łaciny». Ludzie tacy pożywają i trawią dnie i lata żywota swojego, jak gąsienica pożywa liście i gałązki drzewa, które plugawi.

Jeżeli przyszyły wieszcz nie spojrzysz wstecz za siebie i nie potoczy w koło wzrokiem na świat, co go czarownym otacza wieńcem; jeżeli obojętny na prace olbrzymie przeszłych stuleciów, co niesłychaną boleścią, wśród krwawego potu, znosiły na barkach swoich ciosy do ogromnej budowy, na której stanął wiek nasz; jeżeli mądrość lat tysięcy, opłacona tylu trudami i takim pasowaniem się milionów ludzi, będzie dla niego głuchą i wymietną łupiną; jeżeli nie trawił samotnie cichych nocy sam na sam z Bogiem i książkami, gdy świat inny wyższy wylewa na prace błogosławieństwo ducha; toć iście na nic się nie zda i natchnienie i zdolność, jakie z urodzenia może otrzymał. Bo gdy w duszy głucho i pusto, gdy rozum, w sobie biędny, nie wyrobił sił z siebie, toć i nie będzie prawdziwego natchnienia ale odurzenie szалу; talent będzie się zataczał nie umiając panować nad sobą; ani o swój mocy

nie stanie, bo z ducha bez treści żaden się téż watek nie wysnuje.

Mylą się ci, co fundując się w zupełności na swym zapale, na owém tajemniczém miotaniu się ducha, rozumieją, iż to, co w nich robi, prze, już ich do sztuki uświęca, i byleby iskra talentu zaświeciła w człowieku wewnętrznym, już zajmie sobą całego ducha i buchnie płomieniem geniuszu. Wszak Göthe tak słusznie wyrzekł: «Sztuka jest sztuką! kto jęj nie przeniknął do dna myśla, nie będzie nigdy mistrzem!»

Gdy w nowėj Europie poezya stargała dawne swoje pęta, wtedy wezbrała i zerwawszy brzegi swoje, rozlała się széroko i rozswawoliła się do woli, nim znów wróciła do karbów prawdziwój piękności. U nas to nieco później nastąpiło, ba! ta epoka się u nas dziś jeszcze niezupełnie skończyła. Tu i ówdzie widzimy jakieś pieśni, poezye, pełne surowizny uczuć i myśli, wichrem szału oderwane od ziemi, co podrzeźniając wielkiemu przykładowi, unoszą się niby nad rzeczywistością, a choć same z siebie nie mają polotu, przecież same nazywają się orłami; zaiste są to orły, papiérowe latawce, uwiązane na sznurku i puszczone z wiatrem ręką dziecka z fary. Im więcej nieładu w myślach, im więcej sprzeczności, im mniej rozsądku, tém niby mocniejszy zapal i szal. Lada kto woła: *est Deus in Nobis*, ale tym *Deus*, tém bóstwem dającym mu natchnienie nie jest zaprawdę Apollo, ale niższy jakiś bózek.—Rzekłbyś bowiem, czytając takie płody, iż tym panom wieszczom krynica kastalska na Węgrach płynie, i że to natchnienie ich jest natchnieniem greckich bachantek, nie laurowym ustrojonych wieńcem.

Powiedzą mi może, iż praca nad umiejętnością i czytaniem autorów odebrałaby im właściwe ich piętno i mogłaby zatracić indywidualność, odznaczającą ich od innych; jeżeli jednak ta indywidualność charakteru ma jakąś wartość, toć téż nie zaginie i nie utonie w pracy, ale zawsze na wierzch wypłynie; a jeżeli przeciwnie, nie obroni się obcym wpływom i przewadze wielkich wzorów, toć niechaj jój nie żałują, boć zaiste nie ważyła wiele, a szkoda niezbyt bolesna. Cóżby sądzili o wartości moralnej jakiej pani, niechęcej bywać w świecie, by nie naraziła słusznie *reputacyi* swojej?

Jednym z głównych warunków każdego artysty jest ukształcenie naukowe. A im wyraźniej duch w sztuce jakiej z siebie się rozwija, im jaśniej wyświeca istotę swoją wewnętrzną, tém bogaciej naukami uposażony być winien. Tak muzyka jest właśnie tą sztuką, w której on najmniej jasno o sobie przemawia; w niej jakby hieroglifami tonów za mgłą jeszcze i pod zagadką uczucia swe rodzi; dla tego téż sztuka ta mniej niż wszystkie inne wymaga udoskonalenia umysłowego; z téj przyczyny téż ona już w młodym wieku może być do wysokiego stopnia doprowadzona, gdy władze rozumowe zamknięte są jeszcze w pączku. Wszak widzimy nawet ludzi z miernymi zdolnościami dowcipu, a jednak odznaczających się mistrzostwem w muzyce.

Ale architekt, co patrząc się na wielkie pomniki świata, przez nie niby wgląda w serce wieków i narodów; ale rzeźbiarz, do którego marmurowe bohaterzy i bogi o piękności przemawiają, nie obejdą się bez nauki. I malarz, choćby był niepospolitego talentu, bez wiadomości i nauk utworzy jedynie idealizowane kopie na-

tury, a najwyższego kwiatu swęj sztuki, bo malarstwa historycznego i religijnego, nigdy nie osiągnie. A cóż dopiero powiedzieć o poezyi używającęj nie tonów, nie marmurów lub barwy, ale najduchowniejszego narzędzia, bo mowy, do wyrażenia tego, co wre i kipi w duchu!

Atoli o wszystkich pierwiastkach i potęgach, które się znaleźć winny w mistrzu, we wieszczu, mówić będziemy w osobnych listach, w których téż ten przedmiot tak ważny dokładnięj rozbierzemy. Tutaj powtórzmy sobie wypadki ostateczne niniejszego listu naszego. Zaiste gołe prawidła, czyli one będą czerpane z wielkich wzorów przeszłości, czyli będą wprost wyrozumowane z zasad filozoficznych, będą tak niedostateczne jak usposobienie przyrodzone, jeżeli nie będzie wykształcone zapatrywaniem się na dzieła sztuki, które nam po zmarłych wiekach zostawili arcymistrzowie piękności. A przede wszystkim zdaje się być potrzebą, zwłaszcza u nas konieczną, aby zwrócić uwagę młodych artystów i uczniów, by nie wazyli sobie lekce udoskonalenia rozumowego, co z prac naukowych płynie; umiejętności niechaj będą pierwszą jego geniuszu kąpielą; gdy się na nich wyrobi, zaprawi, uszlachetni, już i silnie urosną skrzydła natchnienia jego. Gdy pozna, co się wielkiego na Ziemi i na Niebie święci, gdy przeczuje, co na dnie ogromnych wydarzeń tętni i żyje, gdy zawsze pozna godzinę na wielkim zegarze świata, a przybytek myśli jego z bogaci się całą treścią wieków; wtedy, jeżeli istotnie przeznaczony na wieszczę, przyjdzie chwila, co jakby grom Boży spadnie na duch jego, i tam tysiące światła na chwałę Nieba zapali.



LIST IV.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyjalnego nad duchem.— Sztuka nie jest kopiowaniem natury.— Wielkie dzieła natury, Tatry.— Stosunek rzetelny sztuki do natury.— Dwa pierwiastki konieczne objęte w każdym dziele sztuki.— Różnica między prawdziwymi dziełami sztuki, a dziełem będącym naśladowaniem natury.— Wrażenie, jakie te ostatnie na nas czynią.— Zosiówka — figury woskowe, udawanie zwierząt.— Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebierania w dziełach sztuki.— Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukrytą dla sztuki.— Przykłady — Przestrzeń niebios.— Puszcze pierwotne i ich cuda.— Natura przedpotopowa.— Piękność natury i piękność sztuki.— Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie tej natury jest ogromnej wagi dla ducha człowieka.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie na-
czyniem duchowém.

W Grudniu 1841.

Znów tedy wróciła zima, owa stara niańka północy, by naturę znękaną skwarem i wysileniem lata po dawnemu ukołyhać do nocnego spoczynku; pokryła ją czarnych chmur namiotem i, niby prawiąc jój czarodziejskie Arabii powieści, obsypała smutne drzewa, jakby kwiatem grudniowym, srebrną bielą szronu; ich kity wysadziła całym bogactwem wschodnich klejnotów, dając im za tło ciemne nasze niebo, by tém piękniej błyszczały i za-

grały brylantem w mroźném słońcu naszym. Bając nam żarty o wiośnie, rysuje na szybach okien gałązki, gaje, tak dziwnej, czarownej i drwiącej postaci, jakby widma powojów i palm amerykańskiej puszczy—z innego świata goście. Na miejsce dnia życia, nastąpiło państwo martwe kryształów i ślepych żywiołów walka; a kiedy noc roztoczy się królestwem swoim, już też wtedy ziema w całej swój poezyi; jakby sny śpiącej natury ciągną się po ziemi i płatają różnoksztaltne mary bałamućnej mgły; wszystko śni i drzémie; niebo samo tém jaśnieć czuwa i tak świetnie, tak pilnie gwiazdami swojemi na nas patrzy, iżbyś rzekł, że to oczy wielkich ludzi z dawnych lat, co z wiekuistości na Ziemię poglądają i onęj strzegą.

Im ciszej atoli w około nas, im samotniej w naturze, im w głębszym uspieniu świat fizyczny, tém potężniej budzi się życie wewnętrznego człowieka: świat duchowy, wycofnawszy się z zewnątrz w siebie, jakby w ognisku gromadzi wszystkie promienie swój potęgi, aż rozgoreje w sobie i cichym płomieniem myśli zaświeci.

Im silniej się duch wzmoże, tém już słabsze ma nad nim świat zmysłowy panowanie. War namiętności traci siły przy jasnym przebudzeniu się rozumu. I ludy bowiem dzikie, idioty i dzieci, powodowane jedynie naturą zwierzęcą, stoją jakby w kole zaczarowanym zmysłów, oddane na oślep ich przemocy; sam tylko wzrost i ukształcenie umysłu zdoła zakląć te czary, i usamowolnić człowieka z pod ich władzy. Człowiek natury tak jest obrzydliwym, jak człowiek zepsuty; tamten idzie wprost za jój chucią, ten ją przekręca i majaczy.

Peszeres maluczkiego ducha, mieszkający jakby wygnaniec świata na szarym końcu Ameryki, tak jest przerażającym i smętnym widokiem, jak paryżanin z czasów Regencyi; tamten niby sfinx zagadkowy natury, na poły zwierzem, nie przeczuwa nawet jeszcze wysokości człowieka, ten ją już zapomniał, przemarnił i w karykaturę obrócił. Ani stan dziki natury, ani stan zepsucia, choć tak różne są od siebie, nie sprzyjają bynajmniej rozwojowi sztuki pięknej.

Są przecież w dziejach ludzkich czasy, w których sztuka jest tylko naśladowaniem natury i prostém jój kopiowaniem. To zjawisko miewa atoli różne powody w ludzkiej historii. Najczęściej rodziło się w epokach wolnych wprowadzie już od pierwotnej dzikości, w których wszelako życie duchowe, wewnętrzne, idealne mniej było rozwinięte, a natomiast życie zmysłowe, zewnętrzne, praktyczne przeważało w świecie; w takich czasach nastaje definicya, że sztuka piękna jest naśladowaniem natury. Jakoż po dziś dzień tu i ówdzie ta definicya uchodzi jeszcze za prawdziwą, lecz już z innych powodów; bo jeżeli w najnowszych czasach odzywają się głosy, nakazujące artystom kopiować naturę, toć to poszło stąd, że zaledwie przeminęła epoka, w której sztuka, poniewierając formami natury i zdrowym rozsądkiem, paczyła czyste formy piękności. Nie dziw tedy, że świat, ze wstrętem odwracając się od tych gwałtów dokonanych w państwie sztuki, rzucił się w objęcie przyrody i jój się zupełnie powierzył. Tak przeto upowszechniło się zdanie, jakoby najwyższą zaletą artysty było naśladowanie natury. Lubo zaś one czasy jałowych form przeminęły, zostało przecież to zdanie; przechodzi z ust do ust, mając obieg

między ludźmi, jak owa stara wytarta moneta, co choć już bez wewnętrznej wartości swojej, ma przecież jeszcze wiarę nałogową ludu, boć się jój mało kto bliżej przypatrzył.

Już nawet z ostatnich dwóch listów moich wypływa, iż sztuka, będąc najpiękniejszym kwiatem samodzielnego ducha, z głębi istoty naszej wyrasta, musi tedy być czémś więcej, niż prostém puszczeniem się śladem natury. Przecież mniemanie takowe ma tak licznych stronników swoich, iż mi pozwolić zechcesz, abym nieco obszerniej tę całą rzecz rozebrał. Jakoż jasne porozumienie się wzajemne, co do pojmowania stosunku sztuki do Natury, jest najważniejszym warunkiem całego dalszego wątku naszego.

Nikt nie przeczy, iż sztuka piękna była nauczycielką ludów i karmicielą wysokich myśli i uczuć prawdziwie człowieczych; gdyby tedy ona była prostém natury naśladowaniem, rzecz jawna, iżby same dzieła natury były potężniejszym środkiem do tego celu, niż dzieła sztuki. Na cóż byśmy więc mieli tworzyć z całym móżem i poświęceniem naszym to, co już przyroda sama tak sutą, tak wielką odmierzyła nam miarą. Czyliż mogłaby już praca być mniej pożyteczna i mniej potrzebna?

Odwiedźno te nasze Tatry, zapuść się w serce tych olbrzymich grodów natury, a wnet odstąpią myśli porównywające sztukę i przyrodę. Pożegnaj społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinie, porzuć sioła i kołyszające się błogosławieństwem zbożne łąny, a wstąp na ostrze Łomnickiej iglicy, na najwyższy szczyt Krępaku, wspinając się po piętrach coraz wznioslejszych, przedrzyj się przez wszystkie szczyble coraz biedniej-

szęj, coraz niższęj roślinności. Przebywszy bory ciemnej sosny, wyżej dosięgnij krzewów karłowatęj brzozy, wyżej jeszcze granice najwznioślejszych polan, zostaw następnie pod sobą państwo czarnej kosodrzewiny o rozkręconych warkoczach, następnie ostatnie smugi traw zielonych, a staniesz w smutnej ojczyźnie gładkich i suchych meków i pierwotnych porostów, kędy poczyna się grobowe samowładztwo martwego kamienia. Wkoło dźwigają się stos na stosie gruzы ogromnych bałwanów granitowych—głuchego zniszczenia obraz. Roztworzą ci się zewsząd niby ulice, niby labiryntne budowania, place i ściany roztrzęsionego miasta Gigantów, a wszędzie cisza śmiertelna, jakby u grobu natury. Ni tu kwiatek, zabłyśnie, ni listek zaszeleści, wszelki głos tu zamarł i został gdzieś w głębi. Od czasu do czasu tylko usłyszysz martwy i trupi łoskot; jest to skała granitowa, co, urwawszy się z posady swęj, w podskoki szalone podbijając się niby rykoszetem, coraz chyżęj pędzi, i warcząc przepada w otehlaniach; porywa w swym polocie do okropnej podróży tłumy skalnych ułomów, góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumionym grzmotem — i znów uciehła. Znowu natura w koło oniemiała, a ta cisza, niby zimną ręką śmierci, okryła serce; bo to milczenie głębokie straszniejsze niż głos grożących piorunów na ziemi. Spinaj się wyżej a wyżej po urwiskach sterczących i stromych upłazach, aż cię kołem obstapia, niby straszydła niebosiężne, szczyty bure Tatrów, syny innej natury, co je zrodziła wśród mąk i cierpień ziemia nasza, i wśród wywrotów całej świata dzielnicy. Te szczyty zrosłe u dołu kotliną czarną, pokryte śniegów płachtą niby

koszulą śmiertelną, bo tu skonanie wszelkiego żywota, i ciemno wiecznie i wiecznie zimno. Gdy po długiej fizycznej pracy, po twardszym jeszcze trudzie duszy, staniesz wreszcie na samém ostrzu łomnickiém, świat nowy, dziwny i straszny obejmie cię sobą. W głębiach pod tobą przeciągają chmury i pokryły sobą ziemię całą niby morzem nieprzejrzaném, a miotane oddechem wiatru, igrają falą i wzdymają się jakby oceanu wody. Turnie sterczą z chmur, jak wyspy wśród łona powodzi.

Wrychle wiatry tu i ówdzie przedarły obłoków opone, a po przez te szczeliny, jakby przez okna, widzisz w przepaści płatami świat zielony, rokoszny. Teraz rozstały się chmury, spadła zasłona ze sceny stworzenia, a już jakby mapą na dnie otchłani roztaczają się całe kraje, narzucone tkanicą, srebrną siatką rzek; zdala, na rąbku północnym widokręgu, świeci się stary Kraków nasz. Kręchy ciemniejsze, tu i owdzie rozsypane, znaczą porozrzucane szmatami bory, a w kropki i plamki bezkształtne spłynęły mieszkania ludzi, siola i miasta. Wszystko w głębi pozostało, i życie ludzi, i ok morskich gromady, i kosodrzewiny, i zwierzęta i rośliny, i trop dzikiej kozy i gniazda tatrzańskich orłów, i wszystko przepadło w toni głębokiej, przepadło życie i śmierć, radość i żal, śmiechy i westchnienia. Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim; sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły cię sobą; tam Ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezdno błękitów niebiańskich. Dech wiekuistości powiewa ochłodą, a przecucie nieśmiertelnej istoty twój wzmacnia się w piersiach, i tysiączne, dotychczas drżące w duszy, głosy budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tu-

teczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, — niby wieki całe rozdzielają cię od dnia wczorajszego. Zdaje ci się tutaj, jakbyś już przebył chwilę skonań twojego i odprawił już tę najcięższą i ostatnią pracę, i jakbyś tu teraz ocucił się z długiego snu grobowego, i przez wspomnień srzężogę patrzył się na lata twoje upłynione na ziemi, co jeno słabo jeszcze brzmią w sercu niby głosy dalekiej muzyki. Wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad Ziemią, niby dymy ofiarnych kadzidel; posyła je świat ku Niebu jako modlitwy dziękczynienia i zrękowiny swoje z Bogiem.

Mamyż się jeszcze w myśli postawić na śnieżnych czubach wiekuistój Himalai, czy na lodowych Andów lub Alpów rogalu? kędy atmosfera rzadka, misterna, nieza-farbowana więcej błękitną barwą, ale gdzie na miejsce lazurów niebiańskich już czarny i ciemny eter rozpostarł się na oném przestworzu wiekuistém świata, a twarz słońca i gwiazdy wszystkie palą się czerwonym ogniem?

Jeżeli człowiek, zapomniawszy o wątych siłach swoich cielesnych, pracowaniem fizyczném zechce się mierzyć z olbrzymią potęgą natury, już też stanie się podobnym do owych nieszczęśliwych podupadłych na rozumie i wystawionych tak po mistrzowsku w onym obrazku Hogartha, kędy biédak jeden, marząc na jawie i położywszy sobie szpargał starych nót na głowie, rozumie że jest wielkim kompozytorem. Tam znów drugi, w ła-zwym obłędzie, zamknięty w ciasnej ciemnicy, nagi, drżący od zimna, wyschły w szkielet, przykuty łańcuchem, siedząc na garści słomy, trzyma patyk w ręku, a opasał

sobie zwiędłe czoło papierem, marzy że jest królem, cesarzem, i żąda poszanowania i czci.

Tak się też dzieje, jeżeli sztuka wypuści z pamięci prawdziwe powołanie swoje, i jeżeli się pokusi pracowaniem cielesném naśladować naturę, zawsze w takich razach spaczy się w sobie i skręci. Jeżeli zaś sztuka pamiętać będzie, że jest pierworodną ducha córą, że ona z nadgwiazdnych światów ród swój wie, jeżeli rozgoreje zacném uznaniem siebie, już wtedy urośnie w olbrzyma, przerosnie naturę i wszelkie jój sprawy. Bo zaprawdę, drogi przyjacielu mój, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z ducha płynące. Zaiste, wysokie są Alpów i Tatrów przyczola, ale wyżej sięgają zacne człowieka sprawy. Gwiazdy goreją chwałą Boga na Niebie, ale piękniejszą Jego chwałą są czyny wielkich ludzi na Ziemi; wszak te jak i tamte z łaski Bożej się dzieją. Bóg promieniem swój wiekuistój mądrości, przeświecając świat materji, zapala go życiem jestestw milionów; ale gdy przejmie sobą ono najwyższe i ostatnie dzieło swoje, bo ducha człowieczego, wtedy już promień światłości Jego, jakby słońce przez pryzma kryształowe puszczone, zająśnieje złotemi barwami tęczy, i odradza się w duchu człowieka nową wspaniałością, bo zaświeci *wiarą, pięknością i mądrością*. Co człowiek zacnego i wielkiego sprawi, sprawi to błogosławieństwem nieba.

Przedewszystkiém atoli chciój rzucić okiem na istotę sztuki i istotę natury, a już stosunek ich wzajemny i ich różnice na jaw wystąpią. Jeżeli bowiem sztuki piękne są myślą i córami ducha naszego, wcielonego w materją, już jasno znać, iż świat fizyczny dostarczać

winien sztuce osnowy swojej, i niby materyalnój przyodzięwy. Pożycza on jęj dźwięku, tonów, marmurów, ciosów, metalów, barwy, a nadewszystko pożycza kształtów jestestw przyrodzonych, zjawisk i scen swoich; a sztuka, używszy tych materyałów, występuje z dziełami architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki i poezyi. Temu przeczyć nie można, ale tę prawdę wzięto mylnie za drugą i pomieszano ją z zasadą, jakoby sztuka piękna naśladowała naturę. Bo co innego zupełnie jest wyjawiać pracę duchową sposobem zmysłowym, a co innego brać sobie za wzór ostateczny jestestwa w naturze istniejące. Co więcćj, jeżeli mowa w sztuce o naśladowaniu natury, tedy można mieć tylko na oku rzeźbę i malarstwo; bo te niby pożyczają sobie kształtów z natury tworząc kształty ludzkie i zwierzęce, okolice, knieje i wody, niebo i skały, chociaż i tutaj posąg i obraz jest czémś więcćj niż gołym naśladowaniem natury, jak obaczymy poniżej. Ale jakże zrozumieć, iż architektura i muzyka naśladuje naturę? czémże mają być te nasze grody i tumy, ich sklepienia wsparte na słupach gotyckich; czyliż, jak niektórzy rozumieją, przypominać one mają puszcze i święte gaje, owe piérwsze przybytki dzikięj Europy? — Bądź pewien, że one były jakby gąbką wymazane z ludzkięj pamięci w czasie, gdy stawiono Mynster strasburski lub nasz kościół Maryacki. Jakież głosy w naturze ma naśladować muzyka? czyliż ona udaje może wichru gawory w drzewach, ptaków szebiotanie, lub ryk rozhukanych bałwanów? — sam wiesz, jak dziecinne i małej wartości są te kompozycye, co to tonami udają to bitwy z hukiem dział, to burze z piorunami, grzmotami, dęszczem i innym przydatkiem.

A co do poezyi, tu jeszcze mniej można mówić o naśladowaniu natury. Jeden rodzaj poezyi, to jest opisywy, może być niby najwięcej z tą naturą fizyczną w stosunku; ale on właśnie opisuje tylko naturę, ale jej nie udaje, nie naśladuje wcale. Pamiętam,—gdy w szkołach byłem,—czytywano nam na wzór z Wirgiliusza i Buffona obraz konia, i kazano nam uważać, jak tu słowa, nawet ich brzmienie i miara naśladują furkanie, świstanie, stapanie i rżenie rumaka; mnie się zaś zdawało, iż lepiej, niż te wszystkie sztuczne opisy, udaje konia długouchy kuzynek jego. Ale w jakichże stosunkach jest dramat, lira, komedia ze światem fizycznym? One zaiste zupełnie ze światem duchowym, z istotą umysłową człowieka są połączone. Można wprawdzie mówić, iż ten charakter romansu lub dramatu nie zgadza się z naturą, tak jak mówić można, że gra tego lub owego artysty dramatycznego nie jest naturalną; jednak zdanie takowe jedynie jest sposobem mówienia, bo tu pod wyrazem *Natura, naturalny* uważamy raczej zgodność z prawdą duchową a nie ze światem fizycznym, materialnym, to jest z naturą fizyczną, z naturą w ścisłym znaczeniu. Chociaż, jak obaczymy później, sztuka także bynajmniej nie ma celu, by i pod względem umysłowym rzeczywistość kopiować, by ludzi i pod względem ich umysłowego charakteru żywcem brać z rzeczywistego świata i przenosić do dzieła sztuki. Ale wróćmy do przedmiotu.

Choćbyśmy tedy mieli już prawo pominąć architekturę, muzykę i poezję, dowodząc jedynie, iż malarstwo i rzeźba są czémś więcej jak naśladowaniem natury, wszakoż błędność zdania tego wpływa nawet z ro-

zumowania ogólnego nad istotą sztuki, nie czyniąc tymczasem żadnej różnicy między sztukami w szczególności, choć nam rzeźba i malarstwo z natury swój najtrafniejszych użył przykładow.

Jak człowiek w sobie wzięty nie jest samym martwym zbiorem członków i części ciała, ale w obliczu jego, w oczach, w grze ogólnej jego osoby znać obecność ducha i właściwość jego charakteru, rozlaną po harmonii całej istoty jego, tak przez dzieła sztuki, przez ich formę zmysłową, niby przez ich ciało, przegląda duch mistrza. W każdym tedy dziele sztuki dwa są pierwiastki: jeden zmysłowy, a drugi duchowy; jak to już w drugim liście powiedziałem.—Patrz na obraz, zrodzony pod pędzlem *Salvatora Rozy*; tu na płótnie, na łokciowej przestrzeni, na równej płaszczyźnie zamknięte są wprowadzić piękności tajemnicze natury, w całej ich grozie; ale krom tego jest jeszcze jeden pierwiastek, którego rzeczywistej naturze brakuje—jest to duch mistrza sobie przytomny. Te malowane góry, skały, obłoki, urwiska, knieje i potoki, choć z natury wzięte, odrodziły się na nowo w duszy wielkiego mistrza, skąpały w jęj toniach, uduchowiały się, przeszły wskrós jego myślą, a tak wystąpiły na jaw. Kopiował on, lecz nie tę rzeczywistą, materyalną naturę, którą widział cieleśnemi oczyma swojemi, ale kopiował obraz jęj, jęj widmo, jakie mu duch zrodził i jakie w duchu swoim ujrzał; widziadło to stanęło przed oczyma duszy jego, uchwycił je farbami i rysunkiem na płótnie wielił. A dzieło jego właśnie dla tego ma wielką wartość swoją, iż nie jest kopią natury. Tak malował okolice *Rubens*, *Poussin*, *Claude Lorrain*, *Ruisdael*, *Józef Vernet* i wielu

innych świetnych talentów; tak maluje nasz *Głowacki Tatry*. Dzieła ich tém się różnią od prac mających li za cel wierne oddanie natury, iż jak te są prosto widokiem okolic (*vue—veduta*), tamte raczėj są widokiem w duchu samego mistrza. Patrząc się na widoki malowane, zajmuje nas nie mistrz ale rzecz, ale przedmiot, to jest okolica, którą obraz wystawia, i najczęściej nie pytamy wcale o malarza; w onych zaś dziełach mistrzów mniej, albo wcale nie zajmuje nas przedmiot, bo obraz wyobrażać może kilka biédnych krzaków, potok z mostkiem i kilka krów, ale podziwiamy mistrza.

Podobnie widzieć możemy najpyszniejsze wydanie historyi naturalnej z wybornemi wizerunkami zwierząt, ptaków, kwiatów; te wizerunki będą nas o tyle obchodziły, o ile wiernie naśladową naturę, o ile nas ta natura sama zajmuje, a w robocie chwalić może będziemy czystość i dokładność technicznego wykonania. Ale gdy ci *Hondekoeter* lub *Snyders* maluje zwierzęta i ptactwo, gdy staniesz przed malowanemi kwiatami *Jana Breughel* lub *Racheli Ruysch*, porwany będziesz nie już przedmiotami, które ci mistrz przedstawia i ich treścią, ale genialnością jego. Powód tego bardzo jasny, bo obrazy w historyi naturalnej i one widoki rzeczywistych okolic mają za cel jedyny oddać ci naturę jaką jest, więc téż ona tutaj jest przedmiotem, który cię głównie zajmuje; a odwrotnie *Poussin*, *Claude Lorrain*, *Hondekoeter*, roztwierając ci tajniki własnego ducha swojego, używają tylko natury za środek, za kanwę. Tu nie chodzi o treść, ale o sztukę mistrzów wyjawiającą się tym przedmiotem. Dla tego téż ich roboty do sztuki pięknej należą; obrazki zaś w historyi naturalnej i widoki

nie należą do dzieł sztuki, są one tylko pomocą dla nauk, nie są pojmowaniem natury artystyczném, ale naukowém, prozaiczném.

Kto zrozumieć nie może, co to jest pojmowanie artystyczne natury i jak wielka różnica między poetycznym a prozaicznym zapatrywaniem się na okolice, niechaj tylko się zakocha, a iście zaraz pozna różnicę tę; natura nagle się dla niego przeobrazi, uduchowni. Wszędzie, gdzie kochanie swoje widywał, gdzie miłość jego chodziła i natura się zmieni i odzieje się światłem i barwą duszy jego; jakże mu będą gaworzyć drzewa, rozmawiać potoki, świecić niebo, a krzak każdy, drzewo każde odzieje się poezją; świat w około ożywi się «lekkim gnomów i sylfidów narodem; zrozumie ptaków pogadanki, mienienie się złotych promieni w liściach zielonych, zgadnie postacie fantastyczne obłoków, podłucha cichy sen księżyca drżemiącego na pagórach», będzie miał oczy i uczucia artysty. A kto tego wszystkiego sam jeszcze nie doświadczył, niechaj tymczasem, nim na niego kréska przyjdzie, przeczyta, jeżeli może, owe tęsknoty pisane i drukowane młodych naszych poetów, z których jeden radby być wazonikiem na *jjej* oknie, drugi w ciekawej miłości firanką u *jjej* łóżka, a trzeci jakimś bladym promieniem księżyca na *jjej* podłodze, lub kanarkiem w klatce, i Bóg wie nie czém.

Jeżeli nie może być powołaniem sztuki, aby była kopią natury, wypływa z tego, iż wszelkie udawanie natury trąci śmiesznością i wzbudza wstręt i obrzydzenie. Do czego zaś kuszenie się takowe i podrzeźnianie natury prowadzi, już to najlepiej poznasz nie tak z dzieł sztuki, jak z innych prac ludzkich, mających istotnie

udawanie natury na celu. Dość ci będzie przypomnieć one skały na taczkach zwiezione, one groty wysadzone muszlami, i kaskady sztuczne, jeziora, któremi to niby zdobili ogrody swoje, a podobno, jak słyhać, jeszcze tam gdzieś zdołają. Podrzeźnianie takowe natury jest zawsze ekliwe i zdradza wielkie barbarzyństwo myśli; bo jeżeli roboty takie są drobiazgowo, wzbudzić mogą uśmiech; jeżeli poczynione na wielką stopę, wzniecają wstręt, nie wyjąwszy Zofijówki, tak Trembeckiego zachwycającój; bo czy małe, czy wielkie są takowe dzieła, brakuje im właśnie tego, coby ich urok stanowiło, to jest, iż są dziełem rąk ludzkich, a nie natury. Lecz co więcej, im bardziej się zbliży dzieło człowieka do natury, im ją wierniej kopiować zdoła, tém téż przykrzejsze będzie wrażenie, jakie sprawi na umyśle naszym. Wizerunki i portrety, trafione z najdokładniejszą wiernością, są nawet obrzydliwe w tém podobieństwie swojem.

Wstap do galeryi choćby najwyborniejszych figur woskowych, a znajdziesz tu wypukłości form jak w rzeźbie, i barwy rozmaitość jak w malarstwie; obie te sztuki są tutaj zjednoczone, a przecież obie razem zrodziły tylko ironią życia i śmierci: są to drwiny z umarłych i z żywych zarazem. Czém one są istotnie, najtrafniej poznasz, przypatrując się wrażeniom, jakie czynią na dzieciach i osobach mniej nawykłych do podobnych widowisk. Z jakąż nieśmiałością, z jakimże skrępowaniem duszy i wyrazów przypatrują się tym sławnym politykom, wodzom, autorom i rozbojnikom; widzowie znajdują się jakby pod wpływem nocnej zmory. Rzekłbyś, iż tu upiory różnych narodów i wieków zbiegły

się na jakieś sejmy swoje. Nie jest też milszy on szereg konnych królów angielskich ustawionych w korytarzu Toweru, lub ona woskowa królowa Elżbieta, przechowywana w szklanych kuferkach po różnych miejscach Londynu, lub kurfirsztzy saskie w zbroyowni drezdeńskiéj; lecz te wszystkie mają przecież jeszcze znaczenie pamiątki; czém inném także są preparaty anatomiczne z wosku, bo tu nie chodzi o piękność, o estetyczność, ale o naukę będącą głównym ich celem.

Może w téj chwili przychodzą ci na myśl owe figury drewniane średniowiekowego snycerstwa a pomalowane barwami, i przypominasz mi może arcydzieło naszego Wita Stwosza na wielkim ołtarzu maryjackiego kościoła w mieście naszém, co również łączy snycerstwo z malarstwem, a przecież nietylko nie wzbudza wstrętu, ale jest najwyższego wdzięku obrazem? Chętnie wyznaję, że ta grupa świętych postaci, stworzona ręką genijalnego mistrza, jest pełna najwyszszéj a rzewnéj piękności, że patrząc się na te figury, jakieś dziwne nadziemskie tchnienie idzie na lud, co tu pokoleniem po pokoleniach składał cześć Boga-Rodzicy, modląc się do niéj z serca i powierzając jéj głębokie duszy tęsknoty, bóleści i nadzieje swoje. Na to chętnie się zgadzam; ale bo też jest ogromna różnica między widokiem figur woskowych a tém dziełem starego mistrza; w niém zaprawdę powiewa dech chrześcijańskiéj sztuki: lecz o téj sztuce i o téj pracy obszerniej jeszcze powiemy w innym liście, gdy nam wypadnie bliżej rozebrać istotę romantycznych stuleciów.

Są ludzie mający osobliwą zdolność i ochotę udawania zwierząt; naśladują np. pianie kogucie, ryk by-

dłat, miauk koci, ruchy wiéwiórki i t. d. Za pierwszą razą udawanie takie może rozśmieszyć, ale później stanie się ekliwém. Dla tego póki będziesz naprzykład przypisywał istotnie pianie kogutowi, głos ten nie będzie miał nic w sobie przykrego, skoro się atoli przekonasz, iż to człowiek pieje a nie kur, wnet sprzykrzysz sobie te sztuki i zechcesz się czém rychléj uwolnić z ich sąsiedztwa. Dla czego widok małpy i jéj obyczajów taki sprawia nam wstręt, którego do innych zwierząt nie czujemy wcale? oto właśnie dla tego, iż ciało małpy przypomina człowieka, gdy tymczasem dusza jéj jest zwierzęca w całej bezecności swojej, jest to wydrzeźnianie i paskwil na naturę ludzką. Nie dziw iż genialny Retsch, rysując scenę do Mackbetha Shakspearowego, użył małpich postaci do maszkarów szatańskich. Kto zechce mieć wierną kopią natury, może tego dokazać prostą technicznością bezduszną; niechaj sobie zdejmie maskę gipsową z umarłego lub z żywego człowieka podającego się téj operacyi; może go téż chemia zastąpić, niech tylko daguerrotyp nadstawi naturze, a złowi ją żywcem jakby rybę w saku. Wiész dobrze, iż po wynalezieniu téj maszyny, tak bogatéj w skutki, byli tacy, co obaczywszy mikroskopową dokładność jéj płodów, już radzi byli zaśpiewać wieczne odpocznienie malarstwu, nie zważając właśnie, iż daguerrotyp zabił tylko kopiistów a nie istotnych malarzy, jak wynalazek druku zabił przepisowaczów a nie autorów.

Najtrafniejszy wizerunek jakiegś twarzy, wymuskany z największą dokładnością i pracą, z udaniem każdego włoska, nieskończenie mniejszą ma wartość, jak kilka zarysów wielkiego mistrza, pociągnionych węglem

na ścianie, lub genialne skice Piotra Michałowskiego. Niedawno widziałem prześliczny zbiór rysunków Rafaela; zarysy niby z niechcenia tylko piórem i tuszem rzucone, a jednak tam widzisz improwizacją ducha gorącego ogniem bożym. Na jednym zwłaszcza półarkusza jest kilka pomysłów do obrazu Madonny. Znać jak dusza mistrza natchniona rośnie, wzmaga się w sobie, każdy pomysł zradza następny, pełniejszy, bogatszy, formy coraz przejrzystsze, świętsze i wolniejsze od powłoki zmysłowej; rzekłbyś, iż, gdy je Sanzio kreślił, słuchał pieśni niebiańskich, co na skrzydłach cherubiniowych spuszczały się z gwiazd na ziemię; a były te śpiewy coraz silniejsze, bliższe a bliższe, aż ogarnawszy powodzią harmonii duszę jego, uniosły go z sobą ku Niebu, kędy przez rozsunioną obłoków oponę ujrzał oblicze Królowej Nieba Boga-Rodzicy.

Tak wszędzie i zawsze znać, iż sztuka jest córą ducha, w najwyższych chwilach jestestwa jego poczętą, a nie zaś niewolnicą form narzuconych jój od natury.— Zważ atoli, że z téj prawdy, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, bynajmniej nie wypływa, jakoby ona mogła ważyć lekko sobie przyrodę i cały ten piękny Boży świat, co nas w koło otacza jakoby dramatem stworzenia. Wszak są rodzaje sztuki, których właśnie istota na tém zawisła, aby kształty natury zidealizować i unieść je w dziedzinę piękności. Takim rodzajem sztuki jest malarstwo i rzeźba, a nawet pod pewnym względem i poezya. Te to sztuki właśnie winny dokładnie poznać naturę, zrozumieć głębokie jój tajemnice, pojąć jój ruchy, życie i tętno. Bo jeżeli w sztuce prawda ma się powlekać kształtami przyrodzonymi, potrzeba téż,

żeby te formy nie były spaczone, ani kłamliwe, ale winny być rzetelne, to jest takie, jakie istotnie znajdują się w naturze. Jeżeli np. w obrazie mistrz, z braku zgłębienia natury, chybi w perspektywie, kolorycie, anatomii, w rozdzieleniu światła i cieniów i tym podobnie, — toć takowe uzmysłowienie, same błędne będąc, nie zdoła godnie odpowiedzieć prawdziwości myśli. Treść czyli myśl wewnętrzna dzieła, sztuki, samą prawdą będąc, winna téż mieć formę prawdziwą; dla tego więc mistrz, chcąc wydać myśl swoją pod formą zmysłową, znajdzie zawsze odpowiednią formę w naturze, bo jestestwa natury, jak i myśl prawdziwa, wspólne mają źródło, — obie płyną z najwyższego rozumu.

Jeżeli zaś wiek jaki lub naród nie dobił się jeszcze prawdy, jeżeli nie ma jeszcze jasnej i ukończonój w sobie wiedzy, jeżeli sam nie jest jeszcze świadom ducha swego, wtedy téż myśli jego nie są prawdą, ale urojeniem; nie znajduje więc dla nich w świecie rzeczywistym, w naturze, form odpowiadających, ponatwarza postaci fantastycznych, dziwolężnych; świadkiem tego są owe rzeźby potworne bożyszców indyjskich, owe wieloręki i wielogłowe poczwary, których nie ma w naturze, a które tak są kłamstwem jak jest kłamstwem myśl, którą one uzmysłowić mają. Przeciwnie u Greków, gdy myśl się wyrobiła, więc téż wyrażała się we formie prawdziwej, bo w postaci jestestw rzeczywiście istniejących w świecie, zwłaszcza w postaci człowieczeń. Inne formy zaś fantastyczne należą u nich do wyobrażeń pierwotnych i mają znaczenie symboliczne tylko.

Zechciej zresztą zważyć, iż gdyby jedynie o naśladowanie natury chodziło, jużby było zupełnie obojętném,

jakiby był przedmiot natury do naśladowania wzięty; byleby tylko był dobrze udany, jużby téż i dzieło było doskonałe. A przecież na to się nikt nie zgodzi, owszem każdy żądać będzie, aby mistrz przebierał i, co piękniejsze w naturze, za wzór sobie uważał. Otóż w żądaniu takowém już są dwie rzeczy zamknięte, na które uwagę twoją zwracam: naprzód, żeby w takim razie wszystko od wyboru przedmiotu zależało, który może być bardzo rozmaity; powtóre, żądanie takowe zawiera już i wyznanie, iż nie wszystko w naturze jest piękném i że tedy nie cała natura godna naśladowania; nareszcie, że i sąd o piękności przedmiotów do umysłu należy, że tedy duch człowieka w sobie ma próbiérz i miarę piękności, a tak mimowolnie już przyznana jest w sztukach wyższość ducha nad przyrodą. Jeżeli zaś człowiek w sztuce pięknej ma wybierać co jest najwznioślejszém w naturze, wypływałoby znowu ztąd, iżby winien być w takim stosunku do natury, aby właśnie najogromniejszą jój stronę, najwyższą jój potęgę w całej świeżości jój uroku poznać mógł. Ale rzecz zupełnie przeciwnie się ma, bo właśnie najbogatsze skarby piękności przyrodzonej albo są z trudnością przystępne dla sztuki, albo téż na zawsze zasłonięte przed śmiertelnymi oczyma ludzi. Jeden rzut oka na naturę wrychle nas o tém przekonać zdoła.

Człowiek, ciałem swém z prochu do ziemi przykuty, zdolen jedynie marzyć o przestworach niebiańskich, bez końca, początku i granic jak wieczność, kędy światów, słońce i planet tłumy bieżą niby pochodnie Boże po czarnym eterze, czerwonym jaśniejąc płomieniem. Na skrzydłach wyobraźni jedynie zdoła przelatywać to

Królestwo Niebieskie, mijać tych gwiazd oceany, póki ziemia nasza wraz z księżycem swym nie zleje się w jedną świecąą kroplę, póki zupełnie nie utonie atomem w przepaści niebios. Nie daremnie to już Plato marzył o muzyce światów, o harmonii sfer. Ale pocóż rzucać się w te myśli zawroty? alboż to nasz własny planeta, owa matka ziemia, nie stroi się w klejnoty cudownego uroku, ale tak odsunione od świata i sztuki pięknej, że tylko trafem szczęśliwym ktoś tam z Europy zabłądzi. Spójrzjmy na one zwrótnikowe puszcze, ogromne, wiekuiście, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów, tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszej chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicstwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura, niewidzianej u nas siły, jakby kościołem Bożym obejmie cię do koła. Paprocie, znane naszej ciemnej i biednej północy jako mdłe i nikłe trawy, i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią rozłożystą i powiewną kitą. Ciemno-listne figi, lub palmy wysmukłej i poetycznej formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym splotem w ciemną strzechę, co nie przebita słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłódze, a pnie drzew niby lekkie śmiałe kolumny podpierają borów strop. Tu nie ma próżnego miejsca; krzewy, trawy, kwiaty i zioł tysiące gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedno drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamo-

żność przyrody, w całej mocy i uroku, cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacya tak dzielna, iż zewsząd kipi bujnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące ciżbą wiją się węzem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierchołów na wierchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi linami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoją. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdym drzewie jest tych kwiatów bez liczby, różnych kształtów i różnej barwy; bo odmienne z natury swojej pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach i, wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące niby czarem nad ziemią wzniesione. Scena ta cudownego powabu zaludniona jest gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, jakby się skapały w złotém świetle słońca, a roje płocze różnogatunkowych małą swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub chuśtając się po rozwieszanych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, albo witają go pociskami gałęzi lub orzechów kokosowych; gdzieś znów z daleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia wylany jest na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wiecznym natury weselem. Lecz gdy uragany się rozsza-
leją, gdy burza grmiąca zaryknie nad puszcza i ogniem

błyskawicy zajmie się niebo i zajaśnieje pożarem siarczystym, puszcza uchwycona we wichru objęcie miota się z nim, pasuje i szarpie; wtedy chmury ciężkie, czarne, pękają z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby katarakt huk. W lesie kołysanym burzą — jeszcze sucho, jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo i otworzy nawalnicę okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drząc do nor — powszechna trwoga, bo życie lęka się szалу żywiołów, a ślepe potęgi natury są zawsze wrogiem organicznej przyrody.

Tu, do tej czystej krynicy stworzenia, niechaj chodzą malarze i wieszeze, by odświeżyć ducha swego w tej naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszym zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacyi, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona, niewycieńczona na siłach, bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia, przeczekawszy wieki w spokojnej swobodzie, padają nareszcie nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń; zagrzebują je jakby w grobie gęste i stare mechy, latorośle młode i ławy grube liści, długim lat szeregiem złożone. Gdzieniegdzie tylko sterczy z ziemi konar zuchwałém ramieniem, dając znać, iż w tej dzikiej i wolnej przyrodzie śmierć włada. Tu jednak śmierć odradza się żywotem tysięcznych postaci, roztula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiące pieśni śpiewaków skrzydlatych.

Ale tych cudów natury my tu w Europie nie znamy; u nas ona podeszła, zaledwie zachowała zarysy swój dawnéj piękności, a nim cywilizacya rozłoży się w tych tam błogich stronach, już téj natury więcej nie będzie. Nim sztuki zatkną tu panowanie swoje, wprzód rolnik zaorze ziemię, a siekiera wyprzedzi pęzel. Natura niknie przed cywilizacyą, jako przed wyższą od siebie potęgą, świat fizyczny korząc się ustępuje duchowemu; wszak i ten ma swoje kwiaty, ale kwiaty co nie więdną nigdy, i wieńcem niezatartéj chwały stroją skronie człowieczego rodu: temi wiecznotrwałemi kwiatami są piękności dzieła. Tak natura, dotknięta śmiertelnym ciosem od ręki człowieka, jakby konając uczy go jeszcze, by z przybytków własnych piersi swoich dobył piękności wzorów: ona umierając uczy, by dzieła jego, nieśmiertelności przekazane, nie były wizerunkiem martwym jestestw, co same są marne i przemijające.

Czyliż cała przeszłość ziemi naszój, cała historia jój żywota nie jest dobitną i głośną nauką, iż natura w najsilniejszym ogromie swój wielkości obojętną jest na oko człowieka, i że ona podziwienia jego nigdy nie miała na względzie; bo właśnie gdy planeta nasz odprawiał młody wiek swój i burzył się dzikich sił potęgą, sztuka piękna nie zaznała go jeszcze.

Słuchaj, co mówią geologowie o onych lat tysiącach, co upłynęły niepowrotnie do wieczności łona; rzekłbyś, że ci plotki prawią, gdy na zasadach pewnych, na faktach niezaprzeczonych wysnuwają cały wątek przemian i wywrotów, jakie przecierpiała Ziemia, nim te części świata nasze, te twierdze lądów osiadły osta-

tecznie na węglach swych. I księgi święte nawet wspominają o powodziach ziemię trapiących, a tak jakby pieczęcią wierzytelności potwierdziły głębokie prace, bystre badania umiejętności czasu naszego. Zapuść się w głębiny ziemi, rozświeć te jój tajniki ukryte przed światłem dnia białego; odważ te warstwy skalne, co jakby wiekiem kamiennym późniejsze przywalały stulecia; tu jakby w podziemnym grobowcu znajdziesz hieroglifami wypisane dawne dzieje świata: myśmy się już teraz nauczyli czytać hieroglify te. Zanurzając się w głębie ziemi patrz, jak te ławy i warstwy skalne jedne na drugich rozpostarte, niby karty kronik ziemskich, a znów po kilka lub po kilkanaście ich stanowią osobne grupy, oddziały, niby tomy oddzielne, z których każdy do innej wielkiej epoki czasu należy; wody je w długim i w bardzo długim przeciągu osadziły. Te ławy skalne atoli tu i owdzie pękły, rozwarły się, zesunęły i podniosły się w górę; tam znów są pogruchotane, wykręcone, a sprawcami tych wywrótów i nieładu pokładów były massy roztopione ogniem podziemskim, co z głębin wykipiając gąszczem rozpalonym cisnęły się w górę, gruchoząc, podźwigując, rozrywając i przeginając ławy dziełem wód będące. Te massy wrzące ostygły, stężały w ciągu wieków; są to bazalty, porfiry, gnejzy, granity sterczące grodami Alpów, Tatrów i gór olbrzymich Ziemi naszej, i stanowią jakby jój wzrąb i wiązanie. Tak, na rozkazanie Boże, ognie i wody były budownikami kształtów ziemskich, jako je dziś widzimy, a dzieje rodzenia się ziemi są pełne boleści, okupione śmiercią całego świata jestestw żyjących. Srożenie się dzisiejszych wulkanów, trzęsienie

ziemi dające się uczuć po przez pół oceanów przestrzenie, i owe podnoszenie się lądu Szwedzkiego na ogromnej przestrzeni od Kalmaru do Torneo odbywające się do dziś dnia pod oczyma naszemi, toć wszystko jest niby drobiazgowe porównanie z gwałtami, jakich doznał niegdyś planeta nasz przez podźwiganie się onych skał ogniowych.

Przemiany te i wywroty wszystkich kształtów lądów ziemskich, przetwarzania takowe po kilka razy się powtarzały, a była ta tragedia świata z wielu — z wielu bardzo aktów złożona. Lądy, tracąc dno pod sobą, zapadały się w głębiach, a posada oceanów wyparta, wysadzona do góry, zalewała powodzią suchą ziemską; tak lądy stały się trzonem mórz, a dna oceanów lądem i zniknęło wszystko, co było żywe. Ale gdy wody się rozbiegły, a ziemia powiewiem ciepłym wyschła, wtedy ustroiła się znów w łąki, knieje ciemne, trzeciną i kwiatem dziwnego rodzaju, a na téj scenie nowi okazali się mieszkańcy nowego i dziwnego kształtu, a po grobowej ciszy natura zabrzmiała z całych piersi nową żywota pieśnią; aż gdy znowu na nią kolej przysła, wszystko przepadło w żywiołów zamęcie, i znów mór padł na żywot wszystek, i znów dziki szum i grzmot rozhukanego morza zagłuszył wszelki żywota głos i sobą pochłonał, a wszystko, co na suszy było, pomarło. Ale duch Boży unaszał się nad wodami, i zawarte są źródła przepaści i okna niebieskie, a zahamowany jest dészcz z Nieba i wróciły się wody z wierzchu ziemi idąc i wracając się. Nowe zaranie zajaśniało nad światem i obudziło umarłe życie, a natura znów przywołała jestestwa wszystkie do wielkiej żywota uczt.

A jaka musiała być ta natura i to życie, już łatwo zgadniesz przypatrując się onym zabytkom w puściźnie z dawnych lat nam zostawionym, bo ona stara kośnica, ziemia nasza, pełną jest szczątków i resztek zwierząt i roślin. W głębi, do tysiąca stóp poniżej posady morskiej, znachodzimy w kamień obrócone kości zwierząt ssących, a nawzajem na szczytach alpejskich, na kilka tysięcy stóp wysokich, złożone są zabytki muszli, ślimaków i innych jestestw morskich. Gdy w Irlandyi znachodzą róg jeleni na 5 łokci długi, a 300 funtów ważący, Pan Ehrenberg, professor berliński, znów dowiódł drobnowidzem, iż w jednym granie trypli znajduje się 187 milionów zwierzątek mikroskopowych, które niegdyś żyły. Tak tedy cała kula była życiem hożem i pełnem siły, z którym porównana dzisiejsza, choćby uważana w onych puszczech zwrotnikowych powyżej ci wspomnianych — jest martwą i głuchą. Ale też pod wiecznymi lodowcami i nigdy nie topniejącymi śniegami podbiegunowej trupiiej strefy, odkrywamy skamieniałe reszty organicznego świata, będące téj samej istoty, co dzisiejsze nasze zwrotnikowe, mogące się tedy udawać tylko wśród spieków i waru ciepła. W zimnej północy Europy i Azyi znachodzimy kości krokodylów, słoniów i lwów, mających ojczyznę swoją wśród skwarnej strefy, gdzie nigdy nie ma zimy.

Nie mówmy, iż te cząstki spławione zostały falą oceanów, boć sposób, w jakim one pogrzebane są, jawnie świadczy, że w tych samych miejscach zginęły, kędy je znajdujemy. Weź np. one reszty palm i paproci w sąsiedztwie bieguna północnego znalezionych, a obaczysz, iż wszystkie ich cząstki, nawet najmister-

niejsze, jako kwiaty i kity, w całości zachowane są; co-by przecież być nie mogło, gdyby były falą z pod równika aż pod biegun przyniesione. Z tego raczej rośnie pewność, iż cała kula ogrzana była skwarem, ciepłem pochodzącem właśnie od tych podziemnych ogniów, co z głębi przygrzewając roślinom i zwierzętom czyniły świat do szklarni podobnym, a wilgocia nasycona atmosfera, bujna i nowa ziemia, dodawały aż do zbytku siły i przesycaly sokami świat żyjący. Natura zwłaszcza kochała się w płodach dziwacznych i igrała fantastycznemi, pełnemi swawoli kształtami. Ni tu miejsce, ani czas potemu, żebym się miał nad tym światem tak osobliwym rozszerzać, pozwolisz tylko, bym ci kilka tych jestestw jakby na próbkę przedstawił; będą dostateczne, by okazać biédotę naszej dzisiejszej Natury w porównaniu z pierwotną jej wielmożnością. Geologowie złożyli te zwierzęta doskonale z kości, jakby z mozaiki, a genialnie wysnuli wątek ich obyczajów i naturę.

Była epoka ziemi, mówią geologowie, osobliwie obfita w płazy, a były one olbrzymie, bo z kościotrupów znać, iż miały do 100 stóp długości. Czyliż ci wspomnieć o onym ichthyosaurusie długim do 30 stóp, co to był na poły rybą, na poły jaszczurem, a łączył w sobie kształty zupełnie różnych od siebie zwierząt, bo kręgi rybie, głowę jaszczurczą, płetwy wieloryba, ogon tęgi, ogromny, w paszczy 180 zębów krokodylich, oczy tak wielkie, jak głowa męzka, a tak sztuczne, że mu do wszystkiego służyły. Gdy je ścisnął lub na wierzeh wysadził, miał z nich wyborne mikroskopy i widział co najdrobniejszego, a gdy je roztworzył, zamieniał je na te-

leskopy i dostrzegał najodleglejszych przedmiotów? Wiész, że ten ichtyosaurus zjadał współczesnego mu towarzysza wód plesiosaurusa, podobnego jemu dziwaka: ten miał 12 stóp długości, tułów i ogon jakby u zwierza ssącego, pletwy wieloryba, zęby krokodyla; nurek to był wyborny, bo miał płuca ogromne i silne, szyję długą jak wąż, legiwał sobie znać w trzcinie nad wodą, kędy strzelał głową na wszystkie strony za mniej silnemi zwierzętami; zaiste jednak nie dostał plać ichtyosaurusowi. Czyli może wolisz onego osobliwszego pterodaktyla, co to był pół ptaka, niby nietopórz, ale ogromnej wielkości, a miał w paszczy 60 zębów krokodylowych, a oczy nadzwyczajnej wielkości, bo zapewne w nocy polował, co mu to ze skrzydeł wychodziły niby palce, zakończone długimi szponami, nogi tylne tak silne, iż złożony skrzydła wygodniej na nich stać mógł, a u nóg między palcami były błony do pływania. Otóż o nim to Buckland, sławny geolog angielski, powiada, że miał wszystkie zalety szatana w Miltonie, bo mógł, gdy mu się podobało, latać po powietrzu i z niego spadać na zwierzęta, pływać po wodach i chodzić dowolnie po lądach. O tych ogromnych żółwiach, hyenach, lwach, tygrysach, słoniach i t. d., z którymi porównane nasze dzisiejsze nikną i są drobną fraszką, ani ci już wspomnę.

Lecz Natura pierwotna nie tylko w kościach skamieniałych zostawiła nam po sobie dziedzictwo, ale obwijając swoje przedpotopowe muszki i robaczki burztynem, lub mroząc biegunowem zimnem ciała potworów, udarowała nas niby pamiątkami dzieł swoich. Dawnoż to, jak przy ujściu sybirskiej rzeki Leny, kry

przywiozły z pod bieguna zwłoki pierwotnego zwierza; trzy lata leżał sobie nietknięty, bo lody broniły przystępu, aż nareszcie zdobył go przecie naczelnik tam mieszkających Tunguzów. Był to mammut w całej zupełności, bo z ciałem, kośćmi i sierścią, jak gdyby przed kilku dniami zmarły. Tunguzom zdawało się, że najstosowniej uczczą ten stary ułomek zapomnianego świata, skoro jego mięsem nakarmią psiarnią. Coć się i stało. Tym sposobem owo zwierzę, świadek zaiste potopu, przechowany pod opieką wiecznych mrozów przez tyle tysięcy lat, skończył tak mizernie karierę swoją i dopełnił przeznaczenia swojego. Szczęściem szkielet prawie cały i szmaty skóry, uratowane na czas przez uczonego rossyjskiego, znajdują się dziś w muzeum petersburskiem. Ba! ale po cóż nam Leny, blisko nas, bliźniuteńko znalazłbyś podobnych Tunguzów.

Jeżelim ci się może zbyt rozpisał o owych zwierzętach kopalnych i o owych dziwolężnych potworach, alem sobie do takich zboczeń wyrobił przywilój u ciebie, a uczyniłem to zaiste nie dla tego, aby mogły być wzorem piękności, bo téj pretensyi nie mógł mieć zapewne ani on pterodaktylus lub plesiosaurus i towarzysze ich, ale miałem raczój na celu okazać bujność, siłę i fantastyczność nieprzebraną natury owój. Ledwie najśmielsza wyobraźnia zdoła w myśli skreślić sobie, choćby słabym zarysem, on żywot, co wrzał na łonie pierwotnych epok czasu naszego. Również ogromne a nawet ogromniejsze i fantastyczniejsze jeszcze było państwo roślin, bujające w promieniu słońca a ocieplone dojmującym skwarem własnego planety. A jeżeli świat zwierzęcy właśnie dla bujności téj natury porannój wy-

paczał się we formy dziwaczne, toć zaiste ta sama potężność sił przyrodzonych stwarzała świat roślinny najwyższej piękności; w niej, jak myślę, estetyczność przyrody pojawiała się w całym blasku zamożności swojej. I być inaczey nie mogło—naprzód zbudowały się góry, doliny, twierdze i morza i cała natura nieorganiczna; później wybujała przyroda państwem roślinném, później świat zwierzęcy nabrał kształtów doskonalszych, a gdy już dom był gotowy, wtedy zjawił się dopiero sam pan téj natury—człowiek. O téj roślinności pierwotnego świata my już w dzisiejszój epoce wyobrażenia nie mamy, społeczne nam lasy i bory choćby zwrotnikowe są słabym tylko odcieniem téj młodej potężnej natury. Dowodzą tego puszcze całe skamieniałe, w głębiach ziemskich zamknięte lub schowane na dnie morza, a nadewszystko one ogromne ławy i kopalnie węgla kamiennego, nie będącego niczém inném, jak przeobrażeniami zabytkami borów pierwotnych; a strojne i pełne kokieteryi kwiaty, kity, gałązki niby malowne, zdobią jakby pokojowe obicia paryzkie ściany kopalń węglowych, wysadzają ich stropy wieńcami i gałązkami prześlicznych i cudnych rysunków. Te puszcze zwęglone, te olbrzymie drzewa i bogactwo skamieniałych roślin są zwiędniętym wiankiem weselnym starój matki ziemi naszój. Lecz czémże był człowiek w onych świata epokach? Otóż wśród tych zwłok, wśród stosów kości, co jakby cementarzem zasypały skorupę kuli naszój, dotychczas nigdzie a nigdzie nie znaleziono kości człowieczych. Czyliż wierzyć, mówi Cuvier, że człowiek nie patrzył jeszcze na te przeobrażenia się świata?

Nie wdając się w zaciekania pod tym względem, to

przecież pewna, że tych epok nie zaznała historia człowieka, i że je tém mniej sztuka zaznać mogła. Natura w chwilach, gdy była olbrzymich sił i rozwijała całą potęgę panowania swojego, była zupełnie obcą dla pamięci człowieczego rodu. Bo natura stroi się sobie i Bogu na cześć, ona obejdzie się bez człowieka, ona sama sobie jest celem i samolubnie w siebie się patrzy. Ale piękność sztuki jest rozmową duchów, jest uroczystością weselną, w której niebo i ziemia odprawują śluby swoje: a na to święto a wesele wezwani współbracia wszyscy, współbracia w duchu. Sztuka piękna, łącząc czarem swęj potęgi w jedno wielkie koło wszystkie jestestwa nieśmiertelnością natchnione, jest hasłem i językiem wszystkich narodów i wieków. Cześć i zamięłowanie piękności jest spólném sercem świata, z niej jakby krew rozdziela się ciepło i życie na wsze jestestwa rozumne i na stulecia wszystkie. Sztuki piękne samotne, bez współczucia, nie miałyby wagi: one są wspólnym udziałem świata całego; wszak, gdy zabrzmia srebrne struny jednej liry wylewając się śpiewów potokiem, już i milezące jej siostry zadrgają w sobie i z cicha szepejąc zawtórują wiekuistę pieśń. Życie sztuki jest zupełnie duchowe, przybrane jedynie w materii szaty i na wzajemności stoi. Natura zaś sama jest materyalna tylko i obchodzi się bez wzajemności i współczucia.

Widzisz tedy, iż ze wszystkiego, com powyżej rzekł, wypływa głównie ta prawda, że człowiek, choćby nawet chciał, nie jest mocen naśladować naturę; wszak nawet mistrz, czyli raczej kopista najskrupulatniejszy nie zdoła udać ani jednego listka tak dokładnie, aby już

nie było różnicy między jego kopią a rzeczywistym listkiem; a w końcu pytamy, na coby nam się zdała sztuka cała, gdyby jój chodziło jedynie o naśladowanie niewolnicze, o kopie tego, co już posiadamy rzeczywiście w naturze, w oryginale, bez wszelkiej pracy.

Zważ jeszcze, ta niemożność wiernego kopijowania natury sama już przez się okazuje, że sztuka inne ma powołanie, że ona nie powinna naśladować natury. Natura choć tak wielka, tak wspaniała, jest doczesności córą: na jój jestestwa biją przypadki tutecznego świata, żadne z nich nie zdoła się rozwinąć z całą swobodą, z całą pięknoscią swoją; na każdym z tych jestestw ciąży jakby klątwa pierworodnego grzechu, niedostatek i bieda ziemska i śmierć. Nakoniec chciej baczyc: każde jestestwo natury, choćby się jakimś szczęśliwym trafem rozwinęło swobodniej, piękniej, przecież i w tym tak nadzwyczajnym razie będzie tylko wyobraźnikiem swojego rodzaju, swojego gatunku, a tém samém wyjawy tylko jedno ogniwo całego łańcucha natury, jeden jój ułomek; dzieło zas sztuki pięknej jest całością, a całością w najwyższém znaczeniu, bo w niém przebywa duch wiekuisty, nieskończony. I to jest różnicą najogromniejszą zachodzącą między dziełem sztuki a jestestwem przyrody, i to jest powodem, dla którego sztuka nie może i nie powinna być naśladowaniem natury. Do téj prawdy jednak, tak ciężkiej wagi, często jeszcze powracać będę: co tutaj wyrzekłem, niechaj w téj chwili nam wystarczy.

Lecz równie obaczmy na inném miejscu dokładniej jeszcze ogromną wartość, jaką ma dla mistrza zapamiętywanie się świeże, miłości pełne, na naturę; tutaj tyl-

ko powiemy, że gdy mistrz ma łączyć w jednoświat duchowy ze zmysłowym, więc z przyrodzonym, niechaj otworzy duszę swoją i serce zjawiskom zmysłowego świata, niechaj skąpie serce w źródle wiecznie świeżym uroków natury, a wzmoże się uczuciem, a spotęguje się natchnieniem, i obroni się wszelkiej niemocy mogącej spaczyć myśl i zapatrywanie się jego na świat.

Miłość do natury i jej pojawów stanie się dla każdego człowieka, i mistrza i nie mistrza, jednym z aniołów stróżów, co go wiodą przez życie i świat, dodając otuchy i pociechy wśród chwil smętnych i opuszczonych na pielgrzymce jego żywota.

Wszak duch nasz i natura zarówno wyszły z twórczej dłoni Bożej; czyliż więc się temu dziwić, że te ciche tony mądrości, te mistrze wszech światów, brzmiące w jestestwach przyrody, budzą też w sercu naszym spokrewnione im muzyki. Duch nasz tedy znajduje w pojawach zmysłowej natury odpowiednią sobie symbolikę. Co w duchu jest myślą, uczuciem miłości, nadzieją i wiarą, to on widzi przed sobą w przestrzeni, w téj biednej martwej naturze, lub w senném życiu bezduchowego świata. Niechaj tedy młodzieniec każdy pozna tę naturę, niechaj wiedza jego spina się po wszystkich jej szczeblach, począwszy od atomku, co igra w eterach promienistych, począwszy od zawiązku błyszczącego kryształka, co buduje ścianki swoje około niewidomego punktu niby serca swojego, od żyjątko, co jest dopiero punktem drgającym; a niechaj się ta wiedza posuwa coraz wyżej, na coraz wznioślejsze natury przyczoła, aż się nie zatrzyma przed postacią człowieka!— Gdy tu wiedza badawcza stanie, już ona nawykawszy

do wznoszenia się od stopnia do stopnia, uzna że i ta postać doczesna człowieka, choć pełna uroków, choć ostatniem natury słowem, nie jest przecież ostatniem słowem Królestwa Bożego, a myśl, zdjęta tęsknotą nieskończoną, urosnie w skrzydła wiekuiste, rozepnie te skrzydła swoje, i jakby ptak wędrowny uniesie się w inne światy, w światy duchów, kędy już nie omdleją skrzydła, kędy nie umierają kwiaty, a seree nie zapłacze boleścią!

Gdy młodzieniec pokocha z całego ciepłego serea tę naturę, i zrozumie mowę martwych kamieni i skał, gdy pozna żywoty robaczek brzęczących po ziołach, i orłów tatrzańskich loty, gdy się nauczy mowy lasów ojczystych co mu prawią tajemnice w gaworze swoich drzew,—gdy się nauczy witać po imieniu te kwiaty, co mu rosną po łąkach ojczystych, i po mogiłach i grobach; gdy zdoła czytać w tych hieroglifach, co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków, lub w mglistych postaciach gór na widnokręgu; gdy młodzieniec całą naturę zamknie w sercu swojem, już ta natura odda mu stokrotnie te miłości jego; ona ostudzi palące biedy życia i ukoji zadane od ludzi sercu rany, ona mu będzie księgą do nabożeństwa, na której zamodli się duch jego Panu. Ta miłość do natury będzie młodzieńcowi obroną od myśli niedobrych i utwierdzeniem w cnocie. Szepty borów stron rodzinnych, kwiaty na grobach ojcowskich, co słuchały uczuć młodocianych, gdy w głębi duszy swojej zaślubił się zacności i prawdzie, będą mu talizmanem przez życie chroniącym seree od skazy..

Lecz znajomość natury i jej spraw ściśle spokrewniona z estetycznem zapatrywaniem się na naturę

(ob. wyżéj). Tajemnice przyrody, to jéj życie ukryte, ciche, stanie się dla młodzieńca artystyczności zarodem. Bo miłość jego do téj przyrody bożéj wleje w te jestestwa stworzone ducha, ożywi je ciepłem własnych uczuć, uczyni z nich piękności dzieła, bo przebaczy niedostatkom jestestw natury i uzupełni je, nadając im wdzięki własnéj duszy swojéj. Co biedne i ułomne w rzeczywistości, to on dojrzy jakby jasnowidzeniem wzniesione do uroków nadziemskich, a ciężkie, grube tuteczne zjawiska staną się przejrzyste, niby przeświecone własnym duchem, staną się lekkie, eteryczne, bo uskrzydłone lotem własnych uczuć jego. Tak każde jestestwo, co jest ułomkiem świata, w oczach człowieka z duszą ciepłą zmartwychwstanie wdziękiem i stanie się własnéj jego wiekuistości prorokiem.

Prawda, że usposobienie różnych ludzi tak jest różne, że nie każdy zdoła równie snadno ubrać sobie świat promieniem i barwą własnéj duszy, ale przecież każdy z nas winien, ile go stać, nawyknać zawczasu do zapatrywania się estetycznego na naturę (*). Wszak dziś zwykle młodzież uczy się rysować; nie przecząc bynajmniej tym korzyściom, które powszednio przypisują téj nauce, myślę atoli, że najwyższa korzyść, która z niéj płynie, jest zaiste ta, że ona przyucza młodzież, jak ma mieć oczy otwarte na ten piękny Boży świat, jakto wi-

(*) Niepomalu do tego celu pomogą studia estetyczne natury i wczesne zwrócenie uwagi choćby na najdrobniejsze szczegóły świata fizycznego, jak tego dokonał wielce znakomicie autor dzieła *Estetyka czyli Umnictwo Piękne* w Tomie II. Petersburg 1854 — obejmującym piękności natury we wszystkich pojawach. To dzieło uwalnia mnie od rozszerzania się nad tą osnową.

dzieć wszystkie szczegóły i zrozumieć najcichsze mowy, któremi przemawia stworzenie każde. Mniejsza już, że później, gdy go życie obejmie grozą i powagą swoją, rzuci ołówki i pęzle swoje; wprawa nabyta do poglądu na naturę zostanie mu na zawsze, na życie całe, jemu będzie w koło natura prawić i śpiewać, on zrozumie jój mowy i pieśni, on dojrzy piękności, które nastreczy świat natury; te piękności płynąć będą tysiącnym strumieniem w duszę jego, tysiącnym źródłem, co odświeży, odmłodzi uczucie jego. Natura będzie mu królestwem i państwem pełnem wesela i najczystszych roskoszy, a gdy tak spotężeje na duszy i sercu, wtedy się może stanie, że i na niego przyjdzie chwila zachwycenia i że z miłośnika natury dzwignie się w mistrza. Ale choćby kochanek przyrody i nie był artystycznój piękności wybrańcem, toć przecież dla siebie będzie mistrzem, i w naturze, w której się rozmiłował, obaczy postaci i obrazy ducha swojego, wśród świata materyalnego obaczy własnej nieskończoności spojrzenie, wśród nizin tutecznych zajaśnieje mu błyskawicą wiekuistość!

Słuchaj — w téj chwili, gdy to kreśliłem, dzwony rozlegają się po nocy i głoszą światu, że sam Bóg zstąpił z Majestatu, stał się człowiekiem. Dziś wigilia Bożego Narodzenia, — a dzwony jakby muzyką rozplywają się falami po świecie chrześcijańskim, jedne drugim niosąc uroczystą wieść, że słowo, co było na początku u Boga, stało się ciałem i zamieszkało między nami, a

gwiazda, zwiastuna Boża, zaświeciła nad biedną strzechą człowieka. Świat zadrżał w sobie zbawienia hymnem i poznał, że materyi państwo doszło końca swojego, że nie ma więcej znaczenia i wagi, a ciało i natura jest tylko jeszcze naczyniem nieśmiertelnego ducha, co nie ginie na wieki.



LIST V.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów.—Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącemi w stosunku do sztuki pięknej. — Różnica ich od innych trzech zmysłów. — Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki. — Przeważanie strony zmysłowej w sztuce dowodzi jej poniżenia. — Czas malarzy *Huet* i *Boucher*. — Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki. — Wielkie znaczenie świata zmysłowego, Skon. — Czasy poniewlérania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne. — Pierwsze czasy chrześcijaństwa. — Symboliczność. — W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe. — Allegorye — *Shakspeare* i *Leonardo da Vinci* — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu. — Podział sztuki pięknej na różne jej rodzaje.

Słowem wiekuistém stworzenia całe natury państwo wywołane z nicestwa łona, by o Bogu świadectwo dało. Proszku atom, co drga i krąży wirem w słonecznym promieniu, i gwiazd wojska, co chodzą po rozpostarciu niebieskiem, niby wieczności zegar, odmierzając światu, jakby minuty i godziny, upływające wieki całe i lat tysiące, i dębu przyszłego ogromność zwinięta jak w myśli twórczej w ciasnej łupinie żołądki swój, i wszystka dusza żyjąca, którą ziemia wydawa, i wszystko, co jeszcze żywe w powietrzu, we wodach, i na łądach, stworzone jest każde wedle rodzaju swojego. Ale w środku wszechnicy jestestw postawiony człowiek, sam

jeden stworzony na wyobrażenie Stworzyciela i Ojca na niebie, dla tego doskonałość i potęga wszystkich jestestw, gromadzi się w cielesności jego, niby w ognisku spólném; a jak słońce poranne świeci wspaniałością swoją w rosy kropelce drżącój na listku, tak w duchu człowieka świeci iskrą wielkość i majestat Boży.

Gdy Bóg stworzył świat i widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre, stworzył i człowieka; a w oblicze jego tchnął dech swój, by człowiek poznał i zrozumiał ten świat. Poczém sam przywiódł wszystkie jestestwa przed człowieka, aby obaczył jakoby je nazywać miał i panował nad niemi.

Otóż te są zrodzenia Niebios i Ziemi, tak pełne grozy i wielkości zarazem, objęte w Piśmie Ś., w onój księdze wszystkich ksiąg, co po wieki wszystkie będzie prawdą. A tak więc z prosta i tak głęboko oznaczony już na zawsze stosunek człowieka do fizycznego świata. Prawo nadawania imion rzeczom stworzonym jest upoważnieniem rozumu naszego do zgłębiania dzieł stworzenia; a nadanie panowania nad światem zmysłowym dowodzi przewagi duchowój człowieka nad dziełami przyrody. Prace zaiste umiejętności przyrodzonych ten mają jedyny sobie cel, by pojąć i zgłębić istotę wszech stworzeń i podbić sobie naturę całą. Jest to przywilej człowieka, nadany mu od początku, a nikt mu go nie odbierze. Obeszłoby się tedy bez sofizmów i dowcipnych teoryi w tym względzie, i bez onych westchnień a pokornych lamentów, że człowiek pojąć nie zdoła tajemnic Natury; odsłoni on nie ochybnie te wszystkie, na których mu tylko zależyć może — *Sapere aude!*

Jestestwa zmysłowe są myślą twórczą powleczone,

jakby skorupa, materią głuchą, a do téj skorupy przystęp mamy przez zmysły: one są tedy sługi duchowe, znoszą przed nas świat fizyczny, niby ośnowę dla myśli, podają one nam rzeczy tak, jakimi się z wierzchu być wydają z całą ich plewą; rozum zaś dochodzi, czém one są w sobie i co ich treść a istotę stanowi, w czém są do siebie podobne, lub w czém znów różne mimo pozornego podobieństwa lub różnicy ich. Dochodzi ich wewnętrznego połączenia i wzajemnego ich na siebie działania i téj pierwotnej myśli stworzeń, co jest dnem wszech rzeczy i, że tak rzekę, ich duszą, i co jakby iskra galwaniczna, ręką Boga puszczona, płynie i drga przez cały łańcuch jestestw aż do ostatniego ogniwa, którem jest człowiek. A ta téż zawsze będzie różnica między pojmowaniem rzeczy ludzkiem a zwierzęcym. Zwierzę bierze świat fizyczny li zmysłami samemi, dbając o to jedynie, czém rzecz jest dla niego; człowiek pojmuje rzeczy, czém one są same w sobie, i jak one się mają do siebie nawzajem. Dla tego téż większa lub mniejsza bystrość zmysłów w pojmowaniu natury nie stanowi wcale, bo pod tym względem człowiek wielu zwierzętom ustąpić musi pierwszeństwa; ale téż brak doskonałości zmysłów wynagradza narzędziami, które sobie wymyślił, a duszą swoją przenika wskrós ich istotę. Branie przeto jestestw przyrodzonych li ze samej ich zewnętrznej strony, ze samej ich formy zmysłowej jest bałwochwalstwem, jest światłobożeństwem, jest oddaniem czci fetyszom, kłanianiem się światu materialnemu.

Z drugiej strony atoli również jest prawda, że gdyby umiejętność chciała naturę pojmować samą czystą

myślą, samém gołym abstrakcyjnym rozumowaniem, gdyby sobie rościła lekkomyślnie prawo wyrokowania o zjawiskach przyrody z zamkniętymi oczyma, niby na pamięć wedle widzimi się swojego, jużby przestała być umiejętnością, byłaby marzeniem pustém, bezważném. Taka nauka zaiste niedobrałaby się nigdy wewnętrzne-go znaczenia jestestw stworzonych. Umiejętność winna pamiętać, że choć każde zjawisko przyrodzone jest tylko powłoką, łupiną myśli twórczej w niem zamkniętej, toć przecież właśnie ta myśl jest powodem, że to zjawisko się pojawiło, ona jest jego prawem, to zjawisko jest tedy odpowiednie tej myśli, w niej ukrytej wielmożnej choć cichej. Dla tego te zjawiska, ta niby zewnętrzna łupina jest właśnie hieroglifem tej myśli wewnętrznej, jej wyrazem. Niechaj tedy umiejętność nauczy się czytać hieroglify takowe, niechaj przypatrzy się pojawom zewnętrznym a pilną, niezmęczoną pracą czyni spostrzeżenia a doświadczenia, niechaj pozbiera naprzód fakta, a wnet ten świat widomy, dotykalny, wypowiada nam duszę swoją i roztoczy jakby najskrytszą treść sumienia swojego.

Jeżeli zaś tak się rzecz ma z przedmiotami natury, jeżeli tutaj dwie są potęgi, bo zmysłowa jedna a nadzmysłowa druga, cóż dopiero rzec mamy o dziełach piękności! bo i w nich schodzą się również dwa światy, ale oba są spotęgowane, oba występują wolne od ułomności ziemskiej. Wszak rzekłem już w liście przeszłym że jestestwo rzeczywistej natury choćby szczęśliwym trafem rozwinęło się wyższą pięknnością nad inne tegoż samego rodzaju jestestwa, toć przecież ono będzie jedynie doskonalszym wyrazem tego rodzaju swojego,

będzie tylko wyjawem myśli tego rodzaju, który atoli sam jest tylko ogniwkiem jedném w całości natury. Gdy jednak ten sam przedmiot będzie przez sztukę zrodzony, już wtedy on obejmie w sobie nieskończoność, a rodzaj, który się w nim wyrazi, stanie się tylko czémś podrzędném, będzie tylko przyborem chwilowym, w którym się pojawia ducha naszego wiekuistość. Ta strona widoma, zmysłowa, będąc przybytkiem gościa z innego świata, wyjawi tę treść swoją wiekuistą, niebiańską, bo piękność nie z ziemi zrodzoną, — tak strona ziemską widoma, materyalna, stanie się duchem widowym, a duch, będący treścią dzieła sztuki, uzmysłowi się w postaci.

A więc dzieło piękności, będąc ślubem między niebem i ziemią, duchem i materją, ma dwie strony, które zarazem przemawiają i do zmysłów twoich i do wiekuistego ducha, a tém samém wypływa, że wyłączna przewaga jednego z tych dwóch pierwiastków zrodzi i w samém dziele sztuki spaczenie, tudzież wykrzywi zapatrywanie się na te piękności dzieła.

Zaiste, stanowisko li zmysłowe w sztukach nie popłaca: jest niestosowne, krzywe i bywa zawsze oznaką jałowizny serca i dzikości lub zepsucia umysłu. A przecież znajdziesz takich czcicieli fetyszów na różnych stopniach społeczności towarzyskiej, a co więcej, zostawione są ich ślady liczne w historii sztuki. Są ludzie, dla których sztuki piękne o tyle wartości mają, o ile im zmysły głaszcza: architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka i poezya, są dla nich bawidłem zmysłów; pojmują iście oni tak sztuki, jak pojmuje botanikę kózka objadająca rzadkie rośliny i kwiaty. Kto jest zdania,

iż sztuka dla zmysłów stworzona, znać, że nie ma ich spełna, bo zmysłów, jak wiadomo, jest pięć, a dwa z nich tylko, bo wzrok i słuch, mają styczność z dziełami sztuki pięknej. Gdyż inaczej, pan Jan Marya Farina w Kolonii, co od wieków wyrabia te swoje wódki wonne, lub jaki przesławny restaurator paryzki, albo jaki siodlarz doskonały, lub gancarz, byliby również artystami, jak Bethoven, Canova lub Overbeck i Byron. Porównyując następnie one dwa zmysły, będące w stosunku ze sztuką, widzimy, iż one właśnie ze wszystkich są najszlachetniejsze, i są li teoretyczne, bo nie naruszają wcale ani zużywają przedmiotów swoich.

Na arcydzieła architektury, rzeźby i malarstwa patrzą się narody długim szeregiem wieków, a onych dzieł tym patrzeniem nie ubyło wcale, o ile ich żywioły nie pojadyły, albo świętokradzka ręka nie dotknęła: trwają na cześć rodowi człowieczemu i stoją na podziwienie wszystkich stuleciów, tak pełne jeszcze piękności i okazałości, jak w pierwszym dniu zrodzenia swojego. Od wieków lud krakowski oblega ołtarz maryacki, one arcydzieło naszego Wita Stwosza; od wieków to grono świętych postaci króluje w tym przybytku swym, a duch ich, jakby gość z innego świata, rozrzewnieniem spływa w serca wszystkich pokoleń, co jakby fale morskie tłumem przychodziły tu z kolei swój, by na tych stopniach krzyżem leżeć, modlić się i wypłakać żale swoje przed dziejami Matki dziewicy. Słodkie i wzniosłe duchem Haydena harmonie, poruszały już sere tysiące i zatętnią jeszcze w duszy tysiąców, i nie zaginą one, i nie braknie ich nigdy, jak nie braknie słońca, co ociepla i oświeca z każdym zaraniem istot miliony. A jak

na początku swojego stworzenia nieśmiertelne morze, tocząc z hukiem bałwany swe, grzmiało i grało niby organy w świątnicy Natury, tak Homerowe pieśni, wypłynąwszy ze strun lutni starego wieszca, grzmia i grają jeszcze z dalekich lat, po przez burze wieków i państw zwałiska.

Dzieła sztuki pięknej, przyniesione do duszy słuchem i wzrokiem, są jakby światło i atmosfera; wszyscy się niemi cieszą, a przecież ich nie ubywa; każdy w nich rokosz znajduje, nie czyniąc tém uszczerbku drugim, choć je każdy całkowicie i w zupełności posiada. Gdy tymczasem owe trzy inne grube zmysły nie lubią żadnej spółności, bo one z natury swęj trawia i zużywają przedmiot swój. A jak woń jest rozkładem ciała pachnącego na atomy swoje, zatém wietrzeniem, znikaniem jego, tak przedmiot miły smakowi rozplynać się piérwój musi i rozłożyć na cząstki. A jak i z obiadów nietrwała pociecha, a najmiłszy i najcieplejszy ogień kominkowy gaśnie i wypala się, tak téż najdoskonalsze karło się zużywa. Zmysł albowiem smaku, powonienia i dotykania są szczeremi samolubami, bo poświęcają rzecz przedmiotem ich będącą, a to dla tego, iż wprost i bezpośrednio stykać się muszą z tym przedmiotem przemawiającym do smaku, powonienia, lub miłym w dotykaniu. Trzy téż zmysły te nie mają żadnego stosunku z dziełami sztuki pięknej. Przeciwnie, wzrok i słuch przez pośredniki tylko są w związku z przedmiotami, a tymi pośrednikami jest światło i atmosfera. Atmosfera, ten płyn czysty, lekki niby oddech kuli ziemskiej, służy muzyce i mowie; dźwiękiem poruszone powietrze zadrgawszy w sobie jakby falami

wody rozplywa się dalej i dalej, nim uderzy w słuch. A światło, ono dziwne jestestwo, nieważkie, w mgnieniu oka zalewające niebiosy jasności oceanem, jest jakby krynicą życiodawczą natury i niby odbłaskiem Bożego spojrzenia. Światło należy na poły do cielesnego, na poły do duchowego świata; dla tego też jest pośrednikiem między światem fizycznym a najzacniejszym zmysłem, boć oczy są nieśmiertelnego ducha ogniskiem i słońcem śmiertelnej powłoki naszej. Trafnie też powiedział ów Leibnitz, iż światło tylko dla człowieka istnieje, on je sam jeden widzieć zdoła, zwierzę widzi tylko oświecone przedmioty. Słuch i wzrok są zmysłami nieskończoności; wzrok roztacza się po ogromie gwiazd i światów wszechnicy, jak duch nurzy się w głębinach własnej swojej istoty; a słuchu potęga, do melodyi i muzyki zwrócona, słyszy w niej nieskończoności mowę, rozumie w niej westchnienia lat, które dawno już przeszły, pociechy i żale wieków, co się dopiero kiedyś zrodzić mają: bo muzyka jest kwiatem urosłym na przeszłości grobach, a wyjawiając zarazem co w sercach dnieje, staje się przyszłości wróżą. Dwa tedy te zmysły, słuchu i wzroku, są jedynie godnymi pośrednikami między duchem człowieka a dziełami sztuki.

Gdyby nam jedynie o przyjemność zmysłową chodziło, sztuki piękne wcaleby były bezużyteczne i zupełnie niepotrzebne, boć rzeczywiste przedmioty silniej do zmysłów przemawiają, aniżeli wszystkie pięknej sztuki dzieła. Kobieta żywa, choćby tylko zwyczajnych powabów, więcejby miała uroków, niż owa Wenus Tyceana w Trybunie florenckiej; a choćby sam Franciszek Snyders wymalował pobitą zwierzynę, mniejszejby była

wartości, niż rzeczywiście zające i sarny, zwłaszcza rozłożone już na półmisku. Dla tego cześć tym, co jawnie i pocziwie, bez obłudy, ogłaszają się wielbicielami rokoszy ziemskich, nie chowając smaków swoich pod pozory uczuć estetycznych. A znajdziesz wszędzie zwolenników zdania takowego, chociaż się ukazują pod różną formą. Gdy biédacy mieszkający pod biegunem uważają tran za szczyt ziemskiej szczęśliwości, mażą nim usta drewnianych swych bożyszczy; u nas w strefie nieco cieplejszej, a zatém oświecenijszej, nie jeden w braku bałwanów struganych sam sobie tę cześć oddaje, zbierając wszystkie promienie swęj myśli w ognisku kuchenném, i myśląc jedynie nad tém, jakby się tu najsmaczniej uraczyć, co przecież nierównie jest dowcipniejszém i zacniejszém niż ów śmieszny obyczaj ciemnych Grenlandczyków i Samojedów.

Rzecz jawna, iż bez zmysłów nie byłoby i sztuk pięknych, noc głucha, ciemna, niema, pokrywałaby świat do koła; mimo to jednak, słuch i wzrok nie są bynajmniej dostateczne, aby być mistrzem w sztukach pięknych, a nawet by w nich smakować. Piękność estetyczna, samemi zmysłami pojęta, jest to księga pisana w nieznanym nam języku i obcemi głoskami. Widzimy jedynie kréski czarne i znaki, ale niezdolamy zrozumieć słów, ani pojąć myśli autora. Niema nawet wątpliwości, iż gdyby ogień wyższy, niebiański, nadzmysłowy, przyświecający nam, wygasł, jużby człowiek, zostawszy szczerem jestestwem zmysłowém, zrównałby się ze zwierząt czeredą. Zaiste, właśnie ta wyższa natura człowieka uszlachetnia nawet i samą tę zmysłowość jego. Jakoż ślepy instynkt płciowy zwierząt uza-

enia się w nas miłości płomieniem i dusz współczuciem; nawyknienie ich do legowiska i nor jest u człowieka świętém kraju swojego miłowaniem; ta troskliwość samie dla młodych, przeniesiona w ludzką sferę, staje się macierzyńską miłością, co w dzieciach swych nie tylko krew krwi swęj widzi, ale nawet rosnącą nadzieję społeczności całej. Ta miłość matki, gromadząc się niby w dziecięciu swém, wylewa się zarazem na cały ród człowieczy.

Sztuki piękne mają isticie stronę zmysłową swoją i nią są zwrócone do strony cielesnej człowieka. Część materyalna sztuki jest tedy jednym z dwóch koniecznych jęj pierwiastków, jest ona jedną połową jęj istoty, a drugą, jakęśmy już powtórzyli, jest jęj żywioł duchowy. Jeżeli sztuka przerzuci się cała w stronę cielesną, służąc niskim chęciom człowieka i gorszej jego połowie, już téż to będzie oznaką upadku społeczności i próchnienia podwalin towarzyskich. Szczęściem, w naszych czasach i w naszych tu stronach znajdziesz jedynie jeszcze na pokątnych śmieciach towarzyskich smak w beiecznych obrazkach, w wierutnych wierszach, powieściach lub wszetecznych tańcach; nie wznoszą się one nigdy w sferę pocziwego wychowania, ani się nie ośmielają nigdzie na jawie okazać. Nie zawsze atoli tak bywało, owszem całe wieki i wszystkie klasy ludzi kapały się w kole rozbestwionych obyczajów. Świadkiem tego jest sama sztuka we Francyi w ciągu upływnionego stulecia. Już na czasy Ludwika XIV. jakaś wrzkoma wielkość padła jakby puchlina, blada, rozdęta, a w środku pusta i bez treści. Dymy kadzideł i pochlebstw jakby nad cnotą umarłą osłaniały nędzę i bię-

dotę tak umysłową jak i materyalną, a bohaterzy ówczesnej historyi na szczytach komedyanckiej wielkości lśniły kłamliwym szychem i przystrojem teatralnym. I sztuka, przywdziałwszy na się liberyą, poszła służyć zepsutej chuci, a dzieła jej stały się ornamentem i floremsem zdobiącym cześć i próżność czasu; tak sztuka spadając coraz niżej a niżej, pod onemi paniami przeważnemi, a bezecnej pamięci, zewszeteczniała do szczytu. Voltaire dowcipem Mefistofelesa już tchnął na świat. Ów Krzysztof Huet, Franciszek Boucher wrzkomy malarz gracyi, bezwstydnym pędzlem robili obrazy jakby dla bezmocy strażnicy serajowej, a pomagał im też później Parny wraz z kompani swymi, plugawiąc wielki talent wyuzdanna poezją. Aż nareszcie w końcu stulecia, przed samem rozpoczęciem najstraszniejszego dramatu historyi nowoczesnej, cała społeczność, jakby opojona ślepym zmysłów zapustem, rozszała się zawrotnym tańcem i chichotała nad własnym swym grobem. Był to jakby ów obraz Holbeina, gdzie strojne panie, i kmiotek, i wojownik błyszczący, i starzy i młodzi, i bogacze i żebraki hasają kołem w tańcu ze śmiercią, mając w każdej parze ohydne szkielety. Ale powiów z ementarza chuchnął na ich tany, a do drzwi i do okien onego festynu pukały i pchały się, jakby blade i trupie straszdyła, zgrozy ostatnich lat 10ciu dogorywającego wieku, ciągnąc za sobą widma długoletnich wojen i pobojowisk krwią zbuczonych, pokrywających kośćmi jakby całunem śmierci, ćwierć wieku i świat cały.

Mógłbym ci bez wielkiego mozółu wskazać, jak zawsze zepsucie obyczajów zradza wyrażanie się sztuki pięknej; bo piękność prawdziwą jedynie czyste serce i

szlachetny wiek pojąć może, nie wstępuje ona nigdy do piersi występkiem znieważonych.

Tak, gdy człowiek znidzie z tronu zacności swój i własnego majestatu się wyrzekając sponiewiera pochodzenie swoje, już samowolnie w materji ciężkie panowanie się oddaje. Pierworodny syn stworzenia teraz natury jeńcem, co jój panem być miał. Jak muszla biędna, w głębiach morskich do skały przykuta, i jedynie przez pomrokę wód oceanu oświecona słabym słońca promieniem, zradza w swém łonie drogich pereł skarby, nieświadoma sama ich wartości, tak człowiek w ciemnicach materji zamknięty, głuchy na głos wewnętrzny, co mu o wieczności przemawia, nie wie, że we własnych serca przybytkach nosi rodzące się całe światy i całe niebo gorejących gwiazd.....

Ale w duchu jest prawdy pierwiastek, a prawdy na wieki trwanie i żywot jój tak silny i potężny, że choć chwilowo przyćmi płomieniem, przecież wnet znowu sam z siebie się rozpali, a duch, jakby z długiego snu przebudzony, zerwie się i znów zwróci oblicze ku wiekui-stój ojczyźnie swój. Wszak niekiedy i zimne wichry i niewczesne śnieżnice opóźnić mogą powrót wiosny i życia w naturze, a ziarno powierzone ziemi, w sobie stulone, martwe i głuche drzémie długo w swym grobie pod skibą; ale gdy przecież słońce idzie niewstrzymane swym wiekuistym szlakiem po niebie, tedy wcześnieź lub późniź do zmartwychwstania pobudzi ono ziarno, by ku słońcu się wzniosło i rozkwitło naturze na ozdobę i chwałę: — podobnieź pokolenia i narody całe mogą przemarzyć długie lata żywota swojego we więzach materji i w niemoralności kale, ale nie zdołają

nigdy na zawsze zetrzeć z siebie piętno nieśmiertelne swęj zaeności, bo wszechmocna jest siła, co człowieka wzgóre pędzi. Jak młode orle, piskłciem zamknięte w skorupie, instynktem parte przeczuwa już i skrzydła swoje i szczyty alpejskie i eterów wysokości, tak i dusza, ściśniona zmysłów powłoką, marzy o rajskich ogrodach, o obłokach złocistych, co żeglują po niebie, o śpiewach anielskich chórów, aż zerwie ciężkiej materji okowy, rozepnie skrzydła swęj potęgi, a unosząc się do ostatniej bladęj gwiazdy stworzenia, w krainie wiekuistej piękności zdobędzie swe laury. Wtedy i sztuki się uszlachetnią i odrodzą się świeżością swych uroków, jak bogini miłości poczęta w przejrzystych błękitach morza.

Sztuki piękne, te postannice Nieba, jakby dziewicze westalki, strzegą świętego ognia uczuć, co gorejąc płomieniem godności człowieka bronią by ród ludzki nie upadł w zapomnieniu siebie. A gdy zepsucie serca jak dżuma ziemię zaleje, gdy godność zniknie i pocziwy obyczaj wymrze w ludziach, a zimna noc myśli i uczuć zalegnie świat, wtedy jeszcze poezya, jakby harfa eolska u gwiazd zawieszona, tknięta powiewem lepszych światów, zakwili pieśnią żaloby i tonami rzewnęj harmonii nad upadkiem człowieka zapłaeze, a tony jęj płyną a płyną, coraz dalej, coraz wyżęj, aż pod Boży tron, gdzie zmiłowanie znajdują.

Ale człowiek ma i inną stronę istoty swęj: w nim tkwi pierwiastek materyalny, jest on ziemskim jęstęstwem, a zmysłów hoża siła w nim robi i wre, i rzeskim tętnem płynie mu żywota potok. Radość i uciechy uśmiechają się i pływają w koło, jakby swawolne grono za-

czepnych rusałek, a z rajskich krain tchnie na ziemię życia wesele i rozdmuchuje, jakby kwiatów pączki, serca wszystkie roskoszy współczuciem; boć to kwiatów dzieje są i serca dziejami. Kwiaty roztulają swe liście jakby miłości łożem, a w każdym kwiecie kołysze się śpiący geniuszek, a w każdym sercu drzemią uczuć roje, niby skrzydlatych bożków drużyny. Powódź roskoszy zalewa sobą świat cały, gotując niby łaźnię ochłody wszech stworzeń strudzonym milionom. Opatrzna wiekuistości łaska przystroiła nam powabem przemijającą gospodę ziemską, a obok cierniów doczesnego świata, zasadziła drugie Edenu ogrody, co rodzą złote jabłka uciechy, a przybrała w wonne róże męczeńską palmę żywota. Skwary i spieki, i pracowania dnia każdego, kończą się poezią wieczora, co pocałowaniem swoim rozpalone czoło pielgrzyma chłodzi; a z niebieskich wysokości po promieniu księżyca zstępuje gromada aniołów, co jakby kwiatami obsypuje łożę jego złotém marmurem i ułudą sennych obrazów, i śpięwają mu z cicha w duszy pieśnią pociechy, a głos ich tak słodki, jak słowicze pieśni.

Bóg stworzył życie i świat, tak piękne i jasne jakby dzień wiosenny, w serce zaś człowieka wlał miłość tych uciech ziemskich, a dając duchowi nieśmiertelnemu ciało i zmysły, zaślubił go docześnie ze światem tutecznym, z naturą, aby już roskosze, otaczające człowieka różno-kształtną postacią, znalazły drogę do serca jego i odgłos w przybytkach duszy, i aby nawzajem każde drganie wewnętrznych stron ducha, każdy z ich tonów miał w zewnętrznym świecie głosy wtórujące ich harmonii. Nie poniewieraj uciechą ziemską, co pełnym i

kipiącym puharem natura ci na wzmocnienie podaje. Tkanka tysiącznych złotych nitek wiąże człowieka ze światem i doczesnością; dla tego też tak twardą, tak tęskną, jest ostatnia chwila rozstania się z tym żywotem, z tym tak pięknym, tak jasnym światem; ztąd też skonanie jest areydzieniem człowieka. Posłuchaj opowiadania tych, co stojąc przy łożu umierających, uczyli się od śmierci mądrości, podsłuchując ostatnie pożegnane akkordy ulatującego życia z ułomków zagadkowych wyrazów, i wypatrując wieczność z zarysów twarzy biednego pracownika. Na skinienie bladego śmierci anioła rozsuwają się jakby na przegląd obrazy z przeszłego całego żywota; żywi i dawno zmarli, świeże i stare czasy splatają się w jeden wieniec, aż gdy światło w oku i duszy zgaśnie, gdy już nie dochodzą łkania otaczających przyjaciół, gdy wszystko ucichło, gdy płomień gromniey nie oświeca więcej śmiertelnego łoża zlewając się tylko jeszcze w jeden punkt czerwony, gdy już łamie się doczesność z wiecznością, wtedy omdlewają i zmysły, ale zarazem najogromniejsze sceny natury, żegnając niby wędrowca idącego ku wieczności, roztaczają się w duszy jego. Zda się, iż oceanu nieskończoność śpiewa mu cześć piorunnym głosem swych fali, że skrzydła wichrowe unoszą go w tryumfie po przez bezdna przestrzeni bez końca i początku, że gwiazdy i słońce obiegają go w koło, jakby świetny orszak ślubny odprowadzający oblubieńca wieczności do nowego mieszkania.

Nie poniewiérąj uciechami ziemi, ani waz sobie lekko stronę materyalną człowieka, bo do niej właśnie przemawia pierwiastek cielesny dzieł piękności. Potę-

ga zmysłów jest właśnie podwaliną uczuć naszych; skoro ona się dopali, już i uczuć siła wędnieje, a człowiek zbliża się do podeszłości swojej i wstępuje pod panowanie zimnego rozumu i siwego rozsądku.

Jest francuzkie przysłowie: *«si jeunesse savait, si vieillesse pouvait»*, ale najgorzej podobno, jeżeli ani jednego ani drugiego nie będzie, jeżeli młodość przemija bez kwiatów, a jesień życia bez owoców. Gdy się kilka lat żywota na jeden rok złoży, gdy zmysłowość dogoreje jak kaganiec, nie prócz skorupy glinianej nie zostawując, gdy cwałem przebieżone młodości życie, wtedy młody bankrut idzie na emeryturę, żeniąc się. Czyliż dziwno, iż zamiast rzeskiej życia ochoty znajdzie przesycenie i niesmak? nie zna, co rozczarowanie, bo nie zaznał ułudy młodości, wszystko strupiało. Po ladajakiej wiosnie życia idzie bezmózgła starość; świat w koło spłowił, stracił barwy i ciepło swoje. Z takimi to w pokrewieństwie bywa, a nawet się z nich najczęściej rekrutuje owa druga klasa ludzi, co choćby młodzi jeszcze, na wszystko otrętwiali i niezdadni do pracy i do zabawy, co to ani do tańca ani do różańca. Sam zysk pieniężny, jakby galwaniczna iskra, pobudza jedynie ich duszę do automatycznych ruchów. Zgniłe sapiska — nie znają, co poświęcenie, co miłość i nienawiść, niezdolni do występków i enoty, samoluby drobiazgowi. Oni na świecie nic dobrego, nic już i złego nie robią.

Dante powiada, iż gdy niegdyś piekło odwiedzał, spotkał tę gawiedź zaraz na wstępie do podziemnego państwa. Odepchnęło ich Niebo, pogardziło piekło, bo ni miłosierdzia ni sądu nie warci. Jęczą straszliwie,

pragną losu odmiany, lecz oni nadziei śmierci nie mają i zostawieni są przy tém ślepém ich życiu, tak pełném niekazemności i podłoty. Szatany nawet nimi się brzydzą, nie chcą ich męczyć, szpetne muchy tylko, osy i plugawe robactwo pastwi się nad nimi — ale — *Non ragioniam di lor; ma guarda e passa!*

Brak spółczucia w rzeczach ziemskich zjawia się i inną wręcz odwrotną postacią; niekiedy bowiem, lubo już rzadziej, dusza, od doczesności odwrócona, ku rzeczom niebiańskim tęskni, wygnana z raju, nie dotknawszy nawet owocu poznania ziemskich roskoszy; świat i wesołe koło jestestw jego nie ma dla niój powabu. Najczęściej nastrojenie takowe znajdziem u kobiet.—Twarz, jakby rzeźba z marmuru ukuta, nie zmienia się nigdy, zawsze ta sama, czyli na balu czyli w kościele, na herbacie lub przy konfesyonale, a świat cały i boleści jego i uciechy, czarne i jasne chwile przeszły po tém obliczu nie zostawując śladu swój bytności, a spojrzenie patrzy gdzieś tam w nieskończoności dał. Zdarza się, iż nowe stosunki życia sprowadzają znów myśli na ziemię, a uczucia małżonki — matki zbliżą ją do rzeczywistości, ocieplą, rozświecą samotne duszy ognisko; niekiedy zaś istota takowa jest wiecznie obca, wiecznie gościem na ziemi; dla niój na świecie nie ma sztuki pięknej;—jój życie jest długiem konaniem.

Jeżelim powyżej dawał ci na przykład czasy historyi, w których przeważał pierwiastek zmysłowy w sztuce, tak téż i nie brak czasów, gdy znów połowa jój duchowa, zbyt górę biorąc, pomijała się z przeznaczeniem prawdziwém piękności. Spójrzij na pierwsze dziejów chrześcijańskich koleje;—był to czas pełen okropności i

zgrozy. Rzym wśród złotych pałaców swoich, postawionych na łzach i krwi całego ówczesnego świata, umiera śmiercią zbrodniarza. Jak wyrzuty gorączkowe sumienia, mszczące zabójstwo tylu w około narodów i państw, trapiły go bunty żołnierstwa wyuzdanego, uliczne mordy, szalone fantazje niecných cesarów, ze swór puszczone chucie, rozbestwienie, głupota i okrucieństwo. A czego akta kryminalne pojedynczych złoczyńców dowodzą na małą stopę, owe roczniki krwawe Rzymu okazują jawnie i na wielką skalę, iż okrucieństwo krwi chciwe łączy się zawsze z przemyślną chucią i ochotą rozzwierżoną do lubieżności. Ale więcej niż wszystkie nieszczęścia domowe i publiczne, więcej niż wszystkie zbrodnie i strachy zewnętrzne, dojmowała światu owa nieszczęśliwość wewnętrzna, owa czezość okropna i głuchota gnieźdząca się w sercach wszystkich. Nie było ufności ani w życie, ani w świat, ani w ludzi, ani w Bogów, wszystko było głuchem i pustem; człowiek w samego siebie stracił wiarę, a mroźne, rozpacz pełne powątpiewanie, rakiem wżarło się w życie społeczne. Nie było więcej Bogów w sercu, a posągi ich w świątnicach były już beztreściwą ozdobą, głuchą formą. W Panteonie, w onój wszechbożnicy, stały pstrém kołem greckie, egipskie, perskie, rzymskie, azyatyckie i wszystkie narodów zabitych bogi, ale czeze i bez znaczenia, nikt w nie wierzył, były to teraz jakby martwe zwłoki umarłych ludów, z których uleciał duch.— Rozpacz powszechna rozlała się mrozem. Olimp cały skonał, a serce człowiecze stało się pustym Olimpem, zgłiszczami zgorzałej świątnicy.

Przeszłość zapadła w wieczne zapomnienie, przy-

szłość była bez znaczenia, każdy dzień był osobną w sobie jednostką nieznającą, co to wczoraj, co jutro; zamiętność człowieka zatracona już była w języku, jak od dawna zapomniana w rzeczywistości. Zdawało się, iż słońce, opatrne oko Natury, wygasło, a czarne zmyły północą spuściły się na ziemię. Niekiedy tylko w tej ciemnicy głuchej jakiś człowiek wyższy zaświecił fosforycznym blaskiem, jakby błędne światło nad grobem wszego życia i przeszłości całej, i znów zgasł niepoznany jak błędne światło.— Ale wśród gruzów ogólnych i zwalisk szczupła drużyna, nieznajoma światu, kopała fundamenta dla przyszłych pokoleń i dla wszystkich czasów: budowniki nowego świata, nie liczne gro- no chrześcijan odwróciło oczy od ziemskiej niedoli i becześci ludzkiej, podniosło w górę źrenicę, kędy na obłocznych wysokościach zaświeciło godło krzyża; a duch pocieszyciel, zesłaniec wieczności, przyświecał zakładzinom nowej Historii. Wówczas to człek, własnej istoty zmysłowej i natury cielesnej się zapierając, a uważając królestwo swoje nie z tego świata, obrzydził sobie wszystko, co było pogańskiego, odrzucił precz od siebie zmysłowość, pogardził piękności formami. Piękne kształty sztuki, niby potępieńce, nie okazały się na jawie; taka to była cała sztuka ówczesna. Postać Zbawiciela nawet przedstawiała się w niepięknym zarysie; rozumiano, iż jęj świętość znieważyc może piękność zmysłowa, zaniedbywano z umysłu cielesność wszelką. Chodziło tu nie o powłokę ale o wewnętrzne znaczenie; myśl, będąca jądrem i duszą rzeczy, sama tylko miała wartość; rozebrano ją ze wszelkich szat, ztąd téż sztuka stała się symboliczną: krzyż, baranek, kotwica,

palma zwycięstwa, gołąbek, grona winne i winna macica, siedem świeczników zabrały miejsce sztuki. Później dopiero znaczenie takowe uzmysłowiło się więcej. Zbawiciel występował w postaci dobrego pasterza i we formach mających coraz więcej a więcej uzmysłowienia.

Ten charakter początkowej sztuki utrzymał się później w sztuce bizantyńskiej; jej piętno jest symetryczność architektoniczna, w której jedna strona obrazu odpowiada drugiej; każdy nawet fałd sukni, każdy jej załomek, każda gwiazdka zdobiąca szatę, każdy promień ma inny odpowiedni z drugiej strony twarzy; wizerunek składa się z dwóch połów zupełnie do siebie podobnych, jak tego przykład masz na wizerunku Najświętszej Panny Częstochowskiej. Tu, i w obrazach cerkiewnych greckiego wyznania, wyraźnie znać, iż zmysłowa natura wzięta została w karby przez świat duchowy; jest ona nie usamowolniona wcale, ale ściśniona i zmuszona, bo tu nie o nią chodzi, lecz o wewnętrzne znaczenie.— Jest to tedy sztuka, w której strona zewnętrzna materyalna jest zaniedbana.

Podobnie i architektura, przyciśniona posępnością czasu swojego, odrzucała wszystko, coby przypominało zmysłów uludy i wesołe wejrzenie świątyń pogańskich. Znajdziesz to piętno zwłaszcza w budownictwie bizantyńskim; tu znać, iż myśl chrześcijańska upodobała sobie kształty powagi pełne, działające na serce, a przypominające królestwo niebieskie. Tą myślą nacechowana jest i rzeźba ówczesna, okazująca się zwłaszcza w ozdobach strojących główne drzwi kościołów: znajdziesz figury przypominające żywot Maryi Panny i Zbawiciela i męki jego, połączone w dziwnym splocie z fi-

gurami fantastycznych zwierząt i poczwara niby w piekle wylęgłych; to wszystko ima się labiryntnem powiązaniem, a jednakże, razem wzięte, tworzy jedną harmonijną całość. Przecież okres ten miał i swoją odpowiednią poezją: wylewała się ona z wewnętrznych krynic serca, nie dbając na kształt powierzchowny; były to wiérse długie, bez wyraźnej miary, bez rymu. Poniewieranie wszelką formą zewnętrzną, wszelką budową będącą jakby cielesną stroną poezyi, jest piętnem pieśni ówczesnych. Chowam się na później z bliższym rozbiorem wieków onych i ich sztuki, wszelakoż i ten powierzchowny rzut oka wystarczy, by poznać, iż treść wewnętrzna duchowa jest wszystkiém, że pierwiastek umysłowy przeważa nad stroną fizyczną sztuki.

Przewaga atoli pierwiastku duchowego, rozumowego, ukazuje się jeszcze pod innym trybem, zwłaszcza w sposobie sądzenia o dziełach sztuki. Ludzie, którym zmysłowość zgasła, przystępując do dzieł sztuki, uważają je tylko za płody czystego rozumu. Rozum jednak jest właśnie potęgą ustawodawczą w nas; jego pojmowanie, jego sposób brania rzeczy są ogólne, a jego właściwym sposobem wyrażania się jest mowa, jest język, nie zaś formy cielesne, będące zupełnie czémś szczegółowém, oznaczoną jakąś istotą.

Kto tedy pojmowanie czysto rozumowe, zdania rozsądkowe w sztukę wprowadza, wtłacza je w zupełnie niewłaściwą formę, a rezultat podobnego postępowania nie będzie, ściśle mówiąc, ani do sztuki, ani do rozumu należeć, będzie to allegorya. Widzisz to w rzeźbie, to na medalach, to na malowidłach figury wyrażające Sprawiedliwość, Odwagę, Umiejętność, Zemstę i t. d.

albo znów figury mające znaczenie kraju jakiego np. Francya, Bretania, Bawarya i t. d. wszystko to jest pojęciem ogólném. Jakoż nawet i poeci w wieku przeszłym wprowadzali uosobione namiętności, używając ich zwłaszcza za sprężyny poruszające epopeją: tak np. *Voltaire*, wodzący na on czas rój w całej Europie, wprowadza to Niezgodę, to Jędze, to inne pojęcia rozumowe w swoje poezye, a za nim poszli inni, a nawet i u nas pełno tego jest przykładów. Przecież figury takowe zawsze są czémś zbyt ogólném, a zatem głuche w sobie, czeze i zimne, ani do rozumu, ani do uczuć nie przemawiają. W podobnych tedy rzeźbach, medalach, trudno niekiedy zgadnąć, co one znaczyć mają; bo niewiedzieć czém się różnić ma figura Francyi od osoby wystawiającej Bretanią, jaki wyraz twarzy ma je różnić od siebie; ratuje się tedy godłami symbolicznemi, jakie są: waga, miecz, zawiązane oczy, kotwica, statek, róg obfitości i t. d., ale to wszystko jest niedostateczne, trzeba koniecznie, jak pod rysunkami dzieci, podpisywać co jakie ma mieć znaczenie.

Właśnie téż ta jest różnica między poetycznością i allegoryą, iż jak allegorya zaczyna od myśli ogólnej czyli rozumowej i dla niej szuka kształtu szczegółowego odpowiedniego, tak odwrotnie poezya tworzy sobie kształty rzeczywiste, a skoro te już są utworzone i staną, wtedy z nich wyczytać można myśl ogólną. Patrz, figury jakimi są np. *Macbeth* i lady *Macbeth*, *Romeo* i *Julia*, *Hamlet*, są rzeczywistemi ludźmi, pełne prawdy, krwi i życia w sobie; zdaje się, iż widzisz lub czytasz los dziejów prawdziwych, które się rzeczywiście stały, a przecież z nich wyprowadzić możesz teorią mądrości,

pełną myśli ogólnych, roztwierających ci całą otchłań serca człowieczego i malujących barwami żywemi nie tylko tajniki duszy *Macbetha*, *Hamleta*, *Julii* i t. d., ale w ogólności tajniki duszy ludzkiej. A zaiste *Shakspeare*, tworząc w duchu te figury, nie myślał może nawet o ogólném i filozoficzném ich znaczeniu; kręślił zapewne tylko *Macbetha*, *Julia*, *Hamleta*, a tu bez wiedzy jego, z ducha tego wypłynęła głęboka mądrość, myśli ogólne, będące prawdą po wszystkie wieki. I dla tego *Shakspeare* nie jest wyłącznie poetą angielskim, on jest własnością kuli ziemskiej i chwałą wszystkich ludzi i wieków. Albo patrz na *Wieczerzę Leonarda da Vinci*, tak jak ją pojął i wyrytował *Morghen* w trzechletniej pracy życia swojego: ugrupowanie figur, położenie ich rąk, wyraz każdej twarzy mógłby być treścią całej książki filozoficznej;—a więcej tam istic złożonych jest prawd wziętych z historyi duszy człowieka, niż w niejednej psychologii. Figury, stworzone przez *Leonarda*, a pojęte przez *Morghena*, są rzeczywistymi ludźmi, ale z nich wypływają myśli ogólne, pojęcia dające się zastosować do całego rodzaju człowieczego, do całej gry tajemnej serca jego. Tacy niechaj się święcą malarze i poeci!

Że pojęcia rozumowe i myśli ogólne nie mogą być przedmiotem sztuki, okazuje się najtrafniej z przeczuć całych narodów. Patrz, ani Żydzi, ani Turcy nie mają obrazów; przyczyna prosta, bo Bóg, w którego oni wierzą, nie uwiadomił się im nigdy, jest Bogiem niewcielonym, niewidomym, jest pojęciem ogólném, myślą czysto rozumową, nie mogącą być oddaną w cieleśnej postaci sztuce właściwej.

Kto jedynie zdolen samym czystym rozumem rze-

czy pojmować i na pojęcia, na rozumowanie sobie tłumaczyć, niechaj ćwiczy się w matematyce; wszak w algebraicznym rachunku znaki alfabetyczne jakkolwiek wielkość znaczyć mogą, treść ich szczegółowa jest zupełnie obojętna, wypadkiem jest zawsze jedna i ta sama formuła. Tu rzecz sama i pojmowanie jęj jest zupełnie umysłowe. Ani téż przeczę, iż środki takie, jak znajomość perspektywy, rozmiarów, oświećcenia, anatomia, techniczność wykonania, wiadomości archeologiczne, znajomość indywidualności mistrzów, ich żywota, czasu, w którym żyli, historia sztuki, są ważną pomocą, a nawet pierwszą zasadą oceniania wartości jakiego dzieła sztuki, ale przecież same jedne nie wystarczają.

Kto z zimnym rozbierającym rozsądkiem przystępuje do dzieła sztuki, bez wyższego natchnienia, rozkrawając jak umarłego najwyższe dzieła ducha, kto na miejscu wrzącego serca przyniesie zimny jedynie rozsądek, już podobny jest do owego, co widząc piękność kobiety w całym swym uroku i czarach, rozbierze sobie jęj powaby anatomicznie i chemicznie. Będziesz się unosił nad urokiem jęj kształtów i harmonią jęj ciała, nad «śnieżną bielą ramion i łabędzią szyją», lub zachwycony staniesz patrząc w te oczy tonące, «niby w wilgotnym ogniu», toć on powie nam, iż kształtna kibić jęj pochodzi od normalnego kształtu jęj szkieletu i kości, które jak u każdego człowieka składają się z 33,17 materyi chrząstkowej, 53,14 fosforanu wapna, z resztą jest w nich trocha glinki, trocha soli kuchennej i t. d. A to piękne ciało, toć jest połączeniem włókna mięsnego, białka, pierwiastku ekstraktowego i t. d.; a owa białość i delikatność skóry pochodzi po prostu z tego, iż muskuły

mięsne są rzadziśj utkane i mają trochę więcéj białka w sobie, zresztą na 100 części jest tam przeszło 50 części wody, drugie 50 znów zajmują inne pierwiastki, które ci najsumienniśj wyliczy; a krew, co, jakby tchem ducha, rumieńcem na twarzy wykwita, o tajnikach serca przemawiając, jest taka sama zupełnie jak nasza męzka, z tą tylko różnicą, że u kobiet na 100 części jest 2 części więcéj wody, a 2 części mniej kuleczek krwistych; a owe bogate kędziory, któremi «Sylfidy igrają», ha! toć to jest niedokwas żelaza, manganec, siarkan wapna, krzemionka; a czyli te włosy są płowe, czarne, ciemne, toć to tylko zależy od większój, lub mniejszój ilości niedokwasu żelaza. Tak ci w tygielku rozbierze wszystkie uroki, wszystkie powaby, co cię czarują; rozsmaży i rozłoży na drobne pierwiastki, złożyć ich tylko nie umieć, co za szkoda!

Kto z myślą zimną rozbierając niby chemicznie przystąpi do pojmwania piękności w dziełach sztuki, nigdy jěj nie obaczy; z przed oczu świętokradzkich mu uleci w inne światy, w inne krainy, kędy ją godniśj czcić i kochać umieją.

Widzisz przeto, że gdy dzieło piękności jest ześlubieniem się dwóch światów, bo ducha a materyi, idealnój a zmysłowój natury człowieka — nieba a ziemi — więc téż sztuki piękne przemawiają do dwoistój istoty człowieka, tak dziwnym, tak nadświatnym urokiem więżą i czarują serce jego; ono jeszcze na ziemi a widzi w piękności świat nadziemski rozwarty; to serce biedne człowieka jeszcze się trawi, jeszcze się pasuje z doczesności mocami a w dziełach sztuki woła na niego głos z nadniebnój ojczyzny. Przecież widziałeś ró-

wnie powyżej, że właśnie dla dwóch tych pierwiastków, żyjących równem pełnem życiem w sztuce, już żaden z nich nie powinien sobie rościć prawa do wyłącznego panowania ani w sercu widza, ani w samém dziele piękności.

Wszak tutaj już zapewne sama ci się nasuwa myśl, że gdy z jednej strony zmysły nasze są różne, więc i z drugiej strony różnie do zmysłów naszych mają się przedmioty zewnętrzne, materyalne, a tém samém znowu widzisz, że same dzieła sztuki różnie działać będą na zmysły nasze, a zatém różnie przemówią do duszy człowieka; one wprawdzie wszystkie proroczyć będą o wiekuistości naszej, ale każda niby właściwym sobie językiem. To prawda! Właśnie atoli téż w téj różnaitości tkwi zarazem różnaitość rodzajów sztuki. Zdaje mi się, że tu przeto będzie na porze wspomnieć ci choć przelotem o tych jéj rodzajach, zatem o jéj podziale, a tém samém o wzajemném zachowaniu się tych różnych sztuk do siebie. A radbym téż rzecz tę całą wesprzeć właśnie na tém, com wyżej powiedział.

Rzekliśmy sobie bowiem dopiero, że sztuki piękne nie odnoszą się bynajmniej do wszystkich zmysłów naszych, ale że tylko dwa zmysły, bo wzrok i słuch mają przystęp do dziedziny sztuki, a zatém same przez się nam wypłyną dwa główne rodzaje piękności, z których jeden przemówi do wzroku a drugi do słuchu. Może się atoli na taki podział nie od razu zgodzisz, mówiąc, że on oparty jest li na naszym organizmie, więc na usposobieniu samego tylko człowieka, a że przecież człowiek, patrzący na dzieła sztuki, jest tylko jedną stroną, a drugą stroną jest natura, jest świat rzeczywisty, z któ-

rego mistrz bierze osnowę dla dzieł swoich. Wymagasz tedy, by nasz podział sztuki na różne jęj rodzaje był wzięty raczej z istoty samęj tęj rzeczywistości zewnętrznej.

Chcięj atoli zważyć: gdy człowiek jest ostatnięm słowęm stworzenia i najwyższým szczytęm rzeczywistości, więc już jest prawdą, co tyle razy powiedziano, że w nim zbierają się wszystkie promienie stworzenia, że on jest sam małym światkiem dla siebie, a z tego wypływa, że byleś jego istotę rozwinął, znajdziesz w nięj wszechstworzenie, więc i ową rzeczywistość zewnętrzną. Z tego znać, że co jest prawdą dla jego istoty, będzie też prawdą dla tęj rzeczywistości. Inaczej też być nie może. Ten sam Ojciec niebiański, który stworzył świat, stworzył też człowieka; więc człowiek i duch jego z jednęj strony a ten świat rzeczywisty, z drugięj, choć różne od siebie, nie mogą być różnorodne. Ale z tego wszystkiego wynika, jak widzisz, że podział sztuki pięknęj, oparty na różnicy wzroku i słuchu, więc na organizmie człowieka, znajdzie też zastosowanie swoje i w rzeczywistości zewnętrznej.

I tak w istocie jest.

Jakoż chcięj zważyć — cała natura zmysłowa, cały rzeczywisty świat ulega dwojakięj ustawie, bo albo zjawiska jego istnieją w przestrzeni, i w nięj zajmując pewne miejsce, pewne rozmiary, mają zatęm swoje ograniczenie w przestrzeni, i swój koniec i początek; albo też te jestestwa uważane być mogą jako istniejące w pewnym czasie, jako mające tedy swoje granice, bo swój początek i swój koniec w czasie. Tak samo dzać się winno i z dziełami sztuki, które istnieją w rzeczyw-

stości; jedne z nich istnieją w przestrzeni a drugie przemijają w czasie. Otóż widzisz — te, które istnieją w przestrzeni, odnoszą się zarazem do wzroku, bo przestrzeń jest państwem zmysłu tego — a te, które mają istnienie swoje w czasie, odnoszą się do słuchu. Widzisz tedy, iż zasada naszego podziału odnosi się również do człowieka i do rzeczy samej. Jeżeli tedy zgadzasz się już na taki pogląd, chciój jeszcze bliżej zemną rozpatrzeć rzecz całą.

Baczmy — każde dzieło sztuki, które widzimy mocą światłości, które tedy istnieje w przestrzeni, ma swoje wymiary jak przestrzeń sama, ma przeto długość, szerokość i wysokość, ma ciężkość jako materya istniejąca w téj przestrzeni, jest tedy czémś materyalném i istniejącém jakby zewnątrz naszego ducha. Odwrotnie dzieło sztuki, odnoszące się do słuchu, istniejące w czasie, traci niby materyalność swoją; bo jest rzeczą niepodobną dojrzyć takiego dzieła lub się go domierzyć lub doważyć; więc ono istnieje już jakby w duchu naszym, niby wewnątrz nas, boć i nasze uczucia, myśli, wyobrażenia także odbywają się w nas następstwem czasu. Znać zatem, że dzieło sztuki, płynące w słuch nasz, jest czémś wewnętrzném, gra i drga w duchu naszym.

Jest przeto jakiś dualizm w świecie piękności; ale choć dualizm każdy jest zawsze życiem i podniętą, działaniem i oddziaływaniem, toć przecież każdy winien się zawsze zestroić harmonią w jedność; z tego zaś właśnie wróżyć sobie można, że się znajdzie trzeci rodzaj piękności, w którym spłyną sztuki przestrzeni, to jest odnoszące się do wzroku i światła z jednój strony, a sztuki słuchu czyli czasu z drugiej strony — będzie to przeto

nowy rodzaj sztuki, w którym poślubi się miłością zewnętrzną i wewnętrzną świat.

Zanim jednak obaczymy, jak się nam ziszcza te wróżby o tym trzecim rodzaju sztuki, obaczmy najprzód rozwój tego rodzaju sztuk, które do wzroku i przestrzeni należą, a następnie dzielnice téj sztuki, która się do czasu, do słuchu odnosi.

Rzecz jasna, że tutaj stanie na reju ten rodzaj sztuki, który nie tylko w przestrzeni istnieje ale nawet ze samej przestrzeni się rodzi, a który właśnie jak przestrzeń sama ma za ośnowę materią. Pytamy, cóż się rodzi ze samej przestrzeni? To wiemy już z matematyki, z geometrii, których dzielnicą jest właśnie przestrzeń. Z przestrzeni powstaje punkt, linia, płaszczyzna prosta i krzywa, figury więc różne: trójkąty, prostokąt, koła, łuki, elipsy, sześciąty, kule, piramidy i t. d. Zgadujesz przeto już że sztuką tą rodzącą się z przestrzeni jest Architektura; nadto Architektura, równie jak przestrzeń, ma do czynienia z masą ciężką materii.

Przecież znowu właśnie dla tego że Architektura z przestrzeni się rodzi, więc i ona stwarza sobie własną przestrzeń artystyczną, ona buduje sobie świat osobny, w sobie zamknięty. Wszak i przestrzeń natury, ta przestrzeń Boża, jest dziełem Bożej architektury, w niej święci się budowanie i matematyka aniołów, co wodzą światy i słońca i księżyce. Przestrzeń wszech światów, toć jest dom widzialny dla duchów, który sobie wystawił Pan. Ale dla jestestw zmysłowych, dla oka zmysłowego, doczesnego, ten dom a przybytek Pański nie jest ogarniony; my tylko widzimy tysiące gwiazd, tysiączne ich roje, co świecą w tym domu; a choć te

światy wszystkie przez nas widziane są tylko może jakimś zakąciem przybytku Pańskiego, toć i one przecież są dla naszój biédnej myśli istnym zawrotem. Spójrzyj przez teleskop choćby na planety, jak one wędrują zdobne w księżyce, w pierścienie, po przez bezdenne, ciemne przestworza Boże, a lęki i trwogi padną na serce twoje. Stąd człek architektoniczną sztuką buduje sobie całość, którą może ogarnąć, buduje po swojemu przybytek, odgradzając go od zewnętrznego istnienia, a tak stwarza świat osobny dla siebie. Osnowa zaś surowa, którą mu dostarczą natury ciosy i belki, metal i marmury, jest mu tutaj materyą; on przewycięża jój nieużytość i ciężkość. Materya surowa krystalizuje się w dzieła człowieka.

Stanął tedy już przybytek, — kolumny i łuki, sklepienia i strop patrzą się na człowieka świątecznie, uroczysto: ale przybytki puste, głuche, brak im mieszkanka, coby równie jak przybytek był zrodzony w niebie piękności. I stanął na podnożu gość olimpijski, stanął w cudnej postaci marmurową bielą odziany; on cichy, niemy, a przecież z niego przemawiają głębie duchowe! Tego gościa z nadgwiadźnej wysokości sprowadziła skulptura na ziemię, by zamieszkał w piękności swojej dom, co mu przygotowała architektura jój siostra.

Lecz gdy architektura z cyrklem w ręku mierzy i waży i liczy, gdy się posługuje, jakby czeladzią, matematyką i jeometrią, rzeźba nie zna, co cyrkiel, co matematyka, tych powierzchni na jój posagu nie obrachuje już żadna matematyka, tutaj nie pomoże żadna jeometria! Gdy architektura liniami swojemi, grą swoich powierzchni, harmonią swoich linii, jest dopiero przeczu-

ciem, symboliką treści głębokich a nie przebudzonych w duchu, w rzeźbionym posągu już nie przeczucie ducha, już nie symbolika jego ale on sam, sam duch osobicie występuje, choć odziany ciałem, to przecież ciało nie jest ciałem od doczesności pożyczonem, ale samo jest uwidomionym duchem; tutaj ducha niby dotknąć się możesz. Gdy oko nasze, patrząc na arcydzieła architektoniczne, mierzy jego stosunki, i liczy, patrząc się zaś na posąg dotyka się go niby wzrokiem; czucie, zmysł dotykania przeniósł się w źrenice. Gdy architektura mocuje się z ciężkością materyi, podpierając jój brzemię, w rzeźbie postać sama na sobie ciąży, sama się na swoich członkach podpira. Gdy architektura buduje w sobie zamknięty świat, niby artystyczną Przyrodę, artystyczne otoczenie, w rzeźbie już duch jest usamowolniony od natury, posąg ze wszystkich stron obrobiony stanął samodzielnie, jest wyobrażeniem wyzwolenia z pod potęg przyrodzonych. Dla tego płaskorzeźba, nie oderwawszy się od tła swojego, patrzy na nas jako jedynie ozdoba architektury, jakoby jój przystroj. Bo właśnie rzeźby powołaniem jest aby wymiary, aby formy rzeczywiście istniejące w naturze znalazły się równie doprawdy i w dziele rzeźbionem, lubo już uduchowione pięknnością nadziemską. To powołanie skulptury jest zarazem jój szczęśliwym światem a zarazem jój kółkiem zakłętym, z którego już ona wystąpić nie zdoła. Ale właśnie dla tego pojawia się na ziemi nowa sztuka, która już tych form i wymiarów rzeczywistego świata nie przenosi naprawdę w dzieło swoje, ale wdzięczną ułudą mami wzrok; sztuka, która, będąc ukochaną córą państwa idealnego, zmyśla świat czarodziejski,

w nim udając wrzekome wymiary, oddalenia, formy wklęsłe i wypukłe, cienie i światła, słowem udaje to wszystko magią swoją, co jest w rzeźbie rzeczywistością rzetelną. Wszak ta sztuka dla tego właśnie, że tak cudnie zmyśla i łudzi, pozwala sobie udawać téż oddalenia kilkomilowe i wymiary tak ogromne, że te przestrzenie jój już są nieprzystępne dla rzeźby, co jest tak prawdomowną, szczerą i rzetelną. Domyślasz się że tą sztuką nową jest malarstwo. Właśnie to ona przemogła przestrzeń, bo jój prawdziwa przestrzeń jest płaszczyzna, a jój wymiarem jest tylko sama długość i wysokość obrazu, a przecież tu są wszystkie wymiary rzeźby, co więcéj, jak rzekłem, ona zmyślając perspektywę, majaczy i mami i łudzi. A jój rószechką czarnoksięską jest pęzel, a gieniuszki, co jój służą, zakłète są w jój farbach na palecie; sztuka malowania przemogła przestrzeń, przemogła więc i ciężkość i materią samą. Patrzysz na jój postaci urocze, widzisz—to Olimpy rozwiniète, to bitwy i krocie wojowników, to miasta i grody i skały, to niebo, obłoki i morza i puszcze. Ona, gdy nierada tobie, zwinie te światy swoje; zamknie w swojej tece i zastępy wojenne, i skały i morza, puszcze i kraje wielomilowe. Sztuka malarska majactwem lubém tak sobie poczęła, iż co widzisz w jój dziele, to nie jest rzeczywistością, to nie jest materią zewnątrz istniejącą, ona raczéj przebywa w tobie, we wnętrzu twojém, we widzu; ty patrząc na jój dzieła patrzysz oczyma ducha twojego, patrzysz idealnie! Ale z drugieój strony potrzeba ci przecież i oczu zmysłowych, potrzeba aby obraz malowany istniał obok ciebie, przed tobą; potrzeba, aby ten obraz istniał w przestrzeni. Te jój przestrzenie ma-

lowane choć ułudne nie są tedy jeszcze ostatniem prze-
możeniem przestrzeni. Wtedy gieniusz piękności na-
tęży siły swoje by przewyciężyć i te ostatki przestrze-
ni, by zwalczyć te ostatki zewnętrznego świata; on cofa
się w siebie, zateśkni za nadgwiażdym światem, za
ojczyzną swoją, i w tęsknocie anielskiej przemówi mu-
zyką — muzyką, której barwy, której cienie i światła są
tony, akkordy, melodye i harmonie! Cóż zostało teraz
z przestrzeni? — drganie struny, narzędzia muzycznego,
drganie, co jest drżeniem w przestrzeni, odbywajacém
się w czasie. Tutaj oczy zmysłowe przygasły, słuch sta-
nął na ich miejscu, tutaj przestrzeń, owa rzeczy mate-
ryalnych macierz, starta! A tak muzyka jest drugim
rodzajem sztuki pięknej; ona buduje sobie światy we
wnętrzu duchowém, ona buduje sobie własne światy,
własne przybytki z promieni swoich dźwięków, ona
z akkordów stwarza postaci rzeźbione, ona maluje me-
lodyą. Posłuchaj jój mowy, mowy muzyki, a z kośnicy
historyi wystąpią dzieje umarłych ludów i przesuną się
orszakiem tryumfów przed oczami serca twojego, a uj-
rzysz jako dźwigną się góry nieba sięgające, i zaszu-
mią puszeze prorocstwem dalekich jeszcze lat, morza
zaśpiewają hymny a gwiazdy tanem światlistym za-
wtórują ziemskiemu śpiewom, akkordem nieskończonym.
Toć wszystko obaczysz, gdy fale muzyki pełnym nur-
tem wpłyną w duszę i przyniosą ci wieści z innych
światów.

Muzyka cała jest sztuką wewnętrzną, jój domem
rodzinnym jest uczucie serca; serce wróży muzyką, ona
tedy równie jak architektura jest sztuką symboliczną,
jój ciosami są tony, jój budowaniem harmonie i melo-

dye. Muzyka wprost wpływa w serce, ona nie przechodzi przez myśl, jój wdzięki nie ubierają się w słowa, w wyrazy; co muzyka szepnie nieśmiertelnemu duchowi, tego już nie wypowiesz mową wyraźną, jasną; muzyka jest świata zagadką, wyrocznią, w której przemawia Pan; jój tajemne orzeczenia serce tylko słyszy, a wytłumaczyć je tylko zdoła sama jedna Poezya. Co w muzyce jest senném jasnovidzeniem, to w poezyi staje się jawem.

Jak poezya łączy się z muzyką i płynie jój tonami, tak téż ona, występując samodzielnie, jest sztuką istnącą o sobie. Bo samo przez się poezya jest muzyką, jój rytmy i rymy są harmonią i melodyą, ale jój treść już nie jest więcej zagadką symboliczną, bo duch, innych światów syn, sam tutaj przemawia wprost o sobie, więc téż wątkiem jego, osnową jego są już nie ciosy budo-wne, nie marmury rzeźb, ani farby lub światła, ani tony lub dźwięki; jego osnową i wątkiem a narzędziem jest mowa. A przecież poezya maluje i stawia ci przed oczy i bohaterów i bogów posągami rzeźbionym, ale te jój posągi mówią, rzucają się życiem i krwią; ona rozwija jakby dla wzroku obrazy natury, i śpiewa i weseli się i płacze w sercu muzyką swoją. Ona ogarnia téż przestrzeń światłem promienném oblaną, ona drga w sercu niewidomie niby podziemny nurt, wiekuistości zdroj; ona objęła miłością zewnętrzne i wewnętrzne światy. Słowem, ona w harmonią zestraja wszelki ów dualizm sztuki, o którym powyżej mówiłem, bo ześlubia te jój rodzaje z sobą, które do przestrzeni, więc do oezu się odnoszą, ze sztuką, która jest córą czasu, i dla słuchu stworzoną. Ona tedy jest trzecim rodzajem sztuki.

Przecież właśnie znowu dla tego, że Poezya jedno-
czy w sobie oba poprzednie rodzaje sztuk, stąd już wy-
płyne, że ona sama rozdzieli się w sobie na rodzaje
różne, z których jeden będzie wyobraźnikiem onych
sztuk światła i wzroku, stwarzających zewnątrz siebie,
bo w przestrzeni, dzieła swoje, a drugi rodzaj poezyi
odniesie się przeważniej do wewnętrznych przybytków du-
chowych; trzeci zaś, jak przewidujesz, będzie sam powią-
zaniem obu pierwszych rodzajów poezyi.

Zgadujesz zapewne, że wedle tego, com dopiero
rzekł, naprzód pojawi się tu poezya niby plastyczna,
malownicza, która zwróciwszy źrenicę duchową na ze-
wnątrz, widzi Boże i światowe dzieje, patrzy na spra-
wy natury i historii człowieka. Jest to epopeja, sielan-
ka, powieść i tak następnie, a gdy ona wyśpiewa te
zewewnętrzne światy, gdy głos jej rozbiegnie się po po-
koleniach i stuleciach, wtedy duch piękności zwróci oko
swoje na wewnątrz, i co potęg, co mocy żyje w pier-
siach człowieka, to wypłyne strumieniem, potokiem,
rzeką lirycznój poezyi, i zagrzmie Hymnem, Psalmem
Bogu, i uwielbi Odą wielkie czyny wielkich ludzi na
ziemi. Albo nakoniec poezya stanie się dramaturgią.
Tu jak w epopei widzisz postaci przed sobą, widzisz ich
dzieje na ziemi; ale co one mówią, toć jest wylewem
ich duszy, co czynią i działają, toć jest wyrazem onych
mocy tajemniczych, co pracują w ich wewnętrznych
przybytkach, tych mocy, co prą i robią w piersiach ich
do działania porywając.

Tak tedy zlekka rzuciłem ci zarysy podziału sztuk
pięknych; prawda, że te zarysy są zbyt lekkie, prawda,
że możnaby innym jeszcze trybem uszykować cały po-

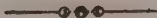
czet tych cór olympijskich; wyznaję, że w téj chwili nie wiem nawet, czylibym się tego samego trzymał szyku, gdyby mi kiedyś wypadło w przyszłym jakim szeregu listów moich przypatrzeć się z osobna każdemu z tych rodzajów sztuk — ale w takim razie przyszłoby nam téż ściślej ugruntować podział cały. Wszak dotychczas estetycy nie mogą się zgodzić w téj mierze! Myślę atoli, że podział i systematyzowanie wzajemne sztuk pięknych trybem, jak to uczyniłem powyżej, zupełnie nam nateraz wystarczy, a to tém więcej, że jest i łatwy i zrozumiały. Trzymając się naszej myśli, która w nim przewodniczy, zdołasz bez trudności każdy z tych rodzajów sztuk rozdzielić znów na podrzędne rodzaje; co więcej, bez mozołu poznasz, jako w tym systemacie wypadnie umieścić i inne pojawy, które równie do dziedziny sztuki i bardzo słusznie policzone bywają. Tak np. zważ taniec,—rozumie się, że nie ten, który w życiu powszedniém tak się zwykł nazywać, ani ów co zwykle w baletach trąci sztuką łamaną,—a wyznasz, że taniec w najszlachetniejszym znaczeniu uważany, znajdzie i w naszym systemacie łatwo umieszczenie swoje. Bo taniec jest wcieleniem piękności linii w ruchy ciała, a te właśnie odbywają się zarazem w przestrzeni i w czasie (takt, rytm). Tak tedy taniec jest jakoby przejściem ze sztuk istniejących w przestrzeni do sztuki żyjącej w czasie, bo do muzyki; on równie przejmuje wewnątrz człowieka jako też jest zewnętrznym pojawem; on jest rzeźbą żywą i muzyką widomą, harmonią niemą a symboliką wymowną uczuć człowieka. Albo sztuka ogrodnicza! O ile takowa zasadza się na udaniu natury, jój dolin i strumieni, jój gajów, i tak o

ile ona niby stwarza naturę wolną a przecież pełną wdzięku, o tyle graniczy z malowaniem pejzażów; o ile zaś buduje szpalery i strzyże, o tyle zaiste staje się pokrewną Architekturze: rzekłbym, że w pierwszym razie jest natura sztuczną, w drugim sztuka naturalną. A cóż dopiero powiedzieć o sztuce dramatycznój! podobno łatwoby nam przyszło okazać, jak to ona jest wykwitem całego grona sztuk pięknych. Miłoby mi było, gdybym ci kiedyś mógł wyłożyć ogromne znaczenie téj sztuki i pierwsze choć najogólniejsze jój zasady. Ale tutaj niema ani miejsca ani czasu po temu.

Zwróć tylko uwagę na całą ośnowę przebieżoną w liście niniejszym. Okazało ci się jawnie, jako mniemam, że dwa pierwiastki wręcz odwrotne, bo świat duchowy i zmysłowy spływają w jedność w sztuce pięknej, a tém samém że przewaga jednego z tych pierwiastków paczy zawsze cudne piękności formy. Tak tedy wyjawiała się nam naprzód prawda, że same zmysły nie wystarczą, by ująć piękność w całém niebiańskim jój znaczeniu, i że z drugiejj strony sama myśl, wyrzekająca się doczesności, spinająca się po wierzehowinach hardych lecz zimnych i lodowych, wysoko wzniesionych nad życie ciepłe, pełne krwi i tętna, wyrzeka się dobrowolnie rozkoszy płynącejj dla ducha z piękności artystyczněj.

Tym prawdom przypatrzyliśmy się z przeróżnych względów, a nakoniec widzieliśmy, jak ten właściwy stosunek świata materyalnego i duchowego w sztuce, staje się sam zasadą podziału sztuki na różne jój rodzaje. A wszędzie pojawiła się nam prawda, że sztuka piękna zaiste jest zjednoczeniem dwóch światów, bo doczesności i wiekuistejj prawdy, zmysłów i ducha.

Dusza, Psyche, o motylach skrzydłach, słonecznego bóstwa córka, jaśnieje w swą pięknosć nadziemską, ale świat tylko cześć niebiance oddawać umie, a nikt ze śmiertelnych nie ośmiela się jej kochać rzewną miłością. A smutnie i tęskno płyną godziny samotnej Psychy; ale Amor, ziemskiego kochania i najwyższych uroków bóg, sam miłością ku niej goreje i dla oblubienicy nieśmiertelność od Pana Olimpu wyprosił, a cały Olimp zstąpił na ziemię i uwieńczył zaślubiny niebiańskiej ze ziemską miłością. Sztuka jest tą historią miłości Amora i Psychy, zlanie się w jedność zmysłowego i duchowego świata.



LIST VI.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszej. — Uczucia nie mogą być prawidłem sążdenia o rzeczach, ani skazówką postępowania naszego. — Nie mogą tedy stanowić prawdy w sążdeniu o dziełach sztuki. — Uczucia są właściwym sądem w sprawach zupełnie osobistych. — Sztuka nie ma celu wzbudzania uczuć religijnych, ani moralnych. — Uczucie piękności czyli smak nie jest dostatecznym sędzią, ani twórcą dzieł sztuk pięknych. — Pojmowanie piękności przez Platona. — Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłym uważanego. — Smak estetyczny — styl.

Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce. — Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki. — Indyana Paoli Sand. — Stanowisko dzisiejszych romansów francuzkich. — Powołanie rzeczywiste piękności. — Harmonia rozumu i uczuć.

Gdy Dante przy grzmiącym głosie swój lutni pieśnią potężną zaśpiewał o piekle, czyscu i niebie, o aniołach i szatanach, już, jakby na pobudkę ostatecznego sądu, zerwały się Włochy, złożone jeszcze barbarzyństwa snem, a roztwierając nagle oczy, ujrzały zarazem purpurowy świt swój sztuki w malowanych Giotta obrazach. Poranie nowego życia rozlało się po niwach i gajach Italii. Wtedy i promyk jeden świeżój jutrzeńki padł na skromny domek w Arezzo, kędy się chował młody *Sp*i-

nello. Zawrzała w nim dusza, zakipiała namiętnością:—był to Włoch w całym znaczeniu; co w sercu zatliło, rozgorzało płomieniem ponurym i buchło na jaw, odbijając się, niby w duszy zwierciadło, w zuchwałych i pełnych grozy figurach pęzła jego. Wnet rozbiegła się sława młodego malarza, a starzy i pacholęta, kobiety i mężczyźni rozprawiali o jego dziełach, podziwiając te śmiałe, butne i namiętne kształty jego; a dziwna też w tych postaciach żyła potęga i dziwne też o nich chodziły wieści. Czyliż on może puścił się w tropy Dantego ku progom Lucyfera, podpatrzył piekielnego gospodarza i z pod boku jego wyniósł sobie na świat wzory dla swych figur?—Bądź jak bądź, zawsze jakaś siła tajemnicza w nim parła i do pośpiechu napędzała, bo choć pęzel jego lotem błyskawicy ścigał myśli i uczucia mistrza, nie mógł im dostać, ani wystarczyć gwałtownemu pochodowi duszy jego. A lubo z równą szybkością wypadały z pod ręki Spinelli i mnichy i światowe damy, święci, cesarze i papieże, i choć wszystko już stawało się obrazem, o czym zaledwie pomyślał; przecież z głębokiej otchłani gorącej wyobraźni jego coraz nowe a nowe wylatywały kształty; zaczęte, na pół dokończzone rzucał, chwytając następne, bo nie miał pokoju w sobie, i coś, jak powiadano, w nim paliło. Ale w końcu Spinello, pragnąc by przecież w mieście rodzinném zostawił ślady żywota swojego, zabrał się do wielkiej roboty w kościele S. Maria degli Angioli: upadek i strącenie aniołów pysznych było treścią téj pracy.—Łatwo sobie wystawić możesz gromadę złych duchów, co urosła z pęzła jego. Główną atoli figurą obrazu, i słusznie, był sam szatan robiący niby honory piekła; a za-

wziął się téż na tego wroga naszego rodu Spinello, i w taką brzydotę go przystroił, jak tego jest godzien. I udało mu się — ba, obaczysz, iż mu się udało na jego biedę aż nadto: posłuchaj tylko cierpliwie.

Zbiegała się tłumem cała okolica, by tę sławną szpetność podziwiać, a strach brał patrząc na nią; i nikt już w obecności tego obrazu nie śmiał głośno przemówić, by licha nie budził; — kto spojrział, to i truchlał. A panie wszystkie przyznawały, iżby nigdy się nie spodziwały, by zwodziciel mógł być do tego stopnia brzydkim; a może téż nie jedna i nie jeden pocieszał się myślą, iż znów djabeł nie tak straszny jak go malują. Rzecz cała byłaby się może na tém skończyła, i z samym djabełem byliby się może oswoili, bo najtrudniej zacząć, a już resztę jakby znalazł. Boć i sami panowie Francuzi nas uczą: *Ce n'est que le premier pas qui coûte*. Ale cóż się stało? — tak wiele o tym djable gadano, rozprawiano, szeptano, iż jakoś wieść o malowidle Spinelli doszła komerażem do piekła i ubodła do żywego stronę interesowaną. Niewiedzieć, czyli djabeł był istotnie na starość w jakichś jeszcze pretensjach, czyli się obawiał wyraźnej straty i bankructwa na kredycie, i mądrze u siebie zważył, iż zwodziciel, o którym wszysej wiedzą że szpetny, i licha nie wart: o to wszystko nie pytaj, ja o tém wiedzieć nie mogę, ani chcę wiedzieć, bo zresztą nie lubię się w takie tam rzeczy mieszać. Koniec końców, wszystko się skrupiło na biédnym Spinellu. Słuchaj.

Jednej nocy, gdy księżyc, niezmordowany od wieków kochanek i towarzyszy Ziemi naszej, po swojemu ją kółkiem obiegał, i tak służąc pani swojej dowodził, że

miłość na starość nie rdzewieje; gdy przy poetyczném świetle jego Italia kąpała się w srebrnych toniach obu mórz swoich, co niby dwaj cavaliere servente z obu stron grą swych fali śpiewały jój serenady swoje, a ona wiecznie młoda, wiecznie cudna, ustrojona wiankiem gajów i kwiatów, tchnęła pod ciche gwiazdy woń swoją, oddając niebu, co od nieba wzięła; Spinello — gdy się to wszystko działo, spał sobie snem prawego, o niczém złém nie myśląc. Aż tu nagle staje przed łóżkiem jego osobiście djabeł, od stóp do głów w téj samej postaci, w której go był odmalował Spinello w kościele degli Angioli; miał kubek w kubek ten sam wyraz fizjonomii, te same maniery, ułożenie i t. d. słowem, oryginał był, jak to mówią, z miny i czupryny tak podobny do owéj swéj kopii, jak dwie krople wody. A nuż tedy żale i chryje, nuż wyrzuty; a tyś taki, a ty owaki, gdzieś ty mnie tak szpetnym widział, co ja tobie winien, po co ty mnie na despet malował, co ja ci kiedy złego zrobił, ty mi psujesz reputacyą i t. d. i t. d. do widzenia się! Przebudził się Spinello kąpiąc się w mroźnych potach, a w mózgu kipiało; czoło miał zimne, a głowę w płomieniach — ot, dostał pomieszania zmysłów, nie długo umarł, i na tém się skończyło.

Otóż widzisz, drogi mój bracie, czém dla tego nieboraka był djabeł, tém zupełnie dla nas pospolitych ludzi są najczęściej własne serca *uczucia*; kto się na bażności nie ma, kto ich potędzie rość w sobie pozwoli, kto je w sobie na oślep wychowa, toć wnet ich będzie miał własnymi wrogami, stanie się ich ofiarą i będzie zabity od nich, lub przynajmniej zaszwankuje na ro-

zumie. Uczucia własne dźwigają się często w olbrzymie złowrogie demony, które się stają naszą zgubą przyczyną; co się w sereu zrodziło wywołuje moce w świecie zewnętrznym, a te moce biją na nas i karzą za to, żeśmy pominęli ogólny Boży zakon władający światem i gruntowali sprawy nasze wyłącznie na własnego serca natchnieniu kłamliwém.

A istotnie rzecz dziwnie się ma i z uczuciami i z tém powszedniém odwoływaniem się do nich. Zwyczajnie własne uczucia na świadectwo biorą w rzeczach, do których je najmniej zastosować można; a znowu tam, gdzieby wypadało sięgnąć do przybytku własnego serca i zapytać li samego głosu uczuć, tam najczęściej radzą się zimnego rozsądku: paczą tedy i rozsadek, i znieważają uczuć świętość. Gdy zaś najpospolicij przy sztukach pięknych zwykło się wiele i suto rozprawiać o uczuciach, racz tedy ze mną trochę bliżej ich istotę rozebrać, mając atoli zawsze na pamięci, że ja tu mówić będę o uczuciach samych przez się, a nie będących pod wpływem wyższych władz i ukształconej woli. Dla uniknienia wszelkiego nieporozumienia wolę ci już z początku oświadczyć, czego przy końcu listu tego dowiodę, że jak człowiek bez uczuć jest głuchą, bezjędrną łupiną w świecie moralnym, tak téż przyznaję, iż w świecie estetycznym uczucia są głównym pierwiastkiem; bo gdzie nie ma uczuć, tam nie ma mistrza, tam nie ma sędziego sztuk pięknych, tam nie ma sztuki wcale.

Ale wyznaj, że téż trudno znaleźć coś tak zmiennego, tak przemijającego jak uczucia same, jeżeli one nie staną pod rządem rozumu i nie poddadzą się zasadom prawdy. Rodzą się one w nas ciągle, i ciągle się

przeobrażają, przychodzą nam z nienacka, niewołane, i niespodziewanie występują z ziemi, jakby z pod podłogi teatralnej widziadła i strachy; lęgną się w nas mimowolnie, bez najmniejszego wpływu naszego; jedna chwila bywa tu stanowczą. Ten lub ów, co wstał sobie spokojnie z rana, kładzie się wieczorem mając nienawiść, troskę, lub miłość w sercu: a co gorsza, przez nie, jakby przez żółte, bure, lub różowe szkiełka na świat spoziéra. Uczucia tak mało od nas zależą, jak rumieniec na licu, jak iskra w oku, jak łza boleści, lub barwa włosów, jak sen i marzenia nocne, jak łagodniejsze lub mocniejsze pulsu bicie — serce nie sługa.

Czyli się kto z tkliwszém lub twardszém sercem rodzi, to ani jego zasługą, ani winą; ani téż o to chodzi, jakim się kto rodzi, ale jakim się własną pracą uczyni. Nie ma ludzi lichszych jak ci, których cała pochwała, że mają dobre serce: bo najczęściej to dobre serce znajdzie się i przy braku charakteru, honoru i ścisłego dopełnienia powinności swoich, i przy słabój głowie, rozwiązłości i złych obyczajach. Ludzie tacy nie dają żadnej rękojmi swojego postępowania, a najczęściej i sobie i innym stają się zguby przyczyną. Najwyższym dowodem wartości człowieka jest walka z wadami przyrodzonymi serca, aby na miejscu przemiennych uczuć zbudować w sobie charakter. Ludzi bezmózgłych najczęściej tém bronimy, iż mimo tego i owego, co uczynili, mają przecież dobre serce. Podobnie téż ludzie wskrós sentymentalni nigdy nie zdobędą się na dzielne i potężne czyny; dusza ich pełna woni, niby fiołek w zaciszy, wyzionie zapachem swe życie niezaznane, ciche i wiotkie. Jest to wielka różnica między człowiekiem

sentymentalnym a człowiekiem, jak to mówią, mającym sentymenta.

Uczucia, mieszczące się w piersiach naszych, są skutkiem i ostatecznym wypadkiem nieprzeliczonych wpływów. Cały przeszły żywot nasz, towarzystwo, rodzaj wychowania, miejsce kędy kolébka nasza stała, obrazy rozwieszone na ścianach ojczystego domu, czarne i jasne chwile dziecięctwa naszego i cała ta nasza młodość brzmi głosem przeciągłym, długim, aż w późne lata życia. Nawet bieg szybszy lub powolniejszy krwi, różny temperament, wszystko, czegośmy sami się wyuczyli, albo czego nas świat nauczył przedewszystkiém usposobienie psychiczne od natury wzięte..... słowem, summa nieskończonej liczby przypadłości, które bynajmniej od nas nie zależały, stworzyły te uczucia, które się w piersiach naszych mieszczą. Muszą tedy uczucia być tak przypadkowe, jak i okoliczności, które je zrodziły. A ponieważ wypadki i wydarzenia takowe w każdym człowieku są inne a inne, więc téż każdy człowiek ma inne uczucia i inne nastrój serca swojego. Ale co więcej, w jednym i tym samym człowieku nawet one ciągle się mieniają, wiecznie przeobrażają. Spójrzj w serca własnego ciemne otehlanie, w ten świat dziwny, niezgłębiony, w to gniazdo bezokich marzeń, zagadkowych potęg; ztamtąd, jakby z zamglonego oceanu, wznoszą się w różno-kształtnych fantastycznych formach, niby widma wywołane czarnoksiężnika słowy, tłumy uczuć różnego języka, różnej twarzy, a każde w imieniu innéj namiętności przemawia, każde inną wprowadza sprawę przed sąd rozumu, każde ku swéj stronie kieruje życiem naszym: a rozum, wśród téj wrzawy nie-

swornój, przesłyszany niekiedy i słuszości głosu. Uważ, iż nawet nigdy jedno uczucie samo w nas się nie odezwie; owszem, gdy jedno w serce uderzy, budzi całe akkordy spokrewnionych z sobą uczuć, podobnie gdy się dotkniesz jednej struny w muzyczném narzędziu, już dźwięk jój obudzi inne, posłyszysz jój tercję, kwintę i oktawę.

Nieustannie coś w sercu naszém się zradza, porusza, mówi, a lada zdarzenie, lada zjawisko na nas działać może; spadający listek wieczorem jesiennym, umierający kwiat, pięknych oczu spojrzenie, niebo jasne, promienne lub szare i smutne, pieśń z dawnych lat, miejsce niegdyś widywane i ukochane, niebo w gwiazdy strojne, gawory dzwonów znane z lat dziecięcych — i tysiące nieprzewidzianych małych i wielkich wypadków przestrajają w mgnieniu oka duszę naszą.

Sama wieku różnica, rozmaitość pory dziennój lub rocznój, przeszłość, przyszłość i teraźniejsze chwile w innych barwach zjawiają się oczom duszy naszej i inne w nas budzą uczucia. Lata, co jeszcze drzemią w przyszłości łonie, podobne do młodości i wiosennego zarania, gdy wschód purpurowy goreje gromadą obłoków złocistych, a w każdej rosy kropelce zwierciadli się niebo, błyszcząc nam jakby tysiączną nadzieją; przeszłość zaś jest znów jakby wieczorem jesiennym, ni by podeszłością wieku naszego: przedmioty rzucają długie cienie na obraz świata; smutne, zimne mgły pokrywają życie ziemskie, aż gdy księżyc powodzią drżącego światła zaleje doliny, już téż drzewa, góry, krzewy i skały tracą barwy swoje, i są tylko jakby widmami siebie samych. Południe życia, strzelając z góry promieniem swoim, dojmuje upałem pracownika téj ziemi; czło-

wiek w znoju wieku średniego trzodzi się z chwilą ternaźniejszą i pasuje się z nią i walczy, zapomniawszy na życia swojego wschód, a często nie pomni, że słońce żywota ku zachodowi się skłania. Tak uczucia nasze coraz inne przybiérają kształty, a serce ciągłym niby jest kalejdoskopem, za każdym poruszeniem w inne się przemienia postaci.

A już teraz myślę, iż mi przyznasz że uczucia, powstając w nas i niknąc bez woli naszej i przyczynienia się naszego, muszą téż być w każdym człowieku inne, i nawet w każdym znów, wedle różnej chwili, wedle trafu, różne; a z tego znów zrozumieć możemy, iż one są rozmaite: złe i dobre, zacne i nikizemne, że nas tak do wielkich i szlachetnych czynów prowadzą, jak hańby i zbrodni stają się przyczyną. Przyjaźń, miłość, poświęcenie za prawdę, bojaźń Boża, obyczaj pocziwy, również mają w sercu ojczyznę swoją, i również z uczuć pochodzą, jak zdrada, nienawiść, mordy, cudzołóstwo, kradzież, zazdrość, kazirodztwo i wszeteczność wszelka, o tém i Pismo Ś. świadczy. Wstąp-no do więzień karnych, kędy mieszka występki i rozpacz, a najczęściej znajdziesz, iż zarodem złego, owym ciemnym aniołem, co zwraca człeka od drogi prawego żywota i wabi ku złemu, były złe pilnowane serca uczucia.

Uczucia są to owe czarownice, co na głuchych i pustych wrzosach, wśród wichru, burzy i bitwy spotykają Makbeta i w serce jego, nadpsute pychą odniesionego zwycięztwa, niby jadu krople wpuszczając, pochlebną i zradliwą przepowiednią wznecają w nim żądze panowania i chciwość korony: a droga do tronu wiedzie go przez mordy i zdrady. Pugiwał-widmo wabi

Makbeta po przez noc do komnaty śpiącego Dunkana, a sam morderca siebie pyta, czyli krwawe zabojeństwa narzędzie jest piekła widziadłem, lub dziełem podstępnych zmysłów? Shakspeare jest mistrzem w malowaniu uczuć stojących na zdradzie człowiekowi. Dla Otella znów zazdrość serca w postaci Jaga staje się szatanem jego. Uczucia złe dojrzwając bowiem w piersiach przybierają te lub owe kształty, kuszą i do grzechu pociągają. Wié o tém Hamlet; głucho i pusto w sercu jego, rozpacza o ludziach, o sobie, o wieczności; patrzy na świat niby na wielki grób, a w serce własne jak w cmentarz, kędy pochował i miłość, i nadzieję, i ułudy i wiarę swoją; skrzepnął w sobie, bo powątpił nawet o matce własnej. W tém duszy nastrojeniu podejrzenie ostatnie, najwyższe, zjawia mu się w bladém widmie ojca: ale Hamlet i jemu nie dowierza i sam sobie powiada, że duch ten może być zawodnym piekła posłannikiem, by go ułudą zwieść i wtrącić do zbrodni.

Jeżeli tedy zaprzeczyć nie możesz, iż uczucia są czémś niepewném, przypadkowém, a często złego powodem, toć już widzisz, iż one nie mogą być sędziami spraw naszych, owszem, iż one same należą pod sąd rozumu. A jak tedy niebezpiecznie jest zaufać im, tak jest ubliżeniem godności człowieka uważać to za prawdę, co nam, jak uczucia, znienacka i niewiedzieć z kąd przychodzi.— Człowiek, by bez krzywdy swój wiekui-stój istoty cokolwiek za prawdę mógł uważać, winien być przy zakładzinach jój i znać jój fundamenta.

Nie rozumiem tedy, jakiém prawem w rzeczach pełnych grozy i powagi, w sprawach ogromnego dla wszystkich ludzi znaczenia, można się do uczucia swo-

jego odwoływać; a jednak tak się dzieć zwykło. Bo czy to jest mowa o wydarzeniach historycznych, o wielkich figurach w życiu rodu ludzkiego, lub o prawie, stosunkach towarzyskich, sztuce pięknej i podobnych sprawach, to najczęściej słyszymy, iż ktoś sobie uczucia własne za sędziów bierze, i z nich tworzy sobie zdania. Ale rzecz jasna, iż zdanie takowe jest li ważnem dla niego samego, dla innych nie ma żadnej wartości. Tu na nie się nie przyda, choć kto, kładąc rękę na sercu, sentymentalnie zawoła: «ja tak czuję!» bo choćby tém nawet jakiś efekt sprawił, nikogo przecież nie przekona: a wykrzykniki takowe są nierównie łatwiejsze, niż dowody na rozumowych zasadach oparte.

Człowiek, gruntujący zdanie swoje na własnych tylko uczuciach, opiera się tylko na powodach zupełnie osobistych, więc przypadkowych które innych ludzi nie obchodzą wcale; a gdy czerpie li z siebie samego zdanie, nie z rzeczy, o której sądzi, więc téż to jego zdanie będzie prawdą osobistą tylko, a nie rzeczywistą: bo, czyniąc uczucia swoje najwyższym sędzią o rzeczy, nie pyta czém ona jest sama w sobie, a zatém czém być winna dla innych, tylko, czém ona jest dla niego. Nie przypuszcza żadnej dyskusyi, żadnego dowodzenia, ani za, ani przeciw: bo gdzie dyskusya i dowody, tam i rozumowanie, a uczucie nie wdaje się w rozumowania; jest, bo jest. Kto tylko w uczucia wierzy, żąda tedy ślepej wiary, bezwarunkowej ufności, ma pretensyą, aby to, co wyrzecze, miało dogmatów wagę; a przecież zdania takowe mają tylko piętno urywkowych prawideł, nie mogących się nigdy związać w systematyczną całość, bo do téj potrzeba zasady rozwiniętej z rozumo-

wania. Estetyk, wierzący tylko w uczucia własne, na świat patrzy się z piętra, i radby mieć w swoim kraju niby propinacyą wyłączną na zdania i sąd o rzeczach i ludziach.

Są zaiste stosunki ludzkie, w których każdy samego jedynie uczucia radzić się musi i powinien, w których samo serce rozstrzyga. Zakochał się kto i żeni się, toć już słucha samego swojego uczucia, boć to jest jego własna sprawa, i zupełnie ma słuszość nie dbać o zdanie i perswazyę innych. Lecz byłby człowiekiem nieznośnym i śmiesznym, gdyby nas zniewolić chciał, byśmy i my te wszystkie owe zalety, przymioty i powaby w jego oblubienicy widzieli, które on w niej spostrzegł. Któż bierze za złe rodzicom, gdy w swych dzieciach widzą dowcip, rozsadek i urodę, i jakieś nadzwyczajne upatrują zdolności, których się inni ludzie w nich, choć przy najlepszej woli, dopatrzeć nie mogą. Dla ciebie ów ogromny dąb, pod którym siadywał dziad twój i ojciec, jest księgą świętą nieprzebranych marzeń słodkich i wspomnień drogiech — gdy tymczasem obcy człowiek w myśli oblicza, ileby z onego dębu było fosztów, i po czemuby ich łokieć sprzedać można. Z tego też powodu uczucia zwykliśmy zamykać w cichych tajnikach duszy, rzadko je komu otwierając, by świętokradzką ręką nie znieważono téj świętej kaplicy w piersiach naszych, by zimném dotknięciem nie zmrożono nam ciepłego drgania serca. Nie dziw tedy, że też miłość lub przyjaźń zdradzona tak pali i boli.

W sprawach przeto zupełnie osobistych, zupełnie do nas należących, uczucia są właściwym sądem; wyprowadzone zaś z tego koła nie znajdują się więcéj na miej-

scu swoim. Przewaga bowiem jakiego uczucia w człowieku tak miesza i mąci wyobrażenia o rzeczach, tak je majaczy, iż jest w niższym stopniu zupełnie tém, czém obłąkanie umysłu. Dla téj téż przyczyny górowanie uczucia jakiego najczęściej do obłąkania prowadzi. W stanie takowym umysł zwrócony przedewszystkiém ku jednemu przedmiotowi, (fiksacya), nie zdoła uporządkować wyobrażeń swoich, ani naznaczyć każdemu właściwego miejsca, wszystkie z sobą miesza; dla tego choroby umysłowe słusznie pomieszaniem się nazywają. Rzeczy dla duszy w tym stanie będącej nie są istotnie tém, czém są rzeczywiście, ale czém się umysłowi schorzałemu być wydają. Najtrafniejszém téż leczeniem jest staranie, by człowieka z tego osobistego stanowiska jęgo, niby z kółka zaczarowanego, wyprowadzić a wystawić go na działanie świata zewnętrznego, rzeczywistego, czyli, jak powiadają, by go rozerwać, zająć rzeczami istotnemi.

Bo téż świat zewnętrzny, zwłaszcza natura, jest właśnie tą prozą, toczącą się zawsze i wszędzie drogą rozumu; i świat nie pyta się wcale, czém on się temu lub owemu człowiekowi wydać może, ale uczy rozumu każdego, kto się do niego nie stosuje, bo uczy, aby zapatrywanie się osobiste swoje zamienić na zdanie z rzeczy pochodzące, na pojmowanie rzeczywiste. Otóż patrz, szanowny pan Don Quichot z Manchy, choć sam miéwał zajęczki, wiedział przecież, jakby je leczyć w drugich. Gdy piękna panna Altisidora, niby rozgorzała ku niemu nieukojoną miłością, zuchwały rycerz z Manchy nie zdołał płacić wdzięcznością i wzajemnością uczuć, bo siebie na wieki był oddał nieporówna-

nój Dulcinei z Toboży. Przejęty jednak litością, rad był sentymentalnej Altisidorze podać niezawodne lekarstwo na ową serca chorobę. Jednego tedy wieczora, gdy, wróciwszy od księstwa do komnaty swój, usłyszał głosy niewieście w ogrodzie zamkowym pod oknami swemi, dorozumiał się w okamgnieniu, że to ona nieszczęśliwa ofiara: bierze tedy gitarę i, wedle świadectwa biografa swojego, trochę chrapliwym ale wcale nie przykrym głosem zaśpiewał pieśń, którą sam był na ten przypadek ułożył, choć nie wiem czyli dość grzeczną dla owój damy. Dość na tém, że jój radzi, by się zatrudniała jak najwięcej, unikała próżniactwa, żeby doziérała kuchni, patrzała gospodarstwa, i zapewnia że szycie, hafty, dziérgania, druty, doglądanie ogrodu, ciągła czynność, są wybornemi środkami na miłość zbyteczną. Pamiętasz może, że po téj radzie, tak niby rozsądnój, sam biédny rycerz nasz odbywa walkę z kotami, które mieni być złośliwemi czarownikami. Bo tak bywa wśród nocy przyémionej duszy; niekiedy myśl strzeli, jakby błyskawicą, dawną potęgą swoją, by potem znów zapaść w sen i w marzenia na jawie. Tak masz, na wstępie do domu obłąkanych w mieście naszym, napisane węglem na ścianie tąż samą nieszczęśliwą ręką i tuż przy sobie: *Deus est ens musicale, mléko piekło papa.*

Mimo tego, iż tak mało na samych uczuciach fundować się można, przecież jest zdanie powszechne prawie, iż sztuki piękne jak z jednej strony ze samego uczucia mistrza płyną, tak téż znowu w same tylko uczucia widza i słuchacza uderzać winny: że zatém ich głównym celem jest wzruszanie serca, pobudzanie uczuć, wzniesienie namiętności, a z tego znów, iż uczucia są

właściwymi sędziami sztuk, i że wedle nich wyrokować można o dziełach piękności; bo jeżeli sztuki piękne dla uczuć pracują, więc téż uczucia najtrafniejsze zdanie o nich mieć zdołają. Tutaj zaraz z góry można by uczynić tę uwagę, iż ze wszystkich sztuk pięknych właśnie muzyka jest tą, która zdaje się być najwięcej uczuciową, bo istotnie najwięcej ze wszystkich do uczuć przemawia — a przecież, pytam się, słysząc naprzykład kompozycyą jaką muzykalną, czyliż tylko samego uczucia mistrza w niej szukać będziemy, i czyliż dość jest, aby słuchający miał tylko uczucie samo, a nie więcej? Cóż dopiero rzec o malarstwie, architekturze, o rzeźbie lub poezyi? Nie ma nic łatwiejszego jak wołać, że sztuki powinny nas poruszać, wzbudzać uczucia, rozgrzać je sobą i t. d. Ta rada atoli jest tak eiemna i niezrozumiała jak uczucia same. A zresztą jakież to uczucia one wzruszać powinny? Dajmy na to, iż nam naprzykład odpowiedzą: że sztuki mają wzniecić uczucia religijne, zamięłowanie enoty, pogardę występku, słowem, że podnieść i uszlachetnić winny uczucia moralne. Takie wyjaśnienie rzeczy nie wystarcza weale, bo nam miesza cel religii i moralności z celem sztuki pięknej, a tu właśnie wszystko na tém zależy, by oznaczyć, czém jest sztuka, co ona ma właściwego sobie, żeby ją odgraniczyć od uczuć religijnych i moralnych. Taka definicya przenosi zupełnie sztuki na grunt im weale obcy.

A jak zaprzeczyć nie możesz, iż religia i moralność sama w sobie jest prawdą i sama o sobie stoi, nie potrzebując od nikogo pomocy, obejść się zatem może i bez sztuk pięknych,—tak z drugićj strony zechcesz przypomnieć sobie, żeśmy już w drugim liście zgodzili się

na to, iż sztuki piękne nikomu nie służą, nie mają obcych celów, i same sobie są celem: nie służą tedy i moralności. Nie ma płytszego sądu o sztukach pięknych, jak zdanie powtarzane aż do znudzenia często: iż ten lub ów obraz, posąg, poezya, romans nie jest niby moralnym. Sąd taki jest czezy. Ludzie, którym brakuje podniety wewnętrznej do uczuć moralnych, niechaj nie narzekają na sztuki piękne, ale na wychowanie, jakie odebrali. Dzieła sztuki pięknej wcale nie mają powołania, by zastąpiły naukę wiary lub zasady poczeiwe, skoro w sercu nie ma ani wiary, ani zacności. Sztuki wcale nie mają celu, by pomagały rozszerzeniu moralności w świecie, to do nich wcale nie należy. Powieść, malująca ohydłą barwę zbrodni w celu jedynie by była odstrachem od złego, chybia powołania swojego, zbacza ze swój drogi, bo jój cel jest jedynie artystyczny. Po architekturze, po muzyce, po rzeźbie nawet nikt nie wymaga, by miały cel moralny; jedna tylko poezya budująca, grająca, malująca wyrazami, ma mieć jeszcze cel dobrego obyczaju, choć ona ani mniej ani więcej nie jest sztuką jak architektura lub muzyka. Powieści pisane dla dzieci mają zaiste głównie na baczności kształcenie serc młodych; ale téż powieści takowe nie należą do sztuki pięknej, lecz do pedagogiki, do liczby książek wychowaniu poświęconych. Jest rzeczą nawet dość komiczną, jeżeli ludzie późniejszego wieku chcą się jeszcze budować i polepszać z dzieł, które dla zerwania swojego czytają; wszak już oni dawno powinni byli skończyć sprawę ze sercem i rozumem swoim i wiedzieć stosunki swoje do Boga, bliźniego i siebie samych. Rozprawiania o moralności dzieł sztuki

pochodzi z pomieszania wyobrażeń o rzeczach zupełnie różnych. Czyliż sztuki piękne mają być rozprawą o moralności, czyliż one mają mieć w końcu dodany sens moralny jak bajeczki Krasickiego? — a zresztą, któż z nich tę moralność wytłumaczy? — czyli tu nie wszystko zależy od sposobu uważania tego, który je tłumaczy? — W jedném i témże samém dziele, wedle stanowiska różnego, wiele dobrego i wiele złego widzieć można. Posłuchaj, co w towarzystwie mówią, gdy przy herbacie rozprawiają o moralności jakiego romansu lub dramatu; rzadko znajdziesz dwa zdania zgodne w tym względzie.

Nie przeczę iż dzieło sztuki każde, byleby było doskonałe, na wartość też wewnętrznego człowieka wywrze wpływ swój potężny i zagrzeje miłością tego, co jest moralném, wielkiém, prawém i świętém. Bo sztuki tak są prawdą i tak z zacności człowieka płyną, jak moralność, enota i wiara; nie mogą one być tedy im przeciwne, ani w sprzeczności z sobą: są to ściany jednego i tego samego brylantu, gorejącego tylko różnemi barwami ognia swojego. Co innego atoli jest powiedzieć, iż z dzieł sztuk pięknych wypływa moralność i zacność, a co innego, iż one tylko dla téj moralności i enoty bytność swoją mają, i że one dla moralności są środkiem tylko. Przypuszczam iż istotnie sztuki piękne winny mieć na celu obudzenie uczuć szlachetnych, wielkich i zacnych; czyliby na tém moralność tak wiele zyskała? — mniemam, że nie wiele: bo moralność nie stoi na uczuciach, nie na zapalach tylko, ale raczej na przekonaniu, na jasnej wiedzy powinności świętych człowieka, na łamaniu się z sobą, jeżeli potrzeba, a nawet

na zmuszeniu swych uczuć, by się zastosowały do tego, cośmy w sobie za prawdziwe i godne nas uznali.

Zaiste sztuki piękne nie służą żadnemu celowi obecnemu za środek; ich celem jest właśnie piękność sama. Ich celem nie jest ani rozbudzenie uczuć religijnych ani moralnych, ich celem téż nie może być nauczanie ani wiedza żadna; sztuki piękne są wolnemi córami potęgi niebiańskiej, która zamieszkała w sercu człowieka.

Rzekłem już w inném miejscu, że człowiek w sztuce uzmysławia wiekuisty pierwiastek ducha swojego; ten pierwiastek w nim robi i prze, niewoli to do własnej twórczości artystycznej, to do podziwiania dzieł mistrzów i skąpania ducha swojego w źródłu piękności. Człowiek nie może nie mieć sztuki, ona jest najwyższym wykwitem ducha jego; sztuka jest zarazem i rękojmnią i wpływem nieśmiertelnej jego istoty. Dla tego też właśnie sztuki piękne pojawieniem swoim uszlachetniają, uzacniają uczucia człowieka; dla tego właśnie stanęły obok enoty, obok religii jako zacne jej sprzymierzeńce. Atoli to uszlachetnienie, to wzniesienie ducha ludzkiego przez sztuki piękne jest ich skutkiem, ale nie jest ich powodem ani celem.

Widzisz tedy że cel, narzucony sztukom pięknym, jest świętokradztwem na nich dokonaniem, więc dla tego sztuka, uczyniona służebnicą obcych jej celów, mścić się będzie na mistrzach zniewagi swojej, skręcając i pacząc ich dzieła, jakby na urągowisko ich talentów.

Patrz jak mdłe najczęściiej są np. wszelkie poezye mające na celu nauczanie; poemata dydaktyczne nie są nigdy ani prawdziwą nauką, a rzadko bardzo prawdziwą poezyą. Wszak dążności «praktyczne» Rzymian,

mające we wszystkim cel utilitarny na oku, stały się kłatwą ciężącą na ich sztuce; wszak ta praktyczność ich przedewszystkiém stworzyła ową poezją rzymską dydaktyczną, co świeci i błyszczy, migoce się jakby wysadzona w drogie kamienie: w niej znać pilne, wytrwałe wykonanie, ale najczęściej brak im natchnienia. Bo też inaczej być nie może! Wszelkie dzieło sztuki, do którego się zabiera mistrz z zamiarem osiągnięcia jakiegoś celu ubocznego dla piękności, wszelkie dzieło sztuki, przedsięwzięte z zamiarem rozszerzenia jakiejś dążności ubocznej między ludźmi, nie będzie nigdy arcydziełem piękności. Bo gdy mistrz ma na oku cel jakowyś, już tém samém dobierać winien środki stosowne do osiągnięcia zamierzonego celu, i wiąże te środki i kombinuje je z sobą, i waży je i mierzy i stosuje. Takie postępowanie atoli jest już sprawą chłodnej rozważy, rozumowania, rozsądku: lecz rozum, rozważa chłodna nie stworzy nigdy dzieła sztuki, z głowy samej nie zrodzi się nigdy piękność; takowe dzieło nie będzie żywym kwiatem, ale kwiatem trupim, robionym. Przypatrz się dobrze tym poeziom, romansom tak zwanym «tendencyjnym», a zgodzisz się zemną, że prace takowe, mimo ogromnego talentu pisarzy, nie będą przecież dziełem prawdziwie estetycznym, artystycznym. Bo dwóm panom służyć nie można. Kto jest kapłanem piękności, niechaj się już nie kłania obcym jej bogom. Połowiczność zawsze i w tém odnosi karę, że takowe dzieła wnet idą w niepamięć: świat zwróci się do innej dążności i odrzuci precz od siebie dzieła, które niedawno uwielbiał. Piękność artystyczna w całym majestacie swoim zasiadła na stolicy; garnijcie się do niej i od-

dajcie jój hołdy; ale biada jój i wam, gdy ona, zapomniawszy godność a zacność swoją, zestąpi z swojego tronu i, mizdrząc się do lada zachętki swojego czasu, ofiaruje się każdemu co jój przysługi po swojemu użyć zechce.

Rozumiem że mi nie zarzucisz tutaj, iż najwyższe arcydzieła sztuki, że pieśni wielkich mistrzów, porywając, zagrzewając serc tysiące, wlewają w dusze dążności wielkie, szlachetne, olbrzymie i unoszą widza, słuchacza nad siebie samego; nie spodziewam się zarzutu takowego, bo rzecz jasna, że gdy każde dzieło sztuki, każda pieśń ma pewną treść swoją, już tém samém obudza w sercu ludzi dźwięki pokrewne, wskrzesza uczucia a tém samém i dążności, które wtórować będą tonami swojemi téj treści, tym uczuciom mistrza samego. Tego przecież nikt zaprzeczyć nie zdoła. Nic mniej jest rzeczą pewną, że ta duchowładna tajemna potęga mistrza właśnie w tém tkwi, że on te uczucia, te zapały w sercach ludzi zbudził sztuką ale nie sztucznością; że tych dzieł nie robił jakoby na obstalunek, że sam mistrz-wieszcz był przenikniony wskrós jakąś prawdą wielką, prawdą głęboką, która przeszła jakby w krew jego duszy, w tętno jego serca, wrzała w nim i kipiała i parła do dzieła; i on wyśpiewał tę prawdę w swojej pieśni, odział ją w postać dzieła swojego, a ta pieśń, to dzieło uderzyło gromem widzów, słuchaczy i rozпалиło ich ogniem zacnym i szlachetnym. Prawda, która się stała panią wieszczą i duszą jego duszy, sama przez się z własnej mocy swojej żyć będzie w dziele jego, i nie będzie bynajmniej potrzeba aby mistrz założył ją sobie z góry za cel swojego dzieła; w tém dziele będzie dążność, ale

ona sama się w nim zrodzi bez umyślnego powziętego zamiaru. Lecz właśnie dla tego głównie chodzi o to, aby treść, przejmująca duszę mistrza, była rzeczywiście prawdą, bo wtedy i natchnienie jego będzie iście prawdziwém, wtedy to zachwycenie twórcze nie tylko z imienia ale z istoty swojej będzie aniołem wiekuistości, zesłanym od bożego tronu, wtedy jedynie to zachwycenie nie będzie kłamliwém, zawodnym demonem, co się zrodzi z próżności osobistój i zachcianki drobnój ciasnego serca.

Ale rzekną nam, że smak jest zaiste najwyższym krytykiem dzieł sztuk pięknych; aleć, proszę, czémże jest smak, jeżeli nie uczuciem piękności? Co tedy powyżej o uczuciach w ogólności powiedziałem zupełnie stosuje się i do uczucia piękności, do smaku. Lecz co więcej, ze wszystkich uczuć właśnie uczucie piękności, ów smak jest najniestalszy, najrozmaitszy; każdy wiek, każdy człowiek ma inny, każdy rok inne smaki rodzi. Myślę iż nasze damy za wszystkie skarby świata nie ustroiłyby się w mody, będące najwyższym dowodem wykwiintnego smaku lat temu 30; ba, i tak dawnego czasu nie potrzeba wcale. Byłoby szczerým zbytkiem dowodzić tego, a nie ma téż oklepańszego i prawdziwszego przysłowia: *de gustibus non est disputandum*.

Powiadają, smaku dorobić się można wpatrywaniem się pilném w dzieła sztuk pięknych, zostawionych nam w puściźnie po wielkich mistrzach przeszłości. Wołają zewsząd: czytaj tylko pilnie dzieła wzorowe, odznaczające się wytwornością, nabywaj uczucia piękności w galeriach obrazów, rozbiéráj celujące pomniki architektury, zrozumieј czarodziejstwo muzyki po koncertach,

operach, kościołach, utop się myślą w posągach święcących po glyptotekach europejskich, a widząc i słysząc te skarby sztuki, wyprawisz smak swój i będziesz już mógł sądzić o wartości dzieł.

Gdyby samo widzenie zgoła miało być dostatecznem, więc nie wiedziéć czém się dzieje, że pomimo onych gęstych a częstych podróży, znajdziesz owo dziwaczne się, zwłaszcza pod względem architektury. Spójrzysz na browar, rzekłbyś, że to kościół; na owczarnią, że to ratusz; obaczysz karczmę podobną do galeryi obrazów, a dwór do obory. Lada gdzie usadzą pękata basztę, wlepią ci drzwi i okienka śpiczaste, i powiadają że to styl gotycki. I takie to całe wyobrażenie o smaku i piękności. Bo już nikt nie żąda, by kto innemi sprawami życia zatrudniony znał się na sztuce, ale chodzi o to, aby wiedział na co go stać, a na co nie. A zkadże to wszystko się bierze?—zaiste ztąd, że choć owa rada nabiérania smaku przez przypatrywanie się rzeczom prawdziwie pięknym ma wiele prawdy, przecież w niéj jest jedna niedogodność: trzeba bowiem już naprzód i z góry wiedziéć, co jest piękném i czemu się przypatrywać potrzeba, by smaku nabyć; lecz kto to wie, już ma smak i już go nabywać przypatrywaniem się nie potrzebuje wcale; już taki ma to uczucie piękności, o które właśnie mu chodzi. A jeżeli go nie ma w sobie, jakże poznać zdoła, co piękne a co niepiękne w dziełach sztuki? a jakim sposobem ma znaleźć tę piękność, czyli za pomocą przewodnika, coby mu wskazał te piękności wszystkie?—Zapewne. Ale zkadże znów ta pewność, że ten sam przewodnik ma smak dostateczny—i zkadże znowu ów przewodnik nauczył się tego smaku?

zapewne także musiał mieć przewodnika swojego, a ten znów innego; a tak niewiedzieć gdzie się ten łańcuch przewodników kończy. Ale może sława Rafaela, Correggia, Thorwaldsena, Homera, Praxytelesa wystarczy, by wiedzieć, iż ich dzieła są wzorami piękności i że się im przypatrzeć należy. Zaiste, jest to zawsze czémś: pytam się jednak, cóż im tę sławę sprawiło, czyli smak współczesnych i potomnych? a ci znów z kąd tego smaku nabyli, jako też prawa ustalenia sławy mistrzów onych?

Mamy więc podziwiać Zbawiciela w katedrze naszej nie dla tego, że jest dziełem najwyższej piękności, ale dla tego że jest dziełem Thorwaldsena, który jest *bardzo sławnym rzeźbiarzem*? więc tedy nie mistrz ma brać sławę z dzieł swoich, lecz dzieła z mistrza?

Dziwna rzecz iż po tylu pracach, po tylowiecznych trudach jeszcze się nie upowszechniła jasna i przeźroczysta wiedza o wiekuistej istocie piękności, gdy tymczasem Plato przed dwoma tysiącami lat uchwycił ją z najwyższego szczytu geniuszu swojego. Skracam słowa jego dając im zakrój zbliżony nieco do naszego pojmowania rzeczy. «Gdy dusza — mówi Plato — ujrzy piękność na Ziemi, przejmuje się dreszczem tajemniczym, bo przypomina sobie własnego żywota dzieje przed lat tysiącem upłynione, gdy jeszcze mieszkała na gwiazdzistej nieba stolicy, i nim spadła w zimne padole doczesnego życia. Gdy bowiem tutaj w tych poniżach ziemskich piękność przed duszą stanie, wtedy dusza rozgoreje pamięcią zapomnianej szczęśliwości: rozwija się przed nią jasny obraz oniej chwili wielkiej, gdyśmy wszyscy, jedni w orszaku Jowisza króla Olimpu, inni chorem idąc za innymi bogami, obchodzili uroczystość

najwyższej Piękności, oddając wraz z niebianami téj wspólnéj wszystkim pani pokłon i cześć. Dusza tym widokiem jasnym rozpływała się w morzu wesela bez granic, bo ona była jeszcze bez skazy, pełna czystéj roskoszy, niedotknięta jeszcze biédami, które na ziemi na nią czekały, ani obleczona jeszcze ciałem cisnącém ją jak skorupa ślimacza. Dla tego dusza tak do niéj tęsknota drga, gdy ją tu pełną blasku, świecącą, w postaci ciężkiéj materyi obaczy; a jéj téż urok jasny oczyma, owym jasnym zmysłem, do duszy płynie.»

«Wzrokiem zaiste piękność oglądać człowiek zdoła, ale mądrości nie ujrzy oczyma; bo gdyby dusza obaczyła mądrość zmysłami swojemi, tak silną ku niéj rozgorzała by miłością, iżby już nie podołała téj tęsknocie swojéj; dla tego wzrokiem człowiekowi samą tylko piękność oglądać dozwolono jest.»

«Kto już zatracił w sobie przypomnienie onéj piękności wiekuistej, w niebie widzianéj, lub kto zepsuty spróchniał w sobie, to i kochania prawdziwego téj piękności nie pojmie; w dzikości swéj natury rozkołysze się ku niéj zmysłową namiętnością i grubych zapragnie roskoszy. Kto zaś w piersiach dochował świętość pamięci onéj niebianki, już na widok materyi, uduchowionéj pięknością, zadrży w sobie jakąś trwogą wewnętrzną, a lęk z onych czasów spłynie na niego uwielbieniem; upadnie przed nią, będzie się modlił do niéj i patrzył na nią niby na Boga, lub na kochankę swoją; radby jéj poświęcić wszystko i palić ofiary, jak się to bogom najwyższym czyni, gdyby znów nie bojaźń, żeby go ludzie za obłąkanego nie mieli. A gdy się w tę piękność dusza wpatrywać będzie, rokosz tęskna ja-

kiéms ciepłem rozleje się po całej jéj istocie, i ona poczuje jakąś boleść po sobie; bo wśród ciepła i tych bólów wykluwają jéj się dawne niebiańskie pióra, dawne skrzydła; a dusza, jak niegdyś w niebie, rozwinie te swoje pióra, te loty i skrzydła, i znów się wznie- sie do górnego Olimpu, ojczyzny swéj. (Phaedrus).»

Powiedz, czyli może być głębsza filozofia jak ta poezya, i czyli może być wyższa poezya jak ta filozofia Platona? I jak przy tym sposobie zapatrywania się je- go wydaje się zdanie, iż smak jest najwyższym sędzią sztuk, iż to one ku niemu się mają i że wszystko jest piękne, co trafia w smak społeczny?

Ośmielam się twierdzić, iż może korzystniejsza jest całość, teorya zbudowana choćby na mylnych zasadach, niż gołe odwoływanie się do smaku choćby najwybor- niejszego; albowiem smak nigdy ogólnej teoryi nie zło- ży, bo jest uczuciem, a zatem nie rozumuje wcale; do teoryi zaś rozumowania potrzeba. Objawić się tedy smak może li we formie recenzyi, krytyki jakiegoś już utworzonego dzieła sztuki.

Powiadają iż dzieła, które są najwyższą pięknoscią dla jednego wieku lub narodu, są szpetne i obrzydliwe dla innego czasu lub kraju; zatem nie stałego, nie trwa- łego o piękności i sztuce powiedzieć nie można, zatem téż żadna teorya sztuki utworzyć się nie da. Zkądże urosło takie wyobrażenie o rzeczy? Właśnie ztąd, iż w sztukach li samego smaku się trzymają, a właśnie smak jest zmienny, więc się zdaje, że i piękność sama jest zmienna i że każda teorya sztuki jest pustym za- chodem. Rozumowanie takowe krąży kółkiem; bo gdy sztuki są niby dziełem smaku, — więc smak o nich są-

dzić powinien — a smak o nich sądzi, bo one są dziełem smaku i t. d. I smak ma swoje dzielnice, w których jest samowładnym choć zmiennym panem. Do niego należy ubrać pokoje, wybrać sprzęty, ustawić je, zarządzić obiadem, balem, zastawić stół, — kreślić nowe rysunki na obicia pokojowe, stwarzać kardynałki, burnusy, wymyślać nowe mantylki, kryspinki, wiktorynki, bibi i t. d. i t. d. Radbym atoli abyśmy się dobrze zrozumieli. Powyżej mówiłem o smaku w znaczeniu przyjętém zwykle w życiu powszedniém; nie przeczę jednak bynajmniéj, że gdy się znajdzie człowiek z duszą estetycznie wykształconą i tkliwą na to wszystko, co szlachetne i zacne na świecie, gdy do uczucia piękności, wziętego z natury a wyrobionego zapatrywaniem się na arcydzieła sztuki, przystąpi jeszcze umiejętność wyrozumowana prawideł artystycznych, wtedy zaiste takie uczucie, taki smak może być sędzią niezawodnym dzieł piękności.

Zrozumiesz, że gdy tu mówię o umiejętności prawideł estetycznych, nie obstaję bynajmniéj za pedanckim szkolnictwem; mniemam jedynie, iż jak mistrz nie obejdzie się bez wiadomości o prawidłach swojej sztuki, tak téż i sędzia dzieł jego znać je powinien; ta teoria będzie dla niego samego nawet rękojmią, że zdanie jego nie płynie li z osobistego usposobienia, ale wynika zarazem i ze samej istoty rzeczy. Zważ równie, iż tu wcale nie chodzi o to, aby, dając zdanie o dziełach sztuki z całym rozsądkiem chłodnym, sobie obecnym, przymierzał do dzieł takowych prawidła estetyczne; bo im więcéj on sam przejmie się temi prawidłami, im więcéj je zleje z własną istotą swoją, im

ściślej je sobie przyswoi, tém one też ściślej przejdą w uczucie jego, staną się, że tak powiem, jego estetycznym sumieniem i instynktem, przejdą w jego smak i uczynią go właśnie smakiem prawdziwym. Mówiłem w téj chwili o sumieniu estetycznym. Widzisz, ów smak osobisty, przypadkowy, niepewny, zawodny, słowem ów smak w znaczeniu, jak go zwykle w życiu codziennym bierzemy, tak się ma do smaku prawdziwie estetycznego, o którymśmy tutaj dopiero mówili, jak sumienie w znaczeniu nieprawdziwym do sumienia istotnego, rozświeconego prawidłami wiary i nauki moralnej.

Czyliż się to nam rzadko zdarza, że ten lub ów najgorszy człowiek o miedzianém czole, uważa to być sumieniem swoim, co zaiste jest tylko żądzą poziomą, namiętnością nikezemną, która mu wiekła w duszę jego. Kto zaś nauczył się mierzyć sumienie swoje wedle prawd religii i etyki, kto stanął własnemu sumieniu na straży, ten odgarnął od sumienia prawdziwego, od tego głosu bożego, demoniczne i złe uczucia, ten już bez chyby a zawodu, gdy do działania przyjdzie, postąpi sobie zacnie i uczciwie, nie przypominając nawet sobie prawideł i ustaw moralnych. Te prawidła staną się już same przez się, jak powyżej rzekłem, krwią jego duszy, tętnem jego serca. Podobnie np. kto nauczył się wedle prawideł wyrozumowanych układu palców, już grając zachowa te prawidła w dotykaniu klawiszów, i nie pomyśli nawet w téj chwili o prawidłach owych.

Zważ atoli jeszcze, że gdy smak ów, w zwyczajnym znaczeniu wzięty, trzyma się w wykonywaniu dzieł

sztuki raczěj osobistego zapatrywania swojego niż istoty rzeczy, niż istoty przedmiotu i zasad ogólnych piękności, wynika ztąd, że smak taki wyradza się najczęściej w wypaczenia, które zwykle »manierą» zowią, ale manierą w złém znaczeniu. Ona to jest wykonywaniem dzieł sztuki niby-na pamięć, wedle pewnych formułek raz na zawsze przyjętych, wedle pewnych sposobków, których się wrzekomy mistrz na pamięć nauczył. Maniera też bardzo często chwyta się ucznia miernych talentów, chcącego naśladować wielkiego mistrza. Co innego jest styl. Styl jest skutkiem przejęcia wskrós istoty samego przedmiotu, wypływa tedy nie z osobistěj dążności ani z własnych kaprysów, ale raczěj z rzeczy saměj i z zasad sztuki. Buffon niegdyś rzekł: *le style c'est l'homme*; trudno by nam przyszło zgodzić się z tém orzeczeniem, gdybyśmy je brać mieli co do litery; zdaje mi się atoli, że słowa wielkiego pisarza powinny być wzięte w tém znaczeniu, że ze stylu poznać można o ile mistrz zdołał ująć całą głębię przedmiotu swojego, a tém samém o ile przedstawienie jego artystyczne odpowiada przedmiotowi temu. W tém znaczeniu iście powiedziećby można, że styl jest człowiekiem. Duch mistrza nurkiem zgłębia topiele myśli Bożych, zamkniętych w przedmiocie, i wynosi je na świat przedstawiając je ludziom w szacie właściwěj, we właściwym stylu. Atoli wielu arcy-mistrzów z równą genijalnością mogą przeniknąć jeden i ten sam przedmiot; każdy przedstawi go w prawdzie wiekuistěj jego, w sposób właściwy przedmiotowi, a każdy przecież przedstawi go po swojemu, w sposób jemu tylko właściwy; tak tedy każdy z nich będzie miał styl

sobie właściwy. W tém znaczeniu możemy mówić o stylu Michała Anioła, Rafaela, Overbeeka i t. d. — z których każdy, choć się zabierze do tego samego przedmiotu, odda go po swojemu. Lecz o stylu i manierze wypadnie mi może jeszcze i na inném miejscu powiedzieć.

Przecież widzę, iż list mój niepoohamowanie rośnie, bo postrzegam, iż zaledwie do połowy wyczerpałem przedmiot dla niego przeznaczony. Wypadałoby mi może ukończyć teraźniejszy list mój zachowując sobie na raz następny ciąg dalszy jego: ale znów z drugiej strony nie radbym na dwa listy rozwlekać téj saméj treści; dla tego przebach, iż rzecz moją za jednym zawodem do końca poprowadzę, i tak téż na przyszłość czynić będę.

Zechcesz sobie przypomnieć, iż dopiero co przytoczyłem ci zdanie, jakoby uczucia były główną i jedy-ną nawet podstawą sztuk pięknych, i że zdanie to rozumiane być powinno pod dwojakim względem: raz, iż sztuki na uczucia widza lub słuchacza działać mają, drugi raz, iż sam mistrz, jako twórca dzieła pięknego, li samego uczucia słuchać powinien. Tak dawniej, bo w liście trzecim, wspominałem choć zdaleka, iż samo uczucie, i samo nawet natchnienie w mistrzu, nie jest dostatecznym środkiem do stworzenia dzieła sztuki. Tutaj więc kilku słowami reszty dopowiem.

Będziesz zaiste dość często w tych listach spostrze-gał, iż niektóre przedmioty za dwoma lub więcej je-szcze zawodami rozbiéram; nie zechcesz zaiste postę-

powania tego przypisywać niebacznemu powtarzaniu się lub błędnemu rozkładowi osnowy, czynię ja to z umysłu, albowiem jestem zdania, iż jasność rzeczy i wzajemne zrozumienie się na tém zyskuje, jeżeli ważniejsze rzeczy przy różnych sposobnościach i z różnej strony swojej wyjaśniane bywają; upraszam cię, żebyś to usprawiedliwienie się moje raz na zawsze miał na oku.

Jeżeli mistrz samém jedynie uczuciem powodować się będzie, toć nie zdoła wyjawić, co się wewnątrz serca jego dzieje. Wiemy wszyscy, iż w chwilach, w których uczucie zupełnie nad nami górę bierze, zdobyć się jedynie możemy na wykrzykniki nie mające żadnego znaczenia, nie zawierające żadnej myśli w sobie:—są to puste głosy i dźwięki urwane. Im zaś duch więcej ochłonie, stanie się przytomnym sobie i nawraca do siebie, tém już jaśniej zaczynają się wiązać z sobą słowa, tém mocniej łączą się w zdania; a gdy myśl zupełnie przyjdzie do siebie i sama już jasno siebie obejmie, wtedy mowa płynie jasna i przejrzysta z duszy wnętrza jakby potok czysty, wypadający ze skalistej Tatrów piersi: bo afekt gwałtowny, bo rozbukane fale uczuć głuszą ducha przytomność, a on w téj burzy serca i własnego nie dosłyszy głosu.

Co powyżej rzekłem stosuje się prawie do każdego z nas ludzi zwyczajnych; w innych listach zaś będziemy szeroko rozprawiali o usposobieniu właściwém, które znów mistrze mieć winni; obaczymy że lubo uczucie gorące, tkliwe, jest głównym warunkiem wszelkiej twórczości, tedy, z drugiej strony, to samo uczucie, choćby najgłębsze, nie uczyni jeszcze nikogo mistrzem. Oba-

czymy, że chwila natchnienia, więc chwila mistrzowych zrodzeń jest właśnie stanem, w której dwie moce pasują się z sobą o władztwo nad duchem jego; bo on, jakby oczyniony obcą potęgą, porwany gieniuszem traci siebie i świat otaczający go w koło, a zarazem znów nad tym zmrokiem ciemnym ducha dnieje światem przytomność siebie, świadomość rozumowa, tak iż myśl prawie już zupełnie trzeźwa zdoła wybrać w pośród tych obrazów zrodzonych w natchnieniu właśnie te, które się najwięcej nadają, zdoła je uporządkować i uszykować. Lecz o tém wszystkiém, jak rzekłem, pomówimy jeszcze na inném miejscu. Tutaj tylko zważ, że uczucia gwałtowne, bijące na serce człowieka, nie tworzą nigdy dzieła sztuki, i że zasada Horacyusza *si vis me flecte, dolendum est primum ipsi tibi*, winna być brana w zupełnie innym sensie. Czyliby malarz, poeta, rzeźbiarz, muzyk, mógł stworzyć dzieło swoje, gdyby sam w chwili tworzenia był miotany namiętnościami i falą tych uczuć, które chce uzmysłowić w dziele swoim?—czyliby artysta dramatyczny, sam będąc przejęty afektem, który na scenie wydać zechce, mógł wywiązać się ze swjej roli? Bynajmniej:— bo gdzie afekt, tam nie ma przytomności umysłu, nie ma wtedy sztuki wcale. W sztuce właśnie chodzi, aby nie uczucie ogarnęło myśl, ale aby przeciwnie myśl była panią namiętności, a wtedy ona wypłynie mową pełną patetyczności. Myśl przytomna i ciepłe uczucie, razem wzięte, są tém najwyższém Pathos sztuki.

Jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną, iż wszystko co w człowieku żyje, i co jedno go obchodzić może, co ducha i jego serce napełnia treścią, zdoła być przedmio-

tem dla sztuki, więc autor ma słuszość, gdy w dramacie, romansie lub inném dziele, rozwinie ten cały świat nierozdzierniony serca, ciemny i zagadkowy; lecz niechaj téż maluje, jak uczucia ogarnawszy ducha człowieka, porywają go do czynów, do walki, do pasowania ze światem, i jak nareszcie, uchwycony burzą namiętności własnych, rozbija się i tonie, rzucony o opoki rzeczywistości i towarzyskiego porządku: toć to iscie będzie przedmiotem dla sztuki. Ale mistrz niechaj sam nie będzie pod panowaniem tego uczucia, niechaj sam mu nie przyznaje słuszości, niechaj nie staje w obrobie jego; bo uczucia te szczegółowe nie są prawdami, one do pomyłki wiodą, a człek płaci za tę swoją pomyłkę utratą spokojności, szczęściem żywota całego, lub śmiercią. Bo nie uczucie, co goreje w piersiach jego, ma wagę i znaczenie, ale ten porządek powszechnego obyczaju, to ogólne przekonanie spoczywające, jakby na podwalinie swój, na woli wszystkich i prawdzie wiekuistój; — ona to jest tą opoką, o którą się nie tylko gruchocze, jak powiedziałem, słaba łódź uczuć miotana namiętności burzą, lecz gruchotać się koniecznie powinna, bo one li są osobiste, a tu prawda powszechna jedynie ma wagę.

Pani Sand w przedmowie do *Indyany*, tłumacząc się z ducha téj książki, powiada: »Le narrateur espère
 »qu'après avoir écouté son conte jusqu'au bout, peu
 »d'auditeurs nieront la moralité, qui ressort de ses faits
 »et qui triomphe là, comme dans toutes les choses
 »humaines.» Ale już wyżej powiedzieliśmy, iż jak z dzieła doskonałego sztuki nie wypłynie niemoralność, tak zaiste moralność nie może znów być uważana za cel je-

go. Jeżeli zaś autorka istotnie wzięła sobie w swém dziele moralność do serca, nie wystarcza znów, jak myślę, jój sposób widzenia rzeczy, wyrażony w następujących słowach: »Indiana, c'est la femme, l'être faible, » chargé de représenter les passions opprimées, ou, si vous » l'aimez mieux, réprimées par les lois; c'est la volonté » aux prises avec la nécessité, c'est l'amour heurtant » son front aveugle à tous les obstacles de la civilisa- » tion. — Mais le serpent use et brise ses dents à vouloir » ronger une lime, les forces de l'ame s'épuisent à vou- » loir lutter contre le positif de la vie." Te słowa są prawdy pełne, ale nie obejmują sobą całej prawdy, bo wypadło dodać: iż nie tylko tak bywa, jak autorka powiada, ale że tak koniecznie być powinno. Można nie rzucić kamieniem na kobietę taką jak Indyana, widzimy atoli, iż cios, który przez jój postępowanie na jój głowę spada, jest koniecznością, jest to z grobu wstały Komtur w Don Juanie, mszczący się uściśnieniem śmiertelném marmurowém za znieważenie praw i pocziwego obyczaju.

Ta konieczność, ta ustawa, ta proza życia, co dław-
 wi i zabija uczucia, ma słuszość, ona jest w prawie
 swém, ona to wymierza wieczną sprawiedliwość, ona
 jest wiekuistym rozumem, któremu nie o osoby, ale
 o rzeczy chodzi. Kto się nie zgadza z obyczajem o-
 gólnym, sam sobie pisze wyrok swój; kto zrywa z zako-
 nem powszechnie uznanym, z tym i zakon zrywa. Gwia-
 zdy, one piérworodne stworzenia córy, idą po niebie
 grzmiącym szlakiem swym, który im Bóg od wieczno-
 ści na przestrzeni bez końca zakreslił, a żadna nie zba-
 cza z swój jasnej drogi, żadna nie buntuje się wie-

cznej harmonii. Jak atoli uczucia mocne, głębokie nie są zakonem w porządku świata moralnego, jak one bynajmniej nie są wyłącznym warunkiem twórczości mistrza, tak też mistrz chybi powołaniu swojemu, jeżeli mniema, że rozkołysanie do najwyższej potęgi uczuć w duszy czytelnika lub widza jest najwyższym sztuki jego tryumfem. Temu mniemaniu przypisać należy pojawienie się w czasach naszych owych romansów tak wprawdzie efektowych, które atoli są jawnym dowodem gwałtów dokonanych przez mistrza na własnych talentach. Czytając te sceny okropności pełne, zdaje się że one są złym snem, co cię trapi na jawie; wszystkie uczucia, wszystkie, że tak powiem, nerwy duszy są poszarpane, zbolełe jakby przecierpiały męki katowskie, a w tych utworach występują szatany z błota zrodzone, popisujące się wykwintem łotrowstwa.

Czyliż tedy dziwno, że gdy młodzież odczyta się w takich dziełach, już osobliwszych nabierze pretensyi do życia i świata, że rościć sobie będzie niestworzone prawa do przyszłości swojej, że to życie ciche i pocziwe, że dopełnienie powinności codziennych wyda mu się dobroduszością mdłą i pogardliwą, że nakoniec w najszczęśliwszym razie zbankrutuje na uczuciach prawdziwych, a serce zestarzeje się za młodu (*).

(*) W pierwszym wydaniu tych listów, mówiąc w tém miejscu o romansach mających ówczesnie ogromną przewagę, wyraziliśmy się w sposób następujący:

„Panowie autorzy we Francyi zapewne uważają sobie za zaszczyt doskonałości, aby czytelników swoich od pierwszej do ostatniej karty puszczać niby przez różgi. Jeden pokazuje ci panią rozkochaną do szaleństwa w prostym złodzieju, wierutnym csuście, w bezczelnym zbrodni-

Przecież z drugieǳy strony i to jest prawda, iżby świat nie był obaczył tych romansów, gdyby nie był cheiwy podobnych książek. Bo jeżeli prawda, że literatura tworzy sobie publiczność swoją, toć z większém

rzu, co jęǳ poświęcenie i miłość płaci zdradą, głodem, biciem, a nakoniec za piéniaǳe sprzedaje podobnemu sobie przyjacielowi; — a ona? ona, rzecz jasna, kocha go za to stale, ciągle i tém goręcej jeszcze. To wszystko znajdziesz cudnym językiem odmalowane w *Leon-Leoni*, pani Sand, będącej nieocobytnie jednym z najświeǳniejszych talentów dzisiejszej Europy. Chcesz może rozrzewnić się, być sentymentalnym, czytaj pana *E. Sue*: przez siedm długich tomów każe on swęǳ heroinie tańcować jakby na linie, na powinnościach swoich; niekiedy dla rozrzewnienia publiczności serce *Matyldy* odprawia jakieś sztuki łamane, lub popisuje się z jakiémś *salto mortale*, a to wszystko ku zbudowaniu i użytkowi dusz i zachęceniu do cnoty. Jest to ten sam pan *Eugène Sue*, co wprowadza w jeden z późniejszych romansów scenę, w której córka staręǳ obłąkanęǳ matki woła w nocy na męża: „*Mon Dieu! tu sais bien que tu n'en finiras pas avec elle (t. j. avec ma mère), si tu ne lui fais pas peur avec le fouet — il n'y a que ce moyen là de la faire rester tranquille.*” Lubisz oryginalność pomysłu, i tém się możesz uraczyć, czytaj tylko powieści o onęǳ pannie, czyli o dwóch pannach zrosłych z sobą, z których jedna prześliczna brunetka, — druga prześliczna blondynka, a składają jedną osobę, czyli dwie, gdyż tego z pewnością wiedzieć nie można, bo nawet mają i uczucia te same, a przecież uczucia różne. Najpewniej, są to dwie panny w jednéǳ pannie, albo jedna panna w dwóch pannach — słowem, jak zapewnia autor, jestto cudnéǳ piękności całość — Świecą one na piérwszych salonach paryzkich, ubrane zawsze z wielką elegancyą, wedle *le petit courrier des Dames* — zawracają wszystkim głowy: jedni szalenie się kochają w brunetce, a drudzy w blondynce. Wszystko to jasno wyłożone znajdziesz w powieści: *Un coeur pour deux amours*. Jeżeliś przyjacielem wielkieǳ energii, hartu duszy, tęgości charakteru, i tém ci służyć mogę. Znajdziesz ojcobójstwo, kazirodztwo, mordy, synobójstwo i w-zeteczność wszelką w *Tour de Nesle*, pana *A. Dumas*. Lubisz komedye, czytaj Repertorium teatru francuskiego: obaczysz, jak tam autorowie umieją zjednać sympatyą publiczności dla swych bohaterów, ludzi tego rodzaju, iż gdyby jeden z nich w rzeczywistości u nas się pojawił, żaden poczciwy człowiek rękiby mu nie podał i nie przepuścił przez próg domu swojego. Jesteś mniéǳ czuły, twardego serca i nie łatwy do poruszenia, czytaj romanse i trajedye prawdziwie genialnego *Victora Hugo*. Olbrzymi talent ten napisał kilka dzieł, które za-

jeszcze prawem powiedzieć można, że publiczność tworzy sobie literaturę odpowiedną; bo przecież, prócz piśmiennictwa, inne jeszcze a również potężne moce wyrabiają duszę narodową np. Historia, Religia i t. d.

iste staną się bogactwem literatury, i nie utoną w tej gawiedzi współczesnych im książek; ale on trafił na czas kłamstwa, na czas apoteozy okropności, i oszargał się czasem. *Victor Hugo* na pamięć zna anatomią i fizyologią serca ludzkiego, zna każdy nerw jego, wszystkie miejsca bolejące, wie jak i kiedy się dotknąć i zranić; aby zranić do żywego duszę, wydobywa wszystkie tony boleści i serce czytelnika w koło wplata.

Po przeczytaniu dzieł tego rodzaju gdy spojrzysz w siebie, rzekłbyś, iż dusza podobną się stała do świątyni zrabowanej i znieważonej od hordy złodziejów: ołtarze obdarte, świecznik duszy wyrwiony, naczynia święte porozrzucane, rozszarpane obrazy, co drogie sercu, to albo skradzione albo zdeptane i sponiewierane. A jak niepodobna zaprzeczyć tym autorom świetnych zdolności, dziwnego powabu stylu, mistrzowskiego władania piórem, tak znów wyznać należy, iż to wszystko razem jest kałużą krwi i błota, co wylewając się na Europę, szerokim też wpływem do nas się przewala, by miały w czém kąpać się i walać umysły młodych pań naszych.

Nie rozumięj atoli, że we Francji na tę literaturę nie powstają i nią się nie gorszą? We wszystkich prawie *Feuilletonach* sam pan *Jules Janin* wygaduje na nią, utyskuje na niemoralność i bezrozum tych romanów, i powiedział nawet raz, i bardzo trafnie, iż najstosowniejszym rozwiązaniem węzła takiego rodzaju dramatów lub romanów byłby kommissarz policyi, aresztujący tych bohaterów i te heroiny. Ale szkoda tylko, że on sam nie lepszy, bo owe *le Coeur pour deux amours* jest jego własnoręcznej roboty. Przypomina on koncept urwisa, co uciekając sam woła: chwytajcie złodzieja! by tém samém gładko umknął i gdzieś się schował."

Ten ustęp cały był w pierwszym wydaniu umieszczony w ciągu samego listu, nie odnosił się do piśmiennictwa, które przed 10 laty jeszcze całą potęgą uderzało umysł publiczności. Dziś atoli ta hałaśna sława tych romanów przebrzmiała, więc też ten ustęp cały dotyczący się rzeczy przedawnionych, nie byłby już na swoim miejscu, gdybym go zostawił w liście, z drugiej strony zaś właśnie to skonanie owej literatury jest dla nas wielce uczącym, i może być nielada poparciem naszego powyższego rozumowania i dla tego umieściłem ustęp rzeczony w odsyłaczu.

Kto dziś jeszcze weźmie do ręki np. *Tajemnice Paryża* lub *Żyda Tułacza*? te romanse jako liść żółkły spadły z drzewa literatury — one po-

Cóż tedy dziwnego, że ci autorowie starali się trafić w rym tym czytelnikom swoim, stosując się ile mogą do nich, a wiedząc, że to są po większej części ludzie wielce realni a praktyczni, zaczynają wszystkie prawie powieści i romanse od budżetu swoich bohaterów i bohatererek, jak gdyby jaki pisarz prowentowy; wyszczególniają sumiennie ile tysięcy franków wzięli po rodzi-
cach, ile po wuju, ile się jeszcze spodziewać mogą po ciotce; ile już stracili, ile tysięcy franków rocznego dochodu im pozostało, i gdzie te dochody są ulokowane, słowem, wszystko przerachowane jak najdokładniej. A co do uczuć swęj publiczności, jęli się postępowania lekarzy z ciałem na poły umarlém; szli stopniowo sobie: na-
przód pochlustywali swoich czytelników zimną wodą, dalej cucili anodyną, octem, wódką kolońską, eterem, amonią — potem wzięli się do synapizmów, wezykato-
ryi, palili bawełnę i spirytusy na sereu, a w końcu już piekli rozpaloném żelazem;—co by już dalej robili—nie wiem.

Wyznaj, że nam weale nie do twarzy z tą literatu-
rą i trudnoby powiedzieć, co ona u nas ma za spra-
wę? Czyliż my także gwałtownych poruszeń szukamy? Skądże u nas to upodobanie przebierania w cudzych śmieciach i brudach? Dla tego dzięki niechaj będą tym wysokim a zacnym talentom, które, pojawivszy się u nas jakby na jutrznią nowęj epoki, owocami własnej ziemi zastąpili exotyczne wymysły nie dla nas stworzo-
ne; dzięki niechaj będą Kraszewskiemu, który prawie

szły w zapomnienie mimo prawdziwie olbrzymiego talentu autorów. Dla czego? Bo stały na fałszywęj zasadzie, bo były obrachowane na efekt, na rozkołysanie uczuć, bo miały uboczne, z góry powzięte, dążności i cele.

piérwszy dał hasło do własnój i swojskiej powieści, dzięki Korzeniowskiemu, M. Grabowskiemu, dziełom: jak *Pamiętki starego szlachcica*; wszak te prace były wołaniem nowego czasu,—a wnet szereg świetnych i młodszych talentów wstąpił w literaturę. Jakoż te zjawiska tak radośne dla literatury polskiej są właśnie dowodem, że byle mistrz dosięgnął warunków piękności, byleby pisał do czego go prze własne uczucie, już z pracy ducha jego spłynie błogosławieństwem korzyść nieskończona, spłynie, choć jój sobie autor nie zakładał jako cel poświęceń swoich.

Ale wróćmy do naszego przedmiotu i kończmy rzecz kilku słowami.

Gdyby sztuki piękne miały za cel jedyny rozkołysanie uczucia naszego, jużby się i bez nich wcale obeszło, obeszloby się bez dramatów tych i romansów; każdy w domu swoim ma te biedy, a ma je taniiej i wyraźniej: a zresztą mocnych poruszeń szukać nie potrzeba po książkach, znajdziesz je w tych chatach obdartych, dymnych, samotnych, po naszych tu przedmieściach Krakowa, tu widzieć można moralną i fizyczną nędzę, poniżenie i sromotę; każda niska izba mogłaby podać ośnowę do powieści tęsknej, pełnej łez i boleści: a komu to nie wystarcza do wzniecenia uczuć, toć niechaj odwiedza inkwizycye kryminalne, szpitale i sale amputacyjne. Jeżeli autor tylko w same uczucia mierzy, mając jedynie samo czytelnika serce za cel swój, cóż dziwnego, iż napłodzi mnóstwo charakterów nieprawdziwych, kłamliwych, będących i w złém i dobrém karykaturą rzeczywistości; są to upiory fantastyczne, bez serca i duszy, automaty po-

ruszające się wedle kaprysu autora, nie umiejące ani radować się po ludzku, ani cierpieć z godnością, żyjąc albo umierając zawsze pogardy warte. Właśnie atoli powołaniem sztuki jest, ażeby wskazać wyższą naturę człowieka, nieginącą choć w najgłębszém i najsromotniejszym poniżeniu jego; duch człowieka, jak płomień gorejący, choć w brudnych i ciężkich dymach doczesności, zawsze wzgóre się ma. I piękność jest niebios córą, ją tylko z wierzchu dotknąć mogą cierpienia doczesnego żywota, ale jéj istoty wiekuistej skazić nie zdołają; i sztuki piękne płaczą, ale po przez łzy boleści ich uśmiécha się nieśmiertelne ducha wesele. Uczmy się od Greków, wpatrzmy się w ten majestat Nioby, w tę otchłań boleści Laokoona, w patetyczność bohaterów Sofoklesa — ba, niechaj się figury autorów onych uczą umierać od prostych Gladiatorów rzymskich, co z raną śmiertelną w piersiach konali na krwawej arenie: gdy w gasnącej żrenicy zakółsało się niebo, i amfiteatr z tysiącami widzów obracał się niby wirem zawrotnym, wtedy wzgardzony ten Gladiator przypomina sobie, iż to lud rzymski na niego patrzy; z ogromnym mozołem i z pełnym boleści trudem układa ciało swoje, nadaje mu postawę godną, estetyczną, by w obecności tego ludu, co był świata królem, legnąć z zacnością zdołał. A tak żywota swojego poniżenie kończył, równając się z Cezarem, boć i ten hardy olbrzym starożytności, upadając w krwi swojej, zakrywa togą swoje oblicze, by świat nie obaczył rysów, znieważonych może ostatnim wyrazem fizycznój boleści. Rzymianie w ogólności nie wiele umieli, ale umierania sztukę znali, jak żaden naród.

Sztuka, kędy się dotknie, uzacnia przedmiot, uszlachetnia go i podnosi do wzniosłości ideału.—W nizkie nasze życie, w oną chatkę ziemską, spada promień wiekuistej piękności i oświeca ją jasnością niebiańską. Pod ręką wielkiego mistrza i treść, nawet mniej nadająca się do piękności, odziewa się nadziemskim urokiem.— Odwiédź np., jak będziesz w Krakowie, kościół Ś. Floryana na Kleparzu, zobaczysz tam obrazy wielkiej wartości, pochodzące, jak się zdaje, z końca XV wieku; połączona w nich rzewna prostota stariej szkoły niemieckiej z powabem czarodziejskim Włochów. Jeden z nich wystawia chwilę męczeństwa Ś. Jana w Oleju: zda się myśl niby pospolita, przedmiot nie estetyczny, ale zważ co z niego uczynił mistrz. Ta cała scena ułożeniem uszlachetniona, uzacniona:— Ś. Jan duchem w niebie utkwiony, wśród mąk ciała swojego słucho słodkich pieśni niebiańskich zastępów, a nadziemska piękność wylana na całą postać jego.

Zaprawdę, Bóg nie daremnie wlał w duszę naszą uczuć potęgę, ocieplającą swym płomieniem chłodne życie rozumu i rzeczywistości. Uczucie i myśl, czyli, jak to zwyczajnie mówią, serce i głowa, są to istic dwa przeciwniki działające ciągle na siebie, a często nawet stojące w otwartym z sobą boju; jest to pełna cierpień wojna domowa w piersiach człowieka, a w niej zwycięztwo nie zawsze przy prawdzie i słusznosci. Ta niezgoda i waśń w umyśle, jakby dźwiękiem fałszywym, wdziera się w harmonią naszego jestestwa, burzy spokojność i zatruwa dni nasze. Dla tego téż najwyższym celem życia człowieka, ostatnim końcem wychowania, jest właśnie pogodzenie tych dwóch sił, co jakby dwa

wrogie sobie bliźnięta z nami się rodzą, żyją i umierają. Ale chodzi o pogodzenie, a bynajmniej nie przytłumienie jednej z tych potęg; bo jak poniewieranie rozumem i oddanie go na oślep pod przemoc uczuć do zguby wiedzie, tak przygnębienie uczuć i samowładztwo rozumu odejmuje treść duszy, gasi ciepło i barwy świata, i czyni życie nasze podobnem do owęj pełnej wspaniałości natury podbiegunowych mrozów, co wiecznie dziewicza, i wiecznie martwa, i samotna i głucha, bez ciepła i głosu, bez radości i smutku, bez uczuć i serca, zasiadła w szacie wiecznych śniegów jakby na stolicy śmierci, na hardym majestacie grodów lodowych, co zuchwałe, fantastyczne, jakby nieme i głuche upiory natury, świecą nad tym niemym i głuchym światem, co zawsze jeden, zawsze ten sam. Od czasu do czasu tylko zapala się pod gwiazdą biegunową ognistym blaskiem pierścień zorzy północnej, onęj córy mrozów bez końca, co sycząc strzela promieniem niewypowiedzianej jasności po sklepieniu niebieskiem, ale, w sobie mroźna, jest tylko światłem bez ciepła, pokrywa świat lodów purpurową ale zimną luną.

I jak dotychczas starałem się dowieść, iż uczucia przez się wzięte nie zdołają same stworzyć mistrza, i że do samego uczucia widza lub słuchacza mierzyć nie powinny, tak jest rzeczą niemniej pewną, iż bez uczuć nie byłoby ani mistrza, ani sędziego, ani sztuki pięknej; a dzieło, nierozgrzewające sobą sere ludzkich umiających czuć, zaiste nie będzie dziełem sztuki. Człowiek z rozumem bez uczuć jest już za życia zmarłym upiorem bez serca. Jak ze światem materialnym przez zmysły jesteśmy w związku, tak ogniwa, łączące myśl na-

szą ze światem duchowym, są uczucia ; one to podają rozumowi treść, by ją w sobie strawił, uporządkował, precedził, ocenił, a tak zamienił ją na pojęcia rozumowe, na myśli. Najczęściej prawdy wielkie wprzód nam okazują się w postaci uczuć, niż myślą zostaną. Nim prawodawca popisał ustaw księgi, uczucie sprawiedliwości i prawa zjawilo się w sercu człowieka, przemawiając do niego, jak Bóg w krzaku gorejącym. Nim matka w swój młodości uroku wytłumaczy sobie miłość swoją dla dziecięcia z porządku fizycznego i moralnego świata, wprzód ta jój miłość dla niemowlęcia żyła w jój marzeniach nocnych, i we śnie rumieńcem cichego szczęścia zapłonęła na lieu. Nim człowiek głęboką myślą zanurzył się w tajnikach świata i ze stworzeń wszechnicy wypatrzył mądrość Bożą, wprzód o Bogu rozmawiał z gwiazdami na niebie, i z robaczkiem świecącym na listku, i słyszał bytność jego w huku oceanu i pieśniach ptaków. Z uczuć rodzą się myśli, jak z kwiatów żyjących barwy, woń i owoce; gdy myśl się rodzi, wędnieją uczucia, gdy owoc zaświeci, już pomarły kwiaty. Cokolwiek w nas jest jako myśl, po większej części było dawniej uczuciem; ztąd uczucia, o ile są prawdziwe, wytłumaczone być mogą drogą rozumową. Tak instyktowe garnienie się ludzi pod spólną praw obronę, choć pochodzi z uczucia słuszności, pojęte być przecie może z samój istoty człowieka. Podobnie macierzyńska miłość, będąca uczuciem mimowolném, ma potwierdzenie swoje w obliczu mądrości, i pojęta rozumem okazuje się nam jako święty ołtarz cnoty domowej i podwalina rodzinnego życia, będącego znów podstawą życia towarzyskiego i cnót obywatelskich. Po-

dobnie głos, przemawiający w sercu o Bogu, jest początkiem mądrości człowieka i prowadzi do poznania rozumowego najwyższego jestestwa, będącego Alfą i Omegą wieczności i tego wszystkiego, co jest. Tak uczucia ciągle dostarczają osnowy rozumowi: on ją sądzi, rozbięra, czyści, i przyswaja sobie jęj treść. Na tém téz stoi potęga człowieka, by uczucia na myśl przemieniał, by tę poezją uczuć przetłumaczył sobie na prozę rozumu, by ją zamienił na prawdy rozumowe, zgodne z całością świata, a uznał każde uczucie za mylne i za złe, które przeciwne będąc ogólnej harmonii trwającej w świecie, nie zgadza się z rozumem.

Lecz rzekniesz może, że i rozum podlega błędom, i odwołując się do prostego przysłowia powiesz: co głowa, to rozum; niechaj nam atoli nie chodzi o słowa. Ja tutaj nie biorę rozumu w znaczeniu potoczném, ale właśnie za promień onęj wiekuistej mądrości, którym Bóg oświecił ducha naszego w téj życia ciemnicy; promień ten łączy nas z Bogiem i wiecznością: ten zawsze jest jeden i ten sam we wszystkich ludziach, w każdym wieku i godzinie.

Rozumiem, że nie będziesz wymagał obszernego dowodu téj prawdy, należałby on do systematu filozofii, a nie do szczupłego obrębu listów tych. Zaiste — nikt nie zaprzeczy, iż rozum jest środkiem poznania prawdy, kto jeno wierzy w zaćność natury ludzkiej, kto wie, że Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje dając mu rozum, by poznał dzieła jego i w nich doczytał się jego wszechmocności, wiekuistej mądrości i uszlachetnienia własnej istoty człowieczej.

Dla tego téz rozum jest pierwszym warunkiem wia-

ry: niemowlęta, obłąkani i zwierzęta nie mają wiary, bo nie mają rozumu. Co myli nasze zdanie o rzeczach, bynajmniej nie jest rozum, ale uczucia, ale zmysły, ale inne potęgi, które nas łudzą. Uczucia działają na serce nasze, i nim rozum się upamięta, już serce sąd swój wyrzekło, a sąd osobisty — zdanie. Zkądże matematyka zawiera w sobie prawdy ogólne i dla wszystkich prawdą będące? — Odpowiedź łatwa, bo jéj liczby, jéj linie i bryły nie działają ani na zmysły, ani na uczucia; tu sam rozum na placu zostaje, więc sam bez mieszania się zmysłów i uczuć o prawdzie orzeka, a orzeka niemylnie.

Jak przyznać powinniśmy, iż z jednej strony uczucia przed potęgą rozumu korzyć się winny, tak téż z drugiej niemniej prawdą jest, iż bez uczuć nie byłoby i cnoty prawdziwej. Bo gdy człowiek serce swoje ma na baczności, gdy się uczucia nałożą chodzić drogami rozumu, gdy téj dojdzie doskonałości, iż uczucia jego nigdy nie będą sprzeczne z rozumem, a gdy nawzajem wszystko, co jest prawdą, rozumne znajdzie potwierdzenie w sercu człowieka,—wtedy téż sam człowiek będzie z sobą w zgodzie, i śmiało w swoim postępowaniu i w żądзах swoich będzie się mógł uczyć swych radzić, a nim rozum przez rozbiór, myślenie, zastanowienie swoje pokaże mu drogę i sprostuje postępowanie, już ją uczucia instynktem zgadną, a zgadną bez zwłoki, bez długiego rozbioru; nauczą w téj chwili, co jest w moralności zacne, co pocziwe, i co w sztukach piękne i prawdziwie estetyczne. Rzecz tak się zupełnie mieć będzie, jak z mechaniczną wprawą; kto już wyćwiczonym pianistą, już grając nie myśli o ukła-

dzie palców, ani szukać już będzie klawiszów oczami; palce mechanicznie pójdą za jego wolą, gdzie uderzy, uderzy zawsze trafnie i bez pomyłki. Tak też kto z kądinąd pojął, co prawdziwie pięknem i zastosował uczucia do tego pojmowania swojego, już radząc się uczuć swoich dorazu piękność spostrzeże; ale sąd ten będzie mógł usprawiedliwić z zasad ogólnych sztuki pięknej, zdoła tedy nim i drugich przekonać; dla tego też sąd takowy choć z uczuć wypłynie, tém się różni od onych sądów ze samego uczucia pochodzących, o których wyżej wspomnieliśmy, iż tamte nie mają ogólnej wartości rozumowej, i dla téj przyczyny nikomu do przekonania nie przypadną.

Ze zléwu w jedność rozumu i uczuć, z téj zgody świata rzeczywistego i serca, rodzi się najwyższa myśl szczęśliwości człowieczej. Uczucia im szlachetniejsze, tém mniej są osobiste, i występują z ciasnego przybytku serca, i obejmują sobą wielkie jestestw koło.— Tak szczytem wszystkich uczuć jest miłość. Miłość ogólna, powszechna, podobna do mądrości, bo, jak i ona, w innych siebie widzi i wyléwa się na świat cały. Ta miłość ogólna nie jest córą z ziemi zrodzoną, jest posłaunicą innych światów, wstępująca w serca wszystkich wieków i narodów.— Słuchaj np. pieśni mądrości pełnych, co nam jakby woń przyniosły powiewy z dalekiego Wschodu:

Ucz się od komara miłości, co rozkochany
W świetle płomienia, w niém przepada i ginie.

A znów w inném miejscu:

Ja ci powiadam, jak z ziemi człowiek stworzon jest;
Bo Bóg tchnął w ziemię miłości dech.

Ja ci powiadam, czemu wiecznym kołowrotem bieżą nieba;
Bieżą one wiecznie, bo je napelnia miłości blaskiem Boży tron.

Ja ci powiadam, dokąd tchną zarania powiewy;
Tchną one w miłości gaj, by roztulić liście róż.

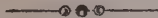
Ja ci powiadam, dla czego noc pokrywa świat oponą;
Obsłania ona świat, by go uświęcić na miłości namiot.

Ja ci rozwiążę zagadnienia wszech stworzeń wszystkie;
Bo zagadnień wszystkich rozwiązaniem, miłość jest.

Albo miejsce następujące:

Kończy zaprawdę skon życia trudy,
Jednak dreszczem trwogi dla życia jest skon,
A dla serca trwogą jest miłości dreszcz,
Trwoży się serce miłością, jak gdyby groził mu skon.

Bo gdy miłość w sercu się budzi,
Umięra w tobie samolub, ciemieżca ponury;
Niechaj ci zamrze w nocnym państwie swém,
A ty odetchnieś swobodą w zarania łunie!



LIST VII.

Istota sztuki.— Różne rodzaje piękności.

Wielki piątek, 25 Marca 1842 r.

O niemiały dzwony krakowskie, — całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnawszy, wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, — by po staremu cześć dać w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje, i jasnym spojrzeniem rozpląnęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię a w serce ludzi nadzieją świećąc.

Bóg umarł — a potęgą przyrodzenia uszpona jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali, a nad światem pieśń skowronka, niby dzwonek poranny natury, ogłosi mu przebudzenie i świt. Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go ciężej od kamienia grobo-

wego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie—póki też na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w której i jemu anioł w bieli ciemnicę otworzy, a w tedy spadną z niego i uciechy téj ziemi, i jój biedy, i jój płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onój wielkiej zmartwychwstania noey.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem drogim z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota, i jakby Bożém imieniem pukają rokrocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niém tęskne obrazy upłynionéj młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnej naszej istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiej pielgrzymki człowieka; wzywają go, by się policzył z życiem, ze światem i z sobą, by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnej życia ścieżce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile ułud złocistych zgaśło. Ale im samotniej, im smętniej i ciszej w duszy, im więcej traci wagi doczesność, tém jaśniej wiekiistość zazięra we wnętrze człowieka i rozświeca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki, jakby harmonią niebiańską, wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści milkną—a w sercu święte czno, uroczyście; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niém płomień nieskończonej miłości, i jakby organy zagrzmia samotne duszy nabożeństwo. W takich chwilach świat zewnętrzny i rozkosze jego, i trudy, i wszystkie none widziadła doczesności naszej, ulatują niby ptaków płocze stada, a uczucia ziemskie, i cała część człowiecza do grobu się kładzie. Jakby na zesłanie ducha Bożego, jakieś jasnowidzenie rozświeca myśl; wtedy już świat jego, i pstry jego orszak, i dzieje człowieczego

rodu, i własne serca bicie nie ma więcéj dla nas tajemnicy, — rozwiązują się zagadki wszystkie. W takich chwilach świętych duch występuje z cielesności grobu, wstaje z martwych, rośnie z siebie, dźwiga się olbrzymem, ogarnia nieskończoność swém objęciem, zna że wiekuistość bez granic, czasu i przestrzeni, jest ojcowizną jego, a nieśmiertelność domem.

Ta istota nieśmiertelna a wiekuista, którą Bóg tehnął w człowieka od początku, jest właśnie tą potęgą, co jak złota nić jest wpleciona w całą tkaninę historyi rodu ludzkiego, i we wszystkie stosunki i czynności każdego człowieka, a choć ona rzadko widzialna, wszędzie przecież jest obecną, nie zerwana nigdy, i sama zostaje i trwa; choć cała owa tkanina doczesna się pada, i wszystkie inne jéj nitki pruchnieją, właśnie wtedy ona sama nietknięta zostaje i wystąpi na jaw jaśniejąc swém złotem.

Patrz na wszystkie człowiecze sprawy od kolébki aż do ostatka żywota, na jego wszystką robotę, i na trudy jego, marzenia, sny, troski i uciechy, a wszędzie obaczysz, iż siła, co nawet jemu bezwiadomie w nim prze i w nim robi, rodzi się z nieśmiertelności ducha jego. Potocz okiem na pasowanie się całej historyi człowieka, zaczawszy od owéj wielkiéj chwili, gdy się dotknął poznania owocu tracąc niewinności raj, podsłuchaj tajemną robotę stóleciów, co jak uderzenie pulsu, wybijają świata ulatujący do wieczności żywot jego, a wszędzie, i zawsze i ciągle, znajdziesz pod oponą przypadkową i marną, pod postaciami wielkich wydarzeń historyi, nieskończoność istoty człowieka. Bez niéj ród nasz nie miałby dziejów, ni postępu, byłby zawsze je-

den i zawsze ten sam, należałby do poziomego zwierząt koła, dzieje jego przekazaneby były historii przyrodzenia. Jak w różnobarwnym tłumie wypływają na widok figury latarni magicznej, przesuwają się po nieruchomej ścianie, przemykają się coraz inne a inne, a prześwieca je wszystkie płomień, co w ciemnym pokoju gore niewidomie, tak przemykają się latyszące, i narody, i wielkie imiona w historii na nieruchomém wieczności tle; ale lampa, co je prześwieca, jest zawsze jedna i taż sama, jestto płomień nieśmiertelnego ducha, co wiecznie goreje, choć ukryty w ciemnościach doczesnego życia i niedojrzany cielesnemi oczyma człowieka. Ta nieskończoność, którą Bóg człowieka uposażył, by miał godnego sługę i towarzysza wiekuistości swęj, jest ową wielką sprężyną, co ród nasz porusza i do działania porywa. Ona jest światłem i słońcem wywołującym, jakby z kwiatu pączków, wielkie epoki i wielkie czyny w historii, i wszystko co w życiu ludzi na jaw występuje, i co jest treścią jego; ona mu gra w duszy, i na jawie i we śnie, ona wznosi się w paciérzu dziecięcia i w himnach narodów, ona dźwiga mu piramidy, śle go po śmierć na bitew pole, uczy go biegu gwiazd i tajemnic własnego ducha, odkrywa mu nowe światy i roztwiera tajemnicze ziemi łono, waży słońce i planet brzemie, roztwiera księgę przeszłości i przemawia wyroczni ustami.

Człowiek jest nieśmiertelną istotą i nieskończoną, bo jest rozumną istotą. Tu szukaj źródła onych najważniejszych praw jego, bo Religii, Filozofii i Sztuki pięknej. Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieczego, i już nie pytaj, z kąd się one biorą. Czło-

wiek z nieskończonością zarazem odebrał i sztuki piękne, i mądrość i Religiją; nie utyskuj tedy nad znikomością rzeczy ziemskich. Wszak Bóg sam umarł dla prawdy, która nie ginie na wieki; robak w przód zaszklepia się w swym grobie, nim przerodzony w lekkiego motyla uniesie się, złotém jaśniejąc skrzydłem: a przekonanie o nieskończoności istoty naszej wykwita z uważania skończoności. Bo zważ — dęby długo-wieczne tak przemijają jak ich liście, a skały granitowe tak się rozplývają w powietrzu, jak przejrzyste obłoki koczujące po niebie. Jak ciągle przelévające się fale oceanu błyszczą znikomie iskrami w słońca promieniu, tak przelewa się falami wieczny ocean rzeczy zmysłowych; a kędy nań spójrzy jasne Opatrzności oko, zapalają się iskrami jestestw miliony, a za każdą nową falą inne a inne zabłysną jestestwa i giną — zamigocą się i gasną. Więcej jeszcze cierpu ma ta marność i znikomość rzeczy ziemskich, skoro staniesz nad ową ogromną rzeką historyi rodu człowieczego, co płynie gdzieś tam z górnych nieznanych światów zamglonej przeszłości; płynie ona rzeka całe stulecia, płynie przez lat tysiące, i spławia nam kości nieznanych zwierząt ze starych lat, toczy jakieś gruzy dawnych świątnic, pomników ułomy, i, jakby liście pobrzeżnych krzewów, niesie imiona królestw, światowładnych państw i zgruchotane włócznie ludoburzców krwawych — a gdzieniegdzie unoszą się na jój falach, jakby kwiaty, jakieś pieśni stare, strzaskanój lutni reszty i laurowe wieńce; a przecież po obu stronach onego biegu historyi, a z daleka od jój brzegów, rozlegały się zaiste ludy liczne jak piasek pustyni, i grody, i miasta potężne i państwa;

o nich historia milczy, nawet ich imion nie doniosła naszym czasom. Utonęły te narody i państwa w wiecznej otehlani zapomnienia, jak tonie rozbitek na otwartém i głuchém morzu; gwiazdy tylko widzą śmiertelny trud jego, a Bóg tylko sam słyszy ostatnie wołania jego skonu. Lecz dokądże płynie owa rzeka, w jakąż nieznana dal przebiegają się jój wody? by znów z kolei późniejszym lat tysiącom zanieść, jakby bajeczną wieść, prace i trudy naszych stuleciów; kędyż jest ujście téj rzeki? gdzie jest on ocean wiekuisty, co ją w swoje objęcia pochłonie sobą?

A jeżeli już rzeczy zmysłowe, jeżeli dzieje historyi są znikomości obrazem, témci więcéj wewnątrz istoty naszéj jest piętnem ciągłego tworzenia i niweczenia się uczuć i myśli; wszak o tém wspominaliśmy już wyżej. Lecz nie utyskuj nad tą skończonością rzeczy ziemskich, boć właśnie jój poznanie prowadzi do pojęcia nieskończoności istoty naszéj. Bo zważ — czylibyśmy utyskiwali nad skończonością wszystkiego, co doczesne, gdybyśmy zarazem w sobie nie mieli wyobrażenia o nieskończoności? zkądżeby się rodziło w nas poznanie znikomości tego, co nas otacza, gdybyśmy zarazem przy tém nie myśleli o jakimś istnieniu, co nie ginie nigdy? zkądżeby nam przychodziła owa tęsknota patrząc się na przemienność, gdyby nam się przed myśl nie stawiało jakieś istnienie, co trwa na wieki? Zawsze, gdy o skończoności pomyślimy, nasuwa się duchowi naszemu nieskończoność. Te dwa pojęcia, odwrotne sobie, zawsze razem chodzą; jak ten nie zna okropności ślepoty, kto sam dnia jasnego nie widział, jak kto wie, co linia krzywa, musi wiedzieć co linia prosta, tak téż wiado-

mość skończoności dowodzi poznania nieskończoności. Nieskończoność tedy iście w naszej myśli mieszka.— Prawda ta jest prawdą wszystkich prawd, bo właśnie dla tego, iż człowiek o nieskończoności myśleć może, jest dowodem, iż sam jest nieskończonym. Bo co jest skończonem, nie obejmuje sobą nieskończoności; co jest bez granic, tam tylko pomieścić się może, gdzie także granic nie ma; bo większe w mniejszem objęte być nie może. Tak jak potrzeba być samemu uczuć tkliwych, by zrozumieć obcego serca drganie i te wszystkie tony ciche szepczące we wnętrzu duszy, jak potrzeba samemu być rozumnym, by pojąć rozumu potęgę, jak ten jedynie ocenić zdoła cnoty majestat, kto sam pełen jest zacności, tak téż tylko jestestwo nieskończone pojąć zdoła nieskończoność i do niej tęsknić. Posłuchaj treści stariej perskiej pieśni:

Słowik zakochał się w róży; rzewną miłością płynęła pieśń jego, brzmiały po gajach tęskne drżące śpiewy skrzydlatego kochanka, brzmiały boleśnie, samotno i radośnie przez noce całe, wieczory i ranki; a gdy słońce zaświeciło nad ziemią ciepłem pieszcząc naturę, ustawały słowicze pieśni, i wieszcz maluchny milcząc ginął pod liści splotem;—skoro atoli dzień jasny z gajów ulatywał, zapalając kagańce na niebie, znów z drgających piersi zakochanego śpiewaka rozpływały się harmonie pełne miłości i żalu. Słuchały tych pieśni i krzewy, i gaje, i strumienie i dąbrowy, przecie nikt tego kochania słowika dla róży zrozumieć nie zdołał. Lecz znał kochanie swoje słowik, bo nie różę on miłował, nie do jęj rumieńca, nie do jęj woni on tęsknił, bo — na różę spadała co wieczór, co ranek, rosy kry-

szałowa kropelka, i w niej to, jakby w jasnym z nieba spłynionym zwierciadle, siebie widywał słowik, i sam pokochał siebie — zakochał się. Atoli obraz, który widywał, który miłował, nie był tylko samym wizerunkiem doczesnej jego postaci; widywał tę postać rozjaśnioną, promieniejącą światłem niebiańskim słońca, i do niej to słowik tak tęsknił sobie. Nie dziw już tedy, iż gdy skwarem dziennym owa rosy kropelka rozpuściła i uleciała, i obraz ten, owo niebiańskie widziadło, znikł, a słowik tęskny w boleści oniemiał.

Rozumiemy tedy już tęsknotę naszą ku nieskończoności; wszak i ona jest tylko obrazem naszej własnej istoty, rozjaśnionej wiekuistym światłem.

Jeżeli tedy nieskończoność stanowi konieczną istotę człowieka, więc zradza się pytanie, jakim trybem objawia się w nim ta nieskończoność, jaki ona wpływ widomy na niego wywiera? Pierwszym i koniecznym wypadkiem nieskończoności, którą Bóg człowieka wyposażył, jest instynktowa tęsknota, by wszędzie upatrzeć nieskończoność, radby ją znaleźć we wszystkiem, co jeno być może przedmiotem myśli jego, radby widzieć i znaleźć wszędzie jej wizerunek i obraz. Ta dążność jest koniecznym skutkiem jego natury: bo zważ pilnie, iż cokolwiek jest prawdą, to nie tylko bywa w nas, w duchu naszym, ale również znaleźć się winno i na zewnątrz ducha naszego, bo inaczej nie byłoby prawdą. Bo wszystko, co mieszka we wnętrzu ducha naszego, byłoby tylko ułudą, a nie prawdą, jeżeliby nie znalazło i w świecie potwierdzenia swojego. Otóż dla porozumienia się łatwiejszego podam ci kilka przykładów.

Czyliż dosyć jest aby moralność, aby cnota w ser-

eu tylko mieszkała? czyliż nie potrzeba, aby wystąpiła na jaw i okazała się czynami w rzeczywistości? Moralność we wnętrzu li naszym przemieszkująca nie jest moralnością; aby nią była, potrzeba aby koniecznie okupiła się walką własną, wyjawiała się czynem; albo—czyliż mogłaby powstać w duszy człowieka miłość, gdyby nie było zarazem w świecie rzeczywistym przedmiotu będącego celem téj miłości? Czyliż każda teoria prawa jest czém więcej niż ułudą, jeżeli nie może być wprowadzona w świat? Otóż zważ, iż dla wewnętrznej naszej istoty, ten świat zewnętrzny, rzeczywisty, jest zawsze z początku czémś obcém, czémś jéj przeciwném, i póty my wewnętrznych prawd naszych nie uważamy za zupełne, póki ich w rzeczywistość nie wprowadzimy, albo ich już tam nie znajdziemy. I dla tego to właśnie, mając przekonanie o czém silne, gruntowne, czujemy w sobie niepokój, póki nie obaczmy, iż prawda, którą przejęci jesteśmy, i od świata przyjętą nie zostanie. Bo świat nasz wewnętrzny, one prawdy, które w duchu naszym żyją, i świat zewnętrzny, rzeczywisty — czyli teoria i praktyka, do siebie należą i jedną składają całość, i nawzajem na sobie się opierają, choć zdają się czémś zupełnie różnym od siebie, a nawet przeciwném sobie. Są to dwa bieguny igielki magnesowej, które, choć różne, przecież do siebie należą, tak jak znak minus (—) i plus (+) w matematyce, choć niby zupełnie sobie odwrotne, przecież do siebie się ściągają, i tak dalece jedną składają całość, iż żaden z nich, z osobna uważany, nie będzie miał znaczenia, ani zrozumiany być nie może. Tak i światło dopiero światłem jest, gdy je z ciemnością razem weźmiemy.

Tak się też rzecz ma z nieskończonością, która wewnątrz nas tkwi; nią to party człowiek tęskni, by ją koniecznie ujrzał i w zewnętrznym świecie, pragnie, jak słowik ów, obaczyć w nim własny swój obraz. Rozważmy atoli, czyli pragnienie to swoje zadowolić zdoła; czyli on znaleźć zdoła wizerunek i odbłask téj nieskończoności, która w nim tkwi.

Naprzód natura fizyczna, rzeczy zmysłowe, uderzają umysł nasz, bo on je najłatwiej pojmuje, gdyż one są zmysłowe; a człowiek sam, mając stronę zmysłową, rychlej rozumie, co oczyma, słuchem, dotykaniem i innemi zmysłami dostrzega, niż to, czego dopiero rozumem dochodzić powinien; więc też natura jest pierwszym polem jego poznania. W niej tedy przedewszystkiém pragnie dostrzedz nieskończoności; — ale zjawiska natury są jedynie ułomkami wielkiej całości, pojedynczemi tonami wiekuistej harmonii, którą Bóg wlał w wszechnicę stworzeń. Żadne atoli pojedyncze jestestwo natury samo z siebie, i wzięte z osobna, nie wyraża całkowitej myśli, ale jest jedynie ułomkiem myśli; a co jest ułomkiem czegoś, należy do czegoś i zależy od czegoś; jest ograniczoném w sobie, nie może być tedy nieskończoném.

Wzniesь oczy ku niebu, patrz—planety, słońca, księżyce, są rozosobnionemi jednostkami; każde ciało niebieskie, choć należy do swego systematu słonecznego i z nim składa całość, wszakże, samo wzięte, jest tylko jednostką osobną, a system słoneczny nie jest jedném jestestwem, ale składa się z mnóstwa jestestw, bo z mnóstwa gwiazd osobnych. Widzisz tedy, iż całość tutaj rozbita jest na wiele rozpojedynczonych szczegółów, na

wiele ciał niebieskich. Możesz wprowadzić gwiazdy należące do systematu uważać za jedność, ale to połączenie ich jest robotą twojej myśli, twojego przyłożenia się; to połączenie jest li rozumowe, świat fizyczny nie okazuje tej jedności zmysłom, ale przedstawia rozso-bnione gwiazdy, z których każda jest tylko kawałkiem osobnym jedności systematu. Podobny każdy system słoneczny z całym gronem planet, księżyców do niego należących, zaiste znów jest częstką drobną innego ogromnego systematu. A tak myśl Boża, myśl nieskończona, wlana w ciała niebieskie, rozstrzeliła się oceanem rozpojedynczonych gwiazd, z których atoli żadna, z osobna wzięta, nie jest obrazem onej myśli nieskończonej, a co jest ułomkiem, jest czémś skończoném i przemijającém. Spójrzij teraz w około siebie, w te zjawiska, które ci rzeczy, otaczające nas, przedstawiają, i tu spostrzeżesz iż zjawiska są jedynie ułomkami całości, i nigdzie nie znajdziesz jestestwa będącego wi-zerunkiem nieskończoności. W zjawiskach mechanicznych, na przykład, potrzeba zawsze najmniej dwóch ciał na siebie działających. Jedno z najprostszych zjawisk, które tu widzimy, ciężkość, okazująca się w spadaniu ciał, wymaga przedewszystkiém dwóch jestestw: bo ciała, które spada, i ziemi, na którą spada. Póki ciało spada, to jest, póki się to zjawisko okazuje, póty też i ciało spadające i ziemia są w rozłączeniu; skoro zaś rozłączenie ustaje, i ciało i ziemia się dotyka, przez to już staje się jednością, już i zjawisko spadania samo ustaje. Widzisz tedy, iż tutaj każde jestestwo z osobna wzięte jest jedynie ułomkiem.

Podobnież w fenomenach magnetycznych, elektry-

cznych, galwanicznych i t. d. potrzeba dwóch biegunów, z których jeden jest dodatny a drugi ujemny. W zjawiskach optycznych, znów najmniej dwóch ciał potrzeba, bo promienia światła, i ciała oświeconego; tak i tu obaczysz, iż jedno jestestwo w naturze nie jest czémś zupełném, potrzeba najmniej dwóch lub więcej, by złożyć całość. Tak się rzecz ma i ze zjawiskami chemicznymi i z powinowactwem ciał. Ale powiesz mi może, iż w jestestwach organicznych dzieje się inaczej, bo ciało zwierzęce a zwłaszcza człowiecze jest całością w sobie, a zatem już wizerunkiem doskonałości; ręce, głowa, nogi i wszystkie członki, tak różne od siebie, składają jedną całość doskonałą, wszystkie one do siebie należą, jedną składają harmonią. Prawda, ale dla tego też właśnie ciało ludzkie jest szczytem wszystkich dzieł natury, najwyższym wieńcem rzeczy stworzonych, i dla tego właśnie jest stolicą nieśmiertelnego ducha.

Zważ przecież, iż i tutaj jeszcze niedoskonałość jestestw natury uczuć się daje. Człowiek właśnie w życiu swém ziemskiém do dwóch światów należy: jest na próżnikiem między państwem wiekuistém, duchowém, a państwem rzeczy materyalnych, bo on w sobie mieści i duszę i ciało — i właśnie dla tego, że należy do cielesnego świata, do natury, nie jest sam przez się całością w sobie skończoną, zupełną, bo się sam przez się ostać nie może. Naprzód jest bowiem w stosunku do innego jestestwa podobnego, ale płci odwrótnej. Mąż i kobieta z osobna wzięte nie stanowią całości. Następnie też człowiek obejść się nie może bez natury otaczającej go; bierze od niej pokarm swój, oddycha jej atmosferą i z nią dopiero stanowi całość, a właśnie ten

związek i stosunek ciała do natury jest przyczyną śmierci jego, bo natura zewnętrzna, onych ślepych żywiołów potęga, bez ustanku działa na organizacyą ciała jego, i psuje je, i niszczy, i trawi; a gdy się ciało w końcu oprzeć nie zdoła tym wpływom, wtedy ginie i śmierć następuje.

Widzisz, iż nawet najwyższe dzieło przyrody, bo ciało człowiecze nie jest całością w sobie i ginie, i dla tego nie może być dla nas wizerunkiem nieskończoności, którą człowiek śledzi mimowiednie w rzeczywistym świecie, choć nie wie, co go tak prze i co w nim działa. Cała natura tedy pokazuje nam jestestwa, które same wzięte są tylko ułomkami jednej myśli, ale całej myśli nie stanowią, a tém samém mają swój początek i koniec, nie mogą być tedy nieskończoności obrazem. To już wyżej choć innemi słowami powiedziałem. Ale może właśnie wizerunek ten znaleźć zdołasz w obrębie nie natury cielesnej, lecz w sferze czynności człowieka? może naprzykład moralność, cnota, obejmująca jakby sercem miłości pełnem świat cały, będzie doskonałym nieskończoności obrazem? Zważ atoli, moralność, cnota jest jedna i zawsze też sama, ona jest całością ogólną, póki zamknięta jest w duchu, póki trwa we wnętrzu naszym; ale ona jako całość nie może się zjawić w świecie, bo w rzeczywistém życiu moralność się tylko w czynach pojedynczych okazać może. Utulisz boleść, łzę nieszczęścia, zapomnisz krzywdy złowrogięj nienawiści, gdy zamiętała się w piersiach twoich wystąpi na jaw poświęceniem dla dobra drugich, toć wszystko zależeć będzie od podanej sposobności, okaże się przy szczególnych okolicznościach, które mogą być

tak różne, tak przypadkowe i rozmaite, jak rozmaite są życia przygody. Słowem, moralność zamknięta w duszy jako całość, występując na świat, rozbija się na pojedyncze osobne czyny moralne. Co się wyjawia w świecie rzeczywistym, są to tylko ułamki téj moralności, nie mogące być moralności saméj, a tém bardziej nieskończoności obrazem. A prawa, a ustawy spajające węzłem towarzyskim ludzi, zakładające miasta i garnące wszystkich pod sprawiedliwości paize? może tutaj dostrzeżesz wizerunku nieskończoności? Przecież tak sprawiedliwość jak i moralność zawsze jest jedna, wiecznie ta sama, i całością w sobie; ale ona, jako taka, nie wstępuje w rzeczywistość i wystąpić nie może, bo jest również jak moralność, jak enota, myślą, idea; w rzeczywistym świecie zjawić się tylko ona może w prawach, w księgach ustaw. Każdy jednak naród, każdy wiek ma inne swoje kodexa. Sprawiedliwość tedy jest tylko gruntem ogólnym, na którym wzrastają księgi praw, są to jedynie ułamki całości, ale nie całością. Co więcej, księga praw, obowiązująca w pewnym kraju a będąca przeto uwidomieniem wyobrażeń tegoż narodu i wieku o prawie, także nie występuje w całości w rzeczywistym świecie, lecz tylko ułomkami. Wszak prawo np. broni własności, jakże atoli ono chroni np. własności twojej i kiedy? oto wtedy tylko, jeżeli twój dom, twoja wieś, albo jakaś summa pieniędzy, będąca w twojej własności, jest zagrożoną: wówczas udajesz się pod obronę ustaw, a one oddalają napastnika. Widzisz tedy, iż praw wykonanie broni własności, lecz nie własności jako ogólnej myśli, ale rzeczy szczegółowych, jako wsi, domu, summy pieniędzy, a to wtedy tylko, jeżeli one

są zagrożone; czyli zaś są zagrożone lub nie, toć znów od przypadku zawisło, od szczególnych okoliczności, więc własność rzeczy szczegółowych okazuje się w ułamkach. Jest tedy niewątpliwą prawdą, iż i sprawiedliwość w téj formie, jak się w rzeczywistym świecie okazuje, nie może być wyrażeniem nieskończoności.

Ale rzekniesz mi może, iż przecie historia powszechna, będąc najwyższém dziełem wieków i pracownią nieskończoną ducha człowieczego, wyraża nam myśl nieskończoną odzianą w szaty ludów, w postaciach bohaterów historycznych? W tym liście moim już dwa razy wprowadziłem ci historią świata: raz, wskazując ci znikomość rzeczy doczesnych i przemijającą robotę ludzkiego rodu, drugi raz przedstawiłem ci dzieje człowiecze i jego sprawy, jako przeświecane płomieniem nieskończoności. Zaiste nieskończoność jest dnem wszystkich wydarzeń. Teraz jednak zjawia się inne pytanie; chciéj ze mną zważyć, czyli wydarzenia w historii, tak jak nam je historia wystawić może, są zwierciadłem same przez się téj nieskończoności? Bóg w nieograniczonej łasce swój natchnął człowieka rozumem, rozumną téż drogą prowadzi ród cały za rękę przez stulecia i lat tysiące do udoskonalenia najwyższego. Choć jednak krew biegnie w żyłach, choć życiodawczą potęgą tętni w ciele człowieka, przecież nie jest widzialną dla zmysłów, ale drganiem serca, iskrą w oku i rumieńcą kwiatem na widok występuje. Tak podobnie duch żyjący w historii nie występuje na jaw w zupełności swój, lecz w wielkich wydarzeniach, w epokach przemieniających świat, niewidomie tli i żyje, i jest krwią, co bije w pulsach narodów, a wieki całe, a stu-

lecia, są oddechami wiekuistej myśli przebywającej w dziejach ludzkich. By ujrzyć potęgę poruszającą narody i wielkich ludzi historycznych, trzeba zajrzeć za kulisy teatru świata, i tam widzieć, jak owa myśl wiekuista, kierująca tym dramatem, wysyła kiedyś pora, jakby aktorów, wielkie figury historyczne na scenę czasów. Za jej skinieniem występuje to Alexander, to Cezar, to Kolumb, lub Arystoteles, znów Cyrus, to Dżingishan, to Filip II. lub Piotr Pustelnik, Grzegorz VII. lub Napoleon; każdy z kolei się zjawia, by odegrał rolę swoją z dramatu, którą wiekuisty autor ułożył, i, wedle uiszczenia się z gry swojej, zyskiwał oklaski lub wyświsty potomności. Boć iście nie ślepego trafu lub fatalizmu jest historia, ale Opatrzności dziełem; a ten Bóg, bez którego woli ani pyłek z kwiatu, ani włos z głowy nie spada, ten sam Bóg jest i dziejów ludzkich ojcem; i gdy mądrość Jego uzna potrzebę, roztwiera ciepłą dłoń swoją i z niej wypuszcza, niby pisklęta, uskrzydłone młode stulecia, i gwiazd gromady i wielkich ludzi. Ależ my tego w samej historii nie widzimy jeszcze, bo myśl Boża, co żyje i działa na dnie wydarzeń, nie występuje w swęj całości w wypadkach historycznych, rozpryskuje się na narody, na wieki, na figury szczegółowe, na kraje pojedyncze. Każdy naród a każdy wiek zradza nową jedną myśl, wprowadza ją w świat i z kolei ustępuje z widowni; a ustąpić musi, bo nie będąc całością, lecz jedynie ułamkiem i częścią, jest również skończonym jak gwiazda, jak zjawisko mechaniczne, jak jestestwo organiczne, jak czyn moralny, jak ustawa prawna i t. d. i dla tego przeminać musi. Historia taka, jak nam się ukazuje, podaje nam dzieje rozerwane na tysiące szcze-

głów osobnych, na milionowe wypadki, ale nam nie wskazuje téj jednéj ogólnej myśli, żyjącej i pracującej we wnętrzu tych dziejów. Jest i tutaj nieskończoność zaiste, ale zakryta; historia jest jedynie jēj widzialną łupiną ułomkową. Widzisz tedy, iż jak w naturze, tak i w moralności, prawie, historii i we wszystkich czynnościach podobnych, duch nieskończony ujrzyć nie może własnego wizerunku a zwierciadło, które mu się tu przedstawia, jest stłuczone na sztuk tysiące, z których każda wskazuje jedną część oblicza wiekuistego, które w posagu od Boga na dziedzictwo odebrał. Aby w téj całej świata wszechnicy nieskończoność obaczyć, trzeba nam innego szczebla ducha, innej jego umiejętności, jak to obaczymy w liście następującym.

Duch człowieczy ciśniony tym niedostatkiem, party by to szczupłe koło istoty swéj rozszerzył, by nieskończoność obaczyć i znalazł siebie samego w rzeczywistości, przerzuca się w inną wyższą sferę własnej swéj istoty, nabywa jaśniej wiedzy o téj nieskończoności, a nie mogąc jēj znaleźć w rzeczywistości, zaczyna od tego, iż sam sobie *jēj obraz tworzy*. Tworzy go używając do tego właśnie téj osnowy, która mu jest najbliższą, najłatwiejszą dla niego; jest to ten świat dostępny dla oczu i słuchu jego, ten świat zmysłowy, i staje się mistrzem, tworzy dzieła sztuki. I to jest sztuk pięknych zaród tajemny i powód ich najwyższy. Świat materialny, natura, pożycza mu swoich postaci, swoich kształtów, daje mu na osnowę swoje marmury, drzewa, kruszce, barwy, tony, głos, a człowiek, uchwyciwszy je, wlewa w nich duszę swoją, przyciska gorejącém objęciem do serca, wlewa w nich nieskończone życie swoje,

swego ducha, a tak staje się twórcą, *mistrzem*. Co żyło na bezdnach ducha, o czém jakby przez sen marzył, teraz dla niego zjawia się widome. On siebie w dziele swém widzi, a trud cały, jaki ponosił pasując się z sobą, wlał w piękności dzieła, niby w naczynie boleści swój. Niedziw tedy, iż zjawienie się dzieła sztuki jest pieśnią wtorującą nieskończoności człowieka; bo gdy on stanie przed obrazem, rzeźbą lub świątnicą, albo gdy mu zabrzmia w duszy tony muzyki, melodyi, lub święty urok myśli poezją odziany, już rozumie, że go głos z dziecięcych lat wita, że się nań patrzy święte oblicze znane z dawnych lat, widziane gdzieś, niegdyś, czyli we śnie, czyli nad kolébką swoją, czylito może anioł stróż jego, co mu niewiedomie przez życie towarzyszył. Widzi obraz malowany w kamieniu, w postaci, słyszy potok muzyki; ale cóż mu z kamienia tego, z tych obrazów, z tych muzyki tonów; tęskni i płacze, coś go porywa i na niego woła. Zda się, iż jakby w długiej niebytności w kraju rodzinnym, nagle gdzieś niespodzianie w cudzoziemskiej stronie zabrzmiał mu mowy ojczystej dźwięk, niby dawna własna pieśń jego. Tysiące głosów dotychczas drzemiących budzi się w piersiach, i gromadami, jakby orły Boże, zrywają się i giną w ostatnich błękitnych nieba przepaściach.

A teraz jak myślę zrozumiesz, dla czego w listach poprzednich dowodziłem, iż ani zmysły, ani samo zachwycenie, ani uczucia, ani myśl, ani serce, ani rozum, same z osobna wzięte, nie mogą być sztuk pięknych podstawą. Bo jeżeli iście sztuka piękna jest nieskończoności córą, jeżeli wiekuistość tu jest odzianą w cielesności szaty, jeżeli sztuki istotę ziemską i niebiańską

człowieka, jakby dwa bieguny sobie obce i przeciwne, ku sobie naginają, jeżeli one biją we dwa światy tak odwrotne sobie, jak są zmysły ciała jego i duch wiekuisty, nie dziw tedy, iż godzą téż wszystkie inne sprzeczności istoty naszój, iż uderzają na całą treść człowieka, chwytają wszystkie struny jego jestestwa, i całą istotę człowieczą budzą pełnym akkordem. Zmysły i rozum, uczucia i myśl, duch i serce, ciało i dusza, wszystkie te potęgi zarazem są tknięte piękności dziełem, żadna tedy z osobna, ale wszystkie razem jakby w chór grzmiącym psalmem witają Wiekuistość, która na Ziemię zstąpiła. Tak piękność godzi wszystkie sprzeczności duszy naszój i pokojem niebiańskim ucisza wieczny w piersiach naszych bój. Przecież pokój ten nie jest głuchém przytłumieniem tych potęg, ale podniesieniem ich wyższém i uduchownieniem, on je uszlachetnia, wyléwa na nie powódź światłości niebiańskiej, uwalnia od ziemskiej ciężkości, dodając cherubinowych skrzydeł. Gdy piękność się zjawi, wszystkie radości i boleści, tęsknoty i nadzieje, odwagi potęga, lęki i miłość, żale i wesele, i co jéno w duszy naszój jest, rozgoreje ogniem nadziemskim i łączy się wspólnym płomieniem. Niebo i ziemia obejmują się uściśnieniem miłości. Gdy piękność się zjawi, cały ocean jestestwa naszego rozkołysze się do dna swego piorunną falą, i znów się jednoczy, znów zléwa się z sobą niby w zwierciadło, w którém niebo i Bóstwo się przegląda. Wpatruj się w obraz Syxtyńskiej Madonny; tutaj zmysłów naszych powaby i myśli potęga, duch i uczucia, wiara i miłość, mrozy i ciepło duszy naszój, słowem, cała nasza treść, roztopiona jakby pieśnią niebiańską, wciela

się w tę postać nadziemską Boga-Rodzicy. Podobnie, słuchając muzyki wielkich mistrzów, widzisz jak nieba podwoje na rościę są otwarte, i widzisz, jakby po szczeblach Jakóba na obłokach spartych, wchodzące i zstępujące anioły, skinieniem drogę nam do wiekuistej ojczyzny pokazując. I zaiste, połączenie w jedną harmonią rozpromienionych tonów duszy, pogodzenie rozdwojenia w piersiach naszych, jest najwyższym sztuki wieńcem.

Myślę tedy, że już zgodzisz się na to ze mną, że wiekuistość ducha a świat doczesny, że niebo i ziemia nawzajem są zaślubione sobie w piękności dziele; słowem, że nieskończoność i skończoność są dwoma pierwiastkami przebywającemi w dziele sztuki, że powiązanie ich w jedność jest wszelkiej piękności warunkiem.

Zważ jednak, że piękność świeci się tak przeróżnym rodzajem: ona zawsze będzie jedną i tą samą, ale występuje coraz to w inną postaci. W samej naturze nawet piękność jest tak różna. Ona jest inną gdy morskie zwierciadła, ciche i milczące, przezierają się w błękitach niebiańskich, a inną, gdy grzmotną burzą rozkołysane fale, wzdymając się i przepadając w otchłani, powstają i giną na nieskończonej przestrzeni, i znów dźwigają się w zuchwałém rozjątrzeniu, i znów tracą się w rozwarłe topiele. Inna piękność, gdy dech uroczystego wieczora roznosi ciche szepty kwiatów, a w mroku świętym natura obchodzi zrękowiny ze sercem człowieka; inna piękność orła, co, oparłszy skrzydła na słonecznych promieniach, mierzy okiem rozłożone pod nim w głębi kraje, inna znowu piękność taje-

mniczego państwa, co w głębiach podziemnych zbudo-
 wało czarnoksiężkie pałace swoje, przystrajając je w so-
 ple świeciste, w zwoje i gałęzie błyszczących kryszta-
 łów, wysadzając je bogato w smaragdy i rubiny; inną
 pięknoscią przemawia pierwiosnek, co wykwita na gro-
 bowej mogile, co tak rzewny, milczący, tęskny i zaduma-
 ny, iżbyś rzekł, że go posiała łza, co tu padła milcząca,
 rzewna, i teraz na pierwiosniku błyszczy rosy kropelką
 jakby oczko niebiańskie, a motyl różnobarwny, stroj-
 niś zalotny, oblatuje kwiatek płaczący. Tak jest, i na-
 tura roztacza się całym światem piękności przeróżnych;
 kędy spójrzysz, kędy zwrócisz duszy twojej słuch, już
 ta przyroda zaśpiewa ci to hymny wzniosłe, to tęsknej
 słodyczy elegije, to zanóci piosenkę radosną, weselną.
 A cóż dopiero się dzieje w państwie sztuki, kędy już
 piękność ma właściwą ojcowiznę swoją! kędy ona żyje
 w całej swobodzie a wolności swojej! Bo sztuka pię-
 kna jest zaślubieniem skończoności doczesnej z nieskoń-
 czonością wiekuistą ducha. Ale gdy duch człowieka jest
 duchem stworzonym, gdy on sam jest ochuchany tchem
 ziemskiego żywota, więc on sam wypowiada treść swoją
 w różnych akkordach, w różnych postaciach. Cóż dzi-
 wnego że sztuka to przemawia do nas *wzniosłością*,
 to znów zdradza piękność *naiwną, prostoty pełną*, to ubie-
 ra się w przepychy fantazyi, to staje przed tobą w *uro-
 czystej* postaci, to jest pięknoscią *szlachetną*, to znów
 strachem przejmując, gdy rozwija losy *tragiczne* figur
 swoich; a tak sztuka coraz inną a inną formą piękno-
 ści zadziwia, pociesza, zachwyca widza i słuchacza swo-
 jego. Trudnoby mi było wyliczać wszystkie te formy
 piękności, więc téż tém mniej będziesz wymagał, bym

ci się wdawał w różne ich definicje. Zdaje mi się téż, że jak to zwykle definiowanie wyobrażeń jest wielce nudne, tak téż najczęściej nie dotrzyma placu, gdy mu się bliżej przypatrzysz; takie definicje, choćby położone rzędem po sobie, będą niby ułamkami łóznymi niepowiązanymi z sobą, a zatem téż żadna z nich nie będzie miała udowodnienia swojego w drugiej, bo nie będzie się rodziła z poprzedzającej. Niema się tedy czego gniewać na czytelnika, gdy nie dowierza tym definicyom, gdy tu i ówdzie je doprawia, uzupełnia i prostuje.

Widzisz przeto, że chcąc te różne postaci piękności bliżej i trafniej oznaczyć, trzebaby je rozwinąć genetycznie, wypadłoby jej zrodzenia wskazać w zarodzie, należałoby tedy wysnuć je z owych dwóch pierwiastków, będących żywiołami piękności wszelkiej; takowy wywód okazałby, że, wedle różnego wzajemnego zachowania się tych dwóch pierwiastków, różne téż będą powstania piękności. Przecież, gdy te listy moje bynajmniej nie mają na celu rozwicia systematycznego Estetyki, gdy moim, jak wiesz, zamiarem jest, aby jedynie pobieżnie potrącić myśl twoją, zatem wystarczy, gdy, wspomniawszy już o tych różnych postaciach, jeszcze na przykład rozwinię choć z lekka i z wierzchu niektóre z tych szczegółowych form piękności, nadając im znaczenie mniej więcej przyjęte dziś już przez Estetyków. Prawda, że lubo sposób, którym ci podaję, nie będzie ani ścisłym ani wyczerpującym rzecz, wystarczy atoli, jak się zdaje, do okazania, że te wszystkie kształty piękności możnaby wysnuć rzeczywiście łańcem systematycznym.

Jakoż baczmy np. co rozumiemy przez wyraz »wznio-

słość«. Sama nazwa okazuje, że tutaj zachodzą dwa czynniki: jeden, który się wznosi nad czémś, a drugi właśnie ten, nad którym tamten pierwszy się wznosi; jestto przeto porównanie, które tutaj się objawia. Uważ teraz, że te dwa czynniki wyrażają właśnie owe dwa pierwiastki, które są dwoma warunkami wszelkiej piękności, ale one są tutaj rozdzielone od siebie dualizmem. Bo ów pierwszy czynnik, który się wznosi nad drugi, wyobraża tutaj nieskończoność, wiekuistość; a czynnik drugi, nad który się wznosi ta nieskończoność, ta wiekuistość, jest właśnie wyobraźnikiem doczesności tutecznej. Ten czynnik drugi istnieje tutaj li dla tego, aby wyświecić moc, potęgę, nieskończoność; on się w obec niej kurczy, on ją mierzy ale zmierzyć jęj nie zdoła.

Chciej atoli mieć na oku wielce ważną okoliczność. Oba te czynniki występują w Estetyce jako zamknięte w dziele piękności, które samo przez się i w całości jest wiekuistości i nieskończoności wyrazem; wynika ztąd, że i ten drugi czynnik, który w dziele sztuki wyobraża skończoność, sam nie może być czémś codzienném, drobném, a choć sam nie jest jeszcze nieskończonością prawdziwą, rzetelną, winien być jakby owiany tą nieskończonością, bo tak jedynie zdoła wyświecić nieskończoność wiekuiatą, która obok niego staje w postaci olbrzymiej, niezmierzonej. Z drugiej strony baczyć nam należy, że i ten pierwszy czynnik, który wyobraża nieskończoność, właśnie dla tego że się pojawia w dziele sztuki, a zatem w postaci uzmysłowanej, będzie miał przecież granice swoje; lecz sztuka, że tak powiem, na tém załżeć będzie, aby to ograniczenie jego zasłonić, aby tych

kończyn a granie nie było widać. Może jednak całe to przedstawienie moje niedość jasne, więc unaocznimy sobie rzecz na przykładzie. Gdy w człowieku wzniosą się burzą namiętności, a serce jego wzdęte będzie falą uczuć olbrzymich — otoż, jeżeli wśród téj burzy i boleści wewnętrznych, człowiek zdoła zakłąć własne serce swoje, co pęka z boleści, jeżeli zdoła przytłumić namiętności, i wykonać wbrew uczuciom swoim powinności, które mu idea wiekuista nakazuje — wtedy taki człowiek będzie wzniosłości wyrazem. Ta idea, przemagająca w duchu jego, będzie owym czynnikiem pierwszym wyobrażającym nieskończoność, wznoszącym się nad namiętności i uczucia, które przeto tutaj mają znaczenie owego drugiego czynnika. Uważ zatem, że te uczucia i namiętności winny być ogromne, bo tym sposobem jedynie moc duchowa, zdołająca je pokonać, wyświeca się w całej potędze majestatu pełnej. Atoli z drugiej strony też sama moc, działająca w imieniu nieskończoności w sercu człowieka, ta idea wznosząca się nad głosy serca, nad uczucia, sama jest tylko jedną z wielu idei, z wielu prawd szczegółowych rządzących światem. Człowiek, choćby najzacniejszego, ogromnego oddechu, nie zdoła działać w imieniu najwyższej prawdy, która jest prawdą wszystkich prawd, która je wszystkie sobą obejmuje; człowiek śmiertelny, jako duch stworzony, staje się wyobraźnikiem tylko jednéj szczegółowej idei i tę przeprowadza w życiu i w świecie; ta prawda, którą on wyznaje, z osobna wzięta, nie jest jeszcze prawdą bezwzględna, i ona w sztuce saméj, która żąda z istoty swojej uzmysłowienia, uosobienia téj prawdy w człowieku, sama występuje jako ograniczona; prze-

cież, gdy ma być nieskończoności wyrazem, dla tego to jęć ograniczenie jest osłonięte, zakryte.

Jak atoli w tym naszym powyższym przykładzie mieliśmy głównie na oku wzniosłość, objawiającą się w postępowaniu człowieka, tak podobnie przypisać możemy przedmiotom bezdusznym wzniosłość, a to wtedy gdy one w duszy naszej odpowiednie budzą uczucia. Tak widok morza jest wzniosły, fale dźwigają się i przepadają z kolei na przestrzeni morza, ta przestrzeń morza rozkłada się w nieskończoność, bo jęć granice zakryte więc osłonięte, a fale mierzą tę nieskończoność oceanów; ale, choć ogromne i olbrzymie, przecież jęć zmierzyć nie zdołają; one nieprzemierzonym, niedowidzianym rozłogiem topieli oceanów. Albo spójrzyj na wiekiustą przestrzeń niebiańską; toczą się i słońca i planety i księżyce, a pochodem odwiecznym kęłują, wirują, ruszają się systematy słoneczne, i srebrzą się mleczne drogi; ale ani planety, ani księżyce, ani systematy słoneczne, ani mleczne drogi, nie zdołają zmierzyć Bożego Państwa, bo za nimi znów nowe zjawia się systematy, nowe słońca, nowe mleczne drogi, i tak w nieskończoność.

Powiadasz, że ten tum obejmuje cię wzniosłością i że w nim powiewa nieskończoność tehem swoim? Gdy mu się bliżej przypatrzysz, postrzeżesz tłumy nabożnych i ołtarze, i pietrzące się w nim kolumny, łuki, gzymse, co, choć wielkie i potężne, giną w obec ogromu olbrzymiego całości budowania i wysokości sklepień. Ozdoby, dziergania wieży, choć same w sobie potężnych wymiarów, maleją i nikną w obec wysokości zawrotnęj, podobłocznęj, której sięga szczytem swojego krzyża.

Wystarczy może tych przykładów wzniosłości, zwracam tylko uwagę, że ona zdolna zamienić się na pokrewne sobie formy estetyczne. Tak np. jeżeli człowiek całą duszą, całym sercem objął jedną z idei, jedną ze szczegółowych prawd, i takową, z całym poświęceniem siebie, za nic sobie waząc wszystko inne, chce przeprowadzić w życiu, a tak walczy z losem, walczy z ideą nieskończoną, mierzy się z prawdą wszelkich prawd i ginie pod brzemieniem jęj wiekuistej potęgi; w takim razie ten człowiek stanie się figurą tragiczną, a los jego i upadek będzie tragicznością, która jest znowu nową formą piękności. Przecież o téj formie, jak i o konieczności, mówić będziemy często jeszcze na innych miejscach.

Zgodzisz się może również, że gdy ta nieskończoność, ta idea przeważna i wzniosła, ubiera się, jakby w szaty, w wielkie zjawiska natury, wtedy rodzi się to, co zwykle estetycznym przepychem zowiemy; taki przepych spotykamy często bardzo w świętych pieśniach hebrajskich, przedstawiających Boga »którego potęga zbliża się na skrzydłach wichrowych,« który wodzi wóz niebiański z gwiazdami jego« a skinął na świtania i okazał kędy wschodzić mają zorza!» W tych obrazach pieśni świętych widzimy przepych, ale pełen najwyższej wzniosłości; bo ogrom stworzenia ma w nich to jedynie znaczenie, aby okazać nieskończone wywyższenie Boże nad wszelkie wielkości natury; gwiazdy i świtania, skon i życie są tu jedynie haftem na rąbku szaty Bożej. Tutaj obok przepychu najwyższego, znajdziesz najwyraźniej wszystkie te cechy, którem powyżej ozna-
czył jako znamiona wzniosłości. Bo z jednej strony rze-

czy stworzone, doczesne przybrały ogromne nieskończone rozmiary, a z drugiej strony wznosząca się nad te rozmiary nieskończoność przybiera formy zmysłowe, fizyczne bo uzmysłowionej idei Bożej, odzianej nawet »w szaty, kładącej stopy na gwiazdach, wodzącej wóz oriona, skinieniem rozkazującej świtanu.»

Jeżeli do potęgi ogromnej, nieskończonej, łączy się spokój wewnętrzny, beznamiętny, wtedy występuje na jaw Majestat. Jeżeli zaś ta potęga spokojna w sobie uznaje wyższą nieskończoną nad sobą potęgę, wtedy staje się uroczystą. Gdy bohater zsiwiał, czując zbliżenie się śmierci, modląc się oddaje cześć Panu na wysokościach, wtedy zdradza się uroczystość. Jeżeli ów pierwiastek nieskończoności objawi się w sztuce wyrzeczeniem prawdy głębokiej, bez wiedzy własnej, wtedy zdradza się piękność prostoty pełna — jeżeli zaś odwrotnie człowiek postępuje wedle tej prawdy z całą pełną wiedzą, że wykonywa zakon wiekuisty, jeżeli przytém wypełnienie tej idei nie jest dla niego trudem, z którymby mu walczyć przychodziło, ale jest właśnie dogodzeniem zaczęj istocie ducha i harmonią z własną naturą swoją, wtedy pojawia się piękność szlachetności pełna.

Tak widzisz iżbyśmy mogli prawie z jednego i tego samego stanowiska określić bliżej znaczenie i innych tym podobnych pojęć estetycznych,— dla naszego dość żeśmy je choć z lekka wspomnieli. Przecież już widać, iż w jakimkolwiek bądź kształcie wystąpi z za obłocznęj opony piękność, zawsze ona będzie córą niebiańskiej ojczyzny, czyli zaświeci jako bogini piękności z koroną różaną na skroniach, czyli jako Niobe, co skamie-

niała w posąg cudny macierzyńską boleścią, czyli jako Jowisz Phidiasa, co skinieniem wstrząsa Nieba i ziemi posadami, czyli w postaci Herkulesa idącego przez świat walcząc i łamiąc się z trudem, by wybawił świat, by uwolnił Prometeusa, co uniosł z nieba płomień światłodawczy; zawsze i zawsze piękność sztuki przebudzi śpiący Olymp w sercu człowieka. Miej serce, oczy, duszę otwarte dla piękności, ona wstąpi radośniej do piersi twoich i będzie ci uroczyście, świątecznie w duszy i wśród niebiańskiego wesela, wszystkie ducha twojego tony się odezwą i zestroją się z sobą i zagrają jakby hymnem i psalmem, i przestanie ci w duszy płakać i kwilić, a zapomnisz boleści, przebaczysz krzywdy i urazy, świat cały i ludzi wszystkich obejmiesz z miłością, przeszłe i przyszłe wieki będą ci braćmi we wiekuistości. Odetchniesz szeroko, wesoło, swobodnie, jakbyś był po uniknięciu wielkiego nieszczęścia, od którego właśnie Boża ręka cię zachowała, odetchniesz wolno, swobodnie, jakbyś sprawił coś wielce zacnego, jakbyś uratował nieprzyjaciela swojego od biedy i zaguby — uczujesz się mocny na duszy, spotęgowany w sobie, jakby ci Anioł Pański podał wzmocnienia puhar.



LIST VIII.

Sztuka — Wiara — Filozofia.

Stosunek sztuki do Religii — do Filozofii. — Zwyczajne zdanie o Filozofii. — Uwłączanie rozumowi jest bluźnierstwem. — Zapatrywanie się mylnie na filozofią. — Jaroński i inni. — Rzut oka na treść listów poprzednich. — Badanie początku sztuk jest równie mylną jak niepotrzebną pracą.

Dotychczas zatrzymywałem cię w przysionku sztuki pięknej, rozprawiając dopiero w ogólności nad jej naturą; wnet zaiste roztworzy się nam wewnętrzne tej świątnicy, co, jakby stara wspaniałości pełna katedra, postawiona jest wedle pomysłu wiekuistego budownika, a dźwigniona pracą i sileniem się wszystkich wieków. Każdy naród, mający jakąś wartość swoją, przyczynił się do tej świętej budowy pracą żywota swojego; dawał jakby testamentem co miał najdroższego ku jej czci a ozdobie; o każdym téż tutaj świadczy kamień grobowy, wspominając z poczeiwością o imieniu i obliczu zmarłego. Ludy jedynie bez wagi, ślepe oka nie liczące w grze dziejów świata, przeżyły czas swój bez śladu, przemknęły się mileczkiem po ziemi; ich stopy, wyciśnięte jakby na lotnym piasku pustyni, zawiane są od dawna tchem czasów, pomarły one w barbarzyństwie, a anioł piękności

nie pobłogosławił im na ich samotnej i ciemnej pielgrzymce; świątnica sztuki milczy téż o głuchém ich życiu. A one zaś wielkie mistrze: Michał Anioł i Dante, Praxiteles i Petrarka, Shakspeare i Hayden, lub Stoss, Mozart i Sanzio, Horatius i Göthe, Cerwantes i Molière, goreją jakby jasne świece na wielkim ołtarzu piękności, a pokolenia późne stroją je w kwiaty swój czei i uwielbienia, a przy ich płomieniu nie jeden już zapalił się geniusz, tysiące rozwidniało serc. Tutaj téż po wszystkie czasy, narody przychodziły odświeżyć siły do uiszczenia się z powołania, jakie każdemu z nich Bóg przeznaczył, i wzmocnić się duchem i ufnością ku sobie. Sztuki piękne podnosiły zawsze człowieka i nadawały mu zaćność. Zaiste — spojrzij wstecz na dzieje ludzkie, a obaczysz, iż zawsze w epokach czarnych i smętnych, pełnych biedy i krwawej roboty, gdy niebo szare, bezbarwne, zaćmiło się nad światem, a w Historii jakby serce zamarło; gdy człowiek rozpaczając upadał pod brzemieniem własnego życia, wtedy, gdy wszystkie inne pociechy, nadzieje jego w koło zasnęły, gdy sam z sobą w głuchej nocy pozostał, Piękność w postaci jasności Anioła podawała mu kielich wzmocnienia. Ród człowieczy, patrząc na dzieło piękności, przypominał w niém sobie potęgę swoją nieumierającą nigdy, i niczém niezatartą zaćność swój natury; obojętniej patrzeć mógł na pohańbienia swego szaty, a skronie jego uwieńczył obłok złocisty z nieba spłyniony.

Sztuki piękne w historii zawsze się znalazły w parze z Religią; i niedziw, bo Wiara jest pierwszą nie-skończoności ksienią; dla tego Wiara i sztuka w ciągłym są związku z sobą. Z téj przyczyny zechcemy

zrozumieć stosunek sztuki do Religii. Obie z nieskończoności człowieka płyną, obie nam nieskończoność przed duszę stawiają, ale każda w inną formę, każda w swoim sposobie. Nieskończoność, rodząca się ze sztuki pięknej, gaśnie obok onęj, która świeci w majestacie Wiary. Bo gdy w sztuce nieskończoność istoty naszej wyjawia się we formie zmysłowej, a zatém we formie zewnętrznej, odwrotnie—Religia porzuca fizyczność i cały świat zewnętrzny, a zwraca się do wewnętrznych głębin człowieka, uderza w bezcielesną jego istotę i w najskrytszych duszy tajemnicach zapala nieskończoności ogień. Ale ona nie tylko o własnej nieskończoności człowieka przemawia, lecz za oponą najświętszej świątyni okazuje inną nieskończoność, która nie tylko nie ma końca, ale która i początku nie zaznała nigdy: bo ducha wiecznego stawia przed Panem, »który oblókł się w możność, utwierdził okrag świata, by się nie poruszył, odział się chmurą i ciemnością, którego stolicy gruntem jest sprawiedliwość i sąd, którego błyskawice oświecają światów przestrzenie, a na ich widok ziemia drga w sobie, albowiem przed oczyma Pana tysiąc lat są jako dzień wczorajszy, który przeminął, i jako straż nocna, a porywa je Pan powodzią jako sen i jako trawę, która z poranku rośnie.» (Psalm).

Lubo i zaród sztuki w duchu się znajduje, i lubo piérwój, nim dzieło piękności w świecie zewnętrznym stanie, winno się zrodzić w wewnętrznym człowieku pracą ducha jego, przecież ta praca ma za cel dzieło fizyczne. Posąg wprzód był w duszy rzeźbiarza, nim on myśl swoją wcielił w marmur—przecież ten pomysł, to zrodzenie się duchowe miało za cel posąg, który

w świecie zewnętrznym widzialny jest dla zmysłów naszych. Aby sztuka piękna była zupełną, powinna wystąpić z duszy mistrza i okazać się na jawie w dziele jego, bo inaczej nie miałaby rzeczywistości. Odwrotnie, rzeczywistość Wiary, jej prawda stoi na duchowości wewnętrznej człowieka: ona mierzy w ducha jego i tu ma ostatni cel swój. W sztuce świat wewnętrzny jest środkiem, wyjawienie się zaś zewnętrzne jej celem i przeznaczeniem. Nawzajem w Religii, świat zewnętrzny widzialny jest jedynie widowym znakiem nadziemskiej łaski dla naszego poświęcenia wewnętrznego; jej przeznaczeniem jest duch człowieka, »bo duch ci jest Bóg, a ci, którzy Go chwają, powinni Go chwalić w duchu i w prawdzie.« (S. Jan. IV. 24).

Te są główne podwaliny stosunku Religii do sztuki, a posłużą one nam na przyszłość za podstawę do rozróżnienia sztuki klasycznej, to jest greckiej, od sztuki chrześcijańskiej. Tutaj tyle jedynie powiem, iż skoro, jak mówiłem, w sztuce duch objawia nieskończoność swoją wcielając się w zewnętrzne zmysłowe formy, a w Religii zaś duch ze zewnętrznego świata cofa się w siebie i w sobie obchodzi nabożeństwo i uroczystość nieskończonej swój istoty; więc też świat zewnętrzny, zmysłowy sztuki nie potrafi wydać całkowicie onęj świętości spływającej z Religii w serce człowieka; prawdy Wiary nie zdołają się pomieścić w szczupłe obręby, jakich im sztuka dostarczyć może, bo pojęcie chrześcijańskie Boga jest zupełnie duchowe; formy tedy sztuki, jako zmysłowe i zewnętrzne, nie zdołają sobą zamknąć pojęcia Bóstwa niemającego końca ani początku. Dla tego przyznasz, iż obrazy religijne nie wszystkie podają

jedną trudność do zwalczenia: im więcéj w nich pierwiastek Boży przeważa, tém i zadanie trudniejsze. Bóg Ojciec przedwieczny jest przedmiotem dościgłym ledwie przez najwyższy geniusz artystyczny, bo jest Bogiem wiekuistym, nadziemskim, tymczasem Chrystus Pan, Bóg-Człowiek, Bóg, co przybrał na się postać ludzką, zmysłową, zbliża się do świata materyalnego i do świata sztuki; a gdy znów dwojaka jest w nim natura, bo Boska i człowiecza, więc téż te chwile jego żywota, w których w nim natura ludzka przeważa, są łatwiejsze do uchwycenia dla artysty, a niżeli chwile, gdy Chrystus Pan jako Bóg występuje. Tak łatwiejszym jest obraz wystawiający Chrystusa w latach jego dziecięcych, lub w chwilach jego męki, upadającego pod krzyżem, albo w rękach najgrawającego się żołnierstwa, niż w chwili zmartwychwstania, lub sądu ostatecznego, bo tu jego Boża Natura zjawia się w całym swym majestacie. Toż samo powiedzieć można o innych sztukach. Jeżeli jeden tylko *Hayden* harmonią tonów odmalował *Stworzenie*, *Stabat Mater* znalazło dotychczas już trzech wielkich mistrzów.

Gdy zaś obrazy, rzeźby święte, są jedynie słabém i cichém echem téj żywéj wszechmocnéj potęgi, jaką Religia nas przejmuje, jeżeli ich zewnętrzne formy sprostać nie zdołają prawdzie, która nam jakby rosa niebiańska z góry przyszła, więc téż dla pobożności religijnéj wyższa lub mniejsza piękność estetyczna obrazu czy rzeźby mniej ma wagi, bo już tutaj rzecz nie tak na tém stoi, czém dzieło jest, jak raczéj na tém, co ono wystawia. Nie raz, wracając z przechadzki wieczornéj, zatrzymywałeś się przed samym wstępem do mia-

sta patrząc jakby po przez ramy przez ostrołuką bramę głównej baszty Floryańskiej na widok pełny poezyi i godny pęzla wielkiego artysty. Ulica Floryańska strzałą bieży długim szeregiem swych domów, i ginie w szarém oddaleniu wieczora; w jęj końcu dźwiga się w olbrzyma kościół Panny Maryi niby widmo starych wieków, co dumając nad miastem rysuje okazałe kontury na zamroczoném niebie, a na koronie jęj wieży pali się jeszcze iskrami ostatnie spójrzenie konającego słońca, które już dla miasta zapadło. Ale gdy cienie nadchodzącęj nocy rozwlokły się już po ziemi, a księżyc z tą wiecznie niezmienną, obojętną twarzą patrzy na świat, zalévając niebo i ziemię mlęcznym blaskiem, co dziwnie się miesza ze żółtém światłem skromnych lampek i świeczek, które lud teraz zapala w ostręj bramie Ś. Floryana przed wizerunkiem Matki Przenajświętszėj; lud się modli do Boga-Rodzicy, a co w duszy zakiپی, brzmi w pieśni pełnėj rzewności i szczeręj prostoty, a piersi napełnia serca mądrością. A zaiste, mniej temu ludowi zależy na wyższėj lub mniejszėj piękności onego zewnętrznego wizerunku Najświętszėj Panny, obojętna mu téż i piękność poetyczna pieśni jego, i wartość muzyczna melodyi, i głosów harmonia, bo on w prostocie pełnėj pobożności wizerunek Najświętszėj Panny widzi w tajnicach duszy swojęj, widzi go wewnątrz siebie, a serce śpięwa mu psalmy i rozpięwa nadziejską muzykę; bo nad tém cichém pobożném zgromadzeniem Duch pocieszyciel rozpiął skrzydła swoje. Tak więc w duchu, świętością Religii przejętym, zawsze uczucia zastępują dzieła sztuki; serce samo buduje się w przepych świątnicy, stroi się tęsknotą jakby rzezbą

i malowaniem, i płacze tonami muzyki, która z Nieba mu płynie. Jeżeli nieskończoność objawia się w sztuce postaciami zewnętrznymi, a w Religii nabożeństwem ducha, więc też nieskończoność we Wierze objawiona o tyle jest wyższa, świętsza, od nieskończoności wyrażonej w dziełach sztuki, o ile świat wewnątrz wzniesiony jest nad zewnętrzny, materyalny. Na wstępie do Włoch, w Bononii, wita cię obraz Rafaela; widzisz Świętą Cecylią w rękach trzymającą organy, które smutnie już się rozstępują, u stóp jej na ziemi porzucone narzędzia muzyczne w części złamane, ich harmonie ziemskie już oniemiały, umarły, bo na obłokach widać wieńce anielskich chorów, co śpiewają chwałę Pana na wysokości; Święta dziewica obliczem ku niebu zwrócona tonie w oceanie tych niebiańskich hymnów, zapominając o muzyce doczesnego świata. To jest stosunek sztuki do Wiary!

Jest atoli jeszcze jedna, trzecia i ostatnia droga, którą nieskończoność staje przed duchem człowieka, droga będąca twardym dorobkiem długiej pracy wieków i trudem rozumu jego: jest to droga mądrości ludzkiej — *filozofia*.

Nie radbym tu weale występować w szranki, broniąc niepotrzebnie rozumu powagi, bo już teraz świat cały w rozum uwierzył i poznał potęgę jego, a każdy z nas jeszcze dzieckiem będąc uczył się na pamięć zacnego Kopeczyńskiego, i odpowiadał głosem rozlegającym się po klassie: „*Różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową: przez rozum poznajemy rzeczy i o nich rozmyślamy, przez mowę wyjawiamy drugim myśli nasze;*” — gdy zaś mimo tego po książkach i pi-

smach czasowych pełno jest jakichś zdań podających wartość rozumu pod wątpliwość jeszcze, więc téż nie weźmiesz mi za złe, iż choć kilku wyrazami dotknę się całej téj rzeczy.

Nikt nie zaprzeczy, iż najwyższym, najświętszym darem nieba jest rozum: bo rozumem człowiek wywyższony został nad wszystkie jestestwa stworzone. Jedynie przez rozum i myślenie człowiek zdolny jest do przyjęcia świętych prawd Wiary, bo ani zacność, ani moralność, ani cnota nie miałyby miejsca, gdyby człowiek nie był istotą myślącą; aniby on znał, ani dopełniał powinności swoich, gdyby nie był obdarzony rozumem. Jeżeli tedy ktoś uwłacza rozumowi, toć zaiste w tém zachodzić musi nieporozumienie jakoweś, któremu bezwątpienia nie tak filozofia, jak panowie wrzkom filozofowie dali w części początek, zwłaszcza filozofowie wieku zeszłego. Pokazała się wtedy ta niby-filozofia w tak obrzydliwym i cynicznym kształcie, i tak wierutna, wszeteczna, iż tchem swym zatruchiwała i duszę i zdrowie wieku całego. Nie dziw tedy, iż każdy człek poczciwy i prawy stronił od téj wrzkowej mądrości nadzianej dowcipami Mefistofelesa, zawracającemi snadno wszystkie słabe głowy i wciskającemi się w nadgniłe serca. Może jednak i czas dzisiejszy nie jest zupełnie bez winy. Bo gdy np. u sąsiadów naszych filozofowie hałaśny prowadzą bój o systemata swoje, ich czeladź cechowa zakasawszy rękawy, pod katedrami swych nauczycieli staje do boków, obrzucając się na dobitkę błotem uliczném, i znieważając grób zmarłego przeciwnika. W pismach nienaukowych, w pismach politycznych nawet, roztrząsają pytania dotyczące się naj-

wyższych prawd człowieka, bo wieczności, Boga. Patrząc się na tę prostytutkę rzeczy drogiej i pełnych dla człowieka wagi, podobne oburzenie każdego przenika, jak gdyby po długiej niebytności w mieście rodzinném obaczył nagle wizerunek ojca i matki swojej, sponiewierane na tandencie żydowskiej. Z postępowaniem tém łączy się osobliwa pycha i pomiatanie prawdami od wieków uświęconemi, a zbudowanemi iście na opoce przedwiecznej. Ale pycha ludzka tu weale nie na swoim miejscu, bo choć filozofia mocą rozumu dobija się prawdy, niechaj atoli jej zwolennicy raczą mieć na pamięci, że przecie ten rozum tak jest promieniem z góry pochodzącym i tak wypłynął z łaski przedwiecznej, jak i prawdy Religiją objawione, i że wypadek ostateczny rozumu, właśnie dla tego spólnego pochodzenia jego z Wiarą, nie może być od niej różny. Niechaj zechcą ci panowie zważyć, iż łatwiej téż już było w świecie chrześcijańskim dojść drogą rozumowania najwyższych prawd, skoro duch ludzki już był piérwój zkadinał oświecony; bo nim filozofia trafiła do rezultatów swoich, już one dawno w sercu każdego żyły, we formie uczuć Wiary i Religii; tak jak ludzie dawno patrzyli swojemi oczyma, nim nauką doszli teorii optycznej widzenia, i wprzód umieli chodzić i stać, nim pojęli mechanikę ciała swojego. Rozumiem tedy, iż nadużycie i zła wiara filozofujących przyczyniła się do krzywego i niesłusznego mniemania o samej filozofii. Przewinienie zaś jednéj strony nie nadaje bynajmniój prawa drugiej, by i ona dopuściła się niesprawiedliwości, bo targnienie się jej na powagę rozumu jest także bluźnierstwem i bezbożnością, tylko bluźnierstwem i bezbożnością innego rodzaju.

Najszlachetniejszy popęd człowieka, chęć wiadomości, nauczanie się, pragnienie rozszerzania granic ducha swojego, ma źródło swoje w rozumie. Co w rzeczach ludzkich jest, a czego przecie nie rozumiemy, o tém wiemy — ale rozumieć, jest to umieć, mieć u siebie. Cośmy zrozumieli, toć jest naszą własnością duchową. Cała historia ludzka przez lat tysiące właśnie pracuje tylko nad tém, aby zrozumieć zjawiska natury, towarzystwa, zrozumieć własną istotę człowieka i t. d. Pragniemy zrozumieć mowę zjawisk, przetłumaczyć je sobie na język naszego rozumu. Wiemy bowiem, iż wszystko, co jest, powinno przystać do naszego rozumu, nadać się do niego. A choć nie tylko w świecie umysłowym, ale w naturze jest wiele rzeczy, których my sobie wytłumaczyć nie możemy, toć wiemy, iż tych rzeczy nie dla tego nie rozumiemy, jakoby były przeciwne rozumowi, ale dla tego, iż nie mamy wiele jeszcze faktów, to jest wiele ogniów potrzebnych do rozumowania, które, gdyby nam były wiadome, bez wątpienia posłużyłyby nam do pojmowania tego, co było zagadką. Słowem, szukamy wszędzie i we wszystkiém prawideł rozumu, bo w nas jest wrodzony instynkt, iż wszystko się odbywa rozumnie, i że wszystko do naszego rozumu przystać powinno. Ten instynkt, od Boga wlany w ducha naszego, łatwo téż pojęty być może: bo źródłem wszystkiego jest Bóg, Najwyższy Wiekuisty Rozum. On stwarzając świat i wszystko co na nim jest, stworzył rozumnie, tak równie i nas stwarzając wlał w nas myśl rozumną. Otóż więc rozum, będący ustawą świata, i ten nasz rozum, który żyje w myśleniu naszym, o ile ten ostatni nie jest źle użyty, nie mogą być różne od siebie,

bo mają to samo pochodzenie. Dla tego sarkanie na rozum jest istotnie, jakem powiedział, bluźnierstwem i bezbożnością. Rozum więc z nieskończoności człowieka pochodzi. A teraz wyjaśnia ci się już i w zupełności usprawiedliwia się zasada wyrzeczona w liście poprzedzającym, iż człowiek party jest instynktem, by nieskończoność, która w nim żyje, znalazł i zewnątrz siebie upatrzył, by wszędzie wizerunek własnej nieskończoności obaczył, i że tedy co tylko jest prawdą w duchu naszym, winno się znaleźć i na zewnątrz ducha naszego. Ta tęsknota, ten instynkt, ta zgoda wewnętrzna prawd z ustawami a światem zewnętrznym wypływa z tego, iż wszechnica świata i duch człowieczy rządzi się prawami najwyższymi od Boga nadanymi. Człowiek dochodzi rozumu Boskiego wiekuistego, żyjącego na dnie każdej rzeczy, obiera je z łupiny zmysłowej lub ze skorupy, w którą je przyodziały nasze uczucia, bierze rzeczy nie za to, za co się dają, czém się zdają, ale za to, czém one w istocie swojej są. Widzi zatem ich wewnętrzne połączenie, ich związek, i spostrzega myśl Bożą, na którą, mówiąc językiem Indów, wszech rzeczy są nawleczone jak perły na nici; widzi połączenie rzeczy fizycznych i duchowych, a co uczuciom naszym i zmysłom zdaje się być rozosobnione, okazuje się teraz jak część jednej ogromnej całości: a umiejętność mająca na celu wypatrzenie we wszech rzeczach onego nieskończonego pierwiastku, jest — *Filozofia*. Tak tedy i droga filozofii, droga myślenia, prowadzi człowieka do poznania nieskończoności.

A jeżeli, jakeśmy wyżej powiedzieli, (*List VII.*) ani świat fizyczny, ani moralny nie wystarczy, by był

wizerunkiem nieskończonój naszej istoty, jeżeli wszystkie szczegółowe nauki i umysłowości, a nawet historia okazuje nam tylko części ogromnój całości, którą jest nieskończoność, tedy filozofia, łącząc te wszystkie części w jedność, okazując nam wszech rzeczy wiekuiste powiązanie z sobą, pokazuje nam jakby w odbiciu nieskończoną istotę własnego ducha naszego.

Jeżeli więc w sztuce duch człowieka wlewa się w dzieła piękności jakby w godne siebie naczynie, uduchowia je sobą i tworzy wizerunek swój własnej istoty nieskończonój, tedy we filozofii duch dochodzi nieskończoności myśleniem. W Religii zaś samą łaską Bożą, bez zasługi a pracy naszej, nieskończoność zstępuje z Nieba w świętój objawienia postaci, i mieszka Wiarą w nieskażoném sercu człowieka, jako w przybytku i arce swojej: »bo Zbawiciel tchnął na wiernych swoich, i rzekł: weźmijcie Ducha Świętego« (Ś. Jan, XX, 22).

Gdy w sztukach pięknych nieskończoność okazuje się w postaci dzieła sztuki, to jest cielesnym sposobem, we filozofii ta nieskończoność objawia się w postaci i we formie nieskończonój myśli Bożej, ukrytój na wszech rzeczy dnie; a do téj myśli Bożej prowadzi nas praca ducha naszego, myślenie. Tak do celu najwyższego wiedzy środek najzacniejszy, a oba z jednego źródła płyną.

Chciěj mi wybaczyć, że się tak o filozofii rozpisuję: oznaczywszy atoli stosunek sztuki do Religii, radbym także wykazać stosunek sztuki do filozofii, a do tego przedewszystkiém potrzeba, byśmy się porozumieli jasno względem znaczenia prawdziwego téj umiejętności. Nadto filozofia stała się właśnie teraz przedmiotem powszechnój uwagi w literaturze naszej, i więcej niż kie-

dykolwiek publiczność u nas zajmuje. Niektóre nawet damy nasze, łącząc muzy z gracyami, porzucają ciepłe kwieciste doliny rzeczywistego ich życia, i spinają się na szczyty szorstkie, samotne, zawrotne, zimnej abstrakcyi. Prawda, iż kto tam stanie, bliżej jest Nieba, dalej Ziemi, i widzi świat, naturę i wszystkie rzeczy ludzkie rozłożone jakby na otwartej dłoni Bożej! Jest czego podejmować się tych prac jałowych. Nasza publiczność czytająca iście spoważniała, obrzydziła sobie słodkie pianki literackie, i już nie na żarty się na życie patrzy, a nawet coraz to więcej pozbywa się uprzedzeń spróchniałych o filozofii. Atoli tu i ówdzie pozostały nam z dawnych lat niektóre tradycyjne a często sprzeczne z sobą mniemania o filozofii, które jakby zwiędniały bukiet z prababki wesela na nas spadły. Bo tu znajdziesz jeszcze ludzi, którzy pod szatą białą Pitagoresa i w trzewiku Kanta widzą krogulcze pazurki, którym każda książka filozoficzna siarką trąci, i słysząc o filozofii już palcami sięgają do wody święconej, bo wedle ich zdania filozofia dla porządnego człowieka jest tém, czém dla wilka koń zatruty; jak się zaje, to na swoją zgubę i koniec mizerny. Ówdzie znów jakieś Francuzy z Kleparza, których dusze spudrowane, chodzą jeszcze w jedwabnych w kwiatki frakach, i ciągle marzą o oniej filozofii Rokoko, więc z lamusu przeszłości, z pośród zapomnianych rupieci literackich wyciągają perukę Woltera i w najlepsze paradują sobie z nią po świecie. Są tacy znów, u których zdania Śniadeckiego stereotypem stwardniały; oni całą filozofią uważają za niepotrzebny wymysł niemiecki, utkany w pajęczynę misterną z piany piwniej i dymów fajeczanych. Lubo ile mi

wiadomo, ani Plato ani Arystoteles nie miał takich materiałów pod ręką; a mają przecież ich niby za filozofów. Ludzie, którzy się nigdy o filozofią nie troszczyli, wprost i bez ceremonii o niej sądzą, dając o niej wyroki stanowcze. Wedle ich zdania nie potrzeba się wcale obeznąć z umiejętnością tą, by z góry już wiedzieć, jak się rzeczy z nią mają i czego ona warta. Gdy mowa o matematyce, geologii, astronomii, prawnictwie, chemii, lub o jakiegokolwiek bądź umiejętności lub nauce, żaden się z tych panów nie odezwie, jeżeli nie zapoznał się z nią piérwój; ale o filozofii radzić, o niej szeroko rozprawiać i oceniać jój wartość; ba! to każdy potrafi, choćby bez żadnego poprzedzającego przygotowania. Zdrowy rozsądek i poczciwość serca wystarcza, jak powiadają, do sądzenia o filozofii; aleć przy najzdrowszym rozsądku i największej poczciwości nikt skiby nie zaorze, nikt na koń nie wsiądzie, jeżeli nie ma wprawy, a témci mniej filozofii znać nie będzie bez cichój pracy i sumiennój usilności. Onym panom się zaiste zdaje, iż każdej nauki, iż każdego rzemiosła nawet uczyć się potrzeba, filozofować tylko i trawić można bez żadnój poprzednój nauki. Każdy człowiek wedle mniemania ich filozofem się rodzi. Żaden z nich nie ma pretensyi zrozumienia książki matematycznój, prawnój, geologicznój i t. d. jeżeli się tych umiejętności wprzód nie uczył, ale każdy ma pretensyą zrozumienia i osądzenia książki filozoficznój; a jeżeli jój nie zrozumieć, to nie jego wina, ale książka niedorzeczna, a autor musi mieć jakieś zajaczki.

Zdanie ich niby ztąd się bierze, iż oni nie wierząc, czyli raczej nie wiedząc, iż myślenie filozoficzne różni się od tak zwyczajnego codziennego myślenia, powia-

dają sobie: »iż skoro filozofia ma być podług wyznania »samych filozofów umiejętnością rozumu i myślenia, »zatém dość jest mieć rozum, dość myśleć, aby sobie »filozofować;« przepraszam, bo można mieć nogi bardzo zdrowe i bóty skrzypiące z ostrogami i z żółtymi kutasami, a nie umieć węgierskiego zatańcować.

Inni radziby filozofować, niechajby tylko filozofia nie była tak trudna; radziby mieć inną, której można nabyć tanim kosztem, bez wielkich zachodów i dla wszystkich przystępną, do którejby wszyscy siadać mogli jak do omnibusu jakiego, puszczając się w wycieczkę za małe pieniądze to w tę, to w ową stronę krainy mądrości. Niechaj atoli zważą, iż jeśli każda nauka ma swoje trudności, témei więcej filozofia nie może być umiejętnością łatwą, bo przedmiotem jęj nie są rzeczy dotykalne, ale myślenie samo, a myślenie abstrakcyjne. Nikt nie zaprzeczy, iż matematyka dla tego jest uważana za umiejętność trudną, bo jest abstrakcyjną, a przecież jęj liczby i rozmiary są mniej abstrakcyjne niż pojęcia filozoficzne. Z tém zdaniem w blizkiem sąsiedztwie mieszka drugie jemu spokrewnione, jest to mniemanie tych, co uważają, że nam potrzeba zupełnie innej filozofii swego elowu i na swoją potrzebę. Na tę szczęśliwą myśl wpadł już przed laty poczciwy Jaroński i napisał książkę: »Jakięj filozofii Polaey potrzebują« (Kraków 1810, in 4to). I zaiste, coby to była za ładna rzecz, gdyby każdy naród miał swoją własną filozofią, jak każda dobra gospodyni ma swoją apteczkę domową. Takich zdań nie brakło jeszcze; znajdziesz ich pełno, często gęsto podnoszą głosy ze serdeczném życzeniem aby u nas każda prowincya nawet i każde

miasto miało swoją filozofią, własnych swoich filozofów, tak jak to niby każdy domek na przedmieściu ma swoje grządki, a na tych grządkach własne kapuściane główki. Ale zkądże to zdanie tak osobliwe się bierze? Właśnie jak myślę z tego, iż pospolicie utrzymuje się mniemanie, jakoby filozofia była owocem zwyczajnego rozmyślenia, dumania i t. d. że zatém ona podobnie jak każde rozmyślanie i dumanie zostaje pod wpływem uczuć, chęci, dążeń, i tych wszystkich okoliczności stanowiących piętno jakiego narodu, a więc że filozofia także koniecznie musi mieć piętno narodowe — jak na przykład poezya i cały orszak sztuki pięknej. Uważmy jednak, że skoro filozofia więcej niż inna jaka bądź umiejętność jest czysto rozumowa, i mniej jak którakolwiek podlega wpływom uczuć, temperamentu i całej potędze miejscowości, więc téż ona mniej niż inne może mieć piętno narodu.

Zaiste wtedy tylko będziemy się mogli spodziewać osobnej dla każdego narodu filozofii, gdy każdy naród wymyśli sobie osobną dla siebie matematykę, fizykę, chemią i t. d. Powiadają: iż człowiek za pomocą samego rozumu nie zdoła dobić się żadnych prawd bezwzględnych, to jest niezależnych od żadnego miejsca i czasu, będących zawsze i wszędzie prawdą. Więc jeżeli jedni powiadają, że dwa razy dwa = cztery, to u innych dwa razy dwa = pięć; jeżeli się dla innych ludzi ziemia obraca koło słońca, toć słońce, księżyc i gwiazdy, obracają się około niego jako około środka swojego; — a co jedni ludzie za pomocą rozumowego przekonania nazywają zacném, pocziwém, szlachetném, to u innych jest nedorzeczne, złe — i nawzajem.

Wcale tedy niepotrzebna jest taktyka onych, którzy, chcąc zaprzeczyć wartości rozumowi, zaczynają od oddania czei prawdom z Wiary płynącym. Bo nie wypada nam mieszać prawd objawionych z zasadami rozumowymi. Wszyscy przekonani jesteśmy, iż żadna jakakolwiek bądź nauka nie ma zasady pod sobą, jeżeli nie stoi na fundamentach Religii. Bo wszystkie nauki, w gruncie swoim pojęte, okazują nam jedynie dobroć, wszechmocność i wszechbytność Boga w różnych kształtach i postaciach jego; dla tego też wiadomość i uczoność, nieosadzone na wierze objawionej, są tylko złépkami rapsodycznymi nie mającemi spólnego tła, którem jest Bóg. O tém wszyscy wiemy; wiemy także i o tém, iż wiadomości i nauki jeszcze się różnią od rozumu: bo gdy obaczysz człowieka nie gruntującego rozumu swojego na Bogu, o takim możesz być z góry przekonany, iż i rozum ten jego szwankuje. O tém wszyscy wiemy; lecz wiedźmy również, że potęga myślenia nie jest darmo dana człowiekowi od Boga; winien tedy zanie użyć tego daru, którym Ojciec niebiański uposażył ludzkość, wyprawiając ją w życie doczesne i świat. A jeżeli nikt nie zaprzecza, że w żadnym kierunku życia, że w żadnych sprawach nie obejdzie się bez namysłu i myślenia, więc wiedźmy, że téż winna istnieć umiejętność, która ma właśnie samo myślenie za przedmiot swój i że taką umiejętnością jest Filozofia.

Może filozofia dla tego nie ma kredytu i coraz to inne filozofie nastają, że zawsze system powyższy stawia się i buduje na gruzach poprzedzających. Przecież właśnie ten ruch jest dowodem życia téj umiejętności i jéj chwałą. Te odmiany nie są migotaniem się fan-

tastyczném bez celu, ale są postępem, wzrostem i szczeblem dalszym do udoskonalenia. Co się nie odmienia, co trwa ciągle w jedném, jest martwém i umarłém. Wszystkie umiejętności mające w sobie zaród życia, w których jakby krew płynie, przeobrażać się ciągle winny, i w tém podobne są do historyi rodu człowieczego. I tu ciągła odmiana, tu ciągła walka, bo wieczny bój na myśli i krew, a walka i bój ten pełen zgrozy i okropności. Zaiste, w historyi lata nie mlékiem i miodem płyną, ona nie jest sielanką. Pierwszy syn pierwszego człowieka był mordercą, zabił brata. Każda odmiana, każdy krok, który czyni historia w swój drodze po przez stulecia, opłacany bywa niesłychaną boleścią i zgruchotaniem milionów ludzi; a przeszłość iście w dziejach świata tchnie na nas jakby wielki grób, w którym pochowane zabite pokolenia bez końca, kości ludów pomarłych wśród mąk straszego skonu.

Iście historia ludzka jest krwią i łzami pisana: a czyliż owi sędziowie filozofii i w historyą nie wierzą, i nie wierzą w postęp rodu człowieka? a czyliż również dla tego, iż się ona ciągle odmienia, że w niej niema nic stałego, historia ma być jedynie igraszką i zbiorrem krwawych anekdot? czyliż oni rozumieją, że ród człowieczy stworzony jest na pomiotłę lada zachcenia ślepego losu i na drwiny bezmózgłego przypadku? Zaiste, — wartożby było, aby historia taka żyła na świecie i ród ludzki istniał! Więc gdy w każdym człowieku instynktu głos przemawia, a potwierdzony Religią, że jest Ojciec na niebie będący mu tarczą ode złego, do którego mu się modlić wolno, przed którym

wyplakać się może, i że biedy, jakie go w tutejszém życiu spotykają, są nawiedzeniem nieba uświęcającém go do przyszłego nieskończonego szczęścia; a jeżeli wierzymy, że historia naturalna, ta historia bydła, krzewów i kamieni, spoczywa na podwalinie najwyższego rozumu i wiekuistych jego prawach, czyliż tak trudno im uwierzyć, że ten krwawy trud ludzkiego rodu nie jest daremny, że opatrne oko Boże świeci nad historią i drogami jój, i że owe wielkie przemiany i przeobrażenia umysłowego świata są jedynie okupieniem wyższej doskonałości, uwolnieniem ducha z zuzelie, i stopniami do tronu własnej jego godności? Kto ma sam zaćność w sobie, ten iście i szanuje zaćność człowieczego rodu, i wierzy w udoskonalenie jego ciągle, wierzy więc w jego postęp bez końca. Kto zaś życie swoje trawi jako ślepy ślimak w ciemności błota morskiego, ten nie dosłyszcy wołania burzy grzmiaćej, jak Bóg od czasu do czasu zatrzęsie światem; a gdy rozkołysana fala dziejów ludzkich wyrzuci na brzeg ślimaka, on się dziwi, że jest jakieś słońce i jakiś dzień na świecie.

Tak jak historia, jak każda wyższa umiejętność, filozofia jest dziełem umysłowej potęgi a nie dowolnej fantazyi człowieczej. Bo nie tylko w łomocie i rodzeniu się państw, w padaniu się fundamentów ich, lub na pobojuwisku wojen, duch żyjący i rosnący w historii znać o sobie daje, ale on pulsem bije i w cichej robocie umiejętności i w tajemniczój pracy rozumu. Gdyby ci, którzy tak na filozofią powstają z powodu, iż ciągle nowe filozofie się rodzą, rozpatrzyli się nieco w umiejętności téj, o którój tak skorze sądzą, jużby

byli obaczyli, iż co innego są filozofie, a co innego filozofia. Wszystkie filozofie razem wzięte stanowią dopiero filozofią, będącą prawdą i gruntem wszystkich systematów pojedynczych; mają się one do niej, jako części do swój całości. A jako w życiu człowieka żadna godzina i dzień, jako w życiu ludów ani rok ani stulecie nie jest straconém, ale gra w swój przyszłości jako pierwiastek życia, tak i przeszłe filozofie zawsze znajdują się w téj, która jest ostatnią; i co w nich było wypływem czasu, wieku, lub piętnem jakiego narodu, albo co było marzeniem pojedynczego człowieka, odwiane jest z nich jako pléwy, a co w nich jest prawdą ogólną, zostało. Bądź pewien, że gdy dwa systemata przeciwne sobie występują z sobą do walki, ten proces rozstrzyga późniejszy trzeci i przyznaje, komu się należy słuszość, albo łączy oba w jedno, okazując, iż oba miały słuszość, ale się zapatrywały na rzeczy z dwóch stron przeciwnych. Dla tego zawsze system ten, który jest właśnie ostatnim, zawiera w sobie wszystkie poprzedzające. Historia filozofów jest księgą i systematem filozofii, w której oddziałami są wieki i narody, w której Confucius i Thales napisali pierwsze stronnice, a Kant i Schelling ostatnie.

A jeżeli iście tak się rzeczy mają, jakimże prawem się dzieje, że tak często spotykamy w świecie ludzi, tak mało sobie ważących prace, myśli i rozum wieków, iż mniemać mogą, że to jest wierutną bajką, czemu się poświęcał lub za co życie dawał duch, jak Sokrates, Plato, Arystoteles, Leibnitz lub Newton? I jakim czołem można lekką mową lub hajdamackim obyczajem poniewierać trudem ludzi potężnego umysłu

i wielkiego serca, co, zrzekając się samochcąc rokoszy życia, porzucali chętnie wszystko, co świat ma powabnego, zamykali się sam na sam z Bogiem i z trudem swoim, by myśleć i pracować za innych; a tak obierając sobie dobrowolnie niedostatek fizyczny i niosąc siły ciała i czerstwość wieku, i ochotę rokoszy, miłości prawdy w ofierze, życie swoje kroplami jęj poświęcali, gdy tymczasem tak łatwo znaleźć ludzi, którzy sami o sobie tylko myśląc, siebie tylko kochając, gonią za zyskiem pieniężnym, lub za płóchemi życia uciechami.

I u nas, lubo coraz rzadziej, znajdziesz niekiedy zdania o rzeczach, o najważniejszej w życiu treści z ust i od pióra ludzi, o którychbyś rzekł, że się upili za króla Sasa i dotychczas się nie wytrzeźwili, i takie to ich zdanie o filozofii. Filozofia zdaje im się być karczmą żydowską, do której lada kto wpadnie, burdę robi, okna powybijają, zelży arendarza i wyjeżdża drugą bramą.

Teraz, gdym ci już oznaczył i istotę sztuki pięknej i stosunek jęj do filozofii i Religii, proszę cię, chciej się na chwilę zatrzymać myślą na tęg drodze, i rzucić oczyma wstecz na treść wszystkich listów poprzednich. Myślę, że usprawiedliwisz wszystko, com w nich powiedział. Zwracam zatem tylko uwagę na niektóre najgłówniejsze rzeczy, będące podstawą wywodu naszego. I tak: w drugim liście rzekłem, iż obudzone upodobania w sztukach pięknych uważam za oznakę uduchownienia się czasu; boć gdy się zrodzi upodobanie dla sztuk pięknych, już duch tehnje na materją i życie zmysłowe i uszlachetnia je sobą, wprowa-

dzając pierwiastek wiekuisty w przemijające chęci ludzkie. Również tam znajdziesz wyrażenie, iż istotą sztuki jest prawda we formach zmysłowych, bo prawda i nieskończoność jedno znaczą: — co skończone ma swój początek w czémś inném; bytność jego zależy tedy od czegoś innego, może być lub nie, o prawdzie zaś nie można powiedzieć, iż może być lub nie, bo jój bytność jest konieczną. Nadto, co jest skończone ma koniec swój, nie istnieje tedy dla siebie, ale dla czegoś innego, które się z niego rodzi, a zatem téż co skończone nie może być prawdą, bo prawda sama w sobie stoi, i sama sobie jest celem. Nieskończoność, ta prawda żyjąca w sztukach, jest nieśmiertelny duch człowieka, duch od Boga wlany, który w nim żyje, będący ze wszech rzeczy stworzonych sam jeden prawdą. Jeżeli zaś sztuki mają źródło w nieskończoności człowieka, i objawiają mu istotę jego nieśmiertelną, więc płyną wprost z istoty jego, są tedy czémś dla niego koniecznym, są bo są, i być muszą celem siebie samych, i krom siebie nie mają celu (*List II*). Już bez dalszego wywodu zgodzisz się teraz na to, iż piękność składa się z dwóch pierwiastków, z dwóch stron do siebie należących: bo z formy zmysłowej i z ducha, czyli nieskończoności objawiającej się w materyalnej formie sztuki. Istota takowa sztuki jest zawsze jedna, zawsze taż sama i nie zmienia się nigdy. Ale gdy każdy naród i wiek o tyle tylko nieskończoność wyjawić może, o ile ją pojmuje, i wyjawia ją tak, jak ją pojmuje, i w tych formach, na jakie go stać, więc téż formy piękności bywają rozmaite, i co do narodu i co do wieku, a ta różnaitość stanowi *Historyą sztuki*. Jest tedy

jeden pierwiastek w sztuce wieczny, zawsze jeden i ten sam, a drugim jest ta forma przemienna i przeobrażająca się ciągle. Przecież ta forma powinna być zawsze godną onój niezmiennej swój istoty, zatem nie każda forma może być stosowną dla wyrażenia piękności.

Umiejętność, teorya, lubo sama jedna nikogo mistrzem nie utworzy, wyjaśnia nam istotę sztuki i rozwija rozmaite wyjawienie się jój w czasie i u różnych ludów.

Widzieliśmy wyżej, iż sposób wyjawienia się nieskończoności przez sztuki gaśnie i ginie obok nieskończoności, którą nas objawiona Religia oświeca; więc téż nie dziw, iż od chwili, gdy Wiara zajaśniała nad światem, sztuki straciły wagę swoją. Grecy byli właśnie ludem najwięcej uduchowionym w czasach przedchrześcijańskich: gdy atoli jeszcze na nich nie spadł promień Religii Zbawienia, pojmowali Bóstwo jedynie sposobem zmysłowym; te formy zmysłowe uduchowili, połączyli ducha i materią, i tak stworzyli piękność. Piękność była dla nich bóstwem. Bogowie zapelniający Olimp mieli naturę ludzką z całą krewkością jój; gdy atoli ona miała być nieskończonością zarazem, więc duch uroku piękności nadziemskich wylał się na ich formy, a estetyczność odziała ich szatą pełną poezji. Ale gdy na Golgocie wielka tajemnica się spełniła, Panteon stanął w płomieniach, Bogi jego marmurowe, będące tylko pięknością samą, spadły z podnożów swoich, bo już nieskończoność nie w postaci zmysłowej rozosobnionych Bogów, ale w przybytkach wewnętrznych ducha znać o sobie dawała; sztuka nie wystarczała téj prawdzie, której się człowiek dorobił.

Duch ludzki wyrósł ze sztuki, przerósł ją, a na miejsce ubóstwiania piękności nastąpił sąd o niej — a ten sąd stworzył teorią sztuki, której powołanie dopiero co skróśliłem (*List II*).

Jeżelim powyżej (*List IV*) dowodami zkadinał wziętemi dowiódł, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, teraz prawda ta wypłynie nam już ze samej istoty sztuki. Bo gdy sztuka jest wyrażeniem nieskończoności ducha, a gdy nieskończoność ta nie wyraża się w jestestwach natury, więc się też nie wyrazi w ich kopiach przez sztukę utworzonych. Ze stosunku sztuki do Religii i filozofii, wyłożonego w liście niniejszym, przyznasz mi, iż miałem słuszość, gdy nazwałem sztukę piękną pierwszą nauczycielką ludów (*List I*); bo gdy człowiek naprzód jest zmysłowym, nim duchowym się staje, więc też łatwiej mu ujrzyć nieskończoność we formach zmysłowych sztuki, niż we formie duchowej wiary jak w Religii, lub we formie duchowej myślenia jak we filozofii.

Jeżeli tedy jest pewną i niezaprzeczoną prawdą, iż sztuki piękne są koniecznym wpływem nieskończonej istoty człowieczej, więc też już widzisz całą płytkość i zbyteczność onych zachodów pragnących koniecznie zgadnąć, jakim sposobem sztuki były wynalezione. Powiadają np. postać luba kochanki rysowała się cieniem po ziemi, oblubieniec obwiodł go krechę i malarstwo się zjawilo. Tam na skorupie żółwia naciągnięte struny miały zrodzić lutnię, ówdzie znów ludzie zaczęli mieszkać w jamach wygrzebanych w górach, później na dwóch żerdziach widłowych zaczęli trzecią, a tak niby wynaleźli architekturę.

Tak wielu buduje fantastyczne domysły, serdecznie żałując, iż sposobność minęła podpatrzenia sztuki w zarodzie jój pierwotnym, w chwilach, gdy puszczała blade kielki swój przyszłej okazałości. Lecz na Wschodzie i w Helladzie czas ten zapadł niepowrotnie we ćmie odległej przeszłości. Europa nowożytna, dziś tak harda swoją mądrością i bogactwem, zasiadłszy na świata całego stolicy, zapomniała on czas twardy swojego dorobku, i z góry już się patrzy na chwile, gdy jeszcze okryta czarną puszcza, ze zwierzem i własném barbarzyństwem o życie walczyła, gdy każdy, sam sobie artystą będąc, zastępował bóstwa posąg źle struganym pniakiem; ku ozdobie swojej twarz i piersi malował różnobarwnemi kréchami, i chodził do bobra uczyć się architektury. Ameryka jedna bliżej była dziecięctwa swojego, gdy do niej Europa zawinęła: mądrze badana byłaby może dziwne rzeczy o sobie wypowiedziała, a kto wie, może nawet w jakiej rozochoconej i rzewnój chwili byłaby zanuciła dawną piosenkę kolébki swojej. Ale Europa za pierwszém się z nią poznaniem, rabując złoto jój, wycinała żelazem, jak teraz dobijając morduje ją wódką swoją. Życie tych ludów - bohaterów świetniej jeszcze może płynęło niż onym pod Troją mężom, lecz skołało jak długa Epopeja, która nie znalazła Homera, której nikt nie dosłyszał, nad którą nikt nie zapłakał. Ludy te, umierając w głuchych lasach swój ojczyzny, jednemu Bogu przekazały księgi żywota, pieśni i cierpień swoich, i złożyły je nad gwiazdami u podnoża tronu jego. Garstka pozostała tych ludów wlecze dziś to spodłone życie, goniąc za zwierzem jako za monetą, dającą im w zamian trunek, je-

dyny dar, jaki im cywilizacya europejska w upominku przyniosła; u nich już i własnego ich imienia się nie dopytasz. Tam w głębokim zachodzie, na zatyłkach Ameryki, ukrywają się wprawdzie szczątki dawniej świetności, ród starzej daty, ale i te rozsypańcy przeminą ustami niememi i znikną, nim się Europa do nich przebierze. Mamy się przecież czém pocieszyć i wynagrodzić straty, bo stary planeta nasz, jakby zbiór różnych osobliwości, przechowuje nam wszystkiego po kawałku: znajdziesz na nim zawsze każdy stopień cywilizacyi, każdy gatunek biedy i nędzy ludzkiej w jednym najmniej exemplarzu. Chcąc chwycić naturę na gorącym uczynku i obaczyć jak sobie ludzie wynajdują sztuki piękne, estetycy nie mają czego koniecznie udawać się do Azji, co w zgrzybiałości swojej już zdzieciniała i przebajała żywot swój, ani do czerwonych Amerykanów, ani potrzeba im gawędzić z Tacytem lub Cezarem o młodej barbarzyńskiej Europie i jej sztukach. Mamy tuż niedaleko, bo pod okiem Egiptu, naród będący jeszcze zupełnie w rękach natury, a nadający nam się dziwnie dobrze na przykład; bo gdy rozprawiacze o wynalazku sztuk pięknych najczęściej o architekturze i początkach jej wspominają, naród ten od lat tysięcy zachował tę biedną pierwiastkową architekturę swoją. A godzi się tu byśmy się całemu teatrowi żywota jego przypatrzyli.

Jakoż pożegnawszy ostatnie śnieżne turnie Abissynii, onój Szwajcaryi afrykańskiej, usłyszawszy, i po raz już ostatni, śpiewy jej rzeskich górali, gdy wędrowiec spuszcza się stokiem zachodnio-północnym ku poniżom zapadłej Afryki, widzi pod sobą rozwleczone nie-

zmierzone borów szmaty; ku nim przewalają się wody abissyńskich Alp i w nich przepadają: ale skwarne bory wyziławiają je na powrót wilgotną strzeżagą, co mglistą płachtą wiecznie nad knieją zawieszona, jakby tajemnicą pokrywa ten świat, którego przebyć nikt jeszcze się nie ważył. Jest to kraj, czyli raczej bezmierna puszcza Kolla. Zaledwie zstąpisz do onój kniei, a już jej pomroka nocna, niby ciężkie marzenie, otacza cię strachami w koło. Ciżba pogmatwana drzew ogromnych i krzaków zasłoniła niebo i ziemię; tu promyk słońca nie zabłądzi. Zielska, ciernie i trzciny olbrzymie pehają się od ziemi, chwytając i dławiąc się nawzajem. Strop lasu, uwity w gęste sklepienie, jakby wiekiem ciężkiem przywala naturę, a powietrze, jak w szklarni gęste, duszne, gorące, zatyka dech i niby kamieniem ciąży na duszy. Wśród cieniów głębokich kałuże i bagna zepsutej wody, najeżone plugawém zarostem, odziane zielonym kożuchem, dyszą jadowitą parą, zgniłą gorączką, zarazą i febrą. Często na tych wodach coś pluśnie, strzeli; są to igraszki kapiących się krokodylów, lub wąż ogromny, co dęba staje i na zwiaady modremi oczkami świat w około przegląda. Tam znów jaszczurka sążnista muśnie po wodzie, lub kłęby szkorpionów się zagnęzają, gdy tymczasem po drzewach swawolą hordy małp złośliwych, i swarzą się roje nieprzeliczone leśnego ptactwa. Przez gęstwinię sunie się to jelen, to dzik, to szakał zaświeci krwawém okiem w ciemnych krzewach, to znow usłyszysz jakieś szlochy, niby kwilenie płaczącego dziecka, jest to zgłodniała hyena, trupów chciwa: ale w dali gdzieś lew zagrzmiał wołając na lwicę — i wszystko ucichło. Niekiedy zna-

gła słyszeć trzaski i łomot roztraconych i łamanych konarów wywracających się drzew; stado słoniów lub rozłukanych nosorożców toruje sobie gościniec przez puszcę. Indziej znów hurma dzikich bawołów rozjuszonych cwałem na oślep rzucea się gęstwina, a za niemi suwa w pogoń wściekły ród lampartów, lub skoczna tygrysów zgraja. Ze strachem pierzchają szakale i hyeny, oniemiały małpy i ptaki, bo w głębi kniei już słychać niby grzmot głuchy, wycie i ryk i charkanie; — złowrogie drapieżcy dopędziły łupu swojego, a bój i mord się rozpoczął. A zdala szarzą się kłęby dymów, rozigrał się wieher, w puszczy gore; trzciny, drzewa i zarośle objęte ogniem, płomień syczy, wije się po ziemi węzem, lub słupcem stawa. Słychać i głos niby ludzki. Niebawem zoczysz jakby mrowisko krzątających się Szangallów, płaskonosych Negrów o zapuchłych wargach, o kędzierzawych szorstkich włosach; oni gotują sobie plac na budowle swoje, wypalając w koło zarośla i trzciny. Zwinnością małpią zawieszają się na drzewach, przechylają ich konary, wiążą je z sobą, splatają, i w chwili złożą strzechę potężną i nieprzebytą; tu i ówdzie podpiérają ją ściętém drzewem młodém, niby kolumną, i na nich rozwiészają, jakby pokrowce i makaty, skóry zabitych zwierząt, a tak strop i ściany domu gotowe; w każdym roje ich mieszka. Wnet tak całe miasto staje. Toć jest ich architektura letnia. Dzień i noc bije płomieniem ogień na odstrach zwierzowi dzikiemu. Rybołowezy i myśliwezy ród nie zna rolnictwa, ani pasterstwa nawet. Gdy zaś dėszeze zwrotnikowe na puszcze spadną, gdy niemi wzdęte potoki z gór Abisyńskich las zaleją, gdy całe puszcze zamienią się na

bagno niezmierne, Szangalle opuszczają to miasto swoje i chronią się do samotnych gór, kędy sterczą strome ściany skał niedosięgłych. Tu inny budownictwa rodzaj.—Bo z dołu na ledwie okiem dościgłych wysoczyznach nieprzeliczone rzędy jam, jakby ulice wykute z wielkim mozołem w skałach piaskowca. Te jaskinie, wedle większej lub mniejszej liczby członków rodziny, są szczuplejsze lub obszerniejsze. Do tych mieszkań ciągną Szangallowie na zimę, jakby do stolicy swojej; tam żywią się tém, co przez lato zebrali: jedzą ryby, jaszczurki suszone, mięso z krokodyłów i strusiów, i koni rzecznych, dla tego też nazywają się Hylo-elephantostruthio-phagi, a to od najdawniejszych czasów, albo też od onych jaskiń swoich Troglodytami; tak ich nazywali starożytni, tak nowocześni. Gdy pora deszczowa przeminie, znów wracają do puszczy, znów po staremu wypalają trzeinę i zielsko, i zabiierają się do budowania letniego swojego. Ta jednak letnia pora jest dla nich pełna trwogi i niepokoju; właśnie wtedy schodzą pogranicznici im Abissynczykowie z gór, wydając im wojnę na zabój; bo oni królom swym podatek ludźmi płacą; polują tedy na Szangallow, a ci bronią tych biednych chat swoich i dzieci i żon, jak zwierz broni strzelcom legowisko swoje i młode. Zaboje krwawe szerzą się po puszczy; kogo nie warto jeńcem w niewolę uprowadzić, bywa mordowany, czy to dziecię, czy kobieta, czy starzec.—Czasem Szangalla, cichaczem podszedłszy wojska abissyńskie, do nogi wycina wrogów kąpiąc się we krwi ich; a częściej zaraza okropna, typhus, wystąpiwszy z onych bagien, czepia się najeźdźców, dławi ich i zabija w powrocie, a niekiedy odprowadza do sa-

mych chat góralskich i w nich rzuca śmierć i rozpacz. Odwróćmy się od tych obrazów pełnych ohydy, będących niby paszkwilem na naturę ludzką, i ogarniających myśl jakby czarnym złowrogim snem. Przecież jest to wiernym wizerunkiem człowieka drżemiącego w objęciu natury. Wielkie jednak światło rzuca ten stan pełen nieszczęścia na przedmiot nasz. Chciej baczyc, iż ci Szangallowie od dwóch tysięcy lat żyją w oniej Kolli lesistěj—od dwóch tysięcy lat toczą się te tak krwawe, tak łzawe żywota ich koleje — i od tyluż lat taką mają architekturę; ona nie zmieniła się na jotę. Położenie ich i żywot zaiste nie nadają się, by były sztuk pięknych kolébką, ani téż te ich chaty z gałęzi i skór, ani ich jaskinie i jamy nie są zarodem architektury; bo gdyby nim były, byłyby się przecież przeobraziły w długim ciągu dwudziestu wieków; bo gdzie się sztuki piękne zjawiły, tam duch ożył, tam i on postępuje, rośnie z siebie i przeobraża się ciągle — a nie tkwi w miejscu.

Budowanie więc dla ochrony z prostěj potrzeby fizyczněj jest tylko rzeczą rzemiosła, techniczności, nie zaś sztuk pięknych, jest tekturą a nie architekturą, a zatém téż w niém nie znajdziemy piękności zarodu. Architektura jako sztuka wtedy się dopiéro zaczyna, gdy człowiek, krom użytku budowli, rad nią wyrażać jakąś myśl, nadać jěj formę przemawiającą o duchu jego. Dla tego budowla, dziełem sztuki będąc, zawsze składa się z dwóch stron: jedna jest techniczna, mająca na celu jěj dogodność, moc, ochronę i t. d., a drugą stanowi artystyczność dzieła. Sztuka używa oněj techniczności za kanwę, na którój rozsnuwa myśl swoją. Gdyby jamne Szangalle zdobiły czémś owe nory swoje, gdyby im na-

dawały jakiś kształt, nie koniecznie wypływający ze samej potrzeby materyalnej, lecz z upodobania, z fantazyi, jużby tém wyrażały jakąś wewnętrzną potrzebę duchową, obok potrzeby ciała swojego, i wtedy téż moglibyśmy słusznie powiedzieć, iż one jamy, jaskinie, są zarodem choć słabym sztuki. Budowanie jakiegokolwiek, mające li potrzebę fizyczną na celu, nie jest architekturą, ani początkiem jój, jak pociąganie kolorem drzwi, okien lub bryczek, nie jest malarstwem. Mała dziewczynka, przymierzająca przed zwierciadłem, to tak, to owak, chusteczkę swoją, lub wieńcząca się kwiatami—albo parobek krakowski, przypinający pawie piórko do czapki, bliżej są sztuki pięknej, niż one budowania urosłe ze samej potrzeby cielesnej.

Sledzenie tym trybem początku sztuki jest zupełnie zbyteczną pracą, i najczęściej pochodzi z mniemania, iż sztuki zostały wynalezione tak, jak to wynaleziono proch, sztukę drukarską i koleje żelazne; — ale bez prochu, sztuki drukarskiej i kolei żelaznych ród ludzki obstałby się wcale; jakoż długi czas żył nie znając tych tak wielkiej wagi wynalazków. Bez sztuki jednak ród człowieczy nie byłby sobą samym, bo one są wypływem jego wewnętrznej koniecznej istoty. Sztuki pięknej, tak jak i miłości i mowy, nikt nie wynalazł. Ludzie się kochali, nie czekając, póki im psychologowie z katedr wyłożyli definicyą miłości. A pamiętam, iż bawiąc w Berlinie, spotykałem się często z młodym cudzoziemcem, który tam także na nauki przyjechał; miał jednak nie mało trudności z językiem niemieckim; nie mógł sobie zwłaszcza dać rady z artykułami, i ciągle na nie narzekał; w końcu nalegał na mnie pytaniem,

czyli ja przypadkiem nie wiem jak się zwał ów Niemiec, co jakby na jego biędę *der, die, das* wymyślił, a mówił z doprawdy.— Factum historyczne. Nie jest dowcipniejszy, kto mówi o wynalezieniu sztuki.

Czas atoli bym ten list ukończył. Pomówiwszy tedy w liście przeszłym o istocie sztuki, a w niniejszym o jej stosunku do Religii i Filozofii, tudzież dotknawszy, o ile słusznie o początku sztuk mówić można, pozwolisz mi bym w liście przyszłym kilka słów powiedział o stosunku sztuki do rzeczywistości i wyłożył istotę ideału.

Obaczysz jak teraz, opierając się na istocie sztuki wyłożonej w liście przeszłym, a wstępując w coraz ściślejsze szczegóły, znajdziemy potwierdzenie sposobu pojmowania rzeczy, wyłożonego w ogólności w listach dawniejszych; a będę téż mógł, założywszy sobie fundamenta ogólnego rozumowania, pisać już zwięźlej, krócej i treściwiej, gdyż bez wątpienia już z łatwością mnie zrozumieś.



LIST IX.

O Ideale.

Stosunek rzeczywistości do sztuki. — Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki. — Istota Idealu — Stosunek ideału do natury fizycznej. — Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury. — Jestestwa pojedyncze, żyjące — Okolice i pejzaże. — Pomniki historyczne.

Szata i draperya — Figury dramatyczne — Obrazy hollenderskiej szkoły — Adryan Brauwer i Jan Steen. — Stachowicz. — Paweł Kock — Kraszewski — Boz — W wyższej sferze ideału rzeczywistość mniej jeszcze wystarczyć może — Słowa Rafała. — Zdanie Cyncerona o Phidiasie. — Boleść bez granic nie ma miejsca w ideale. — Oedipus w Kolonos Sofoklesa. — Romeo. — Dwa obrazy Girodet'a — zastosowanie rzeczy tej do komiczności. — Don Quisnot — Damy i Huzary, Poeta i Odlutki Fredry. — Trzy sfery ideału.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czyli wpatrywałeś się kiedy w ten obraz, pełen bogaetwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste, w swych szatach niedzielnych, przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak jęj téż dobrze i ładnie w tych sukniach, świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze. Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się sple-

tają powaby różnaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry, czarnym borem poważne, i wzgórrza łagodne urosłe w kształty pulchne i miękkie, i wytężone rozłogiem niezmiernym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równiach porzrucane, kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łąnów. Rusza się i migoce rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów.— Osiadły też tu ciżba, wioski i pałace, klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełnem sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię darami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile osobnych obrazów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jedną jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki, potoki i zwierzęta, góry, ludzie i dzwony śpiwają weselem; ale już primadonna téj wielkiej opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swojemi nuci nam tę samą, jój niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją. Ona też jest królową obrazu; długim, posuwistym tanem zwija się poważnie, uroczyście, a ucałowawszy Wawelu stopy, narzeczona Bałtyku, pośpiesza w objęcie kochanka. W dali, kędy już Niebo schyla się ku Ziemi, srébrzą się niby obłoczne twierdze, Tatrów grody, stojące na straży u chmurnych wrót, i wedle łaski swój wypuszczają na nas to pogody i słoty, to burze i powódź, susze i grady; atoli zdradza je własne ich dziecko; bo gdy nam jakie biedy gotują, już zeskakuje w równie z kosą i kozą suchy i chybki gó-

ral, i wszystko na te Tatry swoje wygada, i wróży, i przestrzega, i straszy — a rzadko mu się zmyśli.

Otóż wczoraj, właśnie pod sam wieczór, znów zaszedłem przechadzką na ulubione miejsce moje; tą razą zupełnie było głucho, samotne.— Bo téż dzień cały był pochmurny, posępny, i od rana już płakał dészczykiem gęstym, drobnym. Obraz cały, zwyczajnie tak przejrzysty, jasny, teraz zachmurzony, tęskny, szary. I niebo, jakieś nie rade, rozwlekło po sobie jednostajną siwą płachtę. Wisła dziś smutna płynęła od niechcenia, a ziemia, w nudach swych oddychając mokrą parą, wiązała ją w kłęby, w potworne straszydła, co goniąc się po równinie błoni i polnych obszarów niekiedy przebiegały Wisłę i mieszały się z ciężkim, brudnym węglanym dymem ognisk palących się na galarach. Cała Natura, Ziemia i Niebo zakopcone. Co bliższe, było jednostajne, jakieś zaspane i krzywe jakby chore dziecię; co dal-sze, zachuchane, a odległość ostatnia zlewała się w niepewnych zarysach. Cały ten obraz, tak cudny, oślepl. Widok, zwyczajnie tak szeroki, rozłożysty, podzielił się mgłą na drobne części, z których każda zosobna siebie tylko widząc, w sobie się kurczyła, na sobie przesta-wała samolubnie, i wołała być ułomkiem biędnym, niż częścią wielkiej całości. Dwie osiki pode mną potrzą-sając obwisłém liściem, ciągle czegoś kiwając głowami ku sobie, szumiały i gaworzyły z sobą niby dwie kwa-sne kumy o kłopotach domowych — a tam ku biskupie-mu pałacowi, ona cała linia topoli, niby jakieś wojsko zaczarowane stoi jednostajnie sprzykrzone i ekliwe. Nie-kiedy, gdy zkądś powiew cwałem przyleciał i szepnął coś pierwszój, ta szumiąc obruszyła się i pochyliła ku

drugiej i szepnęła, a ta następnej, a tak dalej i dalej w okamgnieniu cały ich szereg jakby podziwieniem zadygotał, zaszumiał, kropnął, pochylił się, szepnął i zamruczał, i znów umilkł, i znów wyprostowany nudził się i ziewał; byłyby się pewnie wszystkie te topole zabrały i poszły, gdyby miały jako i gdzie.

Nie daleko ode mnie stały trzy zaszargane wrony; strój ich szary, sponiewierany, zmiętoszony; ogonami zwrócone do siebie, dąsając się milezały w najgorszym humorze. Nakoniec zegar z wieży zamkowej srebrnym głosem zadrżał w sobie tęsknie, przeciągło, wywołał konającą godzinę. Zerwały się skrzydlate tony, niby duchy umarłego czasu, i rozleciały się po mokrému powietrzu na wsze strony; lecz ociężałem i zamoczonym piórem jedne spadły i utonęły w wilgotnym grobie Wiśły, inne zapewne musiały dolecieć nad miasto i przebudzić drzémiące tam zegary i dzwony; bo przecież po chwili wieża ratuszna ocknęła się, ziewła, odstękała godziny swoje, a głos jej tak płaczliwy, przewlokły i chrapiący, iż znać, że jej w dwójnasób ekliwo przy tym słotnym czasie, bez onego ratusza swojego, wiernego małżonka, a towarzysza z dawnych lat, co go zabił wandalizm czasów naszych, a ciągle téż ona do dziś dnia wiernie strzeże tych z niego kamieni, co jakby kości jego złożone są u stóp jej. Wtém dzwonnica maryacka, kompana jej z przeszłego żywota, jakby głosem świątnicy przemówiła potężnym dzwonem pocieszając wdowę; raz jeszcze odpowiedziała szlochami Ratuszowa, raz jeszcze Maryacka — i znów wszystko ucichło. Od dziecka nasłuchiłem się dniem i nocą tych wież rozmowy,

nigdy atoli ich wyrazy nie zdawały mi się tak jęśliwe, rzewne i tęskne, jak właśnie w téj chwili.

Gdy wszystko około mnie tak było zaspane, dąsające się, osowiałe i krzywe, nie dziw, iż mnie samemu ciężko coś a ekliwo na duszę padło, rad byłem wrócić do domu. Zstępowałem zwolna z góry, w ziemię się patrząc; podobno myślałem, co by ci w tym liście napisać i jakby wedle przyrzeczenia mojego najwyraźniej wyłożyć stosunek sztuki do rzeczywistości, gdy nagły blask uderzył oczy moje. Spójrzałem około siebie, a tu mury zamkowe, kopuły kościołów i domy miejskie oblane rumianą łuną. Coś osobliwego się świeciło, spojrzałem nad siebie, a niebo gore! Wróciłem co tchu na miejsce moje ulubione. Gdybyś to był ze mną był i widział, co się teraz działo! Jeżeli mały chłopeczyna coś zbroi, a matka w udanym gniewie nie przymili się do niego zwykłym uśmiechem, dziecię smutne i ciche; lecz gdy wieczorem chłopeczyna do pacierza i snu się zabiéra, a matka żegnając ulubieńca przytuli do serca, pobłogosławi i ucałuje, dziecię zapłonie radością na twarzy i w sercu uszczęśliwione usypia marząc o aniołkach, o kwiatkach i raj; tak słońce cały dzień zachmurzone, niewidzialne, teraz przed nocą, gdy ziemia do snu i pacierza się miała, spójrzało na ziemię i, odziane wszystkim majestatem, tonęło zwolna z nieba zstępując jakby jaki świat w płomieniach. Opłynęły je wielkiem półkolem obłoków drobnych głowy, jaśniejące żarem rozpalonego złota, niebiańskiej stolicy dworzanie. Nad niemi piętrami kipiały fantastyczne budowania, jakby twierdze, pałace i miasta napowietrzne, zajęte ponurym ogniem i palące się wszystkimi tęczy bar-

wami; a z dala ciekawie przypływały, niby okręta z wzdętym żaglem lub niezmierne orły śnieżne, olbrzymie obłoki ze złotym rąbkiem, a z drugiej strony zalane głębokim cieniem miedzianym, ciągnąc za sobą długie, wąskie, chmur smugi. Tu i ówdzie, poprzez rozstąpione obłoki, na najwyższym nieba stropie zatliły się już bladém światłem gwiazdy.

Gdy tak niebo, całym przepychem swoim strojne, obchodziło uroczyste nabożeństwo wieczora, ziemia, wtórując ję chorem, zaświeciła weselem swych błoń, lasów, gór i wodnych zwierciadeł. W naturę wstąpił odmłodnionego żywota dech: przebudzone ję barwy roz tuliły oczy, patrząc się jasném, czystém spójrzeniem; postacie wszystkie wyskoczyły z zamglonej opony rysując wyrazisto, ostro i śmiało kontury swoje; znikła mgła, co je rozdzielała na samolubne części; cały obraz przejrzał i jedną wielką złożył całość. A poświata wszystka czarodziejskiém stopniowaniem rozprysła się po przestrzeni bezmiernęj; światło odegrywało tu całą gamę swych tonów, bo zaczynając w najbliższych miejscach uderzało z razu w silne światła i nizkie a potężne cienie, a oddalając się przechodziło w tony wyższe gasnąc zwolna, a ostatnie tło obrazu oblęwało drżącym łagodnym promieniem. Wpatrując się teraz w Wisłę świetną, żarzącą się nieba ogniami, rzekłbyś, że ona jest szeroką ziemi szczeliną, że ziemia na wylot pękła, że ją wskrós przejrzał i w zawrotnęj głębi przeciwnożne niebo w ogniu obaczył. Cała natura zadrgała życiem; odetchnęły radośnie zwierzęta, ptastwo, ludzie i rośliny.

Stałem zadumany porównywając czarodziejstwo tej natury z tém, czém ona była przed kilku chwilami.

Co za różnica! te dwa obrazy miały się do siebie, jak doczesność do wieczności, jak biedny nasz żywot do rajskich rokoszy, jak uboga mowa ludzi do śpiewów anielskich, — jak chłodna proza do poezji cudów, jak *rzeczywistość do sztuki!*

Zaiste — tém słońcem, co spojrzeniem swém budzi żywota potęgą świat, co wyléwa czarodziejstwa urok na ziemskie padoły, a płosząc mgły doczesne, rozszerza ciasne rzeczywistości szranki, okazując nam wszech światów cuda w ogromie majestatu swojego; — tém słońcem, co spojrzeniem swoim ziemię na niebo przemienia, jest sztuki piękność i mistrza wszechmocne technienie. Nie darmo to na Hellenów Olimpie Phoebus, sztuki pięknej Bóg, prowadził słońca wóz jasnym, wiekuistym po niebie gościńcem.

Rzeczywistość traci ziemską i ułomną swoją istotę, gdy na nią spłynie niebiańska łuna sztuki. Ale do rzeczywistości należy także natura, czyli ten świat wszech stworzeń, który nas otacza, jak i te całe dzieje, co biją falą codziennych wydarzeń, owe stosunki społeczne i moralne, nieodstępne towarzysze człowieka na drodze doczesnego życia. Człowiek samém urodzeniem swoim oddany jest rzeczywistości potędze, co go ciśnie, jakby oczynieniem, władzą swoją. Lecz gdy sztuka zaświeci jasnym okiem, oczynienie owo znika, a ducha swoboda się zbudzi i wzmoże się uznaniem własnej zaeności.

Stosunek rzeczywistości do sztuki wypływa sam przez się z całego powyższego wywodu naszego. Bo już w jednym miejscu starałem się okazać, iż sztuka, będąc wolną ducha córą, nie jest natury naśladowaniem

(*List IV*), później zaś (*List VII*) wyświeciłem, iż jak natura, tak też wszystkie stosunki towarzyskie, prawa, moralności, obyczaju i t. p. nie mogą być nieskończoności ducha wizerunkiem, i że nie mogą tedy być żywcem w sztukę przeniesione. Z tego już widzimy, iż rzeczywistość pod żadnym względem nie może być dla sztuki piękną wzorem. Wypada nam więc oznaczyć jedynie jeszcze w bliższych szczegółach mienie się sztuki do rzeczywistości.

Jeżeli duch ma oglądać, jak w zwierciadle, nieskończoność istoty swojej w dziele sztuki, w postaci zmysłowej, więc też postać ta, choć z rzeczywistości pożyczona, winna być uwolnioną od skazy doczesności wszelkiej, i z pyłu ułomności ziemskiej, winna być przejrzana ducha poświatą; bo rzeczywistość, postawiona na wysokościach obłocznych sztuki, już nie istnieje dla siebie ale dla ducha, jest tylko dla niego środkiem, aby on się zmysłowo wyjawiał; ona jest dla ducha świecznikiem i lampą, w której wiekuistość jego goreje. Prawda ta jest pełna wagi, dla tego chcemy dokładnie ją zrozumieć, bo z niej wypłynie, jakby ze źródlika swojego, cały wątek następnej osnowy naszej.

Uważ dobrze, co się dzieje z przedmiotem rzeczywistego świata, gdy go do sztuki przeniesiemy. Wszak każdy przedmiot takowy, rzeczywisty — czyli to on będzie jestestwem natury, jako np. postać człowieka, zwierzęcia, okolica i t. p. czyli to będzie przedmiot wzięty ze stosunków społecznych i obyczajowych, a przeniesiony w obraz, lub tragedją, komedją, powieść i t. d., zawsze on będąc częścią rzeczywistości, z którą jest ściśle połączony, jest jakby tylko jedną nicią

wplecioną w całą tkanicę natury i społeczeństwa. — Tysiące stosunków i węzłów łączą go z ogółem, z tą rzeczywistością, do której należy, i dla tego też on na sobie nosi cechę swęj istoty ułomkowej, znać po nim, iż on sam nie jest całością, ale jedynie częścią jakiśś całości, i ta to cecha jest piętném doczesności jego. Taka jest istota przedmiotu w rzeczywistym świecie. Jeżeli zaś ten przedmiot przeniesiony będzie w świat sztuki, wtedy się też wskrós przeobrazić winien; bo skoro on, jakem powiedział, nie istnieje już wtedy dla siebie, ale istnieje dla objawienia się ducha, więc ta jedynie strona jego istoty będzie miała znaczenie, co temu objawieniu się ducha służy, wszystko zaś inne, jako już nie mające wartości, z niego spada i ulatuje. Znikają tedy z przedmiotu wszystkie przypadkowe znamiona, wszystkie drobne i bezważne cechy, będące skutkiem związku jego z rzeczywistością, a gdy jego przeznaczeniem jest, by nie rzeczywistości téj służył, ale ducha był wyrazem, więc też zrywa te wszystkie nitki łączące go ze światem rzeczywistym, odłącza się przedmiot od niego, staje się niezawisłym — uosabnia się, zakończy w sobie. A lubo zachowuje istotę swoją indywidualną, przecież przestaje być częścią i ułomkiem rzeczywistości, i sam przeobraża się na całość duchową, na jedność zupełną. Przedmiot tak przeobrażony, postać tak uświęcona jest *ideałem*.

Ideał tedy, wyobraźnikiem ducha będąc, tyle zaiste tylko w sobie zawierać winien, ile potrzeba do objawienia ducha; winien być tak całością, jednością osobną, jak duch, który o sobie w nim znać daje. W ideał właśnie jest pogodzenie rzeczywistości i ducha: te

dwa bieguny spotykają się z sobą na pół drogi i zlewają się w jedno, oba się równoważą.

Rzeczywistość zmysłowa nie przechodzi bynajmniej żywcem w świat piękności, bo w takim razie dzieło sztuki nie byłoby całością, jaką jest duch, ale jedynie ułamkiem biednym, niedostatecznym, jakim jest każdy przedmiot rzeczywisty, a sztuka byłaby wprost kopiowaniem szczerzej rzeczywistości, co być nie może, jako już wyżej rzekłem.

Znać tedy, że ta rzeczywistość, mając się stać ideałem, winna być przerobioną, przetopioną przez ducha.

Z drugiej strony pierwiastek duchowy winien naprawdę przybrać na się ciało zmysłowe; bo zważ, że bez tego ciała sprawa ducha naszego byłaby-li myśleniem, byłaby mową prozaiczną, bo w takiej mowie duch objawia się bez ciała, bez szaty.

I dla tegoż to ciało, które ma być objawem ducha w ideale, nie może być czémś tak ogólnym jak myśl, jak mowa prozaiczna. Zważ, kiedy mówimy: człowiek, drzewo, dąb i t. d., toć zaiste nie mówimy o żadnym człowieku w szczególności, o żadnym dębie, drzewie w szczególności, ale mówimy ogólnie, więc wyrażamy rodzaj człowieka, dębu i t. d., ale rodzaj to jest ogólnik, jest abstrakcją, jest myślą. W rzeczywistości zaś nie widzisz (zmysłowo) nigdzie rodzaju, lecz widzisz jedynie szczegółowe, pojedyncze jestestwa, które do tego rodzaju należą, a rodzaj istnieje w głowie naszej; istnieje on wprawdzie i w świecie, ale nie dla zmysłów naszych, bo go trzeba dopiero dochodzić *myślą*. Wynika ztąd, że jeżeli w sztuce

ce zechcemy wyrazić tylko takie ogólne, rozsądkowe myśli, już sztuka takowa nie będzie sztuką prawdziwą, lecz będzie abstrakcją, będzie dopiero symbolem, godłem, hieroglifem, jak na przykład dwoje skrzydeł oznaczają modlitwę, wąż skręcony w pierścień oznacza wieczność, trójkąt trójęc, krzyż mękę Chrystusa Pana, łódź kościół, jabłoń grzech pierworodny, i inne podobne znaki, które atoli przez zgodność ogólną wyrażają zwykle jakieś myśli i uczucia. Aleśmy już przy innéj sposobności trącili w tę samą ośnowę, mówiąc o sztuce w ogólności (*List I*). Widzisz tedy, że gdy uzmysłowienie myśli, wyrozumowanych pojęć, nie jest już sztuką, więc w sztuce prawdziwej, w ideale prawdziwym, to jest warunkiem aby nie wyrażać pojęcia ogólnego rodzaju, ale pojedyncze, jedno pewne jestestwo, tak aby się zdawało jakoby ono było postacią z rzeczywistego świata wziętą, aby się zdawało, że dzieło sztuki jest niby wizerunkiem rzeczywistego jestestwa. Mówię *niby*, bo powinien być pozór, jakoby w ideale występowała rzeczywistość, ale ta rzeczywistość nie powinna być, że tak powiem, rzeczywistą; ta rzeczywistość winna być złudzeniem, t.j. pozorem; ona będzie owiana tchem innych światów; ona chociaż będzie indywidualną, żywą, będzie przecież odziana najwyższym nadświatnym urokiem. Tak tedy ideałowi właśnie chodzi nie o ogólną naturę ludzką, lecz o to, aby ta postać w rzeźbie, lub obrazie, albo poezyi, oznaczała pewnego jakiego człowieka, lub jakieś pewne bóstwo, mające swój właściwy charakter, swoje własne piętno i indywidualność, różniące go od wszystkich innych, i aby się ten człowiek uwidomił, stał się cie-

leśnie obecny czyli to w posagu, czyli malowany będzie pędzlem i farbami, czyli wyrazami jak w poezyi.

Tak tedy z jednej strony w ideale rzeczywistość przechodzi w świat duchowy, uniesiona jest do nieba piękności, a z drugiej strony duch zastępuje rzeczywistość, *niby* pożyczając od niej szat swoich. Ideał, jak widzisz, pozostaje przeto w środku między czystą duchowością a szczerą rzeczywistością, łączy te dwie sprzeczności w jedność. Chciiej dobrze zatrzymać w pamięci tę zasadę naszą; co tu jeszcze o ideale powiem, będzie jedynie jej dalszym wątkiem i wyjaśnieniem tego pojmowania naszego rzeczy.

Patrz, na posąg marmurowy, co z podnóża swojego, jakby nadziemskich światów zesłaniec, na nas się patrzy; wszak to niby postać rzeczywistego człowieka, rzekniesz może nawet, iż w naturze znajdziemy wiele kształtów ludzi podobnej prawie piękności i powabu. Wszelako posąg ten w swym uroku jest inniej urody niż koło ludzi stworzonych, bo jest wolnym od przypadłości wszelkich, obojętnych dla niebiańskiej piękności jego, a będących skutkiem ich natury cielesnej i doczesności przemijającej, której ulegają ludzie w padolach rzeczywistego życia zrodzeni. On od głowy do stóp jest duchem — uzmysłowionym, żywym; a gdy w rzeczywistych ludziach, choćby najwyższej urody, duch jedynie w obliczu się wyraża i w oczach ma stolicę swoją, w posagu tym duch wszędzie jest obecny, z każdej części patrzy tysiącami oczu, rozlany po całej postaci, drga i w kędziorach włosów i w rzemyku sandałów, a co doczesne, nieznaczące, spadło z tej postaci, niby głuche zwłoki, a co wiekuiste, wystąpiło

na jaw, — więc téż i ta postać wywinęła się z objęcia znikoméj doczesności, odosobniła się, zerwała związki z rzeczywistością, cała jakby ochrzczona w oceanie ducha. Podobnie gdy postać droga z dawnych czasów, przed wielu laty zmarła, w senném marzeniu staje nocném nawiędzeniem z innego świata przed duszą naszą, choć zarysy drogiego oblicza i postaci żywo wskrzeszone, tak prawdy pełne, iż żadne przypomnienie na jawie wyrównać jéj nie zdoła, przecież wskrós przejęta jest przeobrażającą odmianą, bo z niéj znikły ciśniejące żywota biedy, i troska ziemska, co tłumi i więzi ducha swobodę, a przez całe zjawienie goreje i świeci zorza wyższego świata i nieznany dawniej nieśmiertelności uśmiech. Postać stała się nieskazitelnym duchem, nie należącym więcéj do doczesnego świata, duch atoli zjawił się w postaci oznaczonej i pewnej drogiéj nam osoby. Przybrał na siebie ciało rzeczywistości uduchowionej.

Otoż dwa te konieczne pierwiastki, bo wzniesienie nad doczesność, to jest zerwanie stosunków z rzeczywistością, a zachowanie przecieź indywidualności pewnej oznaczonej osoby, są dwiema koniecznemi stronami ideału. Powiedziałbym, iż w ideale przedmiot rzeczywistości wprzód musi tracić ułomność doczesną, zerwać z rzeczywistością, umrzeć ziemską śmiercią, przejść niiby przez czyściec duszy mistrza, zmartwychwstać bez skazy w piękności świecie, a tak odrodzić się ideałem. (*obacz str. 65*).

Niedziw tedy, iż wizerunki, portrety osób rzeczywistych, malowane nawet ręką celujących mistrzów, wydają się pospolicie jakby zbyt pochlebne, wszakże,

jeżeli dzieło takowe jest godnym sztuki tworem, więc już mistrz nie pochlebiał wprost naturze. Bo upięknienie takowe nie wypłynęło z udania kłamliwej urody na obrazie, której w rzeczywistości nie było, ani z poprawienia spaczonych rysów twarzy, lecz raczej ztąd, iż mistrz przepuścił wszystkim onym drobnym szczegółom (np. włoskom, plamkom, marszczkom drobnym, piegom) będącym nieodstępneńm znamieniem natury, a uchwycił właśnie tę stronę fizyognomii, którą duch o sobie świadectwo daje, że ujął jedynie stronę duchową oblicza i niemą jego mowę. Tak więc, gdy wizerunek stracił oznaki przypadkowe i szczegółowe z doczesności człowieka pochodzące, już téż zerwał stosunki z rzeczywistością, a duch, uwolniony od pyłu tego fizycznego świata, zajaśniał wiekuistą istotą swoją, wypiękniał w sobie i rozgorzał niezwykłym urokiem. A przecież ten wizerunek zachował podobieństwo całe swojego żywego wzoru.

Prawda że właśnie to zaślubienie niżyn rzeczywistych, doczesnych, ze światem nadziemskim, duchowym, niebiańskim, które się odbywa w ideale, zdaje się nam być zrazu sprzecznością; zważ atoli, że sztuka jest właśnie zestrojeniem wszelkich sprzeczności, pogodzeniem wszelkiej dysharmonii. Sprzeczność, dysharmonia, jest udziałem rzeczy ułomkowych, doczesnych i biędnych; ale w sztuce żyje duch, więc żyje wiekuistość unosząca się nad ułomność i niedostatki wszelkie. Prawda że zestrojenie sprzeczności w ideale nie jest sprawą lada człowieka, lada chwili; aby dokazać tego najwyższego pogodzenia trzeba *fantazyi artystycznej*. Fantazyja artystyczna w chwili wieszczego

natchnienia zdradza z siebie ideał, zdradza z siebie formy rzeczywiste a przecież niebiańskie. W tych świętych chwilach twórczych duch z innych światów, ni-by gość nadniebny, zamieszkuje w duchu mistrza, prze go i niewoli do zrodzenia ideału piękności. Są to chwile boleści i najwyższej rokoszy. Atoli o fantazyi artystycznej mówić będziemy na inném miejscu obszerniej; myślę téj osnowie poświęcić ze dwa listy osobne. Teraz przypatrzmy się jeszcze z innéj strony istocie ideału.

Chciejmy naprzód zważyć bliżej stosunek, którym się ma ideał określony powyżej do natury fizycznej. Natura nie żyje życiem estetycznej piękności, lecz życiem piękności wszechmoenój wiekuistego rozumu. Nie tak przemawia tedy do wyobraźni naszej, jak raczej do myśli, do rozumu, a mądrość, świecąca na dnie zjawisk przyrody, jest treścią saméj umiętności, dla sztuki zaś nie jest dościgłą. Bo sztuka, wstępując w królestwo natury, przyswajając sobie jedynie może stronę powierzchowną jestestw przyrodzonych, nie zdoła jednak przeniknąć do rdzeni myśli stwórczej, której owa powierzchowność jest jedynie łupiną. Postawa pełna wielmożności lwa, lśniaca grzywa i sierć jego, złotopióry strój mieniaącego się barwą ptastwa, rozłożysta potęga hardego dębu, jest wprawdzie sztuki dzielnicą, atoli sztuka nie zdoła się zapuścić w wewnętrzną budowę lwa, ptaka, dębu, w ten tajemniczy świat ich składu, w zegar ich wewnętrznych organów. Sala anatomiczna nie może być pracownią dla sztuki pięknej. A przecież fizjologia roślin i zwierząt jest dopiero najpotężniejszą stroną jestestw żyjących, i, językiem

nauki i rozumu zimnego mówiąc, jest prawdziwą natury pięknnością, dla sztuki zaś nie jest przedmiotem.

Podobnie téż w kole stworzeń napotykamy mnóstwo jestestw, których nawet i powierzchnowość jest obrzydliwa, szpetna. Cóż brzydszego jak wiele gadów, owadów, nieschludnych ryb i robactw ohydnych, a przecież ta ich szpetność istnieje tylko w wyobraźni naszej, i znika skoro na nie patrzeć się będziemy oczyma umiejętności. Bo zkadże się rodzi w nas uczucie o brzydocie tych jestestw, jeżeli nie z tego, iż je pospolicie bierzemy bez związku z całym ogromem natury, do którego one istotnie należą, i z tego, że je uważamy z osobna. Doznajemy tedy wstrętu nie znajdując harmonii w ich postaci, ani proporcjonalności powierzchni członków, do których nawykli jesteśmy; widzimy w nich bezecne i niezwykle potwory, i bezwiadomie porównujemy je z kształtem innych jestestw. — Przecież takie zapatrywanie się jest błędne, bo te jestestwa wszystkie są jedynie przejściem z jednego ogniwa stworzeń w drugie, są naprożnikiem dwóch rodzajów jestestw całkowicie różnych, a dla tego nie będąc zupełnie ani jednym, ani drugim, czyli raczej będąc zarazem i jednym i drugim rodzajem, stają się potworami w zwyczajnem zapatrywaniu się na rzeczy. Tak np. grzyby są przejściem między martwem państwem natury nieorganicznej a roślinami, polipy są ogniwem pośredniem roślin i zwierząt, a znów między robactwem i rybami w środku stoją kształty niesforne ślimaków i mięczaków, a między rybami znów i gadami ogniwem łączącym są ryby chrząstkowe i t. d.

Jeżeli zaś wedle tego, cośmy wyżej powiedzieli,

każdy choć najdoskonalszy przedmiot natury jest ułomkiem całości przyrodzenia, a zatem nie może być pięknym w znaczeniu estetycznym, jakże dopiero mają uchościć w oczach naszych za piękne twory natury, które już w porównaniu z samemi jestestwami są ułomkami — są to ułamki ułomków. Atoli szpetność ta znika nietylko gdy się przypatrzymy pełnemu mądrości ich składowi, lecz nawet skoro je uważać będziemy we związku całym natury państwem. Gdy ludzie zachwałą i niebaczną ręką zgruchotali wielki wszechmości obraz, złożony jak w mozaikę ze szczegółowych jestestw natury, cóż dziwnego, iż przypatrując się z osobna tym okrucinom różnobarwnym i kawałkom stłuczonym bez znaczenia, nikt nie zdoła odgadnąć oblicza przedwiecznej mądrości, której ten obraz jest wizerunkiem. Cześć tedy niechaj będzie wiekowi naszemu, że go stać było na ludzi, jakim był Cuvier, który potęgą swęj anatomii porównawczęj znów złożył tę potrzaskaną starą mozaikę, a wyuczywszy się z jednéj kostki całe zwierzę odgadywać, jał się uporządkowania ogromu natury żyjącej, rozkładając ją po różnych szczegółach wedle ich różnej w porównaniu doskonałości. Bo umiejętność tegoczesna doszedłszy, iż zjawienie się serca, nerwów, mięśni, oddechu, oczu, słuchu, krążenia soków i podobnych organów i czynności, stanowi wzmagającą się doskonałość u zwierząt, uważała że jedne jestestwa żyjące nie mają wcale tych organów, lub tylko niektóre z nich, inne znów, mają je w zarodku, inne zupełnie zaś rozwinięte. Ułożyła je tedy w miarę ich stopniowego ukształcenia w łańcuch po sobie następujących ogniw. Tak zaczynając od onych

żyjatek, będących pęcherzykiem, drgającym sercem obracającym się jakby planety wirem około siebie samych, przeszła do zoofitów, robaków, bezgłowych muszli, a dalej, coraz wyżej a wyżej się spinając, umiejętność stanęła na człowieku jako najwyższém dziele natury, zbierającym wszystkie stworzenia promienie jakby w spólném ognisku a niosącym w sobie świat duchowy, wiekuisty. A tak wykazała wieloną logikę najwyższą w wątku wszech stworzeń. Budując jestestwa jednego rodzaju na organizmie wszystkich poniższych, wykazała jak natura, z siebie się rozwijając, kształci się, rośnie z siebie. Ale tu i ówdzie okazała się przerwa w ogniwach; trzeba było obok siebie postawić dwa rodzaje zwierząt tak różne udoskonaleniem od siebie, iż one nie mogły być dwóma stykającemi się ogniwami; wykawiło się tedy jasno, iż brakowało ogniwa pośredniego. Z tryumfem jednak wiadomości i na chwałę rozumu ludzkiego spostrzeżono, iż czego naturze żywej brakowało, dostarczyła umarła, czego nie znaleziono w świecie z nami wspólnym żyjącym, znaleziono w onym świecie starym, który przedpotopowym nazwano. W głębokiem łonie ziemi naszej, jakby w kruchej siwój, dokopano się skamieniałości jestestw dziś już nie znanych, żyjących niegdyś, a będących właśnie ogniwami brakującemi w owym łańcuchu stworzeń dzisiejszych. Idea i myśl Boża się uzupełniła, a cała natura jedną więc stanowi całość, a każde jój jestestwo jest koniecznym szczeblem, jedném słowem w onym wielkim psalterzu natury. Jestestwa są mniej lub więcej doskonałe, wszystkie atoli są jedynie bledsze lub jaśniejsze gwiazdy tlejące firmamentem roztoczonym

po niższych lub wyższych stopniach Bożego tronu. Tu nie ma szpetności ani brzydoty.

Jest zaiste jeszcze druga przyczyna, dla której jestestwa natury nie mogą być żywcem ideałem. Powód bardzo prosty, bo jestestwa te do państwa materyi, do doczesności należą, a materya i doczesność paczy wszelkie formy duchowe. Patrz na dąb okryty strojem swym niepoliczonych liści, a każdy z tych liści jest inny a inny, nie ma dwóch do siebie podobnych, a przecież jedna tylko jest, ściśle mówiąc, forma liścia dębowego, jedna forma jest prawdziwa i wzorem jego. Ten atoli wzór pierwotny nie zdoła się wyrazić, w swęj zupełności, w rzeczywistym świecie, nie zdoła przemódz niesforności materyi. Ten wzór jest zawsze jeden i ten sam, jest wieczny, bo jest myślą, a wszystkie liście rzeczywiste są inne a inne, bo są materyą, bo są doczesne, a tém samém podlegają w wzroście swoim tysięcznym przypadkom i wpływom, które je paczą i psują. Bo myśl i materya, duch i rzeczywistość, są dwa przeciwne sobie bieguny, dwa wrogi. Patrz na bezmierne mnóstwo koni żyjących po świecie, wszystkie są od siebie różne, żaden nie jest doskonałością idealną, żaden nie dosięga piękności idealnego konia, która tylko myślą być może, dla tego też one mają piękność względną, wedle tego czyli się więcej lub mniej zbliżają do onego wzoru idealnego, do onęj myśli pierwotnej, która dla nich wszystkich jest modłą. Piękność tego wzoru rozstrzeliła się na mnóstwo koni i poobdzielała je nierówną miarą zalet i przymiotów. Zresztą zważ, iż w życiu nawet mnóstwo wpływów przypadkowych działa na formę koni rzeczywistych: klima, choroby, karm'

niewłaściwa, i inne przypadłości, więc przyznasz, iż piękność pierwotnego wzoru ginie w rzeczywistości. Ale ideał rehabilituje ten wzór pierwotny, tę myśl, oną czystą formę, wciela ten wzór w dzieła swoje, odradza go. Koni, jakie Vernet lub Suchodolski maluje, nie ma na świecie. Przecież rehabilitacya nie zależy bynajmniej nie na kompilacyi, nie na tém, aby, chcąc up. konia malować, zbierać zalety, które się rozsypane znajdują w tłumie koni rzeczywistych, a tak złatać on wzór umysłowy; bo sztuka nie powinna się mieć biernie do rzeczywistości, ale czynnie. Ona jest twórcą, a ideał nie jest zlepkiem pozbiieranych piękności, ale jakby odléwem duchowym z jednej sztuki. Mistrz winien do głębi ducha swojego sięgnąć, i ztamtąd wydobyć postać ideału swojego. Wzór w innym świecie poczęty jest mu ideałem i modłą, jak to jeszcze później obaczymy.

Jestestwa żyjące mają atoli przecież od Wszechmocy dodaną jakąś duszę, choć senną, mglistą i głuchą, dającą atoli o sobie znać w kształcie, ruchach i formach ciała, które już tém samém pod pewnym względem się uduchowia. Inaczéj zaś rzecz się ma ze światem roślinnym, a co więcéj z oném niemém i martwém państwem kamieni, gór, potoków i chmur, i z tym całym światem bezokich żywiołów, będących osnową pejzażów. Tu mistrz, jak niegdyś ów Pigmalion król-rzeźbiarz, winien w zimny marmurowy posąg wlać życie, objąć je ramionami ducha swojego, rozgrzać je ciepłem serca i tehem miłości swojej. I w téj duchowości spoczywa cała tajemnica poezyi, krajobrazów, czy to w pieśni objętych, czyli w malowanym obrazie, a tak dopiero z rzeczywistości martwéj utworzy się ideał duchowy.

wy. Bo czémże jest w rzeczywistości okolica, choćby pełna najwyższych uroków? oto jedynie drobniechną, nie znaczącą częścią powierzchni kuli, z której idą jęj góry, potoki, doliny, obłoki, wiatrów powiewy, zostaje w ścisłym powiązaniu z krajem sąsiednim swoim; a przytém narazona jest na skutek całego gospodarstwa ogólnej natury. Wody, powietrze i ląd, ciągle na siebie działające i oddziaływające, stanowią ową troistą potęgę co rządzi kraju naturą, a łącząc się z położeniem geograficzném stwarzają klimat, malują barwą właściwą strop niebieski i wywołują roślin fizyonomią. A co te potęgi sejmujące między sobą uradzą, co w swęj wywarzą pracy, już spada urokiem na okolicę, co poddana wszechmocnemu ich prawu, ulega jęj biędna, skrępowana, oddana na oślep ich łasce. Jakiego kształtu w nięj czernią się góry, jakiej formy i głosu są jęj srebrne rzeki, jakie do nięj zaglądają obłoki, lub w jaki strój roślinny się ona odziewa, słowem, jak się tu siły natury zbiegły, toć zależy od przypadku, od tego, jaką właśnie częścią całości jest ta okolica. Tysiące przejdzie tędy wędrowców, a ta natura zamkniętymi ustami milczć będzie, i głucha nie zawtóruje uczuciom, nie odezwie się. Gdy zaś w jęj kole stanie człek z talizmanem w oczach i z począ w sercu, wtedy natura pozna pomazańca piękności i jakby ze snu magnetycznego do kochanka przemówi: góry, lasy, skały, jeziora, drzewa i obłoki rozebrawszy pieśń na głosy, zaśpiewają mu chórem rzewną melodyą, wspólną orkiestrą, wspólnemi akkordy. Cały kraj w około zaludni się duchami; poszepty i gawory leśne, pomruki potoków złożą się w jasną mowę, powiedzą o głębokich tajemnicach życia na-

tury; roztworzą mu duszę swoją, wypowiedzą cierpienia, miłości swoje, i te swe dzieje pełne dziwów i uroku. A mistrz chwyta te mowy i tęskność okolicy, złoży je w rymy, wyleje muzyką, lub weieli w barwy pejzażu — słowem, uniesie je w świat ideału. Bo gdy w rzeczywistości okolica ta jest jedynie drobnym ułomkiem całej powierzchni kuli, w oczach fantazyi te góry, skały, potoki, drzewa, krzewy i niebo do siebie należą, składają jedną całość, jedną harmonią, są jednością osobną; wyłączają się tedy od ogółu natury, zrywają swój związek z resztą świata, i stają się od niego niezawisłe, odosobniają się od rzeczywistości. A owa tajemnicza świętość okolicy pokryje się własną barwą i rumieńcem, gdy w niej jakby czarem zaklęte przemieszkiwać będzie wspomnienie historyczne z dawnych lat, gdy w niej stał domek, co obtulał kolébkę człowieka jasnej chwały, lub gdy imie ze starych czasów pokrywa się mogiłą, drżąc pod ziemią, gdy ją zalegną pobożowisk lub okopów reszty, albo gdy jaka stara świątnica lub rozwalony gród wpląta swoje wspomnienia pełne grozy w głosy natury. Przez okna rozpadłe i szczeliny rozstapione, widma i duchy naddziadowych lat patrzą w okolicę i spojrzeniem rzucają na nią urok. Bo co wiek zapracuje, przekazuje swym następcom, a najszlachetniejszy pierwiastek jego żywota wykwita w dziełach sztuki.

Jak matka konająca zostawia z błogosławieństwem dzieciom pierścion z wizerunkiem Najświętszej Panny, by je strzegł od złego, tak przeszłość, w grobie zapadła, puścizną po sobie zostawia budowania swoje, stare kościoły i groby; są to kléjnoty familijne każdego na-

rodu, co, idąc od pokolenia do pokolenia, stroi one cześć, boleścią i tęsknotą swoją. A gdy tej świętej puszczyny ludzie we czei nie mają i płochą duszą jej odbiegają, natura bierze je w opiekę, niby opuszczone sieroty, i przyjmuje w objęcie nieskończonej swjej miłości, przeobrażając je na własne dzieci; — nadaje im kształt swych skał, ekliwość ostrych linii, dzierzgając po swojemu ścianę we fantastyczne formy, odziewa je suknią swych bluszczów i mchów, a wieńczy wierzchołek starych murów drzewem, jakby kwiatem wplecionym we włosy zmarłej dziewczyny. Wtedy rozwaliny wychodzą z własności ludzi, stają się natury dziedziną, jak te jej skały, te góry, obłoki i strumienie, a kto się ich teraz jeszcze dotknie świętokradzką ręką, grzeszy przeszłości zarazem i przyszłości, i staje się swych współczesnych hańbą. Gdy Lord Elgin rabował rozwaliny Partenonu w Atenach, Minerwa-Athene, bóstwo opiekuńcze znieważonej świątnicy, wywołana lutnią Byrona, rzuciła klątwę na łupieżcę. U nas dość spojrzeć na klasztory gotyckie potynkowane, na obielone stare świątnice, na znieważone grody niedoweipnemi pomysłami dzisiejszych dziedziców, aby przewidzieć, iż gdyby się jaki Byron zjawił, przekleństwo nie na jednąby winną głowę spadło.

Tak, aby pojąć naturę, aby posłyszecć jej westchnienia, trzeba ją widzieć i słyszeć oczyma i słuchem duszy; wtedy dopiero rzeczywistość przybierze na się duchowość ideału, odosobni się od codziennego życia, stanie się całością w sobie.

Teraz atoli chciejmy postąpić szczeblem wyżej, i obaczmy, jak się stosuje pojmowanie nasze ideału do

wyższych przedmiotów rzeczywistości, do świata umysłowego. Pójdźmy sobie od niższych do coraz wyższych stopni.

O ile oblicze i postać człowieka zmienia się przechodząc z rzeczywistości w ideał, powiedzieliśmy wyżej. Ale jeżeli już, jakem rzekł, ciało samo i postawa jego jest ducha wyrazem, więc téż szaty pokrywające postać winny znów wyrażać postawę i uduchowienie jéj. Gdy bowiem bezdechowa natura pejzażu zalana jest zorzą wyższego świata, więc téż nieżywa istota szat samych ma być przeświecona duchem gorejącym w postaci człowieczeń. Aby zaś postawa i ciało mogło się wyrażać w szatach, wypada, aby one nie miały własnej formy, ale były zawisłemi od formy ciała, co tylko dwójakim sposobem dźiać się może: albo, aby suknie były opięte, to jest miały formy ciała samego, jak to np. suknie średniowiekowe zachodniej Europy — albo téż, aby szaty nie miały żadnej formy i były płaszczyzną bezkształtną, jak to osobliwie widzimy w stroju rzeźb greckich. Tu szaty spadają własnym ciężarem bijąc fałdziastą draperyą, i stosują się do każdego poruszenia ciała. Tegoczesne suknie nasze, zwłaszcza męskie, środek trzymające między strojem przylegającym a draperyą antyku, są dla sztuki najniesforniejszemi, bo mają niby formę swoją a przecież różną od formy ciała, więc ani wyrażają kształtu ciała, ani się układają w draperye. Przypatrz się np. rękawowi naszemu;—stosuje się on niby do ramienia i ręki, a gdy się przecież zarazem i fałduje, więc téż ręka w nim przybiera kształt napuchłego potwora;—rękaw taki nie jest ani naturą, ani draperyą. A posągi przebrane w dzisiejsze nasze

surduity z klapami i całym przyrządem, fraki i t. p. są śmiesznością, dowodzą braku uczucia estetycznego. Do malarstwa, tworzącego swe dzieła na płaszczyźnie, podobne formy więcej się nadają, w rzeźbie zaś są niezdobne. Przecież nawet i na obrazach te suknie, mianowicie nowożytnie, ulegające wszelkim wymysłom kapryśnym mody, choćby malowane były przed niedawnymi laty, wypaczają wizerunki osób w osobliwe dziwaki.

Jeżeli atoli już suknie same, ono materyalne otoczenie osoby, winny być idealizowane, coż rzec o całym zmysłowym zjawieniu się figur, czyli to w sztukach, w malarstwie lub rzeźbie, czyli w poezyi. A jak oddanie pętlę wszystkich szczegółów figury, np. każdej zmarszczki, włoska i t. d. jest chybieniem celu sztuki, a nawet nigdy osiągnięte być nie może, tak też w poezyi opisanie wyrazami wszystkich drobnostkowych szczegółów żadnego nie ma znaczenia: bo w sztuce to jedynie miejsce mieć może, co służy do wyjawienia ducha; te zaś drobnostki o tyle mogą wchodzić do sztuki, o ile są środkiem pomocniczym do oddania wewnętrznej muzyki duchowej. Tak np. figury, odmalowane mistrzowską ręką Walter-Skota, unaoeczniają nam ducha ich; a zarzuty, czynione mu iż zanadto tonie w tych drobnostkach, o tyle tylko słuszne być mogą, o ile te szczegóły stają się zupełnie obojętne i nie służą więcej do uwidomienia nam duchowej strony człowieka. Góral szkocki Walter-Skota staje przed duszą czytelnika niby żywy: jest to człowiek, którego dusza i ciało, kraj i suknie, z jednej sztuki odlane i do siebie należą. Podobną drobną rzeczywistością, odbywającą się powszednią koleją, są codzienne sprawy człowieka: spanie, jedzenie,

picie, ubieranie się. Patrząc na dramat, żądamy czynów i postępowania do wątku dramatu należącego, ale nie pragniemy bynajmniej, by figury dramatyczne oddawały się przytém sprawom powszednim, wszystkim ludziom spólnym. A jak do teatru nikt nie chodzi, by np. w scenie wiejskiej widział wystawione nawozy przed chatą i kałużkę z kaczkami, tak téż nie pragnie tam widzieć rzeczywistości naśladowanej w rubasznych obyczajach, brudnej odzieży, plugawych piosnkach, ułożeniu i giestach godnych kordegardy, choćby to wszystko było jak najnaturalniej udawane. Nawzajem, również jest przewinieniem pojmowanie odwrótne: jeżeli np. wieśniacy na scenie mówić i ruszać się będą, jak dworzanie Ludwika XV. Powinno być uduchowienie ideału, zarówno jednak ma prawo indywidualność i prawda.

Jeżeli zaś poezya lub obraz wprowadza codzienne czynności ludzi, toć iście nie dla tego, iż one są rzeczywiste, lecz dla tego właśnie, iż nadać mogą barwę i charakter figurom, oraz wyświecić indywidualność ich ducha. A co nie służy ku temu celowi jest w sztuce płaskiem, jałowém i niskiem. Słyszę w myśli, iż pomiatając obrazy obyczajowe wyższego rodzaju, przypominasz mi w téj chwili onych Hollendrów, co to będąc arcymistrzami swéj sztuki, wprowadzają nas w najniższe, ba, w najplugawsze sceny plugawego życia.— Ta sztuka tutaj zrzuciła pychę z serca, i awanturuje się po szynkowniach, kordegardach, karczmach, wśród dymów fajek gipsowych, wyziewów piwnych, hucznych opileców, rubasznych śpiewów, bijatyk, kart, dzbanów, kijów, krzyków, a przecież te obrazki jasnej sławy są klejnotami nicoszacowanemi każdéj galeryi.

Patrząc się na te bamboccyady pełne fantazyi ochoczej i kipiacej swawoli mistrza, przyznaję ci z serca, iż nie zasługują na to, by przejść około nich pogardliwie i z góry się patrzeć zadziérajac nosa. Albowiem pod ową swawolą a gburowatością wierutną ukrywa się inny duch prawdziwego geniuszu. Rzekłbyś, że to najniższa rzeczywistość,—jednak przekonamy się, iż właśnie ich istotą jest oderwanie się od rzeczywistości i wzniesienie nad świat doczesny; zobaczysz, iż te ich obrazy i figury, przy całym zachowaniu prawdy i indywidualności, pomimo że są ścisłą rzeczywistością a nie kłamliwym wymysłem fantazyi, są jednak istotnie ideałem. Bo téż trzeba zrozumieć i lud ten, i ochotę jego i mistrza, co zawtórował pęzlem życiu temu. Ba, nie jest to rzeczywistość goła, lecz poezya, śpiew radośny, śpiew, co z sere wykipia; jest to tryumf z odniesionych zwycięstw. Bo widzisz, ten ich kraj, co tak świeci sehludnemi domkami ze szlifowanych cegieł, ślniących mosiadzów i jasnych szyb, i miasta ich, co tak rześko pracują, handlują i myją się, zamiatają i płuczą od rana do wieczora, i siéc onę kanałów rozciągnioną po ich ziemi całej, i te majowe łąki, i lasy i gościńce; otóż to wszystko stworzyli ci sami Holendrzy, i syny ich, one proste gbury, co tak na obrazku hałasują, biją się, i piją i wrzeszczą. Oni kraj swój wydarli morzu, bo fale szturmujące ich ziemię złamały się o twierdze hollenderskiej tamy; piędź po piędzi ci ludzie zdobywali na oceanie ojczyznę swoją, i wzięli nad nim górę, i już się go nie boją i są panami jego. Gdzie było morze, tam stoją te karczmy ich, więc mają prawo do hulatyki w tych szynkowniach swoich. Aleć zaiste i ta wojna z Hiszpa-

nią, tak szczęśliwie skończona, dała powód do radości téj. Więc się téż ochotniéj radują i swawolą: a któż im tedy za złe weźmie, że niekiedy i miarę przebiorą i skrewią dobremu smakowi.

A i te mistrze, co te obrazki malowali, otóż i oni tak czuli, tak się radowali i śpiewali. Masz np. *Adryana Brauwer*, którego obrazy, będąc w Dreźnie, spotkać po kilka razy mogłeś. Otóż on, młodym chłopcem będąc, zaczął karierę swoją od tego, iż uciekł swojemu mistrzowi i przystał w służbę do szynkarza w Amsterdamie; a wołał koleżeństwo z hulakami i opilecami, niż ofiarowany sobie dom świetnego Rubensa: więc pił, fajkę palił, malował, grał, bił się i hultał, i znów malował, a malował w karczmie i karczme; a znać, gdy spojrzysz na jego obrazy, iż ta grubijańska opiła hołota jest jego przyjacielem od serca, że ona jest sobie z nim brat za brat. Ale w końcu zachorował z rozpusty i umarł w 32 roku życia w szpitalu w Antwerpii, gdzie został pogrzebiony na cmentarzu zmarłych na dżumę. Rubens poszedł na grób niewdzięcznego ale drogiego ucznia, zapłakał rzewnie nad tym grobem, i biedną trumnę jego z ziemi dostawszy sprawił mu pogrzeb uczciwy i pochował w klasztorze OO. Karmelitów.

Krótszą drogę obrał sobie *Jan Steen*, bo nie potrzebował kojarzyć się z karczmarzami, gdyż sam został szynkarzem;— ale nie ubliżaj mu, nie dla zysku pieniężnego on to uczynił, boby się to sprzeciwiało geniuszowi prawdziwego artysty, tylko tak sobie ze smaku obrał to powołanie. Lubił wesołe towarzystwo, kompanią ochotną, więc z nią pił, częstował się, a wypijał sam więcej niż goście: więc zysku nie szukał. A gdy zabrakło

i w beczkach wina, i w mieszkach gotówki, wnet sobie poradził: bo namalował co tehu kilka obrazków, sprzedał i znów hulał sobie. A podobno tak przehulał życie swoje całe, i tak z kuflem je wychylił.

Z grobu atoli tych hulaczy wyrosły nieśmiertelne kwiaty: ich sława i imię. Przecież tak ten jak i tamten drwili sobie z rzeczywistości i z siebie: byli to poeci i filozofowie, ale poeci i filozofowie osobnego rodzaju. Dla nich życie i rzeczywistość były Ostatnim Wtorkiem, maskaradą luezną, combrem tłustoczwartkowym, na to dobre, by je przehasać, z dymem lulek puścić i przepić. A że oni właśnie chwycili to życie karczemne z taką wysoką ironią, z taką kipiącą fantazją, że oni ten niski świat tak genialnie pojęli, że uchwytili poetyczność wśród onych pijackich dymów fajczanych, wśród téj hołoty, to dowodzi, że oni byli wyżsi od tego świata, który malowali, że górowali nad nim geniuszem swoim, i to właśnie ich czyni artystami, i to właśnie czyni te obrazki prawdziwymi dziełami sztuki. Patrz na te twarze, na te postacie na ich obrazkach: one zerwały z rzeczywistością, wesolość ich tak jest serdeczna, iż niby po za tą karczmą utonął cały świat z kłopotami swojemi. Wszystkie ziemskie wielkości i co tam się świeci, wszystko za izbą tą brudną przepaхло; kufel i bójka, to dla nich perpendykuł świata, a fajka i śmiechy, to wszech rzeczy grunt. Dla tego też oni tak luezni, tak weseli, tak niezawisli, żebyś rzekł, iż to bogowie światowładni Olimpu, zebrani w szynku na piwie. A największe złe, które te bogi sprawują i na co się narażają, są kułaki i guzy: a cóż to u nich złego? to frachy i rokosze! Wszak i Homerowi bogo-

wie mieszają się do bitew ludzkich, nawet ciskają na się kamieniami, a choć trochę zajęczą, toć znów w zgodzie zbierają się w pałacu złotym Jowisza, piją sobie na zgodę nektar i jedzą ambrozyą.

Otóż te prostytutki holenderskie nieokrzesane, pełne grubaszných dowcipów, przyćmione wódką i piwem, stosowniejszym są przedmiotem dla sztuki i bliższym ideału, niż te wierutne a eleganckie urwisze, z gruntu serca przegniłe łotry, błyszczące świetnością w romansach francuzkich.

W Monachium, w pinakotece masz podobnie owych sławnych uliczników hiszpańskich *Murilla*, słusznie bardzo stawianych w tym względzie za przykład. Na jednym obrazie dwóch gra w kości, trzeci bawi się z pieskiem; na drugim dwóch się zebrało, jeden zajada smacznie winne grona, drugi melon; a taka na tych twarzach wesołość, takie zadowolenie z siebie i świata, żebyś rzekł, iż oni tego całego świata króle, albo najmniej jakie sułtany, istoty z jednej sztuki, całe, niezależne od nikogo; nie ich nie obchodzi; a kłopot, a bogactwa, i świetność i dostojności, to bajką u nich. Żadna troska nie łączy ich z rzeczywistością, a dusze ich pełne swobody, radości, występują rumieńcem na licach: a po przez łachmany świeci wartka życia roszkosh i poetyczne poniewieranie światem realnym. A *Stachowicz*? tu już nie mówmy o fizyonomii, bo téj nie ma w obrazach *Stachowicza*. Kilka krések, na przypadek i śmiech rzuconych, stanowi jego twarz; patrz zaś na kontury i zarysy jego figur, tu życie, tu prawda. Widzisz to krakowskie wesele, słyszysz głos cymbałów i dudy, i skrzypka, co sobie rznie od ucha, i krzesanie podkó-

wek, i brzęk kółek u pasa; słyszysz, jak pan młody i drużby krzykają, a tak téż tym parobkom i dziewczętom do serca, iż widać, że wierzą, iż nie ma jak oni na całej kuli ziemskiej, że oni nie tam lada *jacy tacy*, lecz istotnie *chłopcy Krakowiacy*, że to są ludzie do wszystkiego; zapomnieli i te znoje swoje i te troski, a z głębi duszy swój wykrzykują i bawią się: i oni z rzeczywistego koła świata wyniesieni w świat poezyi, w świat ideału. Ale bo téż potrzeba było znać Stachowicza. My, będąc dziećmi, widywaliśmy go jeszcze, jak sobie chodził w sutój sukmanie, z rogatą kipiastą w tył się mającą czapką, i z wysoką trzeiłą w rękę; a dopieroż gdy na processyi niosąc baldakim w całym swym blasku występował, patrząc się na ten świat tak jasnym, tak miłującym okiem, że znać, iż nim się radością poił. A śmigał téż pędem hożym i nagłym, a wszędzie téż z równą ochotą, z równą pilnością malował: czyli to przyszło Woronieczowi ustroić ściany biskupiej stolicy, czyli salę Jagiellonów, czyli téż na przedmieściu ubrać zewnętrzną ścianę karczmy figurami, choć wiedział, że wnet słoty i śniegi tę pracę jego spłókać miały: bo nie znał swój wagi, ani swój wartości; co mu w sercu zagrało, to i wymalował. Nie znał Rzymu ni Drezna, Bóg sam był jego mistrzem i nauczył jak pędem kręślić duszy obrazy, tak jak nauczył Drużbackę wiersze składać. Za to téż żadne słoty, żadne dėszece nie spłókały pocziwego imienia Stachowicza ze serca i pamięci ludzi. I w Album pana *Piwarskiego* wiele pięknych rzeczy pod tym względem obaczysz. A co do poezyi, któż nie zabawił się temi obrazami prawdziwie flamandzkiej szkoły, jak je skręśla w romansach swych up. Di-

kens, którego pióro i figury tak jędrne i pożywne, jak ta ojczysta jego kuchnia angielska; albo Kock lub Kraszewski w pierwszej epoce autorstwa swojego. Prawda że i w Kocku, i w początkowych powieściach Kraszewskiego, znajdziemy obrazki »wielce« flamandzkie, toć przecież nie ma czego z pedancka moralizować nad niemi, bo lekkość pióra, żart, dowcip, humor, którym ci autorowie traktują przedmioty lekkoduche, paraliżują wszelki lekkoduchy ich wpływ. A byle czytelnik rozśmiał się nad temi ich obrazkami, już wtedy komiczność w duszy jego przeważy i zobojętni wrażenia, któreby te płóche scenki mogły sprawić na umysłach młodszych czytelników. Wierzej, że wiele zależy od sposobu wystawienia rzeczy i że ułomność ludzka, szczerze bez ogródki lecz ze śmiechem zrysowana, przejdzie bez śladu po niezepsutych umysłach, gdy nawet dwóznaczność okazana przez magiczną oponę, oświecona całym bengalskim ogniem fantazyi, omami, odurzy i wzбудzi żyjące w sercu młodem demony. Lecz nawróćmy do naszego przedmiotu.

Otóż i w malarzach hollenderskich i w Murillu i w Stachowiczu, w całej sztuce tu należącej natura jest żywcem schwytana; jednak nie ta natura powszednia, mdła, codzienna, ułomkowa, lecz ujęta w swój poetyczności stanowi istotę tych dzieł. Niezawistość tych figur od rzeczywistego świata tworzy z nich istoty osobne, całkowite; nie są to zatem ułamki życia, lecz całości.— I tém właśnie te figury różnią się od rzeczywistych, pijących Holendrów, uliczników i parobków krakowskich, iż patrząc się na tych w rzeczywistym świecie, znać jak im życie ciąży, że tam dolegliwości ziemskie z oczu im

patrzą, że tam na nich pozostało mnóstwo ułomności znamion, że życie ich jest powiązane i skrępowane niezliczonym tłumem stosunków, co jednoczą ich ze światem rzeczywistym, którego oni są okruchami tylko. Przecież i my wszyscy biedni rzeczywiści ludzie na chwilę zapominamy o naszych troskach, o tych jukach, z którymi się przez życie wleczeni, — atoli to jest wrzkomia swoboda, bo w tych chwilach niby szczęśliwych podobni jesteśmy do ptaka, którego rzeczywistość na długiej trzyma nitce, a tej istic nigdy się nie wymkniemy. Mimo jednak tej strony poetycznej w owych wspomnianych obrazach, są one żywą prawdą; nie są to bezuzdnej fantazyi dzieła, lecz istotnie żywe Holendry, najrzetelniejsze uliczniki, istne Krakowiaki z całą indywidualnością i prawdą.

Widzisz więc w całym wątku listu tego, dotychczas przebieżonym, potwierdzenie pojmowania naszego o ideale. Powiedzieliśmy, iż ideał jest pogodzeniem ducha i rzeczywistości, iż on zrywa stosunki z doczesnością, że jest całością duchową w sobie, a przecież nie może być wymysłem samowolnym fantazyi, lecz zachować winien prawdę, indywidualność. Są to dwa główne pierwiastki ideału, dwa jego konieczne warunki. A widziałeś zastosowanie ich, gdyśmy wspominali powyżej o portretach, jestestwach żyjących, okolicy, góralach szkockich, wystawie scenicznej, mistrzach niderlandzkich, Murillu i Stachowiczu; a dalszy ciąg listu tego jeszcze więcej nam tę istotę ideału unaoczni.

Jeżeli już w tej sztuce obyczajowej, co w izbie czeladnej u piękności przesiaduje, rzeczywistość dla ideału nie wystarcza, témci mniej we wznioslejszych sfe-

rach sztuki. Jakoż opuszczając już obrazy i powieści obyczajowe wyższego rodzaju, zwracam uwagę na obrazy staréj szkoły niemieckiej i niderlandzkiej, na one arcydzieła, jakie nam zostawili upominkiem obaj *van Eycki*, *van der Goes*, *Messis*, *Schoreel*, *Dürer*, *Holbein* i tylu innych — i jakie znaleźć możesz w zakrytych naszym kościele Maryackim. Otoż ze słusnością zaiste tym starym Niemcom i Niderlandczykom zarzucają zbytne trzymanie się rzeczywistości. Za pierwszym rzutem oka na to koło apostołów i mężów świętych przez nich malowanych, znać, iż to żywe portrety; twarze ich jawnie niemieckie i wprost z życia wzięte, i w obraz postawione; ale również znać, iż to jakiś świat wyższy tchnął na te oblicza i zdmuchnął z nich prochy doczesne. A ten wyższy ich świat poznasz, gdy porównasz tych apostołów i świętych z fundatorem obrazu, z człkiem świeckim, umieszczonym także niekiedy obok nich na obrazie. Choć on klęczy i ręce pobożnie składa, i na twarzy pełen bogobojności, serdecznego nabożeństwa i ducha chrześcijańskiego, toć przecież znać, iż to jest człowiek, co się z życiem ziemskim zmierzył, a potykał się z niejednym trudem.

Bo któż zaprzeczy, iż wiele np. twarzy w rzeczywistości, albo prawie wszystkie, zdołają wyrazić skromność, bogobojność, skruchę: mogłyby się tedy nadać do obrazu religijnego; — ale coż z tego wszystkiego, kiedy oprócz téj skromności, skruchy, bogobojności, te twarze wyrażają wiele innych jeszcze uczuć, pochodzących z ich rzeczywistego życia, z passowania się ze światem — nie mogą być tedy żywcem przeniesione w ideał; bo w nim to jedynie być powinno, co jest

ducha wyrażeniem; co nadto, jest niepotrzebne, a za-
tém psujące całość. Trzeba tedy wynieść te figury
z rzeczywistości, poprzerywać ich stosunki ze światem
rzeczywistym, uczynić je niezawisłemi od niego.

Co tu o obrazie i rzeźbie mówimy, stosuje się i do
poezyi. Znajdziesz w historyi ludzi zdolnych być boha-
térkami w epopei lub tragedyi, a w życiu zwyczajném
spotykasz ludzi mogących być wybornie przedmiotem
romansu lub komedyi: ale rzecz jasna, że przenosić ich
w sztukę zupełnie nie można w téj formie właśnie, jak
ci się w rzeczywistości podobają. W sztuce wyświec-
cisz ich charakter poetyczny, podniesiesz ich do potęg-
gi, a obierzesz ze wszystkich czezych drobnostek, roz-
palisz ich barwę właściwą, czyniąc ich dla sztuki osno-
wą. Anibym się ważył przeczyć, iż wiele jest dam, na-
wet z tych, które mamy szczęście znać, mogących być
z piękności swojej śmiało przeniesionemi w obraz, służyć
za modłę jakiej Minerwy, Junony, Wenus: ale cóż, gdy
na twarzy tych rzeczywistych dam wiele jest jeszcze
wyrazu, nie mającego najmniejszej styczności z błogim
Olimpem. Cóż dopiero mówić o sztuce chrześcijańskiej,
gdy przyjdzie stworzyć figury świętych postaci? Czy-
liż w obrazie np. Najświętszej Panny, tylko o samą
piękność cielesną chodzi? a nie raczej o ducha, który
oblicze Matki dziewicy prześwieca, co gore najczyst-
szą miłością macierzyńską ku dziecięciu swemu, tudzież
przejęta jest grozą uszanowania dla Boga swojego; a
uczucie niegodnej służebnicy i szczęśliwość niebiańska
Boga-Rodzicielki waży się w tém obliczu nadziemskiem.
Ta ducha niepokalanego wysokość jest wzniesiona po-
nad gwiazdy i serce człowiecze i nie może się wyja-

wiać na twarzy niewiasty rzeczywistój, choćby najwyższych uroków, bo w tej, oprócz piękności, świeckie i światowe stosunki, cierpienia i rokosze, żale i nadzieje ziemskie ciężkiem przeleciały skrzydłem.

Widzisz tedy, iż ideał mistrza nie przebywa w tém pstrém a zmienném kole zewnętrznego świata, on go z głębi swojej fantazyi dobyć powinien. Czuł tę prawdę ów kochanek a namaszczeniec najwyższej piękności, Rafael, co w liście do hr. Castiglione przy sposobności Galatei swój tak się wyraża: »Io mi servo di certa idea che mi viene al mente.«— Zaprawdę, ta to idea jego niebiańska, w tajnikach jego istoty świecąc, zjawiła mu się przed oczyma duszy w postaci Boga-Rodzicy, odzianej całym cudem niebiańskiego uroku, w postaci lekkiej, powietrznej, zrodzonej z woni rajskich kwiatów i westchnień aniołów: a tak stworzone są Madonny jego. Uważ, iż po wszystkie wieki ideał wypływa z toni ducha mistrza, bo zrodzony jest z głębi jego fantazyi: tak było i w świecie pogańskim, w sztuce greckiej; patrz na on złoty piękności wiek Hellady, gdy Peryklesa, jakby gwiazdy jasne, otaczał wieniec wielkich ludzi. Jedną z tych gwiazd był Phidias, którego duch, na olbrzymią miarę stworzony, ogarniał sobą cały piękności świat. Cycero, ów Rzymianin, co pochyłony nieszczęściem kraju swojego, w szarej godzinie życia i ojczyzny, lubił marzyć o Grecyi i tęsknie obziierać się na lata tam spędzone w młodości swój, temi słowami wyraża się o ideale i Phidiasu: »Już ja tego nie jestem zdania, iż w żadnym rodzaju nie ma nie tak pięknego, nad coby nie można pomyśleć wyższej jeszcze piękności, której tamto jest tylko niby odbi-

»ciem i wizerunkiem. Ale téj wyższej piękności, ani
 »oczami, ani słuchem, ani żadnym zmysłem dostrzedz
 »nie podobna: zdołamy ją tylko pojąć myślą i duszą.
 »Tak lubo zaiste nie doskonalszego widzieć nie można,
 »jak posągi Phidiasa i obrazy wyżej przeze mnie wspo-
 »mniane, ale przecież w duszy jeszcze piękniejsze wy-
 »obrazić sobie można. Ani téż Phidias, gdy tworzył
 »Jowisza lub Minerwę, nie zapatrywał się na nikogo,
 »biorąc sobie go za wzór do naśladowania: lecz w du-
 »szy jego tkwiła najwyższej piękności modła jakowaś,
 »w którą się wpatrując, w której tonąc mistrz, ku niej
 »kierował rękę i sztukę swoją.« (*) Wyznaj, iż ustęp
 ten jest arcy ważny, i dla tego ci go w całości przy-
 toczyłem. Widzimy wyraźnie, iż owa »certa idea che
 mi viene al mente« Rafaela, i ta Cyceronowa czyli Phi-
 diasowa »mente insidens species pulchritudinis quae-
 dam«, są zupełnie jedno i to samo, są ideałem. Przy-
 pominam ci tutaj owo wzniosłe stanowisko Platona, poj-
 mującego ideał jak przypomnienie duszy z olimpijskie-
 go żywota (*ob. List VI*). A Phidias, Rafael i Plato są
 zaiste powagą w państwie sztuki. Widzisz tedy, iż
 ideał nie jest zbiorem piękności porozrzucanej po wiel-
 kiej liczbie postaci rzeczywistych, ale że w całości

(*) Sed ego sic statuo, nihil esse in ullo genere tam pulchrum, quo non pulchrius id sit, unde illud, ut ex ore aliquo, quasi imago, exprimatur, quod neque oculis, neque auribus, neque ullo sensu percipi potest: cogitatione tantum et mente complectimur. Itaque et Phidiae simulacris, quibus nihil in illo genere perfectius videmus, et his picturis, quas nominavi, cogitare tamen possumus pulchriora. Nec vero ille artifex, cum faceret Jovis formam aut Minervae, contemplabatur aliquem, e quo similitudinem duceret: sed ipsius in mente insidebat species pulchritudinis eximia quaedam, quam intuens, in eaque defixus, ad illius similitudinem artem et manum dirigebat (Cic. Orator)

z ducha wyrasta, że jest zrodzeniem fantazyi natchnionej, że jest w zachwyceniu jej poczętym.

Lecz jeżeli istotnie ideał jest rzeczywistością wprowadzoną przez fantazyą mistrza w nadziemskie ducha krainy, jeżeli iście z téj rzeczywistości spadają okowy ciężkie rzeczy tutecznych, jeżeli ustaje i rozrywa się wszelkie pokrewieństwo z doczesnością, jeżeli ideał się staje osobną niezawisłą całością: więc niedziw, iż téż do tych wysokości nie dochodzą westchnienia ziemskie, że tam nie zagości rozpacz bez nadziei, ani boleść bezdenna. Dzieła sztuki, mówi Schiller, ideały, są to cienie i duchy tamtego świata, mieszkańce niecierpiętlive pól elizejskich. Więc już rozumiesz, iż wszelkie boleści rozdziérające serce, wszelka rozpacz i wszelkie cierpienia bez granic, nie mają miejsca w sztuce. Ideał ma swoje cierpienia, i boleści i łzy: bo jest z rzeczywistości wzięty, ale one łagodzone są ducha poświęcą; a duch jest nieskończony, a duch jest nieśmiertelny, więc téż i cierpienia i boleści zniweczyć go nie mogą. W życiu rzeczywistém człęk upada pod brzemieniem swych nieszczęść, wije się w prochu poniżenja swojego; sęp boleści wbija w duszę rany nieskończonego żalu, serce pęka, i śmierć pełna rozpaczyny kończy niekiedy żywot nasz. Lecz w ideale poprzez łzy i cierpienia świeci nieśmiertelna ducha szczęśliwość. Bo ideał jest rzeczywistością i duchem zarazem; w nim styka się doczesność i świat tameczny, znikomoś i wiekuistoś; on nie podlega tedy boleści i nieszczęściu bez granic.

Jak muzyka nie wyraża boleści krzykami, jękami szorstkimi i przeraźliwym rażącym dźwiękiem, ale

boleść ciężka, twarda, topniejąc tonami pełnemi ciepłej harmonii, rozplywa się rzeką melodyi tęsknej, rzewniej; podobnie harmonia i piękność ideału uświęca boleść w innych sztukach wyrażoną, jako w malarstwie, rzeźbie i poezji: jest to wielko-środkowe kwilenie się płaczących aniołów nad śmiercią Syna Bożego w kaplicy sytyńskiej w Rzymie, gdy z każdym psalmem jedna z trzynastu świec na ołtarzu gaśnie, niby gasnące gwiazdy w przebitym sereu Matki Bolesnej. Spójrzij na rzeźby greckie, a wszędzie znajdziesz, iż rozpacz, skon i całe okropności, rozdzierające dusze rzeczywistych ludzi, w ideale miejsca nie mają. Nawet bardzo wątpliwą jest rzeczą, czyli usta otwarte samego Laoakona otoczonego węzami znaczą krzyk mniej szlachetnej rozpacz. A w tragediach onych starych wieszczów greckich masz tego cudnej piękności przykłady; we wszystkich powiewa duch pociechy, a nieśmiertelny wieniec spuszcza się z obłoków na skronie umierających bohaterów. Rozumiem, że nie tak nie maluje pojmovania Greków w tej mierze, jak *Oedipus w Kolonos* Sofoklesa. Oedipus bez wiadomości obciążył się podwójnym grzechem, bo kazirodztwa i ojcobójstwa zbrodnią. Gdy prawda ta w całej okropności swojej stanęła przed duszą jego, gdy wejrzał w całą otęchłą nieszczęścia, gdy od srogich synów z tronu wyzuty, własną ręką dotknął się oczu swoich, wydarłszy je z ich stolicy, wypuścił z duszy jasny wzroku źródło, i samowolnej ślepoty się poświęciwszy, wiekiem i okropnością zsiwiał starzec, o kiju idzie w świat daleki, obcy, szukać przytułku. Początek naszej tragedyi zaczyna się właśnie od chwili, gdy Oedipus, na córce swój Anty-

gonie wsparty, doszedł świętego gaju poświęconego Eumenidom, onym boginiom pełnym zgrozy. Wątek jój zupełnie prosty, ale najwyższej piękności. W cieniach nocnych gaju tego jest wstęp do podziemnego państwa, kędy już nie ma boleści, a oddech tamtego świata chłodzi cierpienia. Tu czekają go bogowie, by się z nimi i z sobą pojednał, i uprowadzają ze skwaru doczesnego żywota w państwo nieznające łez. A gdy córki rozpaczają, iż w samotności na świecie zostać muszą, pociesza je chór, mówiąc: »Gdy łaską rozwiązały się konczyny żywota jego, uciszcie więc boleści głos. Wszak każdy tak snadnie w nieszczęście wpada!« — A Tezeus później dodaje: »Utulcie wołanie żalu! ani dzieci ubolewajcie nad ojcem, bo łaskawość świętą obtuliła go ziemią, a bezbożnością byłyby skargi i płacze.« Iście, śmierć bez cierpień i boleści, gdy człek pod skrzydłem bóstwa w inny świat się przenosi, jest najwyższym szczęściem, które człowieka na tej ziemi spotkać może.

Tak w starożytniej literaturze, zwłaszcza w Sofoklesie, znajdziesz nieprzebrane skarby tej wysokiej poezji. A radbym też kiedy mieć sposobność porównania w tych listach moich Sofoklesa, największego wieszczą świata dawnego, z Shakspearem, największym poetą literatury chrześcijańskiej. Tu atoli, nie zbaczając z ośnowy mojej, przypominam, jak Shakspeare, mając w tętnie i we krwi uczucie najwznioslejsze ideału, duchem swoim, jakby instynktem, odgadł i zrozumiał ducha przeczystej piękności, rzucającej kwiaty czarodziejskie na cierpienia okropności pełne. Tak w *Romeo i Julia*, w końcu, gdy już — już cała czynność śpieszy do rozwiązania swojego, Romeo widząc Juliettę swoją w gro-

bowcu martwą i bez życia — powiada: »Bo tu spoczy-
 »wa Julia, a piękność jój napełnia ten nocny śmierci
 »przybytek jasnością promienną. Czyliż ludzie, sta-
 »nawszy nad śmierci progiem, raz jeszcze rozwesela
 »się radością? Świadkowie umierających powiadają,
 »że to jest niby ostatnia błyskawica w śmierci obliczu.
 »Och, jabym wesele to moje nazwał błyskawicą taką!
 »żono moja! Śmierć, co wyssała słodycze tehu twoje-
 »go, nie wywarła swój potęgi na cuda uroków twych.
 »Ona nie odniosła jeszcze nad tobą zwycięztwa; ozna-
 »ki piękności purpurem powiewają jeszcze na ustach
 »i na licach twoich. Tu nie posunęła się skonu chorą-
 »giew błada.... Tutaj ja zostanę i już nie opuszczę
 »tych ciemności pałaców, tu złożę ciężkie zwłók brze-
 »mię, i strącę jarzmo nienawistnych gwiazd z ciała
 »znękanego światem. Wy oczy, spojrzycie ostatniem
 »spojrzeniem! wy ramiona, weźcie uściśnienie ostatnie!
 »i wy usta, oddechu wrota, ucałowania waszego pie-
 »częcią potwierdźcie wieczny zapis lichwiącej śmier-
 »ci!« A w końcu dwaj ojcowie wrogich sobie rodzin,
 Capuletów i Monteków, nad ciałem dzieci podają sobie
 ręce; ich nienawiść spaliła rozpacz. *Capulet*: »Bracie,
 podaj mi rękę bratnią« i t. d.

A w *Hamlecie*, gdy Hamlet umiera, Horatio powia-
 da: »Teraz pęka szlachetne serce — dobra noc królew-
 czu drogi!« W tych kilku a prostych wyrazach zebra-
 na jest cała treść życia i skonu. Tak, gdy opona zapa-
 dnie na ostatnią scenę tragedyi, każdy rzeknie: *wyko-
 nało się*, i położy kwiat na trumnie ofiary doczesności.

Przypatrzmy się wszystkim wielkim mistrzom, a
 wszędzie obaczymy boleść uszlachetnioną, uzacnioną; bo

chmury, słoty i pioruny ciągną nad dolinami ziemskiego żywota; do jasnych zaś szczytów ideału nie dochodzą ani słoty, ani chmury czarne, ani gromy piorunów, a ze suchego drewna krzyża cierpień doczesnych wyrastają wonne niebios uciechy. Ale poezya, już dla samej istoty swojej, może rozedrzeć tajnice uciech naszych, bo je znów następnie ukoić i ułagodzić zdoła, bo płynąc rzeką swych harmonii unosi nas, to przez czarne i pełne zgrozy przepaści skalne, to znów wyprowadza w promieniste szerokie doliny, lub przypływa w cienie gajów świętych, gdzie rozbolałe serce nasze, jakby Edyp, jedna się z Bóstwa majestatem, co przebywa w toniach serca naszego. Rzeźba jednak i malarstwo, mogące jedną tylko chwilę uchwycić i tę już na zawsze w dzieło wcielić, trudniejsze mają powołanie. Żołdactwo i siepacze, otaczający Chrystusa Pana, we formie jak ich widzimy na dawnych obrazach niemieckich, są jakby dźwięki przeraźliwe fałszywej struny wdzierające się w harmonią ideału. Najwyższy geniusz tu jedynie poradzić przedmiotowi tego rodzaju zdoła.

W tej chwili przypominam sobie dwa obrazy jednego i tego samego mistrza; oba są arcydziełami *Girodet*, oba po dziśdzień jeszcze zbierają w Paryżu tłumy czcicieli około siebie, oba nam się za przykład nadadzą. Jeden wystawia scenę z potopu, drugi scenę z Atali. W pierwszym wody zalały świat; na przodzie trup, kołysany igrą rozhukanych bałwanów;— samotna stroma skała sterczy wśród oceanu— na niej wyrasta drzewo. Mąż w sile wieku, dźwigając na barkach swoich ojca strętwiąłego starca, jedną ręką trzyma się

onego drzewa, drugą podaje młodej i pięknej małżonce, przytulając jej niemowlę do piersi swoich. Lecz syn starszy, chwyciwszy z przestrachu włosy matki, przechyla ją wstecz; — ona traci równowagę; małżonek z wyrazem okropności, natężając ostatnich sił, zatrzymuje przepadającą żonę: wtém drzewo ciężarem nagięte łamie się, — i cała ta grupa osób już, już spada w otchłań przewalających się fali. Jest to scena wstrząsająca sercem do dna, i, mimo mistrzostwa swojego, rani duszę dźwiękiem przeraźliwym i pełnym okropności. Wręcz przeciwne wrażenie sprawia drugi obraz *Girodet*a, wystawujący pogrzeb Atali. Widz postawiony niby w jaskini ciemnej, obliczem do jej wehodu obrócony; na przedniem tle, pod jaskini sklepieniem, wykopany grób. Chaktas i pustelnik, spuszcza ją ciało dziewczyny w łono ziemi. Młodzieniec, roztopiony cichym wewnętrzny płaczem, przytula twarz swoją do kolan umarłej kochanki, a starzec w niemiej boleści cofnął w głębie duszy serce smutek. A w dali, na jasności lasem obrosłego pagórza, świeci krzyż, — koniec boleści wszelkiej.

Znasz zapewne »zaśnięcie Najświętszej Panny«, tak pełne słodyczy arcydzieło Schoreela; tu we figurach naokoło stojących nie ma rozpacz; albo się wpatruj pilnie w ołtarz wielki Maryackiego kościoła i podziwiaj tę świętość i błogość figur otaczających Boga-Rodzicę, co, chyląc się ku ziemi snem znękana i tonąc w marzeniu anielskiem, porzuca życie doczesne. Radbym iście mieć jeszcze sposobność pomówienia z tobą szeroko o tém niedościgłym dziele sztuki.

Sztuka oddycha na wysokościach, kędy nie docho-

dzi okropność ziemskiego żywota: tu nie dosłyszysz krzyku rozpaczki bez końca. W komedyi nawet, kędy przecieź jedynie o żarty chodzi, rzecz nie powinna się rozwiązywać zponiewiéraniem zupełném figur. Tu komiczność, a wcale nie obracanie w śmieszność, nie szyderstwo, drwiące sobie kosztem drugich, miejsce mieć może; bo komiczność, lubo wykazuje obłąd ludzi, przecieź unika zniweczenia zupełnego figur swoich. Potrzeba, żeby figury komedyi, choć się przekonają o swęj pomyłce, ostać się jeszcze w sobie mogły, żeby zdołały przenieść na sobie i przetrwać przeciwny im obrót rzeczy. Ztąd wynika, iż ludzie z grantu źli i ladaco nie mogą być nawet i w komedyi wprowadzeni. Komiczność bynajmnięj nie na tém stoi, by zgnębić, zetrzeć złośliwość i brudy moralne, lecz raczeźj na tém, by wykryć sprzeczność w jakiej się niekiedy stawia indywidualność człowieka z prawdą ogólną lub rzeczywistością. Najwyższym przykładem komiczności jest *Don Quixchot*; tu ciągle występują te sprzeczności: wszelako, wśród zawrotów umysłu i mgły obłąkania, strzela błyskawicą światło szlachetnej i zacnej duszy. A dopiero ów nieporównany *Sancho*, co jakby odwrotnym biegunem pana swojego i wręcz jemu przeciwny będąc, jest najgenialniejszém dopełnieniem, bo stroną odwrotną jego.

Nie tu miejsce, bym rozbierał istotę komedyi i komiczności; podam tylko dwa przykłady z naszego *Fredry*. Któż nie podziwiał arcydzieła jego *Damy i Huzary*? Otóż pan Major, pan Rotmistrz i Grzegórz, wygadują naprzód na małżeństwo i kobiety, pod niebiosy wynosząc stan wolny i rokosze jego: niebawem zjazd panny Zofii, panny Anieli i Fruzi, miesza szyki Huzarom.

Każdy z tych panów staje w sprzeczności ze sobą samym i widzi śmieszność swoją i błąd, iż nastawał na małżeństwo jako prawdę ogólną, bo huzary kochają się, chcą się żenić, i w tém druga pomyłka: bo w ich znów wieku małżeństwo staje się niedorzecznością. Komiczny zbieg okoliczności, wyrazy starego Remby, stawiają ich w końcu powtórnie w położeniu komiczném względem siebie samych; jakoż poznają znów sprzeczność między postanowieniem swoim a rozsądkiem. Wracają więc do rozumu, widzą pomyłkę swoją i pobłądzenie: ale choć ich prawda zwyciężyła, nie zabolala ich do żywego; znoszą ją wesoło i z lekkim sercem żartują sami z siebie. Tak gdy pełni radości cieszą się z sobą i śmieją, a pani Orgonowa wchodząc pyta się: »Cóż tu za wiwaty?« Rotmistrz wesoło odpowiada: »Obchodzimy powrót rozumu!« A zacny Major kończy rzecz całą zarysem pełnym szlachetności. Przeciwnie w komedyi *Odludki i Poeta* rzecz inaczéj ułożona: bo rozwijuje się na tém, iż Czesław z twarzą zmartwychwstałego staje się dobroczyńcą młodych kochanków, a Astolf, drugi odludek, smętniejszy jeszcze, powiada:

„Sam, sam jestem na świecie, postrzegam w téj dobie,
Ten równie nieszczęśliwy pociechę otrzyma,
Dla mnie tylko natura i uśmiechu nie ma.
..... Koni! bo sobie w łeb strzelę! „ (odchodzi)

W tém wszystkiém przeto nie ma nic komicznego, jak mi sam przyznasz; ten Astolf to człowiek moralnie zabity, wskrós zniweczony. Mniejsza atoli już o odludku. Im więcej wpatrzysz się i wezytasz w dzieła Fredry, tém coraz nowych dostrzeżesz skarbów prawdziwej komiczności; i zaiste nie wiedzieć co w nim więcej podziwiać,

czyli tę jego głęboką znajomość świata, życia i serca ludzkiego, czyli téż mistrzowskie użycie tych nabytków i prawdziwie artystyczne ich powiązanie. Myślę że i najbogatsza z literatur europejskich jeszcze mogłaby się poszczycić pisarzem, jakim jest Fredro.

Otóż rzuciłem ci główne zarysy istoty ideału w ogólności uważanego. Ale ta istota jego winna być zastosowana do oznaczonego dzieła: wymaga tedy określenia w szczegółach.

Zrada się zatém tutaj przedewszystkiém pytanie, w jakich różnych sferach mistrz może znaleźć ideał swój? Jak stwórcza siła wiekuistego Ojca objawia się w błyskawicznych pomysłach wielkiego człowieka, i w drganiu proszku zawieszonego na słonecznym promieniu, tak twórczy duch mistrza uobecnia się równie na najwznioślejszych ducha jaśniach, jak na zapadłych poniżach natury; wszędzie zdobywa sobie swój przedmiot i wszędzie zatyka sztandary zwycięztwa i podbojów swoich. A ztąd powstają różne sztuki stopnie.

W świecie dawnym nie ma jeszcze wyraźnego stopniowania między sztuką; bo tu rzeczy Boskie i ludzkie zwinięte z sobą drzemia, a świat wiekuisty i doczesny jest nierozdziérzgniony z pierwotnej swój jedności; człowiek przez sen swych zmysłów marzy, a Bóstwo z łona ziemi przemawia wyroczni ustami; Olimp wesolą drużyną swych Bogów otacza młodzieńczą myśl świata. Tu człowiek nie doszedł jeszcze do rozróżnienia rzeczy niebieskich od ziemskich, nie doszedł do wyraźnego poznania różnicy między sztuką religijną a światową; ta różnica zrodziła się dopiero, gdy umierający Bóg spójrzał z wysokości krzyża na świat. Świat po-

ruszył się w swych posadach, a z objęcia sennego zmysłów wywinęła się swoboda ducha i sztuka Religijna. Bo jak na powiewy wchodzącego ciepła i światła zadygocą drzewa i gałęzie i wszystkie liście boru, tak myśla o Bogu zadygocą i drgają serca wszystkich ludzi, wszystkich narodów i wieków. Bóg słyszy i rozumie to sere drganie, i mowę wieków i wszech ludów westchnienia, a świat modli się Bogu najzaenniejszemi swęj sztuki dziełami: bo sztuką Religijną, uzmysławiającą świętość. Ale Bóg-Ojciec, Bóg przedwieczny i bezielesny króluje na wysokościach niedościgłych dla sztuki, a ideał poczęty w duchu człowieczym, choć nieśmiertelném skrzydłem wzgóre się ma, przyeśniony atoli postacią zmysłową ziemską daremnie pracuje, by się wzniósł do Bożęj stolicy na najwyższém niebie. Lecz Bóg-Syn, Bóg wcielony, Zbawiciel, zstąpił ze szczytów wieczności, przybrał ciało, a ideał sztuki stworzył wizerunek Boga-Człowieka. Na miejsce bogów, co rozplynęły się obłokiem, zajaśniała wśród ludzi postać Królowęj niebiańskięj, i koło mężów, niewiast duchem Bożym natchnionych, i postacię świętych, apostołów, uczniów, męczenników pańskich; a na miejsce oniemiałęj już wyroczni zabrzmiały jasne proroków usta i rzewnością zapłakały hymny i psalmy święte.

Cheeszli wiedzieć i czuć, czém jest sztuki świętęj, religijnęj majestat?—wstap do przybytku katedr naszych katolickich, ale wstap z sercem pełném wiary. Tu w jedno ognisko zebrane, na co tylko sztuka najwyższa zdobyć się może. Jak niemowlę przejmuję się dreszczem radości, gdy głos matki usłyszzy, tak dusza zadrży tęsknotą wiekuistości, gdy ją tutaj owieją tehy innych

światów. Tu słupce i kolumny śmiałym strzałem ula-
tują ku niebu, niby modlitw kamiennych oniemiałe na-
bożeństwa, a rozwijając się u szczytów jakby gałęzie
palm pokoju, łączą się z sobą sklepienia łukami; a
w przestrzeniach tych wysokich, rozległych, niby szep-
ty liści gaju, unoszą się uskrzydłone westchnienia i ci-
che płacze ludu. Przez wyniosłe okna i malowane szy-
by, grą tysiącznych promieni wpływa światło niebios
rozlewające się oceanem po świątnicy, i bije falami
wszystkich tonów jasności i cieniów i szarą pomroką
wieczora, a łamie się, świeci i cieniuje po gankach wy-
soko zawieszonych, dzierganych, fantastycznych kamien-
nych gzymsach..... Jest tu wizerunek rozmaitości i ładu,
poetycznej fantazyi i harmonii. Pokój pański zstąpił
w ten przybytek i w serce ludu korzącego się Bogu.
Rzekłbyś, żeś stanął w przysionku wieczności; uciechy,
boleści i nadzieje doczesne, wszystko w duszy umilkło.
A ważenie się uczuć naszych, co wiecznie się w nas
kołysze, teraz się przechyla; szala rzeczy ziemskich to-
nie w zapomnieniu, a szala rzeczy niebiańskich wznosi
się wiekuistości nadzieją.— Słuchaj: jęknął grzmiący
organów głos; chór zabrzmiał hymnem i psalmem na
chwałę Panu na wysokościach, a Pan przybywa na wi-
chrów i piorunów wozie; toczy się muzyka i śpiew jakby
bałwany rozkołysanej powodzi świata, a napełnia prze-
strzenie wszystkie, odbijając się o sklepienia, łuki i
słupce wzniosłe. Świątница pełna głosów,—to wzdy-
chają, sączą się, kwilą pieśnią tęskną, to znów rosną,
wzdymają się i kołyszą burzą i gromem. A w tych głos-
ach słyszysz modły, prośby natury całej i miryadów
ludzi, i tych co byli, i są, i co będą. Tu czas stracił pa-

nowanie, tu wieczność osadziła stolicę swoją. Z pod ostrołukich sklepień głowy słupców zadumane patrzą się na klęczący lud. Na wysokości ołtarza rozpięty Chrystus Pan, obliczem pełnem miłosierdzia rozgrzewa nadzieją i miłością duszę, roztopia najtwardszych sere mrozy strumieniem łez; z nisz i ze ścian świętych jaśnieją malowane obrazy i wymowne postaci niemych posągów, co marmurowemi ustami przemawiają o tajemnicach wiary, o głębinach niezbadanych ducha człowieka i przeznaczenia świata. Tu na tej ziemi żyjesz a widzisz postaci niebiańskie, zaglądasz w życie nieśmiertelne, widzisz je cielesnemi oczyma swojemi i słyszysz słuchem twojego ciała.

Zaiste, tać jest wszechmoena potęga sztuki religijnej, bo ona jest szczytem sztuki wszelkiej. Gdy bowiem w sztuce wyraża się nieskończoność i bezwzględna prawda pod postacią zmysłową, więc też sztuka religijna uzmysławiając najwyższą nieskończoność, to jest Boga samego, staje się zarazem najwyższym sztuki szczytłem. Ideał tu jest w najwznioślejszej swojej sferze. Lecz sztuka religijna, jedynie na gruncie wiary serdecznej urosć i rozkwitnąć może; gdzie tej nie ma, nie ma też sztuki religijnej. Protestantyzm zrodzić jedynie sztukę historyczną zdoła; a gdy we Francyi lampa wiary się wywróciła, sztuka zajęła się ubóstwianiem, apoteozą człowieka wieku: piastą jej stał się Napoleon.

Jak słońce jasność swoją nie po samém tylko niebie rozlęwa, i na niém zapala gwiazdy niby świece w przybytku bożym, lecz i na ziemię spływając, gore na szczytach alpejskich, a ztamtąd tonąc w zapadliny ziemskie, zazięra ciasnym okienkiem pod niską strzechę człowie-

ka; tak i ideał zstępuje na ziemię i stwarza sztukę światową. Czém są w sztuce religijnej męże święte, duchem bożym natchnione, tém w sztuce ziemskiej są wielcy ludzie, wielkie figury historyczne, mające już jasną wiedzę tego, co w reszcie świata spoczywa jeszcze bezwiednie na dnie serc wszystkich, jakby ziarno przyszłej historii. Takie figury w dziejach świata wyobrażają w swój osobie narody całe i całe wieki: a co w innych ludziach jest dopiero boleścią, nadzieją mglistą, uczuciem, mdłym instynktem, u nich staje się myślą, potęgą zgadującą czasy, co idą, pojmującą pulsa wieku i będącą wyrocznią świata, tudzież wolą silną, działającą. Albo téż ideał chwyta ludzi wielkich charakterów, w których potęgą się wzmogła jedna z ciężkiej wagi prawd, jako: chęć sławy, przywiązanie rodzicielskie, synowskie, cześć dla prawdy i słuszności, miłość, przyjaźń, i tym podobne prawdy poruszające serce człowiecze, a którym się owe wielkie charaktery poświęcają i życie za nie dają. Tak psalmy, hymny kościelne, obrazy i rzeźby święte, zamieniają się na dzieła sztuki światowej, na ody wzniosłe, na epopeje, tragedye, na posagi i popiersia czeżące pamięć ludzi jasnej chwały. Tu należy także malarstwo historyczne, będące apoteozą wielkich mężów i wielkich czynów. Podobnie muzyka kościelna, święte oratoria, w sztuce światowej stają się arcydziełami muzyki scenicznej i opery, lub pieśnią poruszającą państwa całe i ludy, (jak *Rule Britannia*, — *Gode save the king*). A architektura katedr i świątynie zamieniają się tutaj na budownictwo świeckie, dźwigające grody, pałace rządowe, gmachy publiczne, teatru, galerye, biblioteki, akademie, które kraj cały na chwałę swoją

stawia. Te są zjawienia ideału w sztuce światowej. Lecz sztuka ta ma jeszcze inne poniższe szczeble, bo nawiedza poziomą sferę życia codziennego i prywatnego, w którym architektura stawia skromne dworki, domki sielskie, szałasze tatrzańskie, dzwoniące altanki chińskie, mosty ogrodowe, domy schludne po miastach. A malarstwo stwarza obrazy obyczajowe, bamboocyady niderlandzkie. Poczyta zaś téj sfery staje przed nami w kształcie romansu, powieści, komedyi. Rzeźba stawia nagrobki, pomniki przyjaźni i t. d.; a Muzyka zawtórjuje wesołym pieśniom i przygrywa tanom hożym.



L I S T X.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacya, Kollizya, Działanie, Pathos—Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału.— Dzieje Polski.— Murdelion Kaczkowski—Świat sielankowy—Wiesław Brodzińskiego i starzy sielankarze polscy.—B. Zaleski, W. Pol.—Czasy bohaterskie Grecyi.—Wiek romantyczny.—Cooper—Walter-Skot.—Romanse morskie, powieści ukraińskie.

Działanie ideałów.—Sytuacya.—Panteony chrześcijańskie.—Indye i Egipt.—Figury ze sytuacją spokojną.—Przykłady z rzeźby klassycznej i nowoczesnej.—Małgorzata we Fauscie.—Julia Shakspeara.—Kollizya.—Powody które wywołują kollizyę.—Powody przyrodzone.—Iphigenia, Hłob, Prometheus, Quasimodo.—Rebeka Walter-Skota, Ofelia.—Kollizya wywołana czynem.—Potęgi porywające człowieka do działania — przykład na tragedyi: Romeo i Julia Shakspeara.

Złe.—Powody działania w sztuce.—Pathos.—Miłość.—Charakter.—Achilles—Romeo.—Wallenrod.—Mohort Pola, Ks. Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki—Kraszewski i Korzeniowski.

Pożegnanie czytelnika.

Pewnego razu, właśnie pod chwilę wieczorną, około kopalni Falunu w Szwecyi powstał znienacka ruch nadzwyczajny. Kobięty, dzieci, górnicy, starcy, ożyli jakimś pośpiechem, zbiegając się zewsząd hałaśną ciżbą i rozprawiając z sobą — a wszyscy zbierali się w jedno miejsce, jakby wspólne ognisko swęj ciekawości i trwogi.

Niesłychane jakieś dziwo przydarzyć się musiało! Bo zaledwie te głośnie tłumy stanęły kołem, a już każdy, cofnawszy głos w siebie, umilkł zgrozą i podziwieniem, i niemy wpatrywał się w osobliwe zjawienie. Wśród koła osłupiałych cichych widzów, spoczywał leżąc na murawie młodzieniec, niby głębokim snem uśpiony: odziany był obcym strojem, nieznaną twarzą. Nikt nie zaznał tych rysów jego i téj młodocianej postaci: odzież i bielizna świeża, nowa — a ciało było miękkie w dotykaniu. Znalezione go na dnie trzysta stóp głębokiego szybu, gdzie wody siarkowo-metaliczne przesiąkły ciało jego i ochroniły od zepsucia. Z ciemniej podziemnej wyniesiony na jaśnią dnia, zadziwiał zjawieniem swoim; późne, jemu obce, pokolenie nie zasłyszało nawet podaniem o tém nieszczęściu biednego górnika. On, co do imienia nawet wygasł w pamięci ludzi i umarł nawet w ich mowie; teraz leżał niepoznany, zimny, martwy, niezrozumiany wśród cudzego mu świata; postać jego w żadnym sereu nie zbudziła już wtórujących dźwięków, w żadnej duszy nie odezwał się współzucia głos. Sam jeden, spokojny i niemy wśród żywej społeczności ludzi, co teraz głuchym i przytłumionym szmerem obstępiała go ciekawą gromadą. On był zaiste towarzyszem młodości ich dziadów.—Ale gdy już cichym szeptem nawzajem się pytają, ktoby mógł być ten młodzieniec, kiedy daremnie badają wspomnień starców zgrzybiałych — patrz, jakaś matunia na kulach, złamana wiekiem, okryta bielą późnej siwizny, chwiejąc się, drżąc, przydzwiga się wiedziona natchnieniem niewypowiedzianego przeczucia. Z lękiem w sercu, z nadzieją i boleścią w oczach, już przecisnęła się

przez widzów grono — topi wzrok przygasły i duszę w bladym obliczu martwego młodzieńca. Znała te jęj omdlałe oczy zatliły się błyskawicznym ogniem, z najgłębszego duszy dna wystrzelił rumieniec na twarz, i z jękiem, w który się cała jęj przeszłość wcieliła, rzuca się na umarłego młodzieńca, pokrywa zimną twarz jego gorącym pocałowaniem i rzewnymi łzami bolesnej radości.— To jest narzeczony jęj! to jęj kochanek! — On przed pół stuleciem był jęj zaślubiony, i właśnie przed samemi godami weselnemi zginął gdzieś z powierzchni ziemi. Nikt wtedy nie przeczuwał, iż młody górnik samotnie spuszczać się w otchłanie kopalni zapadł się w jęj głębiach. Cały świat go zapomniał, atoli pamięć jego gorzała jasnym płomieniem w sercu kochanki;— ona przez pół wieku dochowała mu wierność i miłość rzewną. Tak nadzwyczajna ta para kochanków, znów po latach pięćdziesięciu obchodziła złote wesele swoje. On młody i piękny, jakby w poraniu żywota swojego— lecz zimny, martwy, bez czucia i niemy;— ona zgrzybiała, nachylona ku ziemi, lecz z ciepłym i bijącym sercem, pełna życia, pełna jeszcze gorącej miłości i tkliwego kochania.

Podobnie, drogi przyjacielu mój, jak ten górnik biędny, tak postać idealna będzie niezrozumiałą, martwą, umarłą, gdy się znajdzie w obcym i niestosownym dla siebie świecie. Ideał, poczęty w tajnikach fantazyi mistrza, i z tych świętych głębin wyniesiony w cudzy świat, w cudzy wiek i społeczność obcą, wzbudzi jedynie nie-me podziwienie, będzie gościem z innego świata; nikt go nie pojmie, nikt go po imieniu nazwać nie zdoła, nie wzbudzi w nikim współczucia, żadnego serca dźwięk nie

połączy go z tym światem obcym; będzie dla wszystkich umarłym, głuchym i niemym. Jednak dusza mistrza go pozna — on dla niej nie będzie obcym; ona sama wśród ludzi dochowa oblubieńca zarzysy i uświęci kochanie swoje uściśnieniem gorącym, bo on jęj zaślubiony z dawnych lat; ona dochowała mu wierność i miłość rzewną, i wśród obcego świata odprawi z nim złote we-sele swoje (*).

Zważ — czyliż dość aby figura poetyczna, aby ideał wystąpił z ducha mistrza pełen piękności? Czyliż nie powinien mieć jeszcze za tło swoje, za grunt żywotny, świat dla siebie stosowny, świat idealny? A czyliż każdy wiek, każdy kraj i społeczność każda jest stosownym otoczeniem i ramą dla ideału? Rozwiązanie pytania tego bez trudności nam się wyświeci, skoro przypomnimy sobie z listu zeszłego istotę ideału. Wszak powiedzieliśmy tam sobie, iż do ideału głównie należy, aby był całością w sobie zupełną i odosobnioną, aby zatem nie był wiązany stosunkami do rzeczywistości, aby nitki zewnętrznego świata nie krępowały swobody jęgo duchowej. Winien tedy być w takim osadzony świecie, w takim stanie towarzystwa, któryby nie wiązał stosunkami osobistęj swobody człowieka, któryby nie krępował zupełnego rozwinięcia indywidualności pojedynczych.—Potrzeba tedy dla ideału taką wynaleźć rzeczywistość otaczającą go w koło, aby był zupełnie niezawisłym, aby cokolwiek czyni, czynił przez siebie, bez

(*) Zdarzenie to już często wierszem i prozą opowiedziane zostało. Fr. Hoffman na jęj tle rozwinął jedną z najpiękniejszych powieści swoich. Leonhard w tomie III. swęj Geologii przytacza napis grobowy tego górnika. Ja poszedłem za Schubertem.

wpływu obcego, a nawzajem, żeby na siebie samego brał skutki swojego postępowania i odpowiedzialność za czyny swoje. Bo gdyby działał nie wedle siebie, ale wedle obcego natchnienia i okoliczności, jużby te czyny jego i skutki ich w części tylko od niego zależały, a on sam byłby tedy jedynie czémś częstkowém, czémś ułomkowém, a nie jedną całością w sobie skończoną.— Widzisz tedy, iż ten świat tylko będzie poetycznym i stosowném otoczeniem dla ideału, w którym człowiek może ruszać się, żyć, działać i walczyć; i gdy wypadnie, legnąć nawet wedle woli a przekonania swojego. Atoli nie każdy naród ani wiek jest objawieniem takowego stanu.

Oto—weź naprzykład dzisiejszy prozaiczny stan Europy cywilizowanej. Czyliż nawet pomyśleć można, aby mistrz stwarzając figurę pełną poezyi, a pełną poezyi w myślach, uczuciach i czynach, mógł ją postawić w stanie społecznym, w jakim żyją kraje oświeconej Europy? Czyliż nawet przypuścić można, aby tutaj ktoś mógł postępować zupełnie wedle własnego natchnienia swojego, nie obzierając się w koło siebie i nie mając względu na żadne stosunki z rzeczami i ludźmi, i sam w czynach swych być całością w sobie zamkniętą i odosobnioną od rzeczywistości, w której żyje?— Jest to zgoła niepodobieństwem. Bo zważ, im kraj na silniejszych dźwigniony podwalinach, im ukształcenie ogólne jaśniejszym dniem zalało umysły wszystkie — tém téż silniej ustalony ogólny porządek rzeczy, tém téż liczniejsze i mocniejsze są węzły łączące ogół i wszystkie indywidua z sobą — cały organizm kraju składa ścisłą całość. Tu nie tylko prawa, ustawy, przepisy, prawidła rządzą, lecz

również wielką, a może większą powagę jeszcze mają obyczaj, zwyczaj, zdanie ogólne, formy towarzyskie, a nawet moda. Tu wszystko, tak najważniejsze życia sprawy, jak rzeczy najdrobniejsze wzięte są w karby, w rubryki wiążące wszystkich nieprzebitą siecią. Tu zaczawszy od najwyższego szczytu towarzyskiego aż do najbiedniejszej chatki, nikt z tych karbów, z tych ustaw, praw, obyczajów, opinii publicznej wyłamać się nie może; każdemu ściśle przepisana droga i sposób postępowania; nie on rzecz prowadzi, ale rzecz jego. Gdyby kto sam chciał pójść własnym torem, a nie pytając się o wyobrażenia przez wszystkich innych przyjęte, zechciał wedle własnego osobistego przekonania postępować, zdarzyłby się ze wszystkimi, wystąpiłby w otwartą walkę, w którejby bez zwłoki uległ ze stratą swoją. Wszak formy towarzyskie choćby drobiazgowo, strój nawet, są tak twardo krępującą normą, iż téż nikt nie waży się puścić własną fantazją, a cóż dopiero rzec o ważnych życia sprawach; tu wszystko stereotypem się stało, bo nie ludzie, ale prawa, ale przepisy rządzą. Tu wszyscy nawzajem tak ściśle z sobą połączeni, iż nikt ruszyć sobą nie może bez ruszania zarazem wielkiej liczby innych ludzi.

Jakoż w świecie takowym, zwłaszcza w jego życiu towarzyskiem, wszechwładnej potęgi są zewnętrzne formy; formy te nawet równie potrzebne jak wewnętrzna treść, a formy żądają raczej czém nie być, niżeli czém być. Stan taki jest stanem prozy i wbrew przeciwny wszelkiej poezyi, bo węzły rzeczywistości i stosunki z otaczającym światem tak każdego wiążą i krępują, iż ani pomyśleć można, by się z tego świata wyosobnił, i

stał się całością w sobie zupełną i ukończoną. Jest to stan rozumowy, bo nie samowolność pojedynczych myśli, ale prawo, ale przekonanie wszystkich ma wagę i znaczenie, i dla tego ma wyższość nad wszelkim stanem poetycznym, który jest stanem walki wszystkich ze wszystkimi. Uważ, jak w stanie podobnym rozumowym i prozaicznym, jak dzisiejszy stan nasz, małe jest kółko, w którém ludzie pojedynczo wedle woli swojej działać i postępować mogą; jest to bowiem kółko samych spraw li osobiście nas dotykających, do niego też więc należy miłość, przyjaźń, powaga rodzicielska, przywiązanie małżonków, dzieci, stosunki majątkowe i t. p. Tu mieści się cała ta ona wojna i walka na szpilki tak drobiazgowa, choć niekiedy tak bolesna. Patrz, ów się kłopoty, iż ma syna ładnego, ten ci się zawiódł na kupnie, tamten się zakochał i szczęśliw jak w niebie, że stanął u celu swych życzeń, tu matka biędzi się z dorosłą córką, ów nie może się ognać wierzycielom, na tego spadła bogata sukcesya, tamten znów trapi się, że go awans ominął, lub że mu się zaloty nie poszczęściły, ten tłumi się z ludźmi, ów rozwodzi się z żoną; wszystkie zaś tym podobne sprawy mogą być jedynie treścią dla powieści, romansu, komedyi, obrazu obyczajowego; ale epopei, ale tragedyi lub obrazu historycznego nikt z téj treści nie złoży, i właśnie też dla tego sama komedia, powieść, romans, żyć i mieścić się może w tym świecie powszedniego życia. Czuł to dobrze Schiller, bo gdy zapragnął w życie towarzystwa już uorganizowanego wprowadzić figurę poetyczną, stworzył tę olbrzymią postać Karola Mohr, i uczynił go zbójcą. Utwor kolosalny — lecz złamany w sobie na dwoje: bo bierze

na się obronę tego, co wielkie jest na świecie i szlachetne, a sam jest złoczyńcą i zbrodniarzem — olbrzym zakrawający na karykaturę.— Ani też nikt nie zaprzeczy, iż kalabryjskie bandyty i opryszki nasze karpackie, nie uznające ustaw i praw, i wodzące ze społecznością wojnę, są to zaiste figury pełne poezyi.

Nie ma tedy wątpliwości, iż stan, w którym społeczność ludzka wyrobiła z siebie niezachwiany porządek i ład, w którym wola ogólna i sposób pojmowania wszystkich jest niby ich atmosferą, którą oni oddychają, taki mówię skład społeczności nie jest dla poezyi stosownym. Dla tego mistrz, choć sam będzie członkiem społeczności takowej, sięgnie duszą poza tę szupłą rzeczywistości szranki, inne stworzy kraje, inne dla siebie światy; a myśli jego i uczucia i ideały, te dzieci geniuszu, choć zrodzone w zimnym świecie prozy, rozłupają skrzydła swoje, i niby ptaków wędrownych stado ulecają przed mrozami rzeczywistości ziemnej, dążą poprzecz te jej góry, skały, równiny, do krainy poezyi, do swój ziemi obiecanej, której nie zaznały nigdy, w której zima nie zapada, kędy chłody rozsądkowe nie zawieją, kędy wiecznie się uśmiecha do duszy wiosna, a przewodzi im do rajskich krain mistrza wszechmoce technienie.

Jeżeli tedy jasno nam się wykrywa, jaki to stan świata nie jest stosownym tłem dla ideałów, tym samym się już wykazuje, jaki jest istotnie właściwy stan dla nich. Rzecz jawna, iż takowym stanem może być tylko ten, w którym społeczność ludzka niezwiązana i nieustalona ścisłym organizmem, w którym stosunki wzajemne ludzi nie są złożone szczelnie z sobą, a zatem

stan taki, który albo *jeszcze* nie uorganizował się mocno w sobie, albo taki, który się *już* zdeorganizował, który się rozstępuje już ze spojów swoich i rozlatuje na części. Tak tutaj, jako i tam, ludzie wyżsi od tłumów poziomych świecą niby Tatrów głowy po nad ciemne doliny; na nich to najpierw zapala się zorza nadchodzącego świtu, na nich najpóźniej gaśnie dzień jasny, i gdy głębie pokryte już mgły namiotem, ich czoła jaśnieją jeszcze purpurą zapadającej przeszłości. Bliżej gwiazd, sąsiadują z niebem, ale bliżej też gromów niebiańskich; a gdy ziemia zadrży w swych posadach, one harde szczyty runą w sobie i przepadną, ogromem swym napętniając otchłanie. Patrz na ostatnie chwile skonania Grecyi lub Rzymu, na owo krwawe pasowanie się, co wyprzedzało upadek Syonu, a masz przykład jawny, jak ciężkiej są wagi ludzie pojedynczy w czasach, gdy się cała przeszłość zapada i w sobie się roztrąca. Takim też stanem rozpadania się społeczności była Francya podczas wywrotów towarzyskich, przy końcu stulecia zeszłego. Dawne stosunki się rozwiązały, a indywidualności oddane własnej sile swojej, na sobie oparte, i swoje i obce dźwigały losy i mogłyby być treścią stosowną dla trajedyi lub historycznego obrazu. Podobnie też dzieje Polski, poczynając od śmierci ostatniego z Jagiellonów, z tej samej przyczyny są czasem i wiekiem obfitym w poezyą i we figury idealne. Rozumie się samo przez się, że w epokach przejścia, gdy stan dawny społeczeństwa się rozkłada a nowe zapatrywanie się na rzeczy jeszcze nie nastąpiło, wtedy ze samej istoty rzeczy wypływa, że zwyczajne charaktery czyli raczej figury bez charakteru, jeszcze bardziej spłowieją i tracą wy-

datność indywidualną konturów swoich; a ludzie o wyższej, mocniejszej potędze duchowej, nie mając właściwego pola dla siebie, skręcają się w sobie i spaczają się we figury dziwaczne. Taki świat widzimy malowany z talentem znamienitym bardzo w Murdelionie Kaczkowskiego: świat bezbarwny otacza w koło główną figurę spaczoną, będącą koniecznym wpływem czasu swojego. W samym Murdelionie złamały się dwa światy, więc i on jest figurą złamaną w sobie.

Podobnych przykładów rozstrajającej się społeczności mógłbym ci wiele przytoczyć z historyi, przecież stanem równie poetycznym, a może więcej mającym uroku, jest stan społeczności, który się dopiero rodzi, który nie oparł się jeszcze na silnych posadach swoich, w którym cała przyszłość dopiero ziarnem zwinięta. Czyliż tedy dziwno, iż właśnie w chwilach przekipiającej cywilizacyi, w epoce wbrew przeciwniej wszelkiemu rozwinięciu się osobistemu, gdy oprócz koniecznych i potrzebnych ustaw, będących warunkiem każdego towarzystwa, wtłoczono na się ciężkie i niewolnicze jarzmo konweniencyi, ciężar krępujących uprzedzeń, śmiesznych wymagań, gdy ciało i umysł chodziły w szatach obcych, dusznych, gdy kał plugawy zepsucia znieważał zaćmienie ludzi i zdrowy rozsądek, coś dziwnego, mówię, iż w takim czasie umysł, obrzydziwszy sobie rzeczywistość i tknięty niewypowiedzianą tęsknotą, marzył snem dziecięcia o życiu bez zbytków, bez pragnień i pełnem prostoty, bez zawisłości od tysiąca obmierzłych więzów ściskających niezawisłość osobistą, słowem, iż zamarzył o życiu pasterskiem niby o rajach lśniącym wszystkimi barwami wyobraźni, i że tak zrodziły się sielanki?

Świat pasterski, świat sielankowy zdawał się być gruntem osobliwie nadającym się dla ideałów sztuki. Lecz stan ten niewiñości i prostoty jest zarazem ziemią jałową i głuchą: tu niewyrośnie silna i potężna poezya, tu nie wzniosą się czyny ogromne, zajmujące umysł i serce swą potęgą, bo w życiu pasterskiem o zbyt małe rzeczy chodzi. Wszystkie chęci i trudy serca ograniczają się tutaj kilku owieczkami, kózką, a walką na fujarki i piosnki. Największym nieszczęściem jest stracona krówka i nieczułość lub niewierność jakiej pasterki, a gdy się pasterz bardzo zatnie, to groząc zaśpiewa: »Niechaj ten napis niesie wyniosła mogiła: Phyllis sroga Dafnisa zabiła.« A na téj groźbie się też wszystko kończy.

Małe pochołęta zwykły płakać czytając Gesnerową *Śmierć Abła*, i zaiste dobrze jest, że nad tém płaczą; mimo tego przecież trzeba przyznać, iż rzecz ta cała, jak wszystkie sielanki tego rodzaju, jest zupełnie blada, mdła i bez koloru. Budowanie chatki, ptaszek umarły, kwiat skonały, i tym podobne drobnostki, za zbyt maléj są wagi, by się niemi zajmować; a po zabójstwie samém płaczliwy Adam i sentymentalna Ewa tak są słodkawe, tak mdłe, iż budzą ekliwość a nie podziwienie, bo to są ludzie bez czynu. Inaczéj, lubo nie o wiele doskonalej postąpił sobie znów *Voss*, wprowadzając sielankę w życie już ucywilizowanych Niemiec. Jakoż te obrazy sielskie jego są wbrew w sprzeczności z sobą: bo jego bohaterzy sielanek chodzą sobie w szlafrokach w wielkie kwiaty, palą fajki, piją kawę, i dla scen sielskich wyjeżdżają sobie fiakrem na dzień jeden na wieś. Kto zaś kawę pije, fajkę pali, w szla-

froku chodzi i fiakrem jeździ, winien już tém samém koniecznie żyć w społeczności silnie uorganizowanėj, mogącej dostarczać tych przedmiotów mocą rozwiniętego już i rzeskiego przemysłu: a tu przecież cały cel sielanki na tém właśnie zależy, aby wystawić świat nieuorganizowany jeszcze, społeczność pierwotną, w której człowiek szczegółowy jest zupełnie niezawisły i sam na sobie się opiera. Poezye tego rodzaju mają sprzeczność w samym zarodzie swoim, a figury ich ni-by sielskie są tak czeze, tak beztreściwe, jak one Dafnisy, Tyrsysy, Damony i Phyllidy sielanek zwyczajnych.

Dla tego cześć niechaj będzie *Kazimierzowi Brodzińskiemu*! bo jeżeli słusznie estetycy niemieccy wielbią powieść *Herrman und Dorothea* z tego, iż *Göthe* kreśląc ją na tle ważnych wypadków, wstrząsających całą Europą, bo na tle rewolucyi francuzkiej, podniósł tém samém znaczenie wątku całego téj powieści; my również prawo mamy wielbić Brodzińskiego, iż za dno obrazu rozwiniętego w *Wiesławie* wybrał wielkie wypadki świata, bo wojnę, co rozwinęła sztandary swoje po całym świecie społecznym. A tak na całej téj jego powieści tak skromnej, rzewnej i prostoty pełnej, rozlana jest łuna wielkiego zdarzenia, co świeciła nad światem i historią jego. Brodziński w jednym liście nazwał się tylko skromnym dzwonkiem wiejskiego kościółka, mającym tę jedyną zasługę, iż najwcześniej, z pierwszym świtem, przebudził literaturę do porannego nabożeństwa, a który zamilkł, gdy olbrzymie dzwony stolicy odezwały się potężnym głosem rozlegającój się po kraju całym poezyi. Tak Brodziński o sobie mówi,

ale te pieśni jego i ta ucziwa o nim pamięć nie zamilknie, a będzie śpiewać i dzwonić w duszy ludzi, póki zacność będzie we czci na świecie. On to był rejem w nowój epoce literatury, a tak zacnie jój zaprzodkował.

A warto też tu z miłością wspomnieć o starych sielankarzach naszych z 16 i 17 wieku, i od serca im się pokłonić. Ich poezye po większój części są jedynie sielankami z imienia, bo wyższa treść i głębsze znaczenie na dnie ich się ukrywa: czyli roztaczają krwawe ustępy ze spółczesnych dziejów, czyli rozwina jakąś satyrę łzami pisaną o biedzie społeczzeńskiej, czyli się innego dotkną przedmiotu, zawsze znać, iż tam podłoga jest pełne grozy uważanie rzeczy i pojmowanie wyższe niż zwykle w sielankach bywa. Tutaj możeby było miejsce dla rozprawy bliższój o romansach pasterskich, któremi między innemi celował Cervantes. Nie trudno by nam było wykazać, skąd im się bierze ten dźwięk tak pełen uroku; przecież milój jeszcze zaiste przyjmiesz, gdy zwrócę uwagę twoją na ów cudny obrazek B. Zaleskiego, w którym maluje nam rodzinę Przenajświętszą; jest to sielanka święta, owiana tchem świeżym, uroczym, jakby wiosenny pacierz natury, a szczegóły wszystkie z taką miłością obrobione, żebyś rzekł, że to dyjamenty świecą oprawne w złoto, gdybyś ich nie wolał porównać do rosy, co z nieba zrodzona spuściła się na kwiaty błyszcząc światłością niebiańską, promieniejąc tęczy barwami. Tak też i W. Pol całym urokiem wysokiego talentu skreślił owe poemaciki małe, co to niby sielanki tak są proste i naiwne i znów tak są rzewne jak pacierz dziecięcia; są to sielanki

podobne do onych obrazów mistrzów włoskich, przedstawiających to Najświętszą Pannę z dzieciątkiem Świętym, to rodzinę Świętą. Wśród cudnie pięknej natury, widzisz Pana Jezusa i Śgo Jana bawiących się sobie to kwiatkiem, to ptaszkiem, to igrają z sobą; a w tych igrach i kwiatach taka lubość, taki wdzięk niewinności rozlany po tych malowaniach, żebyś rzekł, że one snem wdzięcznym anioła uspięnego w rajskich ogrodach, gdyby znów z oczu Matki Przenajświętszej nie patrzyło przeczucie o przeznaczeniu jęj dziecięcia, gdyby z oczu samych pacholątek nie promieniła wiekuistość.

A zaprawdę, stan społeczeństwa sielankowy, lubo zostawuje pojedynczym ludziom całą niezawisłość w działaniu, lubo nie matwa stosunkami wolnego ich ruchu, przecież ta niezawisłość, ani ten ruch wolny nie prowadzi do rezultatów ważnych, ztąd też poezya taka jest zupełnie ekliwa i mdła. Malarstwo tu snadniej sobie poradzić zdoła, gdyż te figury pasterskie mogą mieć znaczenie obrazu obyczajowego, a nawet owce, kózki i inne zwierzęta należące do ich dworu mogą być przedmiotem mistrzowskiego pęzla, a nadewszystko urok otaczającej w koło natury zamienić może rzecz całą na pejzaż wielkiej wagi i wysokiej wartości; przecież one wartości obrazów historycznych nie osiągną nigdy.

Nie samo atoli życie pasterskie jest stanem niezawisłości osobistej indywiduów, znajdziesz ich wiele jeszcze, byle się historii i jeografii poradzić. Owoż, ten stan Grecyi dawniej, one czasy jęj na poły mitologiczne, zwyczajnie bohaterскими zwane, a któreby nazwał epoką romantyczną świata klassycznego, są to

czasy bohaterów Homerowych tak cudnemi barwami skręśłone w Iliadzie i Odysei. Tu znajdziesz ludzi całkowitych z jednego odlewu, od nikogo niezawisłych: królowie nawet w rzeczach potocznych sami sobie wystarczają, własnoręcznie biją i sprawiają sobie woły i pieką je; każdy sam sobie przyrządzić zdoła, co mu do życia potrzebne; lecz ten żywot nie na samych tych błahych sprawach im schodzi, bo to nie są głuche łupiny i słodkawe Tyrsyse; są to ludzie czynów wielkich, męże z pełnem sercem a przeważną głową, niosący jakby na barkach swoich świat, do którego należą, a co który zdziała, zdziała sam przez siebie, nie oglądając się na nikogo wcale. Biorą też całe brzemie odpowiedzialności za czyny swoje na siebie, stawiając życie swoje na szanie. Żadne też względy ich nie wiążą. Ich stosunek np. do Agamemnona, onego króla królów, pochodzi z ich własnej woli; słuchają go, póki takie ich upodobanie, a gdy im się to nie zdaje, idą za własnym popędem. Atoli czas ten nie tylko jest treścią Homerowych Epopei, jest on też przedmiotem tragedyi greckiej. Tak Aeschylus jak Sophocles i Eurypides w tym czasie heroicznym osadzali tragedye swoje; jedna tylko tragedia *Persowie* Aeschylusa odbywa się w okresie późniejszym, bo w czasie wyprawy Xerksa na Greków; ale za to odbywa się w Persyi, w kraju barbarzyńskim, dalekim od współcześnie wzrastającej cywilizacyi greckiej.

Oto i świat chrześcijański ma wieki swoje idealne a pełne poetyczności; są to wieki bohaterskie nowoczesnej Europy, epoki romantyczności, słowem, wieki średnie—rycerskie. Okres ten pełen cudów ułudy, trwał

blisko lat tysiąc, a poetyczność jego spoczywa w samém istocie jego. Feudalizm podzielił kraje na drobne dzielnice, a każda dzielnica była całością dla siebie; a kto ją posiadał, był na niej udziałnym, niby królem u siebie, bo lekkim tylko ogniwem wierności i honoru połączony z lennodawcą swoim; i o tyle mu obowiązany przybyć z chorągwią na posiłek, o ile się to zgadza z honorem; w pewnych razach mógł nawet *guerroyer le roi*. Przy téj nieuległości samego składu państwa, rozwija się najwyższa niezawisłość indywiduów. Rycerz, byleby miał zbroję i konia, jest panem siebie, rzuca się w świat daleki, nieczyjéj nie potrzebując pomocy, sam sobie wystarcza: nocował, gdzie go noc zapadła, a w najgorszym razie upolował w borze królika, sprawił, i posypawszy solą zjadł na surowo; a tak posiliwszy się tą *nourriture des héros*, ruszył dalej na obronę sierot, wdów skrzywdzonych, i badał, czyli nie ma gdzie jakiej cierpiącej niewinności, potrzebującej walecznego jego ramienia, a przy podanej sposobności kruszył kopią za nieźrównaną piękność damy serea swojego; nieczém nie był wiązany, w sobie samym czerpał całą siłę swoją. Dziś takich rycerzy błędnych, chwala Bogu, nam już nie potrzeba, nie mieliby się czego fatygować ku obronie uciśnionej niewinności; dziś jednym błędnym rycerzem jest— żandarm.

Wpatrując się w ten obraz tak bogaty w tych rycerzy i turnieje, pustelniki, i piękne damy, w te wojny krzyżowe, pielgrzymki do ziemi świętej, w te zamki i mosty zwodzone, w tę galanterią i męztwo, w tę wierność i miłość honoru, i w tę wiarę rzewną, widzisz, iż tak wszystko gra, promieni się, migoce, błyszczy

barwami, żebyś rzekł, iż duch młodzieńczy świata we śnie jeszcze, drzemie uśpiony na łące pełnej poezyi kwiatów, któremi dech poranny powiewa, a młoda Europa marzy o miłości, sławie, bitwach i Bogu. A tak świat ten piękny drzemał, i marzył i śnił, póki go nie zbudził huk broni palnej i silniejszy jeszcze głos myśli wcielonej w drukowane księgi. Gdy bowiem proch i druk, dwojaka broń, bo materyalna jedna, duchowa druga, wystąpiły na jaw, już ród ludzki nagle podrósł, w okamgnieniu spoważniał i spójrzał się w około siebie i w siebie okiem pełnym grozy, przestał być młodzieńcem i poznał, że na niego inne czekają szranki, inne nagrody, że mu wypadnie nie kopija ale duchem na ostre pogonić. Atoli jak oczy umierającego przed samém skonaniem niby gasnąc raz jeszcze migną jasnością, tak też nim ten czas średniowiekowy skończył, nim go historia pochowała w wieczności grobie, raz jeszcze zaświecił potęgą, raz jeszcze w oku swém zebrał błyskawicę całej swój istoty: temi oczami konającego średniowiekowego świata były sztuki piękne.

Patrz, on czas zapadający się w dziejach spójrzał na nas duchem Leonarda, Dürera, Ariosta, Michała Anioła, Raphaela, Correggia, Camoensa, Tassa, Cervantesa, Shakspeara. Cały ten wieniec gwiazd jaśniał prawie w jednym czasie; wielu z tych mężów znało się nawzajem z sobą, i nawzajem mieli się we czci i uszanowaniu. W nich, jakby w ognisku, zebrały się promienie całego romantycznego świata; stanęli oni na progu dwóch epok dziejowych, a obok nich męże, jak Kopernik, Baco, Galileus i Kolumb, co należąc już całą duszą do historyi nowocześniejszej, roztworzyli szeroko wrota

dla nadchodzącego nowego porządku rzeczy, który miał zająć stolicę świata moralnego po zgasłym wieku średnim.

Lecz nie tylko przeszłość nastrocza nam ziemię zdolną do rozwinięcia całego kwiatu ideałów poetycznych, ale przestrzeń kuli naszej tak przeliczne, tak wielobarwne roztacza nam światy i stosunki, iż zawsze znajdziesz stan, kędy indywidualność pojedyncza ludzi rozwinać się może w swęj sile, i być panem własnego losu, i na siebie tylko liczyć, i na sobie tylko polegać, a tak stać się treścią dla ideałów. Widzisz, jak tam Cooper prowadzi czytelników swoich do dzikiej i bezludnej puszczy Ameryki północnej, kędy osadnik w walkach ciągłych ze zwierzem, żywiołami i dziecą miejscową, sam sobie wszystko winien, sam wśród rodziny jest jej ojcem, sędzią, wodzem, kapłanem, zdając sprawę tylko sobie samemu i Bogu. Patrz, jak Walter-Skot stawia cię nad zwierciadłem jezior górskich, wśród Klanów szkockich, związanych li tylko stosunkiem dalekiego pokrewieństwa, a naczelnik Klanów jest ich ojcem, panem niezawisłym. Indziej znów obaczysz powieść morską kołyszącą się w okręcie na falach oceanu; ta cała załoga trzymana wprawdzie pod ścisłym ładem karności, lecz ona, odsadzona daleko od reszty świata, jest jedynie wielogłowym bohaterem; w chwili atoli niebezpieczeństwa każdy w szczególności okazuje, czém jest, co wart, rozprzega się całość rozpryskując się na indywidualności szczegółowe, grające o życie. Czyliż też dziwno, iż na kurhanach ukraińskich jak kwiaty wyrastają powieści? Rozłóg stepowy, niby morze suche, bije bałwanem zielonym kwiecistym swych traw, a wolny

jak sokół puszcza się tym stepem kozak. Tu nic go nie ciśnie; gwiazdy i słońce wskazują mu drogę, a ze stepem, i trawą, i kwiatami i rosą oddycha te szerokie i otwarte Boże powiewy. Sicz sama jest ledwie słabym zarodem towarzyskich związków; mieszkaniem jój jest u niej gościem, sam na sobie polega i w siebie samego tylko wierzy. Pan Grabowski między innemi wybrał sobie tamte strony w powieściach swoich, a w Stanicy Hulajpolskiej umieścił nawet scenę, zwyczajnym sobie taktem, na granicy polskiej, rossyjskiej, tureckiej, kędy tylko słabym odgłosem dochodzi potęga praw i przepisów towarzyskich, dając tedy jak największą swobodę do bujania swym figurom.

Pocóż nam jednak jeszcze więcej wyliczać tych przykładów? Czyliż cała dzisiejsza Arabia, albo cały Wschód nie jest żywą poezją? Czyliż tylko w Ameryce północnej znajdziesz świat, jaki nam maluje Cooper? czyliż go nie spotykamy wszędzie, kędy tylko Europa zetknęła się ze światem pierwotnym, kędy ona postanowiła pierwsze swoje placówki i wydźwignęła swój oświaty samotne strażnice? Czyliż tu nie znajdziesz podście-lisk dla wszystkich rodzajów poezyi?

Kończąc tedy już tę ośnowę, tyle jeszcze powiem, że choć rzecz cała o świecie stosownym dla ideału najbliższej poezją obchodzi, przecież nicobojętny on jest dla rzeźby i malarstwa, a nawet dla muzyki; jeżeli muzyka ma być tłumaczem wewnętrznych uczuć duszy, jeżeli najgłębsza treść człowieka ma się wcielić w harmonią, już też przyznasz, iż piersi człowieka nie powinny być przytłumione światem zewnętrznym i sprawami jego; z całych piersi, z wolnych dopiero tylko piersi wypada

jedynie swobodny śpiewu potok. Dla tego też słusznie w operach scena odbywa się po większej części w świecie rycerskim, albo na Wschodzie, albo w sferze czarodziejstwa i uroków nadziemskich, albo w jakimkolwiek bądź położeniu nie ściskającym działania figur. Dla tego rzadko widzimy wielkie opery, którychby scena odbywała się w świecie już uorganizowanym, bo takowy nadaje się nierównie lepiej do małych operetek i wodewillów.

Jeżeli atoli już mistrz zrodzi z siebie ideał, jeżeli mu znajdzie tło właściwe, już też ideał ten winien czynem na jaw wystąpić; bo czynem, bo działaniem tylko, tak człowiek rzeczywisty, jak ideał sztuki, o wewnętrznej swjej treści świadectwo daje. Wszak i ideału istotą jest, by działał; wszak tylko dla tego jedynie trzeba mu dobrać świat stosowny, by na nim mógł samego siebie rozwinąć czynem i dziełem. Treść człowieka, zwinięta w głębi duszy, ocknie się tylko, gdy ten świat zewnętrzny uderzy go w samo serce, ugodzi w same duszy tajniki; wtedy człowiek zerwie się uczuciem, błysnie wolą, i uderzy czynem niby gromem. Widzisz to narzędzie muzyczne, jak nieme, głuche; w niém spi i marzy niemowlęciem harmonia, śpią milezające struny; lecz gdy mistrz, co świadom serca tajników i cudów harmonii, dotknie tych strun, wtedy całe chóry aniołów się zbudzą, napełnią świat niebiańską mową, rzekłbyś, że harmonia nowe zapaliła gwiazdy na niebie, z paczków dziwniej nowiej cudności wywołała kwiaty, że piętrząc obłoki na obłokach, złociste powiewne schody do nieba buduje—rozumiesz, że słyszysz mowę ogromnej

rzeki, co z pod Bożego wypływa tronu i zapada w wieczności łono. Tak i struny duchowe w ideale milezą, póki na nich nie zagra ręka mistrza. Nim zaś usłyszemy te tony jego, nim przebudzenie ideału i walkę jego obaczymy, wprzód jeszcze go uważać nam potrzeba w różnych jego postaciach, wyprzedzających tę walkę jego.

Postać idealna, figura poetyczna, postawiona jest tedy wśród świata, który ją otacza; stosunek, w jakim się ona do niego ma, jest jój *sytuacją*; zachowuję tę nazwę, choć nie swojska, otarła się bowiem w języku estetycznym Europy. Owoż ta sytuacja nie zawsze jest walką ze światem, a czasem ideał żadnej jeszcze nie ma sytuacji, bo w żadnym nie zostaje stosunku do świata, lecz zamknięty jest w sobie, w sobie tylko utopiony; świat zewnętrzny nie wywołał jeszcze czynności jego. Jeżeli poczyta taki stan, taką sytuacją kręśli, toć ona jest tylko epoką przechodnią, stopniem przygotowawczym. Malarstwo jednak i rzeźba, mogące chwycić jedną chwilę tylko ideału swojego, lubią mu nadawać postać nie mającą jeszcze żadnej sytuacji, nie będącej w żadnym jeszcze stosunku ze światem zewnętrznym. Rzeźba zwłaszcza kocha się w przedmiotach téj treści, nadając im cały piękności urok. Tu z pod dłuta, z łona jasnego marmuru zradza się postać śpiącego Amora, tam Jowisza głowa lub innych niebian oblicza spozierają na świat czołem i okiem pełnym spokojnego majestatu. Tam koło Cezarów, co niby bogowie spójrzeniem mierzą świat,—lub świeci się Wenus medycejska lub kapitołińska ufna w swą potęgę, Pallas welletryjska, Herkules farnezyjski, Bachus indyjski, Eskulapius, Ganimed,

lub inne posagi będące arcydziełem starożytności. A w nowój sztuce widzisz Napoleona, co założywszy ręce z kolumny Vendôme duma nad światem, lub Mojżesza i Bachusa, dzieła nieśmiertelnego Buonarrotti. A i w sztuce religijnej mamy całe morze przykładów tu należących.

Oto, wstąp do katedr naszych, gdzie cię otoczy mnóstwo nagrobków, pełnych poważnego uroku. Bo gdy kraj powierza kamienną historią swoją i sztuki swój pomniki Boskiej pajzy i skrzydłu opiekuńczemu Religii, stwarza chrześcijańskie panteony wielkich ludzi. Któż sobie nie przypomina z lubością kaplicy w Westminsterze londyńskim, nazwaną kaplicą poetów, kędy i Shakespeare w obliczu wieczności duma nad nieśmiertelnością swych dzieł i nad tém, co tu w głębi ziemskiej porusza ducha ludzkiego, i co tam w górze po nad gwiazdami jest stałą, wieczną i niezmienną prawdą. Pomiłując już inne tummy, dotknę tylko tu naszą katedrę krakowską; — one Piasty i Jagiellony i król Stefan, co legli marmurem na tych grobach, spokojni w sobie, bo rzecz skończyli ze światem zewnętrznym, skwitowali się z historią; znać, że spoczęli wieczorem po robocie żywota swojego, oddech przeszłości i powiew wiary stoi im na straży. Ich już nie dotyka sytuacja!

W malarstwie znajdziesz osobliwie ten stan bez sytuacji w pierwszych okresach sztuki chrześcijańskiej, — zwłaszcza w tym, kilkakrotnie już przeze mnie wspomnianym, stylu bizantyńskim, który podziśdzeń w cerkwiach greckich widzujemy. Spójrzysz w oblicze tych świętych, co ciemną twarzą, pełną grozy, otoczoną tłem złocistém, patrząc w świat, nie doczesność lecz po-

zaświatne państwo widzą i w niém toną. Jakoż i w sztuce świętej późniejszej i najnowszej często bardzo spotykamy obrazy, w których figury nie mają sytuacji, np. Pan Jezus pacholę, Madonna syxtyńska, oblicze Chrystusa przez Holbeina, Annibala Caracciego, i wiele tym podobnych areydzieł.

Atoli tak grecki jako i chrześcijański świat nie przestał na sztuce i ideałach nie mających sytuacji, bo dotknął się poznania owocu dobrego i złego, opuścił swój niewinności raj, wstępując w walkę z życiem; a tak rozwinąwszy się sam z siebie, rozwinął także i ideały swoje, nadając im czynność i ruch. Jednak są ludy w dziejach świata, których umysł wiecznie w zarodzie spoczywał, a cała téż ich sztuka niemal wystawia ideały bez sytuacji; bo duch ich jeszcze samego siebie nie uznał, ani położył piętna swéj potęgi na świecie. Patrz na dzieje starych Indyów, na ich myśl pierwotną, co jest sercem ich historyi, i na ich sztukę będącą odbiciem wierném téj ich myśli. Oto masz tę myśl główną Indyów, tę myśl ich żywotną zamkniętą w wierze o Wisznu. Wisznu, Bóg Stwórca, drzémie snem złożony na głębokim trzonie oceanu, spoczywając na samém dnie morskiem, lub na węzu wieczności, a z niego wyrasta długa, bardzo długa łodyga, sięgająca aż na sam wierzch wody; na téj łodydze roztula się kwiat *lotos*, co pływa i unosi się na falach oceanu: póki ten kwiat był pączkiem, póty był światem przed stworzeniem — rozkwitniony, jest światem po stworzeniu; a cztery rozpięte liście jego, są to cztery części świata, niby półwyspy otoczone falą wiecznych wód, a pręciki i miodniki tego kwiatu, są najwyższych gór

przyczół; z nich płyną główne rzeki Ziemi. Liście oderwane od kwiatu, płynące samopas około niego, stanowią wyspy oceanu. Z tego pojmowania rzeczy już poznać można ducha Indów. Nie roztaczam ci przeto już tutaj dalej obrazu jego, bo już z tego, co powiedziałem, widzisz jak ściśle jest pomieszanie boskich i ludzkich rzeczy; tu zrasta się doczesność i wiekuistość, świat duchowy z fizycznym, bóstwo i świat w ściślejszym z sobą są jedności; bóstwo wciela się w materią, a materia wyzwolona z swych więzów staje się duchem, bóstwem. Tu wiecznie trwa przeradzanie się jestestw w siebie: co było, odradza się w to, co będzie; koniec jest początkiem. Cały świat, tak duchowy jak i cielesny, bóstwo i stworzenie, są tutaj dziejami wiecznego przejścia i przeradzania się rzeczy zmysłowych i duchowych; świat, ze wszystkiem co jest, płynie party bez końca przez przeobrażenia wieczne. Wszechbytność jest wędrownikiem, co idzie drogą przez tysiące, miliony lat, przywdziewając na się różne kształty, to duchów, to rzeczy materialnych; a gdy całą drogę odprawi, poczyną znów od początku, a tak wiecznie i wiecznie koniec jest i początkiem, cała droga jest kołem. To nierozdzielnienie, ta jedność echem przechodzi w całe życie Indów, w ich sztuki, w ich ideały.

Nie tu jeszcze miejsce, bym się zanurzał w ten świat czarów, i w puszcze indyjskie, będące siedliskiem i teatrem ich epopei, i badał Ramajanę i Mahabaratę, te dwie olbrzymie ich pieśni; słowem tu w tej poezji człowiek i bóstwo, zwierzę i niebo, gwiazdy i drzewa w ścisłym są z sobą związku. Bohaté-

rem w tych pieśniach jest pokutnik: on umartwieniem siebie dokazuje dziwów, pokutą może podnieść się nad siebie samego, zostać Brahmanem; a pokutując przez lat tysiąc, z kolei dostępuje światowładnej mądrości, później wstrząsa potęgą światy, wzdyma fale rozhukane morza, gasi słońca jasność, rzuca lęk na same bóstwa, słowem włada światem jakby własną osobą swoją; bo ta moc człowieka nad wszechnicą światów zmysłowych i umysłowych jedynie ztąd pochodzić może, iż on z niemi jedną składa całość i ściśle z nią jest złączony. Byleby więc umartwieniem ciała zrzucił z siebie część materyalną istoty swojej, byleby ją starł i zniweczył, wtedy znów wraca do stoku pierwotnego wszechbytności, odłączenie jego od istności ogólnej, sprawione ciałem jego, ginie, a duch niby kropla wlewa się w ocean wszechduchowy. Tu nie ma więc silnie odznaczonej granicy między ideałem a światem jego zewnętrznym, nie ma tedy i *sytuacji*, a przynajmniej nie ma jej w zwyczajnym rozumieniu rzeczy.

A budowania i rzeźby indyjskie? W nich wyraźniej jeszcze niż w poezyi pokazuje się ten brak sytuacji; owa zaś jedność człowieka z naturą i bóstwem w całej swój sile występuje. Budowania ich, świątynie, grody postawione bogom, podobne do miast i pałaców, nie dźwigają się na jawie, na jasnym słońcu, bo wykute w głębiach skalnych, w ciemnicach podziemnych, a budowania te olbrzymie bez końca ciągną się długimi ulicami obok siebie, nad sobą, piętrzą się w krąganki, pałace sparte na całym lesie słupców i kolumn dziwnie rzeźbionych. Tu wieki całe i miliony ludzi złożyły świadectwo swych trudów, twar-

děj pracy; tu pokolenia całe znoily się robotą i tu zai-
ste razem z bogami swojemi mieszkały. A to wszyst-
ko ukryte w łonie ziemi: bo duch człowieczy z tą ma-
tką-ziemią jest w jedności jeszcze i nie wychylił się
z jēj objęcia. Ich rzeźby i posągi, bóstwa, potwory,
w których wzrosło mnóstwo głów, rąk, nóg, postaci
ludzkie i zwierzęce, a całość wiąże się i gmatwa
w głąb, w nierozdzierzgniony motek. Te rzeźby wyra-
żają wszech rzeczy jedność mglistą zlaną w sobie; tu
nie ma sytuacji.

Ten duch Indów, który, jakby ziarno cichemu łonu
ziemi powierzone, spoczywał jeszcze w ciemnościach
swój architektury pod ziemią, w Egipcie zatęsknił ni-
by ku światłu jasnemu, wyrósł kielkiem na powierz-
chnią ziemi, dźwignął się na niej oném budowaniem
nadnilowém: architektura Egiptu nie stawia się już pod
ziemią ale na ziemi. A dziwne téż jest to budowanie,
a dziwniejszy jeszcze ten lud, co pielgrzymką prze-
szedł tym krajem pełnym tajemnie. Tylko jedna tutaj
myśl pokryła nocném skrzydłem swém i lud ten i kraj:
jest to myśl o śmierci, krom niej nie ma wagi, a
człek w swém dumaniu tonie w otchłani zamroczonej
własnej istoty swój, niby w bezdennym grobie. A hi-
storya jego jest długą, przeciągłą, jednostajną; wie-
cznie a wiecznie wybija ona tu jeden i ten sam akkord,
a ten ton jednostajny i pełen grozy jest jakby weie-
lony, jakby skamieniały w te dwoiste szeregi sfinksów,—
co w jednostajnych ustępach parami naprzeciw sobie
ustawione, zawsze jedne i też same, jakby monotonnym
dźwiękiem, prowadzą długą drogą do świątyni, niby
dowieczności przybytku. Tu wszystko pokryte śmierci

oponą, a napis na świątnicy Izidy w Sais wiecznie przemawia do przepływających stuleciów: »Ja byłem — jestem — będę, nikt nie podniesie opony mojej, ale Słońce jest moim synem.« Śmierć jest tutaj osią świąta i bytności wszelkiej; — domy doczesne są skromne, biedne, od niechcienia budowane, bo życie ziemskie jest tylko jednym noclegiem, przemenną gospodą niezastępującą na uwagę; groby zaś, te śmierci mieszkania, są olbrzymie, stawiane dla wieczności i przetrwały lat tysiące.

W Egipcie starym nie szukaj poezji żywej, ona obróciła się w granitów hart. Hymnu wzniesłego płomień strzelił obeliskiem ku niebu, modlitwa zbudowała się w piramidę obtulającą sobą królów grobowce, a dramat zagrał mową onych budowli tebańskich i lasem ich słupców monolitowych zdziwiających historią; a pieśń tęskni i płacze w tych świątnicach, co od katarakt do Memphis nieprzerwanym szeregiem dumają nad Nilem toczącym poprzez głuche pustynie te fale swoje, niby stulecia uciekające do wieczności łona. Ich epopeją są groby tebańskie wykute w skałach Nubijskiego pasma, owe katakomby i podziemne miasta, co powikłane labiryntem nieskończonych pieczar są śmierci stolicą. Gdy odwiedzisz dziś to ciemne państwo wiecznego milczenia, gdzie jedynym życiem są roje nietoperzów i sów oblatujących pochodnie wędrowca piaskliwym krzykiem i ocięzałém skrzydłem — roztworzą się ci zewsząd ulice umarłych: bo od samego dna podłogi, aż do wysokich sklepień ułożone są warstwami trumny, piętrzące się na sobie, a bez końca ciągną się tych trumien ściany; a tak wszędzie i wszędzie towarzy-

szą ci tysiącami świadkowie śmierci. Stólecia wszystkie starego Egiptu złożyły tutaj zwłoki swoje; tu i ówdzie tylko swawolną ręką Arabów poderwane spodnie warstwy trumien zwały na ziemię całą ich budowę; cała ściana runęła, rozścielając mumje po podłodze pieczar; gdzie stąpisz, noga zapadnie przebijając się jakby przez próchno, przez stósy ciał, z których kurzawa i miał gruby, ciężki, wznosi się ciemnym kłębem, zatykając tehy i mrocząc światło pochodni. To jest epopeja i życie Egiptu, epopeja śmierci! W téj epopei umarli są bohaterami, a życie całe skureczyło się w brunatną mumiąomalowaną hieroglifem, a duch skamieniał w Memnona; tu życie, śmierć, niebo i ziemia, człowiek i bóstwo okryło się zagadką. Życie doczesne jest czezym, martwym snem, z niem nie ma o co walczyć, a bój i pasowanie się z doczesnością jest tu bezwagi. Tu nie ma tedy i sytuacyi artystycznej — tu człowiek się rodzi by umarł. Patrz! na wstępie do średniego Egiptu, jakby na straży, zasiadły dwa posagi Memnonów; zarysy ich ciemne czarnym wizerunkiem odrzynają się na wiecznie jasnych nieba błękitach; samotne, nieme, milczące. Wtedy tylko, gdy ze światem pierwszym słońce na nie spojrzy, one zabrzmią dźwiękiem, niby jękiem długim; jest to głos rodzącego się i umierającego Egiptu: ten jęk jest całą mową jego historii. A te Memnony i sfinxy, i te bóstwa wszystkie, co pilnują wstępu do tajemnic świątyń, lub zdobią ich ściany, są suche, jałowe; nogi, ręce przyciśnione do siebie, wszędzie formy nie okrągłe, kończyste, postaci wyprostowane, twarde jakby duch ściśniony powiciem. Najdobitniejszym są one tedy przy-

kładem braku stosunku do świata, braku sytuacji. Atoli oblicze i wzrok tych bóstw, Memnonów i sfinxów, patrzy w otchłan wiekuistą nieba, utopiony w gwiazdach; one pomijają ten świat i tę treść jego biedną, zapominają o rzeczywistości nie istniejącej dla nich.

Podobnej formy, choć barbarzyńskiej, są stare słowiańskie i germańskie bożyszcza, tudzież początek rzeźby i sztuk u wszystkich narodów, jak to widzimy między innymi np. u Greków i Etrusków w pierwotnych ich czasach. Przecież — to ziarno duchowe sztuki, co się w Indjach kryło pod ziemią tuląc się do Natury, a w Egipcie wykuło się bladym kielkiem ku słońcu, w Grecyi dopiero jaśnieje bogatym kwiatem. Tu duch i sztuka usamowolniona, tu zaczyna się sytuacja; bo człowiek, uznawszy siebie, uznał też stosunek swój do świata, i tu ideał zjawia się oswobodzony w sobie, wyzwolony; to związanie rąk i nóg i sztywność ciała, właściwe Egipcjowi, ginie; duch się wzmacnia, ciało nabiera swobody i wolności — słowem, ideały nabierają sytuacji.

Sytuacja zaś nie staje się od razu walką, jest dopiero przejściem do niej, jest to sytuacja pełna jeszcze spokojności w sobie; figury już nie dumają więcej, nie zapadają się już duchem w otchłaniach własnej istoty, ale są oswobodzone i wolne, i zatrudniają się sobą. Stopień ten jest osobliwie dla rzeźby stosowny. Posągi w swą cichą a milezącą wielkość spoglądają jakby z Olimpu w ten świat nasz śmiertelny.

Dokładniej atoli niż tłumaczenia wszelkie wyjaśniają ten rodzaj sytuacji przykłady z dzieł sztuki głośniejszej i powszechniejszej sławy. Zrozumiesz jednak, iż jak wszę-

dzie, tak i tutaj zastosowanie ogólnych pojęć do przykładów ma swoje trudności; bo gdy teoria rozdziela rzeczy dobitną granicą na klasy, stopnie, i tym podobne odcienia, w rzeczywistości tego silnego odgraniczenia nie znajdziesz, bo często spotkasz się z przedmiotami stojącymi właśnie na granicy dwóch różnych dzielnic, przechylając się to w jedną to w drugą stronę; tak też wiele jest dzieł sztuki, gdzie trudno by przyszło orzec stanowczo, czyli stan ideałów jest już stanem bez sytuaeyi, czyli też jest już początkiem tej sytuaeyi spokojnej w sobie, będącej cichym ducha żywotem, a którego czynność nie wypływa jeszcze z rozdzielenia ich ze światem, lecz raczej z własnej jego natury. Duch ideałów tu należących jest kryształową wodą źródła, co cichym ponikiem, poczawszy się w sercu szczytów alpejskich, sączy się samotnie wśród kwiatów niedostępnej polany; natura tylko słyszy cichą jego mowę, a niebo samo strzeże jego biegu; a płynie mileząc i w pokoju, nim się strąci urwistym spadkiem w głębie doliny, nim wzmógłszy się potęgą swęj wody grzmieć i pienieć się znajdzie się w padolach burzliwego żywota.

Starożytność zostawiła nam najcudniejsze wzory tej sytuaeyi: Diana myśliwa zdobiąca bytnością swoją Parыз, Apollo lutnista, Amor i Psyche, Amor z łukiem, Apollin i Faun, obaj mieszkańce trybuny florenckiej, młodzieniec wydobywający drzazgę ze skałeczonej nogi, Faun grający na fujaree, i wiele tym podobnych dziwów świata greckiego; a obok nich śmiało postawić możesz wiele areydział Canovy i Thorwaldsena: wspomnę tylko o ich grupie trzech gracyi. Cicha wielkość

duchowa, wyrażająca się tą sytuacją w rzeźbie, jest najwyższym urokiem; rzekłbyś, iż duch tych figur śpiewa w głębi swojej pieśń nieśmiertelną, nie dochodzącą zewnętrznego świata — sam sobie jest wieszczem, sam słuchaczem. Gdy w posągach tu należących nie ma tego nadziemskiego duszy spokoju, gdy w téj sytuacji figury okazują ruchy gwałtowne, nagłe, szamotające się, wtedy graniczą prawie z karykaturą. Tak np. patrząc na onych kolosalnych marszałków, których niedawno jeszcze można było widzieć na moście Ludwika XV w gestykulacji nagłej, w postaci szumnej i nadętej, powiedziałbyś, iż to truppa złych komedyantów, co nagle skamieniała. Turki, dźwigające w kościele zamkowym trumnę króla Jana i Michała, lub te anioły, dmące wzdętą twarzą w trąbę sławy, są jawnymi świadkami upadku uczucia piękności, który tak u nas jako i w całej Europie się pojawił. W sztuce świętej tu należy np. Pan Jezus, dzieckiem będąc, pieszczący się krzyżem albo bawiący się to kwiatem, to ptaszkiem lub owocami — albo igrający ze Świętym Janem; — Święta familia oblana spokojnością niebiańską, Chrystus zmarłychwstały, Najświętsza Panna wpatrująca się obliczem pełnem miłości i czei Bożej w postać śpiącego Zbawiciela. Podobne przedmioty są niewyczerpane, i byłoby daremną pracą chcieć wyliczyć choćby najdrobniejszą ich część. A lubo sytuacja ta osobiwie sprzyja rzeźbie i malarstwu, jednakże i w poezji okazuje się często pełną cudownego uroku. Taką np. znajdujesz w niektórych miejscach Fausta Goetego. Faust, wszedłszy z Mefistofelem cichaczem do komnaty Małgorzaty w nieobecności jej, w zachwyceniu powiada:

Tu powiéwa skromnéj zaciszy tchnienie,
 I rządu i spokojnéj szczęśliwości uczucie!
 Wśród ubóstwa tego jakież bogactw skarby!
 W tém więzieniu jakież niebiańskie wesele!

.....

(Podnosząc zasłone łóżka.)

Porywa mnie dziwny rokoszy dreszcz!
 Tu stojąc dawałbym godzinami życie moje!
 O naturo! Tu lekkim marzeniem sennych obrazów
 Wypiaśtowałaś poczętego w duszy anioła!
 Tu spoczywało lube to dziecię,
 Pieszcząc w piersiach tkliwych ciepłego życia pączki!
 Tutaj pod świętym, czystym oddechem
 Roztuliła się jasnych Niebios postać!

Tak i Julia, nim poznała Romea, jest aniołem, spokojności pełna, potulna bez granic woli matki swojej, rzuca się cała w objęcie jęj. Gdy jęj matka odkrywa zamiśl rodziców, by ją zaślubić Parysowi, i prosi, by mu się przypatrzyła na balu, Julia odpowiada, że się będzie przypatrywała, ale że o tyle tylko o nim sądzić będzie, o ile matka jęj na to zezwoli. Poezya liryczna przemawiająca o wnętrzu duszy, wyléwająca z gorących piersi dzieje tajemnicze uczuc naszych i myśli, najczęściej objawia nam ten stan sytuacyi, — téj sytuacyi bez walki. Hymny i psalmy zwłaszcza tutaj należą.

Przecież spokojność ta duchowa ulatuje z serca ludzkiego, gdy człowiek, słuchając jedynie własnego natchnienia, zderzy się ze światem i potraci ludzi odmiennych uczuc i woli. Wtedy zradza się kollizya wdzierająca się w cichą istotę człowieka, a kollizya prowadzi do czynów i walki. W różnych téż postaciach i różnych kształtach snują się około nas przyczyny wywo-

łujące kollizyą. Naprzód człowiek, ciałem swoim do natury fizycznój należąc, narażony jest na jój działanie. Prawda, że z naturą samą niepodobna jest walka, lecz katastrofy natury mogą się stać przyczyną kollizyi z ludźmi. Tak piękne nam przykłady starożytność nastrocza. Grecy np. wybierają się pod Troję; ale w Aulidzie brak sprzyjających powiewów wiatrowych zatrzymuje drogę ich floty. Wróżby badane orzekają, iż natura nie będzie sprzyjała ich podróży, póki Iphigenia córka Agamemnona nie zostanie poświęconą na ofiarę Dianie. Tak Agamemnon i Iphigenia postawieni są w kollizyi z dobrem i wolą całej floty greckiej. A przyczyny pierwsze téj kollizyi są potęgi natury fizyczne, brak pomyslnego wiatru. Podobnie dzuma, powódź, głód, pożar i inne podobne wypadki przyrodzone stają się przyczyną zderzenia się z ludźmi. Wszelako klęski pochodzące od potęg natury straciły już wagę swoją; gdy Religia zaświeciła łąną Bożą, stały się one nawiędzeniem Opatrzności, wpływając pociechą w serce ludzi. Duch ten i wiara rumianém światłem otaczają postać Hioba i historią jego, tak cudownie skróśloną w piśmie świętém. »Ogień Boży spadł z nieba, i dobytek jego i majątność w niwecz obrócił; wiatr przypadł z pustyni, uderzył we cztery węgly domu, a dom upadł i zgruchotał dzieci jego; a Hiob powstał, rozdarł płaszcz swój, i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. Niebawem choroby zaraziły ciało Hiobowe od stóp aż do wierzchu głowy jego: a tak stał się pośmiewiskiem i poniewierką ludzi najlichszych. Odstąpiły go dawne przyjaciele, a nawet żona jego, i zwróciły przeciw niemu mowę swoją dotykając ciérpkimi

wyrzutami, i złorzeczyły mu gromiąc, że to grzechy jego ściągnęły gniewy Boże. Lecz Hiob korzy się Panu, wyznawa winę swoją, w końcu téż Bóg przyjął oblicze Hiobowe i błogosławił ostatnim czasem jego więcej niż początkom. A Hiob żył długo i oglądał syny swe, i syny synów swoich, i umarł będąc starym i dni sytym. «

Inaczéj, i wbrew przeciwnie, rzecz się ma w świecie klassyicznym pogańskim: tu inny stosunek jest człowieka do bogów swoich a wyraża siebie w swéj całości w Promethensie Aeschylusa. On tajemnie uniósł zazdrościwym bogom ognia płomienie, co zradzają sztuki, umiejętności i wiedzę, najwyższe człowieka dobro. A Pan Olimpu w zemście swéj i zawiści uderza okropnością swéj kary. Prometheus, choć do skały przykuty, harde stawia czoło Jowiszowi, zuchwale wyzywając zemstę króla bogów, sromotą okrywa Hermesa wysłańca jego; a gdy już chwila ostatnia, pełna okropności, nad głową jego się zbiera, Prometheus pelen pogardy, woła:

„Niechaj spada płomieni żar,
I śniegów uskrzydłonych mrozy!
Niech gromów, światem wstrząsających, potęga
Wasze jestestwa pomięsza zamętem!
Ja nie ukorzę méj głowy! — (w. 902).

A tak w ostatniej chwili, gdy cała natura się szaleństwem rozsrożyła, gdy zbuntowane żywioły wirem pełnym grozy oblatują go kołem, gdy ziemia drżąc w swych posadach pęka, a tartarus, roztwierając się, chłonie go w swe przepaści, on trwa w potędze niezłamanej woli, i tak przepada do piekieł: zaeny sposób znoszenia krzywd natury.

Jest zaś inny rodzaj kollizyi również z natury pochodzący, lecz nie z natury zewnętrznej otaczającej człowieka, jak raczej z wpływu, jaki z uredzeniem samém na człowieka wywiera. Zważ np. obraz mistrzowski, jaki nam skręślił *Victor Hugo* w *Notre-Dame de Paris*, obraz owego *Quasimodo*. Natura zrobiła go ohydny potworem i prawie bezrozumnym zwierzem, a tak rozdzieliła go przepaścią nieprzebytą od *Esmeraldy*, przedmiotu miłości jego. W kollizyi tego rodzaju postawiona jest *Rebeka* w *Ivanhoe* *Walter-Skota*: ona, żydówką będąc, kocha się w rycerzu chrześcijańskim. Także miłość bez nadziei jest uczucie *Ophelii* ku *Hamletowi*: ona dziewczica skromnej przyszłości, on następcą tronu; ta różnica urodzenia, mocą ustaw państwa, staje się powodem kollizyi. Lecz godniejsza dla sztuki i człowieka jest kollizya pochodząca nie tak od ślepego władztwa przyrody, jak z własnego czynu człowieka, to jest gdy człowiek własnym i od niego zależącym postępkim stawia się w rozdzieleniu ze światem, gdy tu nie miesza się ślepy traf i przypadek, ale jasna wola i jawny czyn człowieka. Czémże atoli są te czyny? jakieżto są te potęgi, co prą człowieka, by działaniem się zjawiał? To jest jeszcze jedno z zapytań ciężkiej wagi, które teraz mi rozwiązać wypada. Chociaż rozbiór mój następny prawie do wszystkich sztuk się nadaje, przecież najbliższe ma zastosowanie w poezyi. Miěj tu zwłaszcza tragedya na pamięci; bo jak poezya jest najwyższym szczeblem sztuki, tak znów tragedia jest najwyższym rodzajem poezyi; w tragedyi tedy, w ognisku sztuki, teoria znajduje zupełne i całkowite miejsce swoje.

Słońce, duch opatrny natury, stanęło w ognisku zmysłowego świata i ociepla go i oświeca swym promieniem, i trzyma swą siłą na wodzy, by się nie zapadł w przestworzach bez końca; a koło niego toczą się gwiazd tłummy i ogrzewają się przy tém świetle jego. A promień słońca jest przejrzysty, wiecznie jeden, wiecznie ten sam; gdy atoli spłynie na tę naszą ziemską doczesność, wtedy to traci swoją wiekuistą białosć jasną i rozбивa się w kolory powlekające rzeczy materialne. Jakoż jestestwa ziemskie mają tylko barwy, a nie stać ich na jasność białą promieni słonecznych, bo barwy nawet świata materialnego nie są w swęj czystości, lecz przyémione doczesnością. Wszak w całém państwie rzeczy materialnych, które widzimy na kuli ziemskiej, żadna nie ma barwy w swęj czystości pierwotnej, wszystko jest skalane, jakby kurzawą rzeczy ziemskich; i rumieniec róży, i zieloność dąbrowy i błękit niebios, noszą na sobie cechę pokalania materialnego. Gdy zaś jeden z tych jasnych białych promieni weіśnie się w pokój ciemny szczeliną okienicy, niby słowo Boże w doliny ziemskiego żywota, i gdy go uchwycisz słupcem przejrzystym pryzmatu kryształowego, owa jasność biała rozszechpi się na płomyki różnobarwne, i płatami najświetniejszej barwy zaświeci na ciemnej ścianie pokoju, a każdy płomyk zapali się barwą czystą, jasną, przejrzystą, jakiej natura materialna zaznać nie zdoła. Lecz gdy znów nadstawisz tym różnobarwnym promieniom szkło wypukłe, soczewkę, zbiorą się te wszystkie promienie w jedność, zleją się z sobą, i znów złożą promień biały, znów wróci się jasność wiekuista, co nie zmienia się nigdy i trwa po wszystkie wieki, któ-

ra sama jest matką jedną i powszechną wszelkiej przemijającej barwy.

Tak, drogi przyjacielu mój, jest jedna prawda ogólna, powszechna, będąca okiem świata, ciągle jedna, wiecznie ta sama: jest to mądrość przedwieczna, co ociepla, oświeca i trzyma świat po przez stolecia i lat tysiące, co, jak planety, wirem ją obiegają, i biorą z niej życie i światło i ciepło swoje. Lecz promień ję jasnej białości nie zjawia się w swęj czystości w sercach ludzi. W każdym człowieku, miasto onego jasnego promienia wiekuistej mądrości, świeci tylko jedno przeważające uczucie, mające swoją własną barwę, swoją cechę osobną, różniącą go od innych. Przyjaźń, miłość, honor, przywiązanie rodzeństwa, rodziców, chęć sławy, odwaga, przywiązanie do kraju i t. p. uczucia, są to owe cechy nadające piętno ludziom, gdy jedna z nich wyłącznie w człowieku górę bierze. Uczucie to przeważające w człowieku jest zaiste prawdą, lecz tylko prawdą szczegółową, ztąd więc w tém niedostateczną i błędną, że jest prawdą przeważającą, że samo jedno siebie za prawdę uważa, że nie przyznaje innym prawdom szczegółowym téj samęj wagi, téj samęj wartości, że tém samém grzeszy *onęj prawdzie ogólnej, powszechnęj i wiekuistej*, świecącej ożywcem ciepłem, wieczną jasnością przeczystą, która jest źródłem wszelkiej barwy duchowęj i ogólnym początkiem wszelkiej szczegółowęj prawdy, która je wszystkie zarówno w sobie zawiera. Przecież i te szczegółowe prawdy pojedyncze, rozdzielone w rzeczywistości po sercach i umysłach ludzi nie świecą w nich czystą, niezmaconą barwą, bo są przyćmione pyłem rzeczywistości i zamroczone doczesności

tem (*ob. List IX*). Gdy atoli ten promień biały, jasny wiekuistej prawdy uchwycisz kryształowym pryzmatem sztuki, już on rozszepi się na różnobarwne promienie szczegółowych ideałów, figur poetycznych, z których każda świecić będzie jedną osobną prawdą, niby jedną barwą tęczy, a prawdy te już okażą się w swój czystości, uwolnione od pyłów ziemskich; proch i éma rzeczywistości z nich spadnie, bo będą wzniesione nad świat doczesny, powszedni. Tak w sztuce, zwłaszcza w tragedyi, prawda jedna wiekuista rozpromienia się na koło ideałów. Jednak mistrz, sztuka, ma za powołanie swoje uzmysłowienie nieskończoności tej prawdy wiekuistej, która zawsze jest jedna, zawsze ta sama (*ob. List VII*). Nie może tedy sztuka piękna poprzestać na prawdach szczegółowych, wyjawiających się w figurach pojedynczych, lecz winna okazać potęgę wiecznie trwałej *prawdy nieskończonej*, i na napowrót wrócić jej światłość jasną, białą, bezbarwną, winna ją rehabilitować, winna znów zebrać te promienie różnobarwne swych figur w jedno ognisko, zlać je razem. Tak figury tragiczne, z których każda jest tylko wyobraźnikiem jednej prawdy szczegółowej, ją tylko uznając, stają w kollizyi, występują czynem i walką przeciw sobie, i grzszą prawdzie, która jest prawdą wszystkich prawd. Dla tego téż te figury tragiczne giną i ginać muszą; śmierć ich jest zagubieniem prawd szczegółowych, zlanie ich niby różnobarwnych promieni w jeden biały wiecznie jasny promień, jest zadość uczynieniem onej prawdzie wiekuistej i jej krwawą rehabilitacją. Do tej wiecznej prawdy wszystkie prawdy wracają, tak jak z niej wypływają — ona nie ginie nigdy. Tak się dzieje w sztuce, tak w tra-

gedyi świata. Tak pojmowali teorią kollizyi tragicznój wieley mistrze. Pozwolisz, abym to, powyżej roztoczone, pojmowanie wyjaśnił stosując je do jednego z arcydzieł sztuki.

Zgadujesz już, iż wybiorę najwyższego mistrza wszystkich wieków chrześcijańskich—Shakspearą. Z jego tragedyj najstosowniej nadaje się za wzór *Romeo i Julia*, bo już i nie pierwszy raz o niej wspominam, a nadaje się tém więcej, iż to dzieło jego najgłębiej rozbrane zostało przez estetyków, na których już opierać nam się godzi. Nie mogę się wdawać tutaj jeszcze w sam rozkład czynności, w organizm jego wewnętrzny, bo nie tutaj miejsce, bym oznaczył istotę tragedyi; ograniczę się tylko skróceniem barwy i cechą figur, z których każda jest uzmysłowieniem inną prawdy szczegółowej, i dla tego każda staje w kollizyi ze wszystkimi. Piastą całej tragedyi jest *miłość*; ona tu posiada wszechwładną potęgę, ale wyraża się w całej swój wszechmocnej sile w *Romeo i Julii*. Choć ona w duszy gorącej i gwałtownej Romea innym świeci promieniem niż w sercu dziewczęciem jego kochanki, przecież tak jego jak i ją zarówno niewstrzymaną przewagą prze i porywa do zguby: bo oni oboje wierzą tylko w *miłość*, w prawo własnego serca, ją tylko uznając za prawdę, a wszystkie inne lekce sobie ważąc.

Inna prawda szczegółowa wciela się w ich rodziców, będących głowami dwóch zawistnych sobie domów *Capulettów* i *Monteków*; ci wierzą jedynie w *prawo rodziny*, unoszą się prywatą i nie dbają o całość ojczyzny swój upadającej pod brzemieniem niezgody wewnętrznej; a w téj waśni wrogich rodzin przepada bez na-

dziei miłość dwojga kochanków. Kierowany jedynie widokiem podniesienia świetności domu swojego i znaczenia rodziny, *Capulet*, ojciec Julii, przeznacza ją Parysowi, nie pytając się zgoła w tym wyborze serca swéj córki. Sam zaś *Parys*, możny młodzieniec, wysoko siebie wazący, kocha się w Julii, nie pyta jednak czyli uczucia jego znalazły odgłos w jéj duszy. Nie o jéj przywiązanie się stara, ale wprost do *rodziców* się udaje, w *ich tylko władzę wierząc*; i w tém się myli. Dla tego słusznie uważają za mistrzostwo Shakspeara, iż Parys ginie z ręki *Romeo*, bo ten zaiste rzetelniejsze do niéj ma prawo. *Tybalt*, z domu *Capuletów*, jest wcieloną *odwagą i ślepą nienawiścią*, kocha bój dla boju samego.

Merkucyo, przyjaciel *Romeo*, filozof, zważający wszystkie rzeczy ziemskie z ich strony *żartobliwej, małoznacznej*, drwi sobie ze świata, ludzi i życia, satyrycznie na świat się patrząc. To stanowisko, jak z jednej strony jest prawdą i dowodzi że *Merkucyo* uniósł się nad doczesność, tak z drugiej strony jest mylne: życie ma swoją stronę wielkiej wagi i pełną zgrozy. *Benvolio* i ojciec *Lorenzo* są pierwiastkiem zgody i rozumu zimnego, ale słowa ich i starania giną wśród huku rozigranych fali namiętności; bo tam, gdzie serce jest rozkołysane burzą rozumu, na mowy nie wystarcza.

Jakby na dopełnienie całości Shakspeare stworzył figurę, jaką jest *mamka Julii*, zapatrująca się na miłość jedynie ze stanowiska *wyłącznie zmysłowego*. Z początku jéj słowa nie są zrozumiane przez serce Julii, dziewczicy pełnej niebiańskiej czystości, lecz gdy odgadła sposób widzenia swéj staréj przyjaciółki, już jéj nie ufa,

odwraca się precz od niej z uczuciem obrzydzenia. Podobnie *służba* wchodząca do gry, *muzykanci* nie dzielą nieszczęścia, co gromem na cały dom spada i i. p. są pełni grubych dowiepów, ironią ciérpką życia, i służą w rękach naszego wielkiego mistrza za tło, na którym silniej jeszcze koloryt całej sprawy się maluje. Weroną znów, będącą sceną tych dziejów tragicznych, właśnie wystawia nam ten świat uznany przez nas powyżej jako tło właściwe dla figur poetycznych, to jest ów brak ścisłych stosunków towarzyskich pozwalający swobodne działanie indywidualności. Stan ten wątlęgo porządku publicznego i *dobra ogółu wstrząsanego rozterkami domów przemożnych* wyobrażone są w osobie *księcia Werony*. Jest on jedną z najważniejszych figur naszej tragedyi. To groźbą, to ustawami, to środkami łagodzącemi radby ukoić właśnie dotyczące boleśnie dobro publiczne. Wszakże usiłowania jego są daremne, nie zdołają uśmierzyć rozigranych niechęci i dumy prywatnej.

Spojrząwszy na te wszystkie figury, na te ideały, które wchodzą do téj tragedyi, wyznasz zaiste, iż *miłość, związki rodzinne, powaga rodziców, mężtwo, uważanie rzeczy ze stanowiska filozoficznego, zdrowy rozsądek i rozum, zmysłowość, rząd publiczny*, są prawdami pełnemi wagi, lecz każda z nich jest tylko prawdą szczegółową, prawdą pojedynczą, i póty tylko ma znaczenie, póki obok niej inne prawdy szczegółowe ostać się mogą, bo one wszystkie są tylko rozpojedynczonymi promieniami téj wielkiej a wiekuistej prawdy, która je wszystkie w sobie zawiera. Jeżeli atoli one staną w kollizyi, a walkę i bój z sobą prowadzą nie uznając

siebie nawzajem, wtedy téż one w téj walce giną i przepadają, jako to widzimy w naszej tragedyi. Romeo, Julia, Parys, Tybalt, Merkucyo, giną, a katastrofa krwawa tak wstrząsa sercem pozostałych, iż się godzą i jednąż rzekając się swój pomyłki: a tak panowanie prawdy wiekuistej, której wszyscy ubliżyli, przywrócone, i znów opatrzenie świeci nad światem. Wszyscy dotknięci nieszczęściem podają sobie ręce, a ostatnie słowa pełne prawdy najwyższej wyrzeka *książę*, ów wcielony porządek społeczny.—Nie mówmy, iż w téj tragedyi ślepy traf spowodził smutną katastrofę i krwawe rozwiązanie, bo w tragedyi i historyi nie ma trafu; co się stać winno, koniecznie się staje; przypadek ma tylko pozorną władzę, jest on tylko widomą przyczyną, lecz w głębi, na dnie wszech rzeczy, mieszkają potęgi co niecofnione piszą wyroki.

Kollizya i czynność pełna tragiczności wyraża się potężnie w malarstwie i rzeźbie. Ktokolwiek zna np. Niobę i dzieci jój, Porwanie Sabine, Dwóch Szermierz, Laokoona; ktokolwiek zwłaszcza przypatrzył się sali Aegenitów w Glyptotece Monacheńskiej, przyzna mi, iż to są wcielone myśli i ideały tragików greckich i uczuje iż wśród tych ożywionych marmurów wypadałoby czytać Sophoklesa, by się z nim duchem połączyć.

Jeżeli tedy już zaiste się zgodzisz na takowe zapatrywanie się na rzeczy, jeżeli przyznasz, iż figury poetyczne i ideały są wcielonymi prawdami, lecz prawdami szczegółowymi, i takowe prawdy mają za treść swoją, więc téż wątpić już nie będziesz, iż *złe* samo przez się, *złe*

istniejące dla siebie samego, miejsca mieć nie może w sztukach pięknych. Bo co innego jest, jeżeli figura idealna, porwana przekonaniem wewnętrzném, popełnia zbrodnią gruchocąc i łamiąc wszelkie zawady, a co innego wykonywać zbrodnią dla zbrodni saméj.

Te ideały są więc, jakem powiedział, jedynie pojedynczemi promieniami jednéj wiekuistej jasności, z której pochodzą i do której znów wracają, lecz złe samo przez się nie pochodzi zaiste od téj prawdy nieskończonéj, i dla tego téż do niej wrócić nie zdoła. Czyliż z pomieszania cieniów, a cieniów nieczystych, utworzy się jasność? Czyli z dźwięków samych przez się fałszywych złoży się harmonia akkordu? Nie zaprzeczysz iż z tego, cośmy powiedzieli, ideały winny wyrażać jakąś prawdę, a zatem jakiś pierwiastek twierdzący, jakąś bytność uznaną w świecie duchowym. A czémże jest złe, jeżeli nie brakiem czegoś; jest ono czémś głuchém i pustém w sobie; każda zbrodnia ma za nieę swoją enotę jéj odwrotną. Co jest nieczém, co jest czezém i pustém, nigdy nie stworzy dzieła w świecie umysłowym. Co jest czeze, nie może być poetyczném, jest to najjałowska proza. Jakaż piękność wzrośnie i złoży się z tego, co jest w sobie już ohydném, szpetném i obrzydliwém? Już nawet sam sposób mówienia oddawna tu orzekł, nazywając czyny niemoralne, złe, czynami szpetnemi, a nawzajem postępowanie szlachetne, zacne, poczeiwe, uważane bywa za jednoznaczące z czynami pięknymi. Jakież tedy stworzyć dzieło piękności z figur i osnowy szpetnéj i obrzydliwéj?

Już ze samego stanowiska, rozwiniętego w tych listach, zwłaszcza z tego, com wyrzekł w liście szóstym,

wiesz, że ja bynajmniej nie uważam, jakoby moralność miała być celem sztuki pięknej; bo jak z jednej strony sztuka, uzmysławiając nieskończoność istoty człowieczej, już tém samém uszlachetnia i uzacnia człowieka, tak z drugiej zgadzasz się, iż ona tego uszlachetnienia nie ma za cel swój główny; ona, jakem powiedział, jest bo jest, bo wypływa koniecznie z istoty człowieka. A w końcu zważ, iż moralność a estetyczność inną piędzią mierzą. Słusznie mówi Schiller, iż czyny człowieka nie zawsze są w tym stopniu niemoralne, w jakim są nieestetyczne. Cóż bardziej nie estetycznym, jak kradzież, kłamstwo, oszustwo, a przecież to wszystko w oczach moralności mniejszem jest przewinieniem jak morderstwo. I zabójstwo i zbrodnia pod pewnemi warunkami mogą być, i bywają bardzo często, wprowadzone w sztuki piękne, ale nikiemność, podłość jest wręcz wszelkiej sztuce przeciwna. Dla tego zrozumiesz, iż nam trudno przystać na wiele figur, które Pan Kraszewski w powieściach swoich skróślił — nie wspominam już o autorach innych literatur.

Zarzucasz mi może, iż wielkie imiona jako Dante, Milton, Byron, Goethe wprowadzają szatana w poezye swoje, a szatan jest przecież wyobraźnikiem *złego* samego przez się, istniejącego samo dla siebie. Prawda, ale téż u tych mistrzów szatan ma inne wcale znaczenie, jest on ową wewnętrzną pochopnością człowieka do złego, gnieźdzącą się na dnie serca, miotającą niém i porywającą do zguby. Sam Mefistofeles wyraźnie to potwierdza, bo gdy Faust porzuca umiejętność, nauki, wiadomości, będące dla człowieka właściwem polem nabywania wiedzy, a party nienasyconém i pełném py-

chy pragnieniem wzniesienia się nad tę sferę przeznaczoną dla człowieka ze szatanem zawiera pakta, Mefistofeles rozbiesiwszy się w sobie powiada o nim: »Pogardzaj sobie umiejętnością i sztuką, najwyższemi nieba darami i najszlachetniejszą człowieka potęgą,—niechaj cię usidli kłamstwa duch czarem swych błyskotek i mamideł — a przepadniesz i djabła będziesz własnością, choćbyś mu się nawet i nie zapisał na własność.«

Lecz wracam już do wątku osnowy mojej. Powiedzieliśmy wyżej, iż każda tedy figura idealna jest wyobraźnikiem jednej prawdy, która w niej przemieszkuje, całą jęj istotę stanowi i do działania unosi. Rodzi się tedy pytanie, w jakichże kształtach te prawdy i te pobudzające potęgi zjawiają się człowiekowi? Pod jakąż one formą działają na umysł ludzki?—W głębiach zaiste własnych piersi naszych zdradzają się te potęgi, co są władcami losu i żywota naszego; ani zaś zgadniesz, czyli to anioł—niemowlę drzémiące na różach, czyli hydra lęgnąca nieszczęścia, śmierć, zbrodnią i zgubę. Nim atoli człowiek zbadał te tajnie własnej swęj istoty, zanim poznał, iż to w nim samym rodzą się potęgi, co go niewstrzymaną siłą osadzają na szczytach chwały lub wtrącają w otchłań ciemną, cóż dziwnego, iż mniemał, jakoby jestestwa nadprzyrodzone wiodły i parły nas do czynów, że bogowie schodzą z wysokiego Olimpu nagląc człowieka do działań, którychby bez ich rozkazania nikt nie był dopełnił. W świecie chrześcijańskim bogów Olimpu zastąpiły czarownice, gnomy, rusałki, strachy, upiory i tym podobna gawiedź. Atoli w nowęj i najnowszej literaturze widzimy tego przykłady. Lecz łatwo poznać, iż wprowadzanie tych jestestw do sztuk,

jako potęg działających, nie ma wiele wartości, jeśli te jestestwa nadprzyrodzone, pobudzające do czynu, będą jestestwami zupełnie obcymi dla ducha człowieka, jeśli zostaną zupełnie zewnętrznymi dla niego potęgami, na które on wpływać nie może i które weale od nikogo nie zależą; bo już wtedy czyn jego nie jego będzie dziełem, lecz całkowicie, lub przynajmniej w części do onych jestestw należeć będzie; człowiek stanie się tylko ułomkiem, niezdatnym do ideału. W epopei te zjawienia snadniej jeszcze miejsce znaleźć mogą, bo w niej wystawienie jest właśnie zewnętrzném, plastyczném; jest zaś weale niewłaściwém w tragedyi, bo tu chodzi o to, abyśmy wejrzeni w tajnie ducha bohatera, w jego wnętrze, i z niego zrozumieli postępowanie i czynności jego. Rzecz zupełnie inaczej się ma, jeżeli te bogi, te zjawiska, które nam mistrz jako osobne figury maluje, są istotnie niezém więcej jak potęgi i te prawdy szczegółowe żyjące we własném sercu człowieka. Każdy zrozumieć figurę jaką jest np. Mars, Apollo, Wenus, Amor, Minerwa; wszak to są jedynie pierwiastki własnej duszy naszej, jakto widzimy w Homerze i w wielkich mistrzach starego świata. Bo człowiek bogami zrodzonymi we własnych piersiach napełniał Olimp i stwarzał sobie niebo na jakie go stać było. Niebo i mieszkańcy jego były zwierciadłem własnej duszy człowieka. Tak i w literaturze chrześcijańskiej czarownice są wielonym głosem serca Makbeta, a cień ojca występuje istic, jakby z grobu, z posępnej myśli Hamleta. Tak Wallenstein pragnąc czeskiej korony widzi w gwiazdach i astrologicznych figurach przeznaczoną mu purpurę.

Któs powiedział, iż są chwile święte, co ciszą głęboką uroczystą pokrywają naturę i serce człowieka; gdy drzewa, skały, kwiaty, wody, liście milczą nieporuszone, gdy muszka nie zaszeleści, łąka nie przemówi, obłoki nawet złote zatrzymują się w swym polocie; wtedy, niby dzieci marzeń i ułudy, z własnych piersi unoszą się gromadami gieniusze, rusalki, świtezianki, co napełniają naturę całą, ziemię i niebo. Lecz myślę, iż silniej jeszcze zdradzają się te jestestwa duszy naszej w godzinach wieczornych późnej jesieni, gdy lasy zahuczą niby sejmem duchów natury, gdy drzewa, gdy gałęzie z sobą się swarzą, gdy wieher na niewidomych skrzydłach szaleje po żyjącej naturze pędząc przed sobą słupce liści zdartych, zakręcając je wirem, gdy, wpadłszy do mieszkań ludzi, jęczy, stęka, skarży się i kwili jakby upiorów czereda, gdy mgły gmatwają się w utwory dziwaczne, w olbrzymy płasające po równinach, a księżyc, jakby gnany przestraczem poprzez niebo rozdartych obłoków, to chowa się za chmur szmaty, to niekiedy przez szczeliny, jakby przez okna, na nas spoziéra, i znów się kryje; ba, wtedy sama się powieść złoży, i byle mieć trochę wyobraźni, świat napełni się w koło jestestwami dzięki fantastyczności i uniesie nas do innych nadrzeczywistych krain. Chwil takowych doświadczał każdy młodzieniec z duszą świeżą i ciepłą; doświadczała ich też literatura cała, póki i ona była młodszą, świeżą i ciepłą. Dość ci wspomnieć o jedynastym i dwunastym wieku, gdy świat, jakby ogrody na wiosnę kwiatami, ustroił się w romanse i powieści cudotworne; a one czasy złote, gdy z duszy Ariosta zrodził się Orland szalony, a z myśli potężnej Shakspeara

wyskoczyły dzieła przedziwnych uroków i barwy, jak:
Burza i Sen nocy letniej!

Zawsze atoli te zjawienia i postaci nadprzyrodzone nabierają dopiero wartości prawdziwej i głębokiego znaczenia, jeżeli one wyrażają te uczucia, co w nas żyją i bez ustanku pracują, bo wtedy jedynie człowiek jest czynny przez się samego i działa przez siebie. Wszelkie zaś powieści fantastyczne, nie mające téj głównej cechy, muszą być, mimo talentu autora, mimo imaginacyi, zawsze czémś czczém, powierzchowném i prozaiczném: bo cóż już może być więcej prozaiczne, jak posłuszeństwo potęgom przyrodzonym i widziadłom, które lada gdzie, lada komu, lada kiedy, wedle upodobania autora, zjawiają się i przynoszą rozkazy dla bohaterów powieści, które znow tenże ślepo wykonywa. On sam jest jedynie ciemnym i bezwolnym narzędziem tych widziadeł, czyli raczej autora samego. Nie łatwiejszego jak pisanie podobnych powieści, byleby samopas puścić imaginacyą, byleby ją rozpoić obrazami rozuzdanéj fantazyi.

Jest atoli jeszcze inna postać działająca na człowieka i wiodąca go do czynu: jest to potęga patetyczna, jest to ono *pathos* greckie. Nazwa ta również już przeszła w język estetyczny u innych ludów, dla tego ją też i my zachowujemy. *Pathos* znaczy co do słowa *cierpienie*; w języku Estetyki zaś nie wyraża zupełnie toż samo co *namiętność*, bo przez *namiętność* rozumiemy uczucie mniej lub więcej szlachetne albo niskie i naganne, ale *pathos* wyraża porwanie serca uczuciem znajdującém także odgłos we wszystkich sercach. Są to one prawdy szczegółowe, nie zjawiające

się atoli już w kształtach figur i widmów, lecz wprost jako drganie wewnętrzne duszy i głos potężny, panujący w sercu i ogarniający całą istotę naszą, jak np. miłość, przyjaźń, przywiązanie rodzicielskie, honor, chęć sławy i inne tym podobne prawdy, których przykłady dopiero co widzieliśmy, rozbierając figury w tragedyi: *Romeo i Julia*.

Jedna z najpotężniejszych potęg grających w sztuce świata chrześcijańskiego i w całym życiu jego jest miłość. Ona nie była znana w świecie klasycznym; Grecy i Rzymianie pojmowali ją z jednej tylko strony, bo li ze strony zmysłowości, ztąd też zacność kobiety była w poniewierce i nie uznana w swém znaczeniu głębokiem. Gdy atoli słowo zbawienia wstrząsło myślą ludzi, gdy wiara duchowa osiadła na stolicy nieba i ziemi, gdy człowiek silnie i niewątpliwie pojął życie w innym świecie, pojął też życie w innéj od siebie istocie, a miłość zrodziła się wśród ludzi. Miłość jest najpiękniejszym kwiatem, który rozwinął się na ziemi, gdy na nią spójrzało słońce wiary. Cześć dla kobiety była głównym pierwiastkiem cywilizacyi Europy i wyprowadziła ją z grubéj nocy barbarzyństwa; bo rycerskie uwielbienie, łagodzące dzikość, surowiznę uczuć, i hamujące rozkiełzane namiętności, uczyniła człowieka sposobnym do zrozumienia najwyższych prawd, na których oparta zacność rodu ludzkiego i szczęśliwość świata. Stan ponizenia niewiast jest najtrafniejszym dowodem barbarzyństwa narodu, bo dowodzi przewagi siły fizycznój, onéj przewagi najwięcej hańbiącej, bo równającej nas ze zwierzem. Téj niewoli nie można przypisywać przewadze umysłu u mężczyzn, bo téj przewagi

nie ma. Bóg zarówno podzielił między dzieci swoje przymioty duszy, obie płci zarówno kochając; tu o wyższości jednej płci nad drugą mówić nam nie można, obie są sobie pod względem umysłowości zupełnie równe, choć zupełnie sobie odwrótne, zupełnie odmienne; bo też ich powołanie również jest odwrótne i zupełnie różne. Mąż w swoim, kobieta w swoim zakresie działając, zarówno są ważnym pierwiastkiem świata; a [jak kobieta nie zdoła działać w zakresie dla mężów przeznaczonym] tak zaiste mąż nie wydoła z całym swym rozumem zastąpić umysłowe działanie kobiety; i pod względem cielesnym i umysłowym są wzajemnym dopełnieniem siebie i najściślej siebie połowami. Jeżeli tedy nie umysłowej lecz fizycznej przemocy trzeba przypisać stan poniżenia kobiet u ludów dzikich, z tej też przyczyny kobiety odprawiają tam najcięższe roboty, gdy mężowie łowią, polują lub śpią. Czyliż dziwno, że Azja dotychczas w barbarzyństwie? ona iście nie wydzwignie się z dzikości i z otehlani nieszczęść publicznych i domowych, póki tam płci obie nie będą z prawa porównane z sobą, póki tam wielożeństwo nie upadnie. Co większa, gdy i u nas w obeowaniu towarzyskiem zdarzy ci się zobaczyć człowieka, co znieważa w czynach i lekkich słowach względy należące się kobietom, już pewnym być możesz, iż to z gruntu barbarzyniec; jakóż, gdy mu się lepiej przypatrzysz, wnet spostrzeżesz, że pod tą swoją, choćby najwięcej ogładzoną i wymuskaną, łupiną kryje serce puste, ciasną głowę i strupiałą duszę.

Jakoż widzę, że umiosłem się poza przedmiot, nawracam tedy do dalszego wątku. Uważmy, że pathos,

ta potęga gorejąca w człowieku, będąca główną sprężyną działania jego, winna, jakem powiedział, być téj natury, aby znalazła odbicie i współzucie w sercach wszystkich. I tak zaiste zawsze się dziać będzie, jeżeli istotnie w sztukę te prawdy szczegółowe, wyżej już obszerniej rozebrane, wprowadzone będą; bo one są właśnie takowe, iż obudzą wtorujące dźwięki w sercach wszystkich widzów i słuchaczów. Czyliż prawdy wyobrażone przez figury w tragedyi *Romeo i Julia* nie są z tego rodzaju, iż je wszyscy dzielić będziemy, iż w nich samych siebie ujrzymy?

Z tego tedy już jasno wypływa, iż patetyczność nie powinna wypływać z uczuć, do którychby pewnego już przygotowania naukowego, pewnego ukształcenia rozumowego potrzeba było. Jakoż odkrycie nowe i ważne w chemii, matematyce, w historyi naturalnej, zoologii i t. p. umiejętnościach, może nas wprawić w zachwycenie, można nawet dla niego życie swoje ważyć, lecz nie odbija się w sercach wszystkich ludzi, i zrozumiane tylko będzie przez ludzi z pewnym ukształceniem; nie będzie tedy patetycznym, nie może być tedy wprowadzone do sztuki; bo sztuka jest przemową ducha do duchów wszystkich, jest własnością wszystkich jestestw czujących i myślących, bez względu na ich naukowość. Mniej jeszcze patetycznymi bywają ochoty czeze, skłonności i bezważne i śmieszne; one nawet w komedyi są niestosowne: bo co w sztuce żyje i w ideale się święci, powinno być godne aby też przez innych zrozumianém być mogło. Zachcenia atoli czeze i dzieciinne do nikogo nie przemówią.

Tak tedy pathos jest pierwiastkiem działającym

w ideale, we figurze poetycznej; zważ jednak, iż ta patetyczność, ta prawda szczegółowa, która w nim gore, wcielić się winna we formę rzeczywistego człowieka. Mistrz, chcąc wprowadzić tę patetyczność w sztukę, winien sobie stworzyć człowieka, któryby ją sercem i czynami wyznawał, winien wynaleźć w duszy swojej figurę właściwą do wyrażenia tego pathos, słowem, winien stworzyć *charakter*. W charakterze figury idealnej masz tedy dwie strony: naprzód owo ogólne pathos, drugi raz prawdziwego człowieka nadającego temu pathos pewną barwę i cechę. Wszak nie ma patetyczności powszechniejszej jak miłość, ona sama przez się wzięta w ogólności jest zawsze jedna i ta sama, a przecież nabiera różnej cechy, różnej barwy, wedle charakteru ludzi; myriady ludzi już się kochało, a każdy kochał innym sposobem, każdy po swojemu, w każdym ona inaczej się objawiała, wedle charakteru a osobistego piętna jego. Tak istota Najświętszej Panny przez wielkich mistrzów jednako pojmowaną była, a przecież jaka różnica jest w obrazach wielkich mistrzów! wszak Madonny Rafaela, choć jeden w nich żyje duch świętości najczystszej, są różne a różne. Przypominasz sobie np. te głowy, które niekiedy dzieciom do przerysowania dają: jedna ma znaczyć rozpacz, druga gniew, tamta trwogę, i t. d.— te głowy zwyczajnie nie mają charakteru, bo nie są wzięte z rzeczywistych ludzi rozpaczających, gniewających lub trwożących się, lecz są zupełnie abstrakcyjne. We *Flecie czarnoksiężkim* występuje *Noc*, figura sama przez się zupełnie abstrakcyjna, a zatem zupełnie bez charakteru; trzeba było na to Mozarta, aby pokryć muzyką tę czezość figury

samój. Widzimy też jak twardo się passuje Klopstock w *Messyadzie* wprowadzając aniołów; bo anioły są czystymi duchami, a jako takie do siebie podobne, nie mogą mieć tedy same przez się barwy i piętna charakterystycznego, różniącego ich od siebie.

Jeżeli zaś patetyczność żyjąca w człowieku powinna mieć na sobie charakter pewnej barwy, więc też tę cechę właściwą okazać wypadnie; co tylko wtedy się stać będzie mogło, jeżeli okażemy charakter ten w różnym położeniu, w różnym stanowisku, w różnych stosunkach do rzeczy i ludzi. Nie sama tylko ta patetyczność winna na jaw wystąpić, lecz bogactwo, mnóstwo uczuć i myśli, okazujące jakim ten człowiek jest, i jakie jego zachowanie w różnych życia przygodach.— Patrz, Achilles w *Iliadzie*, ów bohater twardego męstwa i zapamiętałego gniewu, wleczący zabitego Hektora około murów Troi, ma duszę bogatą i szlachetności pełną; pokazuje nam go Homer to jako tkliwego przyjaciela, to znów w chwili gdy ojciec Hektora, stary Pryamus, błaga o ciało zabitego syna, i klękając przed Achillesem zaklina młodzieńca na własnego ojca, i woła płacząc, że tę rękę całuje, co mu zabiła syna, a rycerz Grecki rozrzewniony ze łzami podnosi starca ze ziemi. Albo, aby nie szukać innnych przykładów, masz Romea; wszak on, oprócz miłości dla Julii, ma nieprzebraną treść w duszy; bo jest odważny i przywiązany do przyjaciół, i czy w chwili gdy jest tknięty ciężką obrażą przez Tybalta, czyli zraniony słowami Parysa, czyli zachowując się ze czcią dla ojca Lorenzo, czyli też konając, w każdym położeniu wyjawia charakter swój i nadaje barwę całej swój figurze; a we wszystkich tych

stosunkach, tak rozmaitych, zawsze to jest jeden i ten sam człowiek pełen szlachetności. Rzekłbyś, że charaktery takowe zyskują we wielkich katastrofach żywota swojego; burza, co miota falami ich duszy i do dna je porusza, wymiata z głębi jęj skarby ukryte i perły drogie.

Takie ideały są charakterami w całym znaczeniu, w nich nie jedno uczucie świeci samotnym płomieniem, ich istota spogląda na nas całym niebem gorejących gwiazd.— Charakterem w największym znaczeniu jest Mohort, jakim go stworzył Pol; Mohort zawsze jeden a ten sam, czyli na dworcu królewskim, czyli na kresach ukraińskich odsadzonych od świata, czyli nakoniec z szablą w ręku, czyli w klasztorze, czyli wtedy, gdy prawi o niegdyś młodej miłości swojej— on zawsze jeden i ten sam. Różne życia koleje, ciemne i jasne losy jego wygrywają jedynie, jakby na strunach, różne tony na sereu jego, ale te tony wszystkie, te akordy i pieśni zestrojone wszystkie do jednego kontra-punktu. Albo wspomnij na postać księcia Radziwiłła, skreśloną ręką mistrzowską Rzewuskiego, lub Chodźki— ona zaiste ze spiżu ulana, z jednej sztuki odlana. I Rzewuski i Chodźko przedstawili nam te figury tak plastycznie, jak posąg marmurowy greckiego mistrza, lecz w tym posagu żyją głębie uczuć, serdeczność gorąca, rodzima i niesfalszowana żadnym obcym tehem: możesz się ugrzać ciepłem tej postaci, odżyć jęj życiem; jeżeliś omdlał na sereu, a krew w duszy twojej skrzepła, odmłodniejesz tą postacią. Jest to charakter, na który już nie stać świat obecny. Ta plastyczność klasyczna obok treści bogatej wewnętrznej, prawdziwie romanty-

cznej, jest właśnie zestrojeniem romantycznego i klasycznego świata, jest tedy właśnie cechą najwyższą nowożytniej sztuki, przebywającą w charakterze, jakim jest Mohort, jakim Radziwiłł Chodźki i Rzewuskiego, jaki znajdziesz tak często w powieściach Kraszewskiego i Korzeniowskiego.

Zebrawszy w krótkości cośmy wyżej rzekli, widzimy, iż jeśli charakter winien być bogaty w sobie, tak również we wszystkich stosunkach życia, w których nam go mistrz rozwija, powinien być jednym i tym samym. Charakter winien być *jednością*, choć rozmaitości pełną: co działa, działa z siebie i jawnie; żadne potęgi ciemne, zagadkowe, nie powinny wpływać na niego, winien być w sobie jasny i przejrzysty, a bez długiego wahania się w czynach, bo wszelka niepewność dowodzi tylko rozdwojenia wewnętrznego i braku jedności duchowej.

Tak tedy skończyłem treść przeznaczoną na tę pierwszą wiązkę listów moich; widzę, że mi przedmiot pod ręką urosł i że skręślił prawie wszystkie, choć najogólniejsze zasady *Filozofii sztuki* wedle dzisiejszego jej stanowiska.

Pragnąc dopełnić przyrzeczenia mojego, starałem się o formę mniej ścisłą, mniej surową, jakby może wymagała treść będąca tak ważną gałęzią *filozofii samej*. Wybaczysz mi tedy, iż niekiedy wśród całego wątku wprowadzałem cię na ustronia nie będące wprawdzie wprost w stosunku z *Estetyką*, leżące atoli zawsze jakby na granicy jej osnowy, a udzielające i nowego widoku i chłodu wśród drogi naszej. W tym też celu przy-

wodziłem ci dość liczne przykłady, wiedząc, iż za ich pomocą snadniej się porozumiemy. Jeżeliś tedy w polocie dotykał to téj, to owéj epoki historyi sztuki, i jeżeliś wspomniał przy sposobności o różnych jéj rodzajach, jako o rzeźbie, architekturze, malarstwie, muzyce, a nawet o różnych gałęziach poezyi., np. o tragedyi, lirze, komedyi, sielance, powieści, czyniłem to jedynie, aby przykładami wyjaśnić teoretyczne pojęcia sztuki, w ogólności uważanej, a nie miałem bynajmniej myśli, ani rozebrać ze ścisłością szczegółów wszystkich, ani ci podać systematycznój całości; pragnąłem głównie dotknąć w tych listach, choć powierzchownie, najważniejszych przedmiotów należących do estetyki, wedle dziś przyjętych wyobrażeń w téj umiejętności, aby się tém łatwiej porozumieć z tobą względem ogólnego zapatrywania się na tę umiejętność.

Jakoż wypadaloby mi jeszcze wiele podobnych listów napisać, zwłaszcza radbym w drugim ich szeregu pomówić o fantazyi; boć to ona jest potęgą twórczą, rodzącą dzieła sztuki. Wspomniałem wprowadzić już dotychczas o téj potędze duchowój, lecz jedynie przygodnie, pobieżnie; teraz wypadnie nam o niéj pomówić ściślej i obszerniej, a rozbiór jéj bliższy, jak myślę, rzuci nam jeszcze silniejsze światło w dziedzinę tajemniczą piękności.

Zrozumiesz, że wyobrażenie choćby powierzchowne o fantazyi już nam wskaże, że téj sile z wielorakich stron przypatrzeć się należy. Lecz zaiste dwa są najgłówniejsze względy, które się nam nasuwają, gdy mamy rozebrać istotę fantazyi. Bo naprzód możemy mieć na baczności fantazyą pojedynczego człowieka,

powtórę fantazyą różnego ludu i różnego wieku. Pod względem pierwszym wypadnie nam bliżej rozebrać tę potęgę wszechmożną, niewołając mistrza do stwarzania dzieł piękności; — pod względem drugim przyjdzie wyświecić, jak to ona, różną będąc w różnych ludach i w różnych stuleciach, wykwita przeróżną sztuką dając świadectwo o różném usposobieniu ludów w historii świata. Otoż widzisz, rozwój istoty fantazyi pod tym dwojakim względem będzie osnową następującego szeregu listów. Poczém wypadłoby mi napisać jeszcze trzeci szereg listów, w którymbym roztoczył dokładniej istotę głównych *pięciu rodzajów sztuki*, zwłaszcza wszelkich gałęzi poezyi. Tym trybem będziemy mieli sposobność okazania, jak ogólne te zasady teoretyczne, choć zawsze jedne, zawsze te same, przyodziewiają się w ciągu dziejów szatami różnych wieków i ludów i jakim sposobem one się stosują do każdego z osobna rodzaju sztuki.

Spodzielam się, że może zamiaru tego dokonać zdołam, lecz tu wszystko głównie od tego zależy, czyli to, com już skreślił, do smaku ci przypadło, i czyli czytając te listy choć w cząstce doznałeś tego zadowolenia, które ja czułem pisząc je do ciebie. Przejrzyj niedostatkom, które bezwątpienia często w téj mojej pracy spostrzegłeś, a wierzaj, że ci z całego serca wdzięczny jestem, żeś tak cierpliwie zechciał doczytać się końca i raczył tak życzliwie pójść za wątkiem osnowy całej — *Vale et fave.*

TREŚĆ LISTÓW

ZAWARTYCH W PIERWSZYM TOMIE.

LIST PIERWSZY str. 5.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów, stronica 7.— Stanowisko całej osnowy, 10.— Usprawiedliwienie formy, 11.

LIST DRUGI, str. 14.

Ogólny widok na sztukę.

Stan dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury 14.—Zjawiska nam społeczne dowodzące budzącej się miłości do sztuki, 18.— Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchownienia się czasu, 24.— Sztuka ma cel swój sama w sobie, 27.— Sztuka jest ogniwem łączącym świat duchowy z cielesnym, 30.— Historia sztuki jest obrazem rozwijania się duchowej potęgi ludzkiego rodu, 31.— W świecie chrześcijańskim sztuka straciła wagę swoją, 37.

LIST TRZECI, str. 39.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

Rozmaitość pierwiastków duchowych i ich walka stwarza doskonałość. Różne zdania co do samej drogi prowadzącej do piękności, 40.— Czas głuchy w sobie i bez treści, wierzy w same jedynie prawidła, 41.— Prawidła stojące li na wzorach przeszłości.— Tow. Przyjaciół Nauk War. w r. 1812, 45.— Prawidła opierające się na abstrakcyjnym rozumowaniu z pomijaniem wzorów, 47.— Natchnienie, 50.

LIST CZWARTY, str. 55.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyjalnego nad duchem, 56.— Sztuka nie jest kopiowaniem natury, 58.— Wielkie dzieła natury, Tatry, 58.— Stosunek rzetelny sztuki do natury, 62. Dwa pierwiastki koniecznie objęte w każdym dziele sztuki, 65.— Różnica między dziełami prawdziwymi sztuki a dziełem będącym naśladowaniem natury, 65.— Wrażenie jakie te ostatnie na nas czynią, 67.— Żołiówka, — figury woskowe, udawanie zwierząt.— Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebierania w dziełach sztuki, 72.— Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukrytą dla sztuki— Przykłady — Przestrzeń niebios, 73.— Puszcze pierwotne i ich cuda, 74.— Natura przedpotopowa, 77.— Piękność natury i piękność sztuki, 85.— Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie téj natury jest ogromnej wagi dla ducha człowieka, 86.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowém, 90.

LIST PIĄTY, str. 92.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów, 96.— Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącymi w stosunku do sztuki pięknej, 97.— Różnica ich do innych trzech zmysłów, 98.— Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki 99.— Przeważanie strony zmysłowej w sztuce dowodzi jój poniżenia, 101.— Czas malarzy *Huet i Boucher*, 102.— Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki, 104.— Wielkie znaczenie świata zmysłowego—Skon, 105.— Czasy poniewierania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne, 107.— Pierwsze czasy chrześcijaństwa, 108.— Symboliczność, 110.— W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe, 112.— Allegorye—Shakspeare i Leonardo da Vinci — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu, 115.— Podział sztuki pięknej na różne jój rodzaje, 117.—

LIST SZÓSTY, str. 130.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszej, 133.— Uczucia nie mogą być prawidłem sądzenia o rzeczach, ani skazówką postępo-

wania naszego, 134.— Nie mogą tedy stanowić prawdy w sądzeniu o dziełach sztuki, 139.— Uczucia są właściwym sądem w sprawach zupełnie osobistych, 141.— Sztuka nie ma na celu wzbudzanie uczuć religijnych, ani moralnych, 143.— Uczucie piękności czyli smak nie jest dostatecznym sędzią, ani twórcą dzieł sztuk pięknych, 150.— Pojmowanie piękności przez Platona, 152.— Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłym uważany, 154.— Smak estetyczny — Styl, 156.—

Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce, 159.— Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki, 160.— Indyana Pani Sand, 161.— Stanowisko dzisiejszych romanów francuzkich, 163.— Powołanie rzeczywiste piękności, 169.— Harmonia rozumu i uczuć, 174.

LIST SIÓDMY, str. 176.

Istota sztuki.

Różne rodzaje piękności, 195.

LIST ÓSMY, str. 204.

Sztuka — Wiara — Filozofia.

Stosunek sztuki do Religii, 205.— do filozofii, 210.— Zwyczajne zdania o filozofii, 211.— Uwłączanie rozumowi jest bluźnierstwem, 212.— Zapatrywanie się mylne na filozofią.— Jaroński i inni, 215.— Rzut oka na treść listów poprzednich, 224.— Badanie początku sztuk jest równie mylną jak niepotrzebną pracą, 227.

LIST DZIEWIĄTY, str. 236.

O Ideale.

Stosunek rzeczywistości do sztuki, 242.— Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki, 243.— Istota Ideału, 244.— Stosunek ideału do natury fizycznej, 250.— Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury, 251.— Jestestwa pojedyncze, żyjące — Okolica i pejzaże, 255.— Pomniki historyczne, 257.

Sztuka i draperya— Figury dramatyczne— Obrazy hollenderskiej szkoły — Adryan Brauwer i Jan Steen, 258.— Sta-

chowicz, 265.—Paweł Kock — Kraszewski — Boz — We
: wyższej sferze ideału rzeczywistość mniej jeszcze wystar-
czyć może, 268.—Słowa Rafaela, 271.—Zdanie Cyce-
rona o Phidiasie, 271.—Boleść bez granic nie ma miej-
sca w ideale, 273.—Oedipus w Kolonos Sofoklesa, 274.—
Romeo, 275.—Dwa obrazy Girodet'a, 277i t. p.—Zastoso-
wanie rzeczy téj do komiczności, 279.—Don Quishot —
Damy i Huzary, Poeta i Odludki Fredry, 280.—Trzy sfery
ideału, 281.

LIST DZIESIĄTY, str. 287.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacya, Kollizya, Działanie, Pathos — Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału, 289.—Dzieje Polski,
295.—Murdelion Kaczkowskiego — Świat sielankowy —
Wiesław Brodzińskiego, 298. i starzy sielankarze polscy,
299.—B. Zaleski, Pol—Czasy Bohaterskie Grecyi, 300.—
Wieki romantyczne, 301.—Cooper—Walter-Skot, 304.—
Romanse morskie, powieści ukraińskie, 305.

Działanie ideałów, 306.—Sytuacya, 307.—Panteony chrze-
ścijańskie, 308.—Indye i Egipt, 309.—Figury ze situa-
cyą spokojną, 315.—Przykłady z rzeźby klassycznej i no-
woczesnej, 316.—Małgorzata we Fauscie, 317.—Julia
Shakspeara, 318.—Kollizya, 318.—Powody, które wy-
wołują kollizya, 319.—Powody przyrodzone, 319.—Iphige-
nia, Iliob, Prometheus, Quasimodo, 320.—Rebeka Walter-
Skota, Ofelia, 321.—Kollizya wywołana czynem, 321.—
Potęgi porywające człowieka do działania — przykład na
tragedyi: Romeo i Julia Shakspeara, 322.

Złe, 328.—Powody działania w sztuce, 331.—Pathos, 334.—
Miłość, 335.—Charakter, 338.—Achilles—Romeo, 339.—
Mohort Pola, Ks. Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki, Kra-
szewski i Korzeniowski, 340.

Pożegnanie czytelnika, 341.



